

# **Żegluga wzdłuż brzegów zachodniej Afryki na lugrze Łucja-Małgorzata 1882-1883**



STEFAN SZOLC-ROGOZIŃSKI

# *Żegluga wzdłuż brzegów zachodniej Afryki na lugrze Łucja-Małgorzata 1882–1883*

*Cieniom Filipa Sulimierskiego i Klemensa Tomczeka*

*Zgasły mój mistrzu! Wieczny mój drubu!*

*Wspomnijcie tu ze mną te dni, gdy jeden duch nas ożywiał — kiedy wśród ciosów i trosk w Was jednych czerpał otuchę. Z Wami dzieła zaczętki powstały i z Wami wzrosły się w czyn.*

*Wam więc jasno, drogie me postacie — gdziekolwiek krążycie wolni od kajdan śmiertelnych — niech będą oddane te wspomnień pełne ćwiartki.*

## PRZEDMOWA

Niniejsza praca przedstawia relację z żeglugi odbytej w latach 1882–1883 na lugrze<sup>1</sup> „Łucja-Małgorzata” w celach naukowych wzdłuż brzegów zachodniej Afryki i jej wysp — po drodze do Kamerunu, dokąd dążyłem, obrawszy sobie wtedy ów punkt za bazę operacyjną dla badania wnętrza afrykańskiego lądu.

Pragnę przez te opisy, które powstały przeważnie na pokładzie „Łucji-Małgorzaty” w drodze lub też na stacji Mondoleh — najczęściej, gdy wrażenia były jeszcze świeże i niezatarte — zapoznać mych ziomeków z owymi stronami, wśród których, o kilka staj<sup>2</sup> zaledwie od brzegu oceanu, drzemiały jeszcze olbrzymie obszary kuli ziemskiej w dziewiczym śnie nietkniętej przyrody, nieznanne i ciemne.

Ostatnie lata wzbudziły wprawdzie szczególnie interes<sup>3</sup> dla badań afrykańskiego lądu i nie tylko jednostki, lecz rządy całe zajęły się takowym — czy zawsze w tych samych celach, czy zawsze dla zdobywania nowych prawd tylko i mając dobro ludów ziemie te zamieszkujących na oku — to inne pytanie nie nas się tyżące.

Skromne rozmiary ekspedycji musiały się stosować do środków, jakimi rozporządzałem, a stanowiły one wyłącznie prawie fundusze własne, prywatne. Kilku tylko szlachetnych przyjaciół przedsięwzięcia — którym cele jego były zrozumiałe — poparło wyprawę materialnie. Cześć zaś złożyłem na wstępie przede wszystkim pamięci i imionom dwóch zgasłych przedwcześnie przyjaciół, których światłe umysły i wzniosłe dusze główną były dźwignią przedsięwziętego dzieła. Wypada mi tu złożyć należny wyraz uznania panu Leopoldowi Janikowskiemu, który wytrwałą i sumienną pracą na swoim stanowisku podtrzymywał praktyczną stronę ekspedycji.

Kiedym wyruszał pod równik, zmarły Filip Sulimierski był może jedynym, który czuł ze mną w zupełności, że nie knujemy awanturnicznych planów, jak sądziła większość naszego ogółu, i że nawet najbiedniejszy kraj nie ma prawa hamować kroków tych jednostek swego społeczeństwa, których powołanie wypiera poza obręb własnych interesów

<sup>1</sup>lugier — lekki dwumasztowy statek o skośnych żaglach, dawniej powszechnie używany jako statek rybacki, szczególnie u wybrzeży Francji, Anglii, Irlandii i Szkocji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>staje a. stajanie — dawna miara odległości; staje staropolskie było równe ok. 135 m, staje nowopolskie (XIX w.) to ok. 1000 m. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>interes (daw.) — zainteresowanie. [przypis edytorski]

do szerokiej międzynarodowej areny wiedzy, „gdzie nie ma narodów, lecz jest ludzkość jedna”.

Te dalekie pionierki, jakkolwiek skromne będą owoce każdej z osobna, mają swe wielkie znaczenie: z nimi nowe drogi, nowe odsłaniają ziemi obszary, powołując całe ludy pod sztandar cywilizacji. Dozwólcie po całej ziemi swobodnie wymieniać myśli, dajcie wszędzie drogi i komunikacje, a nie będzie przesądów, niech znikną przesady, a zajaśni<sup>4</sup> światło! Niech każdy tę składa cegielkę, którą złożyć pragnie do tego gmachu.

Biada temu społeczeństwo, które nie chce brać udziału w tym ogólnym turnieju we wszystkich kierunkach wiedzy, które samo ścieśnia swój horyzont i spycha się w zastój, nie pozwalając wszystkim gałęziom swego drzewa się rozwinąć! To początek jego końca; schnącej gałęzi tu odciąć nie można — odcięcie czy obumieranie jednej z nich znaczy, że cały pień próchnieje.

Jako notatki pisane prawie zawsze, jak wspominałem, w podróży, wymagają te opisy pobłażania za liczne niedostatki; może nam się uda w przyszłości przejrzeć lepiej i uzupełnić takowe. *Żegluga „Łucji-Małgorzaty”* tworzy odrębną całość, może być jednakże również uważaną za część pierwszą wyprawy, po której ukaże się niebawem druga, zawierająca wyprawy lądowe w krajach kameruńskich i Bakundu.

*Londyn, we wrześniu 1886 r.*

S. S. Rogoziński

## ROZDZIAŁ I

*Kilka słów do czytelnika. — Cel i zadanie wyprawy. — Tomczek i Janikowski. — Zwłoka i walka o byt. — Załoga „Łucji-Małgorzaty” i urządzenie okrętu. — Pożegnanie i pożegnalne uwagi. — Stary Vattier. — Wypłynięcie z Hawru.*

Ktokolwiek poznał życie marynarza lub może miał sposobność oswoić się z oceanem, jego burzami i słońcem, jego poważnymi i wesołymi pieśniami i z ciężką po nim wędrówką — ten nie weźmie mi za złe, że w tym opisie trzyletniej podróży w Afryce poświęcę też kilka ustępów państwu Posejdon<sup>5</sup>, po którego sinych obszarach krzyżowaliśmy<sup>6</sup> przez cztery miesiące, zanim stanęliśmy u brzegów, u których rozpoczęła się główna działalność ekspedycji.

Kto jednak nie czuł nigdy pociągu do dalekich podróży, do badań geograficznych, kogo nie ożywiało pragnienie odkrycia stron jeszcze nieznanych, zdobycia nowych pól pracy, a dla przeładowanej ludnością starej Europy nowych gruntów więcej przestrzeni i ruchu, słowem, komu wystarczała działalność na własnej glebie, ten niechaj nie żałuje, że nie poszedł tą drogą — jest on szczęśliwszy, bo życie eksploratora to życie ciągłych trosk i cierni, ciągłego pragnienia i ciągłych zawodów; choć i on ma swe chwile duchowej rozkoszy — ale tylko, gdy zdołał krok nowy naprzód uczynić. Po pierwszym jednak już widzi przed sobą drugi, poznaje obszar pozostałej pracy i niejednokrotnie przygnieciony jej ciężarem poznaje, że dla dokonania całego dzieła życie to za krótkie, że zaledwie wystarczy na rozkołysanie kolebki swej myśli, która już zrosła się z jego duszą; że nie zobaczy jego końca i że może nieubłagane prawa przyrody przerwą iskrę żywota przed chwilą zwycięstwa.

Otóż do tych pielgrzymów bez spokoju i strzechy, których cały świat jest mieszkaniem, ziemia pościelą, a rafa koralowa lub step daleki stanie się grobem — do takich, mówię, mnie losy zaliczyły. W zamorskich podróżach przeczytałem kilka kart z najżywszej księgi, ze świata samego; za siną falą, na południu, poznałem ląd inny, który zaczął mnie silnie pociągać ku sobie, następnie zastanawiać, a wreszcie zrósł się z moimi myślami — była to Afryka!

Podróż

<sup>4</sup>zajaśni — dziś popr.: zajaśnieje. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Posejdon (mit. gr.) — bóg morza, żeglarzy, trzęsien ziemi; przedstawiany z trójzębem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>krzyżować (żegl.) — płynąć zakosami, wykonując wielokrotne zwroty, halsować. [przypis edytorski]

Tam, między Sudanem a Kongo, poza brzegami, które oblewa Ocean Atlantycki, ukrywa ta część świata olbrzymi pas ziemi nieznaney jeszcze zupełnie, w której Kongo i Niger czerpią wielką część swych wód. Tych pól żaden pług badacza jeszcze nie orał i ta właśnie zasłona pociągała mnie ku sobie, jak również też zgasłego przedwcześnie Klemsa Tomczeka, geologa, z którym niejedną długą wieczór na północy minął nam na rozprawach o nierozstrzygniętych jeszcze zagadkach, jakie te przestrzenie zawierają.

Postanowiłem je rozwiązać, a podana mi dłoń drogiego mi przyjaciela stwierdziła, że stanęło nas już dwóch do pracy, owianych jednym duchem.

Porzuciłem więc w styczniu 1882 r. mą służbę marynarską, w której byłem porucznikiem floty<sup>7</sup>, i dn. 5 marca tegoż roku opuściłem starą naszą, a jednak wiecznie młodą i żywą Warszawę, dążąc do Hawru, gdzie nabyłem dla zamierzonej podróży żaglowiec „Łucję-Małgorzatę” i rozpoczęto przygotowania, ekwipowanie wyprawy. Wkrótce przyłączył się do nas trzeci, sumienny i poczciwy towarzysz, Leopold Janikowski, jedyny z innych ochotników, który wytrwał w zamiarach przy zadaniu naszym.

Długa jednakże jeszcze i ciężka była walka o byt ekspedycji; niejednokrotnie dzieło chwiała się w całej swej podstawie — zdawało się czasami, że runie lada chwila, gdyż prawie wszystkie wydatki własnymi musiałem opędzać środkami. Minęło lato, jesień przeszła prawie cała, rozpoczęły się wichry i sloty, a „Łucja” wciąż jeszcze stała przykuta do mętnych wód Hawru. Nikt już prawie nie wierzył, że ona w ogóle podniesie kotwicę; wreszcie w grudniu nadeszła upragniona ta chwila — udało się rozbić ostatnie przeszkody!

Hawr, scena ciągłych tych walk o byt ekspedycji, Europa wreszcie cała wraz ze swą wielką, symetrycznie przyciosaną cywilizacją wydawała mi się duszna, straszna, przygniatająca: wszystko wołało na ocean, na pole działania, do pracy otwartej, choć cięższej może — pragnąłem nareszcie odetchnąć wolną, swobodną pierś.

Celem podróży morskiej były Góry Kameruńskie, położone na brzegach Zatoki Biafryjskiej<sup>8</sup>, w których postanowiłem utworzyć stację stałą, niejako podstawę operacyjną dla badania przyległych stron lądu. Po drodze jednak pragnąłem zwiedzić jak najwięcej części brzegów — i to krzyżowanie wzdłuż nich zawiera ta pierwsza część, czyli *Żegluga „Łucji-Małgorzaty”*.

Załogę okrętową zaangażowałem francuską, na miejscu. Z niektórymi typami takowej musimy tu na wstępie się zapoznać, gdyż spotkamy się z nimi później. Oto kapitan Boutes — mały, krępy, dzielny marynarz, jeden z tych synów Neptuna<sup>9</sup>, którym po zżyciu się z falą już za sucho na lądzie. Był on już po kilkakrotnie w Gabonie, na zachodnioafrykańskim brzegu, znał Fernando Poo<sup>10</sup> wraz z sąsiednimi wyspami i brzegami; był to więc człowiek cenny dla nas i okazał też niejednokrotnie niemałą pomoc. Botsman<sup>11</sup> okrętowy (przywódca majtków) znał już także afrykańskie brzegi; dobry to był marynarz, lecz niestety zbyt buńczucznej natury, do czego dodawała mu pochop<sup>12</sup> herkulesowa<sup>13</sup> jego zaiste postać, którą zawsze można było odróżnić pomiędzy brodatymi jego podwładnymi — majtkami, także dziarskimi charakterystycznymi twarzami wiarusów morskich, którzy od dawna zapomnieli pierwszego chrztu Neptuna<sup>14</sup>. Jedyny chłopiec okrętowy, który zajmował się kuchnią, częste sprawiał kłopoty członkom ekspedycji. Małe omyłki, które mu widocznie nie sprawiały wielkich zgryzot sumienia, bezwarunkowo nie chciały

<sup>7</sup>Porzuciłem więc w styczniu 1882 r. mą służbę marynarską, w której byłem porucznikiem floty — Szolc-Rogoziniński, jako absolwent Akademii Marynarki Wojennej w Kronsztadzie, służył w rosyjskiej flocie wojennej; w 1880 w swoim pierwszym rejsie, z Kronsztadu do Władywostoku, miał okazję odwiedzić Algier i Maroko, co przyczyniło się do jego zainteresowania Afryką. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Zatoka Biafryjska a. Biafra — ob. Zatoka Bonny, zatoka Oceanu Atlantyckiego stanowiąca część Zatoki Gwinejskiej, rozciągająca się od delty Nigru po Przylądek Lopez w Gabonie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Neptun (mit. rzym.) — bóg morza, odpowiednik greckiego Posejdona. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Fernando Poo — wyspa ta nazwana została podług jej odkrywcy: Fernando Poo, będąc więc zawsze zachowywał pisownię ściśle zgadzającą się z tym nazwiskiem, tj. Poo, a nie Po [obecnie wyspa nazywa się Bioko, jest największą wyspą należącą do Gwinei Równikowej; red WL]. [przypis autorski]

<sup>11</sup>botsman (daw.) — bosman. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>po chop (daw.) — skłonność. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>chrzest Neptuna — chrzest morski, tradycyjna uroczystość urządzana członkom załogi statku, którzy pierwszy raz w życiu uczestniczą w ważnym wydarzeniu: np. płyną na żaglowcu, przekraczają równik itp., obejmująca szereg prób, przygotowanych przez załogę statku przebraną za Neptuna i jego świtę. [przypis edytorski]

się zgadzać z przyzwyczajeniami kajut-kompanii. Niewinne napełnienie samowaru morską wodą zamiast słodką, małe podsmażenie bigosu lojem masztowym — wywoływały pioruny i gromy zgorszonych pasażerów na poczciwą głowę zdumionego chłopaka, który zupełnie pojąć nie mógł, jak można być tak wybrednym, kiedy się ma apetyt. Przypisywał więc to niezadowolenie morskiej chorobie i choć szczerze się przyznawał do „*pater peccavi*”<sup>15</sup>, również szczerze o tym zapominał.

Ponieważ mamy na „Łucji” daleką odbyć podróż, trzeba nam się także i z nią zapoznać.

Trzy bretońskie maszty, wyekwipowane<sup>16</sup> większymi niż zazwyczaj żaglami, i wysmukła jej kibic dozwalają nam poznać ją z daleka, obszerna zaś markiza<sup>17</sup>, czyli *tent*, rozciągająca się nad całym pokładem, oznajmiają, że to okręt przeznaczony dla stref tropikalnych. Otóż poznaliśmy ją z daleka.

Siadajmy do łodzi i przybywajmy na pokład. Napotykamy w zbiorowej kajucie członków ekspedycji, przede wszystkim dobrych już naszych znajomych, K. Tomczeka i L. Janikowskiego; zajęci są właśnie pakowaniem, oczekując, jak i ja, z niecierpliwością chwili wypłynięcia. Kajutę tę tworzy podługowaty salonik, otrzymujący światło z góry i zawierający w pośrodku stół obiadowy otoczony krzesłami; wzdłuż ścian bortowych<sup>18</sup> łóżka członków, w głębi wielką mapę Afryki, na której czarna linia wskazuje cel i zadanie wyprawy, z prawej zaś i lewej strony mapy — półki noszące około 400 tomów biblioteki ekspedycyjnej.

Przy wejściu do zbiorowej kajuty znajdują się drugie drzwi, prowadzące do magazynu, w którym spostrzegamy szczerze poukładane skrzynie i beczki, zawierające przedmioty zamiany i podarki dla Murzynów. Wyszedszy ze zbiorowej kajuty na pokład, widzimy na przodzie oddział dla majtków, kuchnię i galion<sup>19</sup>; za nią zaś, idąc ku sterowi i minąwszy średni maszt, przechodzimy przez część pokładu, gdzie podczas pięknej pogody pasażerowie „Łucji-Małgorzaty” obiadują na świeżym powietrzu — i schodzimy wreszcie do biura okrętowego, gdzie poustawiane instrumenty nawigacyjne i mapy marynarskie czekają chwili, w której kotwica się podniesie i gwizdawka botsmana ożywi pokład, wzywając wszystkich do wspólnej pracy. Nad stołem nawigacyjnym znajduje się apteczka okrętowa i ekspedycyjna, wreszcie repozytoria, na których tykają chronometry okrętowe; z prawej zaś i lewej strony są kajuty: moja, jako naczelnika ekspedycji, i kapitana Boutes. Dalej pod sterem leżą zapasy okrętowe, prowiant. Dwie czterowiosłowe szalupy: „Warszawianka” i „Syrena”, uzupełniają inwentarz, Dolar zaś, wielki pies Janikowskiego, i trzy w magazynie polujące koty — liczbę pasażerów.

Gdy ostatecznie przybył z Paryża na okręt po załatwieniu tam ostatnich interesów, kapitan Boutes spoglądał już ze wzrastającą niecierpliwością na ląd, który nas otaczał. Trudno byłoby obliczyć, ile razy dziennie spoglądał on na barometr, grożąc mu rozbiciem na kawałki, jeżeli się wkrótce nie podniesie. Czy przestraszony losem, jaki go czekał, czy rzeczywiście zmęczony ciągłym opadaniem — udobruchał się wreszcie okrętowy aneroid<sup>20</sup> i wkrótce zawiął też świeży NE<sup>21</sup>, od dawna oczekiwany. Nie było czasu do stracenia, trzeba było korzystać z pogody; podniesiono więc szalupy, umocowano wszystko, co było ruchome, i oczekiwaliśmy pierwszej porannej fali odpływowej, by nareszcie wyruszyć z portu. W wilię<sup>22</sup> dnia wypłynięcia „Łucja” zawizowała swe papiery w konsulatach i nastąpiły pożegnania, przy których po raz setny obily się o uszy dobrze już znane zapytania i wykrzykniki: „Więc pan rzeczywiście jedziesz?”, „Czegóż panu brak w Europie?”, „Po cóż panu ta szalona wyprawa!”.

Na próżno starałem się w takich razach przekonywać, że gdyby wszyscy tak myśleli, każda jednostka nie znalazłaby nic nad własne swe kąty. Perswazje na nic się nie przydały! Co nie podlega ogólnemu szablonowi codziennego życia, to zawsze jeszcze uważane bywa

<sup>15</sup>*pater, peccavi* (łac.) — ojcze, zgrzeszyłem. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*wyekwipować czymś* (daw.) — wyposażać w coś. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*markiza* — ruchomy daszek z płótna chroniący przed słońcem. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*bort* (rzad.) — burta, bok statku. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*galion* — drewniana figura na dziobie żaglowca. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*aneroid* — tu: barometr. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*zawiął też świeży NE* — wiatry i w ogóle linie kompasu będziemy oznaczali podług ogólnej nomenklatury, czyli: N (północny), NE (półn.-wschod.), E (wschodni), SE (połudn.-wschod.), S (południowy), SW (połudn.-zach.), W (zach.), NW (półn.-zach). itp. [przypis autorski]

<sup>22</sup>*wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie, przeddzień. [przypis edytorski]

za pewnego rodzaju herezję, a co najmniej za dziwactwo. Ogół pojąć nie chce, a w naszym kraju czułem to podwójnie, że nie posiadałby wygodnego sposobu zapoznania się ze światem w swym północnym gabinecie przy pomocy martwej głoski, gdyby nie było jednostek przejętych żądzą poznania ziemi naszej z żywszej księgi, z największej — z łona samej przyrody.

Otoczenie zwykle nie pojmuje badacza. Od pierwszego do ostatniego kroku swej ciernistej drogi napotyka on nieufność w swe czyste zamiary; to podsuwają mu cele handlowe, to żądę sławy, to widoki kariery — nikt mu wierzyć nie chce, że powoduje nim miłość jedynie. Inna to miłość! Nieskierowana ona ani do drogiej kobiety, ni do swej chaty, ni do swej rodziny — lecz do celów wyższych, dręczących go nigdy nienasyconym pragnieniem: miłość do prawd wiecznych wszechświata! A jak ciągną ku sobie głębie nurtów wodnych, przestrzenie niezbadanych lądów i przestwory powietrznego oceanu! Kto by poczuł ten magnes, ten za mną by poszedł!

Tak rozmyślając, kroczyłem ostatniego wieczora ku okrętowi. Przy słowie „ostatni” serce zabiło mimo woli; bałem się, by między wieczorem tym a chwilą podniesienia kotwicy nie stanęła jeszcze jaka nowa zwłoka. Przechodząc około hawrskiego ratusza, zauważyłem światło w oknach kółka „Wilhelm Tell”, a mając w nim pocziwych przyjaciół: profesora hydrografii Vattiera i p. Le Jolis, poszedłem się z nimi pożegnać.

Sędziwy profesor przyjął mnie ze zwykłą swą ujmującą serdecznością.

— Nareszcie więc, nareszcie — zawołał — jesteś pan u celu! Wypływasz pan! Obyście pamiętali, że tu w „Gabinet de lecture” nad „Wilhelmem Tellem” pilnie będzie śledził za wami stary przyjaciel.

— Panie profesorze — odparłem — jeżeli wrócimy z Afryki, pierwszy krok po wyładowaniu w Hawrze będzie ku wam skierowany.

— Dobrze, dobrze, odszukacie mnie tam, na górze, wtedy.

— Ależ, panie profesorze — zawołałem zasmucony — tu, tu was odnajdziemy! Przecież ja przez ten czas bliżej może będę kosy!

— Nie, młody przyjacielu, to są wieczne prawa natury, a mnie je wreszcie dają me siwe włosy. No, ale mniejsza, kto kogo szukać będzie, aby wam się tylko udało, aby się spełniły wasze życzenia. Jakże finansowo teraz z ekspedycją?

Zachmurzyło mi się czoło...

— Niestety — odparłem z westchnieniem — pozostał jeszcze dług na rachunku pana X., lecz ten przyrzekł czekać powrotu „Łucji-Małgorzaty”.

Stary profesor posmutniał. Chciał coś powiedzieć widocznie, ale ciężko mu było się wysłowić... Przemógł się wreszcie, wstał nagle, podał mi obie dłonie i rzekł głosem stłumionym, spieszenie, urywkowo, jak gdyby się bał, że nie zdąży wypowiedzieć, co myślał:

— Chciałbym, byście wyjechali bez długu w mieście... Kto to zrozumie, ile walki kosztowało was to lato, nim nadeszła chwila wypłynięcia... Przecież widziałem to codziennie... Po co mają się chwalić wasi nieprzyjaciele, żeście dług pozostawili tu w Hawrze! Nie jestem bogaty, ale tę rzecz załatwimy. Mam parę franków w domu, a jak mi zabraknie, to mi pożyczycie, panie Le Jolis, nieprawda? — rzekł, zwracając się do swego towarzysza. — Przyjmijcie tę pożyczkę! Ja obgadywać was nie będę, a jak będziecie mogli, wiem, że mi oddacie. Proszę, nie odmówcie! Zadanie wasze, zadanie miejcie przed oczyma!

Do głębi poruszony, nie byłem w stanie nic odpowiedzieć, trzymałem tylko staruszką za rękę, chcąc go wstrzymać od spełnienia takiej ofiary, gdyż przecie wyruszałem na bardzo niepewne losy, ale pocziwy profesor się wyrwał i ze słowami: „*Alfons, vite!*”<sup>23</sup> znikł w przedsionku.

Pozostałem sam w pokoju z panem Le Jolis i poprawiając węgle w kominku, starałem się ukryć wewnętrzne wzruszenie.

Stary profesorze Vattier, jeżeli ród ludzki zawiera jeszcze takie perły, warto dla niego pracować!

Staruszek wkrótce powrócił, wręczając mimo oporu należność winną panu X., i ze słowami „Do widzenia, do widzenia!” podał mi jeszcze raz obie dłonie na pożegnanie.

Było późno w nocy, gdy po załatwieniu interesu pana X. wracałem do okrętu! Jeżeli z niewielu szczęśliwych chwil życia była jednak jedna taką w zupełności, była nią owa

<sup>23</sup>*Alfons, vite!* (fr.) — Alfonsie, szybko! [przypis edytorski]

wieczorna godzina! Ostatnia chwila na ładzie ukazała mi jeszcze człowieka, w jakich już nie wierzyłem — jak gdyby los był chciał zaświecić nam z ładu na pożegnanie tym jasnym świecznikiem na daleką drogę.

„Łucja” leżała we śnie pogrążona. Światło księżycza oświecało jej liny i maszty, na których jutro rozwinąć się miały żagle. Spojrzałem na nią jakby na drogą wierną kochankę! Ileż krwawego potu, ile żółci, ile nocy bezsennych kosztowała mnie walka o twój byt, ma „Łucjo”, wie to tylko w zupełności jedyny tylko Tomczek śpiący już w grobie!

Dziś jesteś wolna — jutro popłyniemy! Dobranoc ci w ostatnim dniu tym na ładzie!

Następnego dnia, 13 grudnia 1882 r., podnieśliśmy kotwicę. Dzień był śliczny, jasny, słoneczny — świeży NE poruszał z lekka fałą, gdy wypływaliśmy z portu, z brzegu śledziło liczne grono widzów za wypływającymi. Wreszcie „Łucja” minęła ostatnią latarnię morską, na portowych wałach powiewały kapelusze, ktoś nas żegnał jeszcze; schwyciłem lunetę — był to pocziwy nasz stary profesor Vattier i nasz przyjaciel, pan Le Jolis.

— Pod sztandar! — zakomenderowałem. — Trzy saluty! — i trzy razy podniosła się flaga Warszawy na głównym maszcie „Łucji-Małgorzaty”, żegnając się ze starym naszym druhem, podczas gdy brzegi Hawru znikać zaczęły na horyzoncie.

## ROZDZIAŁ II

*W Kanale Angielskim. — Różnica francuskich i angielskich brzegów. — Pierwsze chwile żeglugi. — Wiatr się wzmacnia. — Barometr. — Charakter majtka. — Wichry zmuszają „Łucję” do szukania schronienia w Falmouth.*

Żegluga po Kanale Angielskim<sup>24</sup> należy do najmniej przyjemniejszych w świecie. Gęsta mgła i ciągle „dawanie drogi” (wymijanie) przepływającym okrętom — największe zwykle przyczyny gniewu dla marynarza — prześladują go tu prawie nieustannie. Sławne w historii te wody, oddzielające wesołą Francję od poważnej Anglii, są zawsze ożywione, wskazując liczne maszty, żagle i smugi dymu parowców. Nie można nazwać Kanału burzliwym, fale jego są jednakże częstokroć bardzo niesforne, szczególnie podczas zachodniego wiatru, który już niejedyn okręt rozbił o skaliste brzegi Bretanii. Dla łądów, które oddziela, Kanał był dziwnie niesprawiedliwy, rozmywając wapienne swe łoża, obdarzył z jednej strony Anglię wygodnymi dla żeglugi brzegami, mnóstwem obszernych i bezpiecznych portów, podczas gdy z drugiej utworzył ponure rozciosane skały północnej Francji. Cherbourg, Hawr i inne porty w Kanale leżące są tak niespokojne i mają tak trudne wejścia, iż podczas złej pogody pomiatają odpoczywającymi w nich okrętami jak otwarte morze, a cały brzeg Bretanii jest prawie nieprzystępny. Wybrzeża angielskie przeciwnie, posiadają mnóstwo wygodnych zatok i zatoczek oraz porty, w których ani odpływ i połączony z nim niski stan morza, ani prąd fali przyplływowej, ani wreszcie wichry jesienne zbyt nie mogą szkodzić okrętom.

Ponieważ po długim panowaniu północno-zachodnich wiatrów wypływaliśmy z NE-em, spodziewałem się więc, iż dopisze on nam przecież dni kilka i dozwoli przynajmniej „zakasać rękawy”, co przetłumaczywszy na język ładowy, znaczy wydostać się z La Manche. Niebo było też jasne i zdawało się potwierdzać mniemanie. Gdy się uspokoilo na pokładzie, po postawieniu żagli siedliśmy do stołu. Nareszcie na pełnym morzu, nareszcie płyniemy!

Tysiące myśli strzelało mi po głowie, tysiące uczuć ożywiało piersi. Opuszczałem więc Europę, udało się urzeczywistnić dzieło. Przeżywałem ową chwilę, o którą pytałem sam siebie czasem rozpaczliwie podczas długich miesięcy walki, czy nastąpi ona w ogóle? Dla uświęcenia wpłynięcia dobyto starego oporto<sup>25</sup>, przeznaczonego umyślnie w tym celu; był to podarek jednego z hawrskich liwerantów<sup>26</sup> ekspedycji, który tak mnie oszukał na winie, że przy pożegnaniu aż się popłakał pocziwiec, tracący nadzieję służenia „Łucji-Małgorzacie” dalej z równą skrupulatnością.

<sup>24</sup>Kanał Angielski (ang. *English Channel*) — angielska nazwa kanału La Manche, oddzielającego Wielką Brytanię od Francji. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>oporto a. *porto* — portugalskie wino wzmacniane destylatem, produkowane w okolicach miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>liwerant (daw.) — dostawca towarów. [przypis edytorski]

Każdy wyjazd wiąże jakoś silniej człowieka z tym, co mu drogie, toteż najpierw sprowadził myśli do kraju i poświęciwszy jemu pierwsze zdrowia, okrążyliśmy wspomnieniem jeszcze raz na wschodzie pozostałych przyjaciół. Długo stara ojczysta Warszawa zajmowała rozmowę pierwszego obiadu, potem wzniosł Janikowski zdrowie naczelnika ekspedycji. Podziękowałem pocziwemu towarzyszowi i wstaliśmy od stołu.

Wróciłem na pokład. „Łucja” żwawo niosła nas naprzód. Podług logu<sup>27</sup> przekonałem się, że chociaż wiatr nie był zbyt wielki, płynęliśmy 7 węzłów<sup>28</sup>. Niestety jednakże wszystko przepowiadać zaczęło zmianę wiatru i wbrew oczekiwaniu nagle około wieczora żagle bić zaczęły o maszty. Prędkość okrętu zmniejszała się znacznie, a z nadejściem nocy, będąc około Cherbourga, nie poruszaliśmy się prawie z miejsca. Tymczasem członkowie ekspedycji ulegli morskiej chorobie. Neptun zażądał swego, tak że przy kolacji towarzyszył mi tylko kapitan Boutes.

Korzystając z ciszy i niekołysania się okrętu, dokończyłem korespondencji ekspedycyjnej, czego ostatnie zajęcia, jak pakowanie i formalności portowe, nie dozwoliły mi uczynić w porcie. Miałem nadzieję, że około angielskich brzegów spotkamy rybaków, byłem opatrzony w angielskie marki<sup>29</sup> i sądziłem, że będę mógł w ten sposób przesłać ostatnich kilkanaście listów.

Dlatego kazałem wziąć kurs na Start Point<sup>30</sup>, gdzie prawie zawsze napotkać można rybackie łodzie. Tymczasem po nagłej ciszy morze na inną przeszło nutę. Następnego dnia, 14 grudnia, wiatr znów się podniósł, i to tak silnie, że żal mi się zrobiło, gdy zszedłem do zbiorowej kajuty. Biedna kajut-kompania! Przemieniła się w lazaret<sup>31</sup>. Sam nigdy nie doznawałem morskiej choroby, nie mogę więc sobie przedstawić cierpienia, jakie sprawia, lecz sądząc po chorych, których często widziałem, musi to być rzecz dolegliwa.

Podnoszący się wiatr wzmagał się ciągle, skręcając na W, a prąd przyprływowej fali stawał się coraz silniejszy, myśląc znacznie obrachowania nawigacyjne. Powinniśmy byli wieczorem spostrzec Start Point i jego białą latarnię morską, natomiast nieoczekiwanie ukazał się o siódmej i pół wieczorem czerwony rotujący płomień, świadczący, że prąd znacznie był nas odsunął na wschód. Wolałem zrezygnować z wyekspediowania listów i kazałem dla bezpieczeństwa zmienić kurs na SSW. Wiatr tymczasem przemienił się w wicher, który doszedł do takiego stopnia, iż piętnastego rano na okręcie już trudno było utrzymać się na nogach. Rzucił „Łucją” crescendo<sup>32</sup> to na prawo, to na lewo i utrzymywał załogę przy ciągłej robocie. Podróżnicy moi najbardziej na tym cierpieli; była to zbyt naga lekcja Neptuna. Widząc, jak wszystko tańczy naokoło, nie opuszczali prawie swych kabin, a ci, którzy się na to odważyli, musieli przywiązywać swe krzesła, by nie polecieć na drugi bort. W takich razach, gdy morze się sroży, najważniejszym przedmiotem okrętu staje się barometr. On decyduje o wszystkim i on jest regulatorem humoru. „Cóż barometr?” — oto pierwsze zapytanie z rana. „Czy barometr się podnosi?” — oto ostatnie wieczorem. A jeżeli stoi nisko albo opada, to trudno pójść spać, czuwa się przy nim, wpatruje w niego, czy się nie udobrucha, nie podniesie o milimetr i dozwoli położyć się w weselszym usposobieniu. Niestety, tym razem humor upadał, bo nieubłagany prorok zapowiadał ciągle burzę. Załoga się srożyła. „Jak to — krzyknął botsman, przygotowując się do straszliwej kłatwy — od samego początku?!” „Do miliona piorunów, czy to kto widział na świecie?”, „Zaledwie na soli” — i posypał się zapas wykrzykników tak czysto marynarskich, że trudno byłoby podać tu ustępy z owego oryginalnego słownika terminów morskich naszego botsmana. Leży to w naturze majtka — mówi Arago<sup>33</sup> — jak w ogóle każdego, który walczyć musi z ciężką pracą, ulżyć sobie, wymyślając na wszystko, co otacza. Zdaje mu się, że im dobitniejszy wynajdzie termin, tym dotkliwiej drasnął

<sup>27</sup>log — przyrząd nawigacyjny do pomiaru przebytej drogi i prędkości statku. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>węzeł — jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Start Point — przylądek w hrabstwie Devon, jeden z najbardziej wysuniętych na południe punktów Anglii. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>lazaret — wojskowy szpital polowy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>crescendo (wl., muz.) — stopniowe zwiększanie siły dźwięku, głośności; tu: wzmacniając się. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Arago, Jacques (1790–1855) — francuski podróżnik, rysownik i literat, młodszy brat fizyka i astronoma François Arago; autor relacji z trzyletniej francuskiej wyprawy naukowej: *Voyage autour du monde* (Wyprawa naokoło świata, 1822). [przypis edytorski]



wrogie siły, a tym więcej ulżył sobie. Toteż majtek zawsze wymyśla, bo dzień i noc musi pracować. Jeżeli wiatr zawiął pomyślny, wołają go postawić żagle — wymyśla dlatego, że nie zawiął silniej; jeżeli wiatr przeciwny albo podniósł się do huraganu, wymyśla *crescendo* za każde popchnięcie, jakiego doznaje, za każdy łokieć liny, który przeciągnąć musi. Będąc na okręcie, przeklina i okręt, i budowę jego, w której nic dobrego wynaleźć nie może, budowniczego i robotników portowych, i port, i rok, w którym okręt na morze spuścili, i wreszcie siebie samego. Trudno jednak brać ów gniew marynarski na serio; to ciężka praca wyrwała go z piersi, wkrótce on przeminie, a kiedy majtka spotkasz potem na brzegu, żującego flegmatycznie swój tytoń i zapytasz się o okręt, o! wtedy nie będzie lepszego okrętu na świecie, rozumniejszego życia nad życie marynarza, nic lepszego nad morze. Ale wtedy wszystko, co lądowe, odpłacić musi za jego udobruchanie. Gniewa się na kurz lądowy, który nie pozwala mu dokończyć ulubionej prymki<sup>34</sup>, jeżeli ta przypadkiem spadła w piasek, śmiercią grozi komisarzowi policji, który wsadził go na odwach<sup>35</sup> za rozbite szyby jakiej portowej karczemni i przeklina każdego lądowca, który wchodzi mu w drogę i nie dozwala po ostatnim kieliszku spokojnie polawirować do domu.

Przy tym wszystkim jednakże wicher rzucał „Łucją” coraz silniej po Kanale. Dnia szesnastego rano wreszcie przyszedł do mnie kapitan Boutes z zapytaniem, czybym nie zechciał zawinąć do jakiej zatoczki i tam doczekać się zmiany pogody, zanim puścimy się na ocean. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy tedy<sup>36</sup> zmienić kierunek i wypłynąć do Falmouthu. Niechętnie zdecydowałem się na tak prędką stację, i to wyłącznie na najkrótszy czas, lecz rzeczywiście uważałem za pożyteczniejsze skorzystać jeszcze z bliskości brzegów, gdzie równocześnie można było dać chwilę odpoczynku podróżnikom naszym, po raz pierwszy po większej części znajdującym się na morzu, oraz wyekspediować ostatnie listy z Europy.

Postanowienie to wywołało ogólną radość w kabinach. Wkrótce też zarysowały się jasno wybrzeża Anglii i około wpół do czwartej po południu stanęliśmy 16 grudnia na kotwicy w Falmoucie.

### ROZDZIAŁ III

*Falmouth. — Korzystne jego położenie. — Komora angielska, jej ścisłość. — Wycieczka do miasta. — Konserwatyzm angielski. — Angielska kawiarnia. — Uprzejma straż. — Policeman angielski i kolonialny. — Chronometry ekspedycji. — Pogoda się uspokaja. — Na ocean.*

Falmouth, aczkolwiek niewielkie miasteczko, mające zaledwie 13 000 mieszkańców, jest jednakże ważnym portem dla marynarki handlowej jako punkt leżący przy wyjściu z Kanału na Ocean Atlantycki, armatorowie okrętów i wielkie firmy handlowe wybierają go przeto często jako punkt zborny, w którym ich statki przed rozpoczęciem transatlantyckiej żeglugi czekają na instrukcje. Obronne zaś położenie i wysokość brzegów czynią z niego dobrą przystań wojenną. Od strony morza nie widać portu, zauważa się tylko wąskie wejście do obszernej zatoki, która w kształcie ręki wcina się w ląd, przypominając piękne i obronne porty: Brest i Helsingfors<sup>37</sup>. Dopiero przepłynąwszy cieśninę, która dzieli zatokę od otwartego kanału, i stojąc na otwierającej się przed nami rejdzie<sup>38</sup>, ujrzeliśmy miasto, ciągnące się w głębi u stóp gór kornwalijskich. Zaledwie spadła kotwica, a już zjawiała się łódź parowa pod rządową flagą z urzędnikami komory<sup>39</sup>. Po wymianie kilku grzeczności oświadczyłem, że okręt wiezie naukową ekspedycję, że żadnych towarów nie będę wyładowywał w Falmoucie, do którego zawinąłem, jedynie chroniąc się przed niepogodą. Zapisawszy tonaż, nazwę okrętu i cel podróży i przejrawszy papiery okrętowe, urzędnik oświadczył się zadowolonym, zażądał tylko tytoniu i spirytualiów<sup>40</sup> do

<sup>34</sup>prymka — rodzaj tytoniu do żucia. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>odwach (przest.) — wartownia; areszt wojskowy lub policyjny. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Helsingfors — oryginalna szwedzka nazwa miasta Helsinki. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>rejd (żegl.) — reda, obszar morski znajdujący się przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>komora — tu: komora celna, graniczny urząd celny. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>spirytualia — napoje alkoholowe. [przypis edytorski]

opieczętowania. Anglia przede wszystkim dba o swój handel. Opieczętowano więc nawet kilka paczek przeznaczonych na codzienny użytek, aby majtkowie nie mogli praktykować bardzo rozpowszechnionego handlu zamiany tytoniem i arakiem<sup>41</sup> z miejscowymi majtkami i rybakami, a tym sposobem nie wprowadzali do Anglii zagranicznego nieoclonzonego towaru. Ta skrupulatność może się wyda przesadzona, jednakże jest ona bardzo pożyteczna. W każdym angielskim porcie stoi codziennie mniejsza lub większa ilość okrętów zagranicznych. Każdy majtek na nich się znajdujący nie ma może pensa przy duszy, ale ma zawsze pewien zapas tytoniu, bez którego istnieć nie może, a który w danym razie zamienia w porcie na inne potrzeby. Otóż gdyby Anglia nie była zapobiegła temu, przybywałaby codziennie dzięki rozwojowi jej handlu morskiego ilość znaczna tytoniu do państwa, nieopłacająca swego wstępu. Toż samo odbywa się z arakiem i spirytusem. Dlatego komora angielska zaraz po przybyciu okrętu kładzie pieczęcie nawet na małe ilości wymienionych artykułów, pozostawiając załozde tylko jej dzienną porcję. Biada okrętowi, gdy przed jego wypłynięciem z portu pieczęcie okażą się naruszone. Zapłaci on wtedy więcej kary niż warta potrójna ilość całego opieczętego materiału. Dopiero gdy opuści angielskie brzegi, gdy już nie ma styczności z terytorium państwowym, może sobie postąpić z pieczęciami, jak mu się podoba. Mimo nieprzyjaźni do naszego zagranicznego rumu jednakże przybyli z konieczności goście bynajmniej nie czuli do niego wstrętu. Zauważyłem, że spoglądają z wielkim zamięłowaniem na beczki i butelki; wypilem więc w ręce najstarszego zdrowie królowej Wiktorii<sup>42</sup>, starszy wypił do młodszego, a wymieniwszy znów kilka grzeczności, pożegnali się z nami i opuścili pokład okrętu.

W kajut-kompanii kotwica przywróciła ogólne zdrowie. Podróżnicy wyszli na pokład oglądać rysujący się port. Neptun jest wprawdzie burzycielem zdrowia lądowego, ale nie pastwi się długo nad swą ofiarą. Jest z nim jak z gniewem majtka.

Ponieważ bliskość brzegów i portu pociągała naszych rekonwalescentów z nadzwyczajną siłą ku sobie, kazałem więc spuścić szalupę i popłynęliśmy do portowej przystani. Było około piątej po południu. Szalupa miała zlecenie być znów w przystani wieczorem o dziesiątej, mieliśmy więc dosyć czasu, aby zwiedzić kilka uliczek, z których miasteczko się składa. Nie będę takowego opisywał, bo kto widział jakikolwiek mały port północny, ten zna je wszystkie. Kto zaś nie widział żadnego, ten znajdzie w opisach Anglii wiele ściślejszych, a zapewne i barwniejszych szkiców, niżby znalazł w tych prostych notatkach marynarskich. Falmouth jest to stare zgrzybiałe miasteczko o wysokich ostrych dachach. Główny jego ruch panuje na długiej ulicy Market Street, gdzie znajdują się również wyróżniające się budynki: stary poważny kościół i kilka gmachów rządowych.

Ponieważ to była sobota, dzień, w którym rzeczywiście kończy się tygodniowa praca w Anglii, a oprócz tego czas adwentowy, panował więc w miasteczku pewien parafialny nastrój. Przed kościołem stała grupa ludzi naokoło chorągwi cechowych; śpiewami obchodzono adwent, a przez oświetlone okna kawiarni, właściwiej piwiarni, rysowały się inne grupy, odpoczywające przy fajkach i pintach (miara dla płynów).

Wszystko w Anglii, nawet przyjemności i rozrywki, odbywa się podług ścisłych zwyczajów i starych tradycji. Innowacje i cudzoziemszczyzny nie podobają się poważnemu synowi Albionu<sup>43</sup> i będąc pomiędzy nimi, radzę podróżnikowi jak najmniej odróżniać się od ogólnego trybu, jeżeli nie chce zrazić ku sobie swych gospodarzy i otoczenia.

Ruchliwemu Francuzowi nie podoba się ten zastój, jak się mylnie wyraża, a jednak w tych zwyczajach jest wiele powabu i bardzo łatwo można je polubić.

W sobotę wieczorem klasa robotnicza i wolni marynarze zbierają się zwykle w stale obranej kawiarni. Spracowany przez tydzień John Bull<sup>44</sup> wchodzi do niej wtedy z wolną piersią, siada spokojnie na wielkiej dębowej ławce przy ścianie albo na jednym ze starych krzeseł otaczających okrągły stół w pośrodku pokoju stojący. Znana mu gospodyni

<sup>41</sup> *arak* — mocny, aromatyczny napój alkoholowy z ryżu i trzciny cukrowej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *królowa Wiktorja*, właśc. *Aleksandryna Wiktorja* (1819–1901) — królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii przez 63 lata (od 1837), najdłużej panujący monarcha Wielkiej Brytanii do czasów Elżbiety II; okres jej panowania jest nazywany epoką wiktoriańską. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *Albion* — starożytna nazwa wyspy Brytanii, obecnie stosowana jako literackie określenie Anglii. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *John Bull* — narodowa personifikacja Wielkiej Brytanii, powstała z literackiej postaci stereotypowego Anglika, występującej w serii pamfletów z 1712 r. szkockiego pisarza Johna Arbuthnota; typowy Anglik. [przypis edytorski]

przynosi zwykłą pintę ale'u<sup>45</sup>, fajkę, która do pinty dodaje się darmo, i wkrótce przybyły puszcza gęste kłęby dymu, przysłuchując się pieśniom grającej na pianinie córki gospodarskiej i wpatrując się w dogorywające na kominku kłody. Tęgo wszystkiego albowiem potrzeba mu do szczęścia i żadnej ze wspomnianych rzeczy nie powinno mu brakować przy jego sobotniej pincie. Przypomina to brodatemu majtkowi daleką rodzinę, własny dom, własny kominek, jego spokojną wieś, jego port, który mu się wydaje poczciwszy, i ułatwia obrachowanie, kiedy znów zawita do swoich.

Po wyekspediowaniu listów i przejściu się po mieście, odbyciu właśnie opisanych obserwacji przy regulaminowej pincie i fajce nadeszła dziesiąta, powróciliśmy więc do przystani. Łodzi naszej jednakże nie było; majtkowie moi musieli się pomylić co do przystani. Skorzystaliśmy więc z szalupy portowej, by powrócić na okręt. Szalupa ta należała do straży morskiej, która właśnie miała odbywać zwykłą swą rondę po rejdzie, a widząc nasze zakłopotanie, zaproponowała nam, nie zważając na znaczną liczbę pasażerów, swe usługi. Powróciliśmy na okręt, spostrzegłem, że własnej szalupy nie było u burtu; majtkowie rzeczywiście do innej byli dopłynęli przystani, gdzie za karę niedbałości czekać musieli do drugiej w nocy, dopóki nie spostrzegli pomyłki. Uprzejmi nasi strażnicy tymczasem, wypiwszy po szklance dżynu<sup>46</sup>, kończyli swą rondę.

Policja angielska zawsze odznacza się grzecznością, przeciwnie francuskiej. Jeżeli cudzoziemiec potrzebuje jakiegokolwiek wskazówki, otrzyma ją najprędzej i najchętniej od *policemana*. W koloniach wielkobrytańskich policjanci często bywają nie-Europejczykami, w takim razie jednakże rząd postępuje nadzwyczaj umiejętnie i pomysłowo, wybierając na posady stróżów porządku nie tubylców, lecz krajowców innego plemienia, niecierpiącego kolonialnej ludności. Tak np. częstokroć w Indiach napotyka się jako policjanta Chińczyka, w Hong-Kongu przeciwnie, Hindusa. Każdy z nich z zamięłowaniem, jakie wzbudza w nim wzajemna nienawiść tych narodów, poluje na naruszcycieli ogólnego spokoju.

Następnego dnia rano poznałem dopiero, jak dobrześmy uczynili, zawijając do Falmouthu. W Kanale szalała burza i kilkanaście okrętów naśladowujących nasz przykład stanęło przez noc także na kotwicy. Pogoda jaka panowała w La Manche, dała się czuć nawet w porcie, w nim albowiem okręty tak zaczęły się kołysać, że podnieśliśmy kotwicę i schroniwszy się jeszcze dalej, zarzucili ją bliżej brzegów; tu dopiero byliśmy w pokoju, który postanowiłem poświęcić chronometrom. Przedsięwzięliśmy z kapitanem Boutes dwie obserwacje, jedną na okręcie, drugą na brzegu, by mieć jak najściślejszą ich korekcję. Instrumenty te, naumyślnie obstalowane<sup>47</sup> dla ekspedycji, dały w rzeczy samej wyśmienite rezultaty.

Już dyrektor paryskiego obserwatorium, admirał Mouchéz, chwalił mi nasze chronometry, które więcej niż przez pół roku obserwował codziennie sam w swej wspaniałej pracowni. Korzystam z okazji, by w tym miejscu szczerze złożyć mu dzięki.

Dziewiętnastego około południa pogoda zaczęła się uspakajać, wystąpiło słońce, niebo było czyste, poczekaliśmy więc, dopóki falowanie się nie uspokoi, co nastąpiło dnia następnego, i dwudziestego około południa opuściliśmy Falmouth, wypływając na ocean.

## ROZDZIAŁ IV

*Żegnaj, Europo! — Zmylone rachuby. — Burze. — Wigilia Bożego Narodzenia. — Złamany bukszpryt. — Chronometry stanęły. — Nowy Rok. — Zmiana pogody. — Nowa burza. — Ostateczny zwrot pogody. — Przylądek Bocca. — Na wodach afrykańskich. — Połów tona. — Porto Santo. — Przybycie do Madery.*

Żegnaj, Europo! Przez długie może lata cię nie zobacze, a może i na innym lądzie kości me pozostaną; w takim razie którykolwiek z mych towarzyszy przywiezie ci „ultimum

<sup>45</sup>ale (ang.) — piwo angielskie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>dżyn — dziś popr.: dżin a. gin, wódka o zapachu i smaku jałowca. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>obstalować (daw.) — zamówić, zlecić wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

*vale*<sup>48</sup>, a ty z zachodnimi wiatry<sup>49</sup> prześlesz je na wschód do Polski i złożysz je nad Wisłą na ojczyściej ziemi.

Wyptywając z Hawru, mniemałem, iż na Boże Narodzenie mniej więcej będziemy na Maderze, teraz jednakże przez falmoutską zwłokę trzeba się było rozstać z tą myślą, odkładając ją do Nowego Roku. Niestety, ocean jednakże, w grudniowym znajdujący się humorze, nie pozwolił i na to liczyć żaglowcowi. Dzika Zatoka Biskajska, znana z swych wiecznych burz, miała dłużej nas kołysać po sobie, jak się wkrótce okaże.

Pierwszego dnia żegluga wszyscy siedzieli na pokładzie; pogoda była cicha, spokojna, wiatr z lekka nadął żagle, nie poruszając prawie ciemnolazurowej powierzchni morza. Białe mewy okrążyły maszty i dążyły za okrętem, dopóki znaczna odległość nie zmusiła ich do powrotu ku opuszczonym brzegom Kornwalii, podczas gdy nam znikwały z oczu kolejno: Lizard, przylądek Landsend, a wreszcie i brzegi. Nic nie przerywało horyzontu, dokoła niebo i woda — szerokie państwo oceanu.

Nagle zachmurzyło się, barometr zaczął opadać, morze się zakołysało. Drobne fale zaczęły gonić naokoło okrętu, rozpryskując białą pianę; wszystko zapowiadało nową niepogodę. Zaczęto opuszczać pokład i powoli zapanowała na nim cisza, przerywana tylko złowrogim szmerem w linach i ponurym pomrukiwaniem majtków.

Na ten raz jednak Neptun długo się przygotowywał do boju, by tym straszniej na nas uderzyć. Podnosił fale powoli, ale spotężniając je z każdą dobą; barometr także powoli, ale stale opadał; w atmosferze miała zapanować długa, ciężka walka.

Dwudziestego drugiego rano widok, jaki się przedstawił borem, był godzien pędzla wielkiego malarza. Góry wody podnosiły się z jednej, otchłanie otwierały się z drugiej strony, a w pośrodku mała „Łucja”, to wlatująca na szare masy, to spadająca z nich lotem błyskawicy, by znów być wyniesiona w powietrze i znów spłynąć na dół.

W zbiorowej kajucie, jak i w każdym oddziale okrętowym, trzeba było jeszcze raz przedsięwziąć przegląd ruchomości i poprzywiązywać wszystkie. Po stole kazałem przeciągnąć storm-ramę. Są to sznury związane w siatkę, w które wstawiają się podczas obiadu talerze i najniezbędniejsze sprzęty. Samowar nosi oddzielne podwójne hamulce, na nim imbryk swoje, wagę zaś i inne naczynia, wszystko z emaliowanego żelaza, zaledwie do połowy napełniać można było płynem, a i wtedy nawet trudno utrzymać przygotowane w nich potrawy. W kuchni okrętowej przysposabianie pokarmów naturalnie również ciągłej wymagało gimnastyki.

Zresztą wtedy, gdy człowiek każdej chwili musi się bronić od napaści walczących żywiołów, staje się on mało wymagający. Muskuly rąk i nóg pracują nieustannie celem utrzymania ciała w równowadze, przez to męczy się organizm i zaspakajając apetyt czymkolwiek bądź, mieszkaniec okrętu nie analizuje podanych mu potraw, a jeżeli i wtedy znajduje się ktoś wybredny, to żalują majtkowie, że nie pozostał na lądzie!

Tak nadeszły dnie świąt Bożego Narodzenia. Ponure były to święta. W Europie, na lądzie, wieczór 24 grudnia zebrał rodziny w ściśle połączone grona, mimo woli myśl sięgała w dawne czasy, budziła wspomnienia; lecz długo z nimi obcować nie było można, żywioły splaszały marzenia, szalejący wicher rozbijał widzenia wyobraźni. Połamaliśmy się warszawskim opłatkiem. Duszony stokfisz<sup>50</sup>, bigos, szklanka wina — oto na co była w stanie zdobyć się szarpana w prawo i w lewo kuchnia okrętowa. Wspomnienia dodały resztę, a orkan intonował nam dziką, urywaną swą muzykę.

Dwudziestego szóstego zasnąłem zmęczony w kajucie, gdy obudził mnie nagle przyspieszony krok wchodzącego botsmana. „Co się stało?” — krzyknął p. Boutes, którego kajuta była naprzeciwko mojej, zrywając się na równe nogi. Niedawno był dopiero zszedł<sup>51</sup> z pokładu, by chwilkę odpocząć. „Orkan strzaskał bukszpryt, kapitanie”. (Bukszprytem nazywa się rodzaj leżącego masztu, wysuniętego nad przodem okrętu). Boutes znów wyskoczył na górę. Trzeba było ratować bukszpryt, gdyż strata jego pozbawiała nas wielu żagli. Było to ciężkie zadanie podnieść z rozhułkanych bałwanów, co chwila wrywających

<sup>48</sup>*ultimum vale* (łac.) — ostatnie pożegnanie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*zachodnimi wiatry* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: zachodnimi wiatrami. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*stokfisz* — ryba wysuszona na wolnym powietrzu w niskiej temperaturze, uprzednio pozbawiona ogona i wnętrzości. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*był (...)* zszedł (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: zszedł wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

się na pokład, kilkucentnarowy<sup>52</sup> maszt — a jednakże trzeba było! Raz, drugi i trzeci odrzucił bałwan pracujących majtków; na nowo jednak zarzucono linę i wreszcie nad ranem bukszpryt był wyratowany. Piękny, sążnisty maszt leżał niby liche drewno strzaskany na pokładzie.

Po ciężkiej nocy nastąpił cięższy jeszcze dzień. Wiatr ani myślał się uspokoić i pozostając ciągle SW, wyczerpywał ostatnie siły załogi. Wycieńczeni majtkowie nie mogli wypocząć ani na chwilę. Wtem o dwunastej w południe skoczyłem jak piorunem rażony — zdawało mi się... tak! nie myliłem się — że przy ogólnym zmęczeniu zapomniano o chronometrach. Trzymając się za napotykanne przedmioty, pobiegłem niespokojny do repozytoriów; tu spotkałem Boutesa, który już był spostrzegł, co się stało. Przysłuchiwałem się nieszczęsnym skrzynkom: nie słychać było regularnego tykania odbijającej pół sekundy wskazówki. Rzeczywiście zapomniano je nakręcić — chronometry stanęły. Wolałbym stracić wielki żagiel, niż uczynić to spostrzeżenie. Wszystkie uczynione obserwacje były więc na nic, piękna moja korekta, ścisły chód dzienny, otrzymany dzięki admirałowi Mouchéz — wszystko na nic! Zapomniałem na chwilę i o morzu, i o burzy, myśląc tylko nad tym, jaki wpływ na regularność chodu instrumentów będzie nadal wywierało to nieszczęśliwe zajście.

Wzmagająca się pod wieczór siła burzy nowe wyrządziła szkody okrętowi. Pękały liny, rwały się żagle, biedna „Łucja” zaskrzypiała we wszystkich swych częściach, a gdy przy tym wyje orkan, ryczą rozhukane bałwany, a wrywająca się przez bort woda szumi nad głową i to wszystko podczas czarnej, ciemnej nocy, wtedy powiem temu, który może przebiega te słowa w swych spokojnych czterech ścianach — wtedy, powtarzam, niewesoło na oceanie; mimo woli pyta się człowiek: „cóż pozostanie całe?”, i żal mu swej nicości.

Dwudziestego ósmego niepogoda doszła do swego maksimum. Od dawna nie mieliśmy słonecznego dnia, chronometry stały, nie mieliśmy więc ani szerokości, ani długości obserwowanej, a prąd, fale i wichry powinny były spędzić nas z kursu. Podług nawigacyjnego obserwowania, powinniśmy byli być około brzegów Hiszpanii; nic jednakże nie dozwalało stwierdzić rachuby. W nocy z 29 na 30 dopiero spostrzegliśmy nieoczekiwanie płomień wieży przylądka Estaca de Varres<sup>53</sup>. Wicher więc rzeczywiście był nas wpędził do Biskajskiej Zatoki. Znajdowaliśmy się u brzegów Corunii<sup>54</sup>, około najpółnocniejszego przylądka Hiszpanii. Odkrycie to było w każdym razie pożądane, wizowanie<sup>55</sup> płomienia albowiem dozwoliło określić miejsce okrętu, bliskość zaś brzegów na chwilę nasunęła mi myśl schronienia się do Corunii. Na próżno jednak usiłowaliśmy to wykonać. Brzegowe buruny<sup>56</sup>, wiatr i bałwany bijące od brzegu czyniły przedsięwzięcie niebezpiecznym. Trzeba więc było znów wypłynąć na ocean, nie zważając na bliskość portu, i na nowo rzucić się w ten taniec piekielny.

Była to noc sylwestrowa, 31 grudzień 1882 roku; następnego dnia albowiem, kiedym wyszedł na pokład, życzył mi botsman i sternik szczęśliwego Nowego Roku.

— Więc to Nowy Rok? — zapytałem, zapomniawszy zupełnie podczas ostatnich utrapień o kalendarzu.

— Nowy Rok — odparli majtkowie. — Oj, żeby nam pogodę przyniósł.

Spojrzałem na barometry i o radości! wszystkie trzy podniosły się. Zakomunikowałem to załodze. „Vivat 1883 rok!” rozległo się po pokładzie i rozdano podwójną porcję rumu z przyczyny Nowego Roku, co także wznieciło długo wstrzymywany dobry humor załogi, mogącej nareszcie wypocząć.

Byliśmy w 45 stopniach północnej szerokości, wiatr zdawał się mieć lekką inklinację<sup>57</sup> ku północy, pojawiła się ogólna nadzieja i wiara, że nareszcie pogoda się zmieni, i rzeczywiście się zmieniła; był to najlepszy podarek noworoczny.

<sup>52</sup>centnar (z łac. *centum*: sto) — dawna jednostka wagi wynosząca 100 funtów, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Estaca de Varres — dziś popr.: Estaca de Bares, najdalej na północ wysunięty przylądek Płw. Iberyjskiego, tradycyjnie uznawany za wyznaczający zachodni kraniec Zatoki Biskajskiej. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>La Coruña — miasto portowe w płn.-zach. Hiszpanii, nad Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>wizować (daw.) — celować, mierzyć do celu. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>burun (daw., z ros.) — fala przyboju, grzywacz. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>inklinacja — skłonność. [przypis edytorski]

Uporczywy SW przeszedł na zachód i zawiął wreszcie z NW, niebo się rozjaśniło, morze uspokajało stopniowo i powoli „Łucja-Małgorzata” mogła znów regularnie podążać na południe ze wzrastającą szybkością.

Stado igrających na słońcu delfinów otoczyło lewy burt i wywołało na pokład spektatorów<sup>58</sup>. Wydobywszy się z surowych wód biskajskich, każdy był zadowolony i witał zwinne zwierzęta jako znak pomyślny. Wojowniczy nasz botsman tylko żywił dla nich mniej przyjazne usposobienie i zajął się urządzeniem harpuny<sup>59</sup> w nadziei, iż uda mu się urozmaić naszą kuchnię delfinią piersią. Okrętowa harpuna okazała jednakże za małą, a podczas roboty nad nową delfiny, na swoje szczęście, a strapienie czatującego na nich majtka, znów ukryły się w głębi.

5 stycznia na szerokości północnej 42° wiatr ucichł zupełnie, okręt prawie nie poruszał się z miejsca i na dobę całą dał załodze odpocząć. Barometr podnosił się ciągle. Chętnie byłbym przybliżył się do brzegów, by zająć się chronometrami, lecz charakter takowych nie dozwalał tego. Niskie brzegi portugalskie, zawierające mało przystani, są nadzwyczaj niebezpieczne dla żeglugi, szczególnie podczas zachodnich wiatrów. Mimo gorącego żądania, by widzieć instrumenty znów w porządku, musiałem odłożyć spostrzeżenia do korzystniejszej chwili.

Chwila ta jednakże jeszcze nie miała być bliska. Jeszcze jedną walkę miała odbyć „Łucja” na wodach Europy.

Barometr, który siódmego stał nadzwyczaj wysoko, spadł nagle do przerażającego minimum. Twarz kapitana Boutesa sposepniała.

— Ktoś nas przeklina — rzekł mi wieczorem, schodząc do kajuty — bo się znowu zanosi na taniec.

I rzeczywiście następnego dnia, 8 stycznia, napadł orkan na okręt, tak silny, iż patrząc na zanurzający się przód „Łucji-Małgorzaty”, zdawało się, że na wieki zniknie w bałwanach. Szarpnięcia były tak silne, że krzesła przywiązane do kabin odrywały się i tłukły po kajucie. Wpadające na pokład fale potokami wlewały się przez okna zbiorowej kajuty i zalewały podczas nocy łóżka miotanych w nich podróżników. Do kajuty mojej, podczas gdy drzwi prowadzące z pokładu były otwarte, wpadł olbrzymi bałwan, przemieniając ją w jezioro. Wszystkie rzeczy zamokły, co w niemały wprawilo mnie kłopot. Nie dbałem już o prywatne skrzynki, zawierające ubiory etc. Szło mi głównie o instrumenty i naboje, zająłem się więc rewizją<sup>60</sup> takowych. Na szczęście miejsce zawierające te przedmioty, osobno strzeżone i znajdujące się w najbezpieczniejszej części okrętu, pozostało suche i ani instrumenty, ani naboje nie uległy uszkodzeniu.

Dziesiątego wieczorem dopiero wiatr znów zmienił się na północny i sprowadził ostateczny zwrot pogody, przez wszystkich powitany radośnie. W mokrych i wilgotnych kajutach stał się bowiem pobyt nadzwyczaj nieprzyjemny, trzeba było świeżym odetchnąć powietrzem, przyjść nieco do siebie, osuszyć i przewietrzyć nieco kajuty. Byliśmy prawie miesiąc w drodze, od Hawru mając tak nieszczęśliwą żeglugę, jak rzadko który okręt. Z niecierpliwością więc pytano się mnie codziennie, ile nam jeszcze mil<sup>61</sup> pozostało — niestety był jeszcze dobry kawał drogi, a od brzegów oddalać się było trudno. Abordować ład bez chronometrów byłbym się odważył, lecz szukać małą wyspę wśród oceanu było ryzykowne. Dlatego powitałem dwunastego rano z wielką radością wiadomość, że ukazał się na horyzoncie przylądek La Rocca<sup>62</sup>!

Wzięliśmy kurs okrętu na SE, stanęli pomiędzy przylądkami Espichel i Pascueiras i określiliśmy wizowaniem rzeczonych przylądków ściśle miejsce okrętu, odbyliśmy spokojnie obserwacje chronometryczne, choć w ten sposób mając nareszcie znów ich korekcję podług południka Greenwicha.

<sup>58</sup>spektator (z łac.) — widz. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>harpuna (r.ż.) — dziś popr.: harpun (r.m.). [przypis edytorski]

<sup>60</sup>rewizja (z łac. *revisio*: ponowne widzenie) — tu: kontrola, sprawdzanie. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>mila — dawna miara odległości; w krajach anglosaskich mila lądowa wynosi ok. 1600 m, zaś mila morska ok. 1850 m. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>La Rocca — ob. Cabo da Roca, przylądek na Płw. Iberyjskim, w pld. Portugalii, najdalej na zachód wysunięty punkt lądu stałego Europy. [przypis edytorski]

Odtąd żegluga szła regularnym trybem. Wiatr był północny. W niedzielę 14 stycznia minęliśmy równoleżnik Taryfy<sup>63</sup> i wstąpili na wody afrykańskie.

Ogólna rozmowa skierowała się ku nareszcie zbliżającej się Maderze<sup>64</sup>, na której jednakże czekał niemały kłopot: przyprowadzenia okrętu do porządku po zniszczeniach, jakie pozostawiły po sobie przebyte burze. Planowano wycieczki, oglądano mapy Madery, wszystkich ogarnęła nadzieja upragnionego odpoczynku. Urozmaicenie obiadowego menu stało się też przyjemną przerwą w tej jednostajności, gdyż chłopiec okrętowy, zajmujący się, jak wspominaliśmy dawniej, sztuką kulinarną na „Łucji-Małgorzacie”, w ostatnich czasach mimo chęci nieraz nie mógł dogodzić żołądkom kajut-kompanii. Biedaka, który sam ledwo zdołał utrzymać się na nogach, kuchnia jego przyprowadzała do rozpacz. Żądano od niego obiadu, podczas gdy wiatr i fale bez jego żądania przyprowadzały takowy dymem i wodą morską albo rozpraszały kociołki po pokładzie.

Afryka jednak postanowiła przyjąć nas gościnnie, nawet pod względem kuchni. Szesnastego rano zbudził mnie krzyk chłopca: „Kapitanie, kapitanie!”. Wkrótce usłyszałem na pokładzie trzepotanie się silnej ryby, a wyszedłszy z kajuty, ujrzałem olbrzymiego tona<sup>65</sup>, który się był złapał na wyrzuconej wędce. Zdobycz ta ostatecznie wprawiła całą załogę w dobry humor i zachwycała apetyt naszych podróżników do samej prawie Madery.

Nareszcie, boć<sup>66</sup> przecie wszystko na tym świecie się kończy, okazała się i ona, dawno upragniony pierwszy cel żeglugi. Osiemnastego rano ujrzeliśmy pierwszą jej grupę, wyspy Porto Santo, przedstawiające z zachodniej strony górzyste pasmo o siedmiu wierzchołkach. W pośrodku wyspy głównej, na południowym jej brzegu, leży miasteczko Baleira<sup>67</sup>, ciągnące się w malowniczej dolinie od zachodu na wschód pomiędzy górami.

Zamierzałem z początku stanąć na godzin kilka na kotwicy przed Baleirą, by uporządkować okręt przed wpłynięciem do Funchalu<sup>68</sup>, gdzie pragnąłem zawinąć w nie tak oplakany stan, w jaki wprawiła „Łucję-Małgorzatę” ostatnia niefortunna żegluga, tym bardziej że mieliśmy w Funchalu dobrego znajomego, hr. Benedykta Tyszkiewicza, szczerego przyjaciela ekspedycji, przemieszkującego wtedy na Maderze.

Porto Santo nie posiadało jednak odpowiedniej przystani, popłynęliśmy więc dalej ku Maderze, która też wkrótce ukazała się na horyzoncie. Około szóstej zarysował się jasno Funchal, podnoszący się ze swymi kształtnymi willami na południowych skłonach gór, a około dziewiątej stanęliśmy na kotwicy na 11 sążniach<sup>69</sup> głębokości.

## ROZDZIAŁ V

*Notatki geograficzne o Maderze. — Funchal z morza. — Port. — Grzeczność Portugalczyków dla ekspedycji. — Niefortunne wylądowanie. — Osobliwości Funchalu. — Poczta z Europy. — Hr. Benedykt Tyszkiewicz. — Jego willa i obserwatorium. — Przerwana komunikacja z okrętem. — Gościnnie redaktor.*

Statek przyplływający z Europy zauważa najpierw 2000 metrów wysoki Pico Ruivo<sup>70</sup> i wyniosły grzebień Torrinhas, najwyższe punkty królujące nad wyspą, która tworzy nieregularny czworobok, ze sterzącym na wschód długim skalistym przylądkiem Laurencu. Niegdyś wszystko to pokryte było gęstymi lasami, od których wyspa wzięła swą nazwę (*madera* po hiszpańsku, *madeira* zaś po portugalsku znaczy drzewo); dziś jednak lasy te są w znacznej części wycięte, szczególnie na południowym wybrzeżu.

<sup>63</sup>Taryfa — dziś popr.: Tarifa, miasto w pld. Hiszpanii; nazwa stosowana także na określenie przylądka Marroquí, na którym leży to miasto, najdalej na południe wysuniętego punktu Płw. Iberyjskiego i równocześnie lądu stałego Europy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Madera — portugalski archipelag na Oceanie Atlantyckim, położony ok. 1000 km na pld.-zach. od Płw. Iberyjskiego; także: największa z wysp tego archipelagu. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>ton — dziś popr.: tuńczyk, duża ryba występująca w tropikalnej części Atlantyku, osiągająca długość do 4 m. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>boć (daw.) — bo; bo przecież. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Baleira — ob. Vila Baleira, główne miasteczko wyspy Porto Santo w archipelagu Madery. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Funchal — główne miasto wyspy Madera, ważny port handlowy i rybacki. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>sążeń — dawna miara długości, równa ok. 190 cm. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Pico Ruivo — najwyższy szczyt na wyspie Maderze (1861 m). [przypis edytorski]

Formacja wyspy jest wulkaniczna i zawiera wielkie masy bazaltu oraz tufu, powierzchnię zaś stanowi gruba skorupa, którą wytworzyły erupcje trzeciorzędowego periodu<sup>71</sup>.

Różne fosylie<sup>72</sup>, liczne zoofity<sup>73</sup> i morskie *testaceae*<sup>74</sup>, jako też masy wapienne urozmaicają całość formacji. Wszystko to ciągnie się jako górzysty, 60 kilometrów długi łańcuch, dążący w zachodnio-wschodnim kierunku. Pasma to, główny grzbiet wyspy, posiada mniej liczne lub więcej wysokie wierzchołki (piki), z których najwyższymi są, oprócz wyżej już wymienionych: Pico Arceiro 1940 metrów wysoki, Boa Ventura 1890 metrów, Curral 1880 m, Cidrão 1815 m, Pico Grande i inne.

Kierunek, w jakim ciągnie się główny grzbiet, dzieli wyspę na południowe i północne wybrzeża, pełne malowniczych przepaści i górzystych skłonów, które od wierzchołków ciągną się ku morzu. Największa i najpiękniejsza z tych przepaści przerzyna południowe brzegi: jest to cudowny Curral das Freiras, czyli Grand Curral. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa przedstawia ta 530 m głęboka kotłownia<sup>75</sup>, mająca otwór ku południowi, stary, wygasły krater.

Koryta rzeczne, jakie spotyka się na wyspie, są prawie wszystkie skaliste, nader głębokie, lecz pozbawione wody. Największą z rzek jest Janella, należąca do północnego wybrzeża. Wydaje się niemożliwe, ażeby te niewinne wyschłe rzeczki mogły tak wezbrać, iżby się stały niebezpieczne, a jednak sprawiły już groźne powodzie, jak np. w latach 1803–1848<sup>76</sup> i 1857, powodzie, które poczyniły liczne szkody i zniszczenia.

Gdyśmy stanęli na kotwicy, Funchal jaśniał rozrzuconymi po górach płomykami will i domków. O brzegi biły fale morskie, a gdy spływały po drobnych lądowych kamykach, zdawało się przy szmerze, jaki sprawiły, że w mieście panuje zgiełk i wrzawa. Często szmer fal jest przyczyną podobnych złudzeń. Cichy Funchal bynajmniej nie jest gwarnym miastem, tym bardziej zaś wieczorem; zasypia on wtedy spokojnie. Dzielne ekskursje<sup>77</sup> turystów były ukończone, mieszkańcy odpoczywali na tarasach swych domów — tylko morze gwarzyło, nucąc nieustanną swą pieśń. Nad górami rozciągała się mgła. Ruivo i parne wyżyny pokryły się szarawą, przezroczystą szatą. Na morzu zaś stało kilka okrętów: pakboty<sup>78</sup> do Europy, do brzegów Afryki i Brazylii, a pomiędzy nimi odpoczywała kołysząca się z lekka „Łucja-Małgorzata”, której Neptun w porcie nawet nie dozwolił odpocząć zupełnie. Port Funchalu nie należy bowiem do najlepszych pod względem bezpieczeństwa przystani i spokoju. Zatoka za płaska, południowe wiatry często wzbudzają morze, tak że stojący na kotwicy okręt podczas niepogody i SW-ów znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż na otwartym morzu, a jeżeli łańcuchy kotwic nie są w zupełnie dobrym stanie, może być łatwo rzucony o skały nadbrzeżne. Rząd przy tym nic nie czyni dla ulepszenia portu i zabezpieczenia okrętów, chociaż byłoby to nie tak trudne i nie wymagałoby wielkich kosztów. Blisko zachodnich brzegów zatoki znajduje się wielka wysoka skała Loo Rock, służąca jako fort, którą nietrudno byłoby połączyć z brzegiem, tym bardziej że podwodne jej połączenie jest bardzo wysokie. Osiągnięto by w taki sposób wał, który stworzyłby aczkolwiek niewielką, lecz dość spokojną przystań dla mniejszych okrętów.

Po długiej a ciężkiej żegludze byłem jednakże kontent<sup>79</sup>, że w ogóle znajdowaliśmy się w porcie. Ze smutkiem tylko spoglądałem na pogruchotane przez burze przednie części masztu, potrzebujące większych reperacji, zanim się było można puścić dalej.

Po długich refleksjach nad tym, co będzie trzeba uczynić w porcie, zszedłem do kajuty, bo było późno. Mijając stół nawigacyjny, zauważyłem leżące jeszcze mapy przebytej drogi i rzuciłem okiem na linię żeglugi. Co za droga! Przedstawiając linię kursu, mapa

Morze, Miasto

<sup>71</sup>period (z łac.) — okres; tu: okres geochronologiczny. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>fosylie — dziś popr.: fosylia, skamieniałe szczątki organizmów z dawnych epok geologicznych. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>zoofity (biol.) — dawna nazwa kolonijnych, osiadłych zwierząt morskich, np. koralowców, które przez długi czas uważano za rośliny. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Testaceae (daw. biol.) — ameby skorupkowe, grupa jednokomórkowców wyróżniana w dawnych systemach klasyfikacji organizmów. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>kotłownia (daw.) — kotlina. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>groźne powodzie (...) w latach 1803–1848 — Mowa o latach katastrofalnych powodzi na Maderze, które wystąpiły kolejno: w 1803, 1815, 1842, 1848; dlatego autor użył tu zakresu dat. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>ekskursja (przestarz.) — wycieczka, wyprawa. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>pakbot (z fr. *paquebot*, ang. *packet boat*) — statek przewodzący przesyłki pocztowe. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>kontent (daw., z łac.) — zadowolony. [przypis edytorski]



streszczała w sobie całą naszą odyseję. Około brzegów północnej Hiszpanii linia przedstawiała zawikłany poligon — to grudniowe wichry tak nami rzucały na prawo i lewo; dalej na południa seria zygzaków — to styczniowe, a pomiędzy nimi ciągnie się długi rząd dat i cyfr, oznaczających obserwacje w południe odbyte, a dających w sumie 35 dni — 35 dni z Hawru do Madery.

Wspominając inne żeglugi, porównywałem je z obecną. Raz tylko odbyłem straszniejszą i dziwnym trafem w tej samej Biskajskiej Zatoce, lecz było to na wielkiej pancerniej fregacie i przez kilka dni tylko. Ponieważ jednak nie ma złego, co by na dobre nie wyszło, zasnąłem dnia tego, notując w pamięci jeden rezultat pomyślny, a mianowicie ten, że przez owe 35 dni przybyło mi wiele doświadczenia, najdrogocenniejszego skarbu ma świecie, którego nikt wydrzeć nie może.

Następnego dnia doniósł mi wcześniej majątek, że przybyły dwie szalupy portowe z urzędnikami. Wziąłem więc papiery okrętowe i wyszedłem na pokład, przygotowany na długie ceremonie, jakie się zwykle napotyka w portach portugalskich. Jeden zwyczaj głównie, którego spełnienia oczekiwałem ze strony przybyłych, zawsze mnie gniewał, a mianowicie, że okręt obcy, stojąc w porcie Portugalii lub jej kolonii, otrzymuje zwykle nieproszonego gościa, którego musi *nolens volens*<sup>80</sup> przyjąć ma cały czas pobytu w porcie. Kwaterunkiem tym jest żołnierz komory celnej, którego utrzymanie rząd ułatwia sobie w taki sposób. Postępowanie to oburza kapitanów.

Szalupy stały u burtu, jedna z nich mieściła urzędnika komendanta portu, druga rewizora<sup>81</sup> komory celnej i „niezbędnego gościa”. Były to łodzie dobrze utrzymane, załoga zaś przedstawiała się również wcale niezłe. Będąc w ogóle uprzedzonym do portugalskich instytucji, które nie należą do najlepszych i najprostszych w świecie, doznałem przyjemnego wrażenia, dobrze uprzedzającego o tutejszym zarządzie portowym.

— *Vous parlez français?*<sup>82</sup> — zapytał się naczelnik wysłanych, z zupełnie czystym francuskim akcentem.

— *Oui, monsieur*<sup>83</sup> — odparłem. — Żądasz pan papierów okrętowych?

— Kto jest kapitanem okrętu?

— Ja, nazwisko znajdziesz pan w papierach.

Urzędnik uklonił się i wziął podane dokumenty.

— Skąd płynie okręt?

— Z Hawru.

— Jak długo był w drodze?

— Trzydzieści pięć dni.

Urzędnik spojrział z niedowierzaniem.

— Trzydzieści pięć dni — powtórzyłem mu.

— Cel żeglugi? — pytał dalej.

— Płynę do Fernando Poo, z naukową ekspedycją.

— Aa, pamiętam! — zawołał nagle przybyły nader grzecznie. — *Mon commandant*<sup>84</sup>, jesteście uprzedzeni, nie potrzebuję żadnych papierów, okręt wolny od wszelkich formalności. Mam pod tym względem instrukcje!

I dał znak drugiej szalupie, mającej wydać nam ze swego wnętrza ów nielubiany kwaterunek, by się oddaliła.

— Serdecznie dziękuję panu — rzekłem, kłaniając się.

— Przepraszam, nie ma za co, wszystko w porządku.

To rzekłszy, zakomenderował: „Na wiosła”; wymieniliśmy jeszcze ukłon i szalupy odpłynęły do portu.

Formalności okrętowe były załatwione w nadzwyczajny krótki sposób. Dla funchal- skiego portu byłem więc niesprawiedliwy; pragnął ułatwić ekspedycji, o ile mógł.

Zaledwie odpłynęły urzędowe łodzie, gdy zjawiły się przy borce prywatne, przywo- żąc osoby ofiarujące swe usługi. Każdy port ma podobnych „przyjaciół podróżnika”. Są to właściciele hotelów, obiecujący złote góry w swoich, „podług najlepszych sposobów

Podróż, Interes

<sup>80</sup>*nolens volens* (łac.) — chcąc, nie chcąc. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*rewizor* — urzędnik dokonujący kontroli. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Vous parlez français?* (fr.) — Czy pan mówi po francusku? [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Oui, monsieur* (fr.) — Tak, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*mon commandant* (fr.) — mój dowódco. [przypis edytorski]

urządzonych hotelach”, dostawcy prowizji<sup>85</sup>, ożywieni pragnieniem sprzedania obcym po podwójnych cenach tego, czego mieszkańcy miasta już nie chcą, krawcy, szewcy i praczki, malarze i fotografii<sup>86</sup>, proponujący przybyszom widoki miejscowości.

Jeżeli jednakże przyszedł podróżnik zechce dobrej rady, niechaj nie otwiera kłaniającym się nieznanym ani swego serca, ani swej kasy. Niech ich zostawi najspokojniej na boku; udawszy się bowiem na ląd, znajdzie w mieście ofiarowane usługi za połowę ceny, a nawet taniej. Przy tym niechaj nie będzie zbyt delikatny, nie troszczy się o to, że oni czekają: gdy im czasu zabraknie — choć na południu mają go zawsze za wiele — zapakują znowu swe skarby i powrócą do domu. Toż samo zaleciłem na „Łucji-Małgorzacie” i zapobiegłem zwykłym zakupom fotografii po 4 lub 5 franków za sztukę, kosztującą w zakładzie franka. Natrętni przybysze wkrótce też zauważyli, że nadzieje ich zawiodły i opuścili pokład. Równocześnie spuszczo szalupę i oprócz załogi wszyscy podążyli do portu, by nareszcie znów przejść się po lądzie.

Na próżno jednak szukaliśmy przystani dla łodzi; jakkolwiek Portugalczycy są przez 400 lat panami wyspy, jednakże nie mieli czasu do wybudowania takowej. Za Loo Rokiem są wprawdzie schodki, ku którym można z trudnością podплыnąć, lecz leżą one prawie za miastem i przybywający ich nie dostrzega. Zmierzałyśmy więc wprost ku brzegowi, o który wprawdzie były buruny, wdrapujące się na kamyki, lecz na których, jak zauważyłem, lądowały miejscowe łodzie.

Gdyśmy się zbliżali do brzegu, czyniono nam z niego znaki, byśmy się zatrzymali i przesiedli do krajowego czółna, dając do zrozumienia, że na naszej okrętowej szalupie nie dostaniemy się na brzeg. Rzeczywiście każdy grzebień fal nadchodzących z morza podnosił się, uderzając o brzeg wysoko, i groził zalaniem; jednakże nie przypuszczałem, że wylądowanie na niekrajowym czółnie jest niemożliwe, i pomimo głosów z łądu, które przypisywałem chęci wyzyskania nas, kazałem wiosłować naprzód. Nadchodzący wał wodny popchnął szalupę ku brzegowi i w chwili kiedy spłynął nazad, przygotowaliśmy się do wyskoczenia na kamyki, w których ugrzęzło kilka łodzi. Lecz nim zdołaliśmy się wydostać, nadszedł drugi wał, wrywając się lotem błyskawicy pomiędzy nas, po nim trzeci i czwarty. Zmoczeni jak po tropikalnym deszczu, stanęliśmy na brzegu, otoczeni tłumem widzów, podczas gdy majtkowie nasi, stojąc po biodra w wodzie, usiłowali znów oswobodzić zalaną szalupę. Długo próbowali na próżno, nareszcie barczyste ramiona botsmana zepchnęły „Warszawiankę” z brzegu, wyczerpano wodę, majtkowie schwycili za borty i wskoczywszy szybko na wiosłowe ławy, powrócili na okręt. Byłem kontent, że się na tym skończyło, teraz bowiem przekonałem się rzeczywiście, przypatrzwszy się lekkim miejscowym łódkom i krajowemu sposobowi prędkiego wyciągania ich na brzeg wraz z pasażerami, że jest to rzeczą prawie niemożliwą dla przyplływającego okrętu przybijając do brzegu zwyczajną szalupą. Miejscowe są do tego celu zupełnie inaczej zbudowane, posiadają płaskie dno i trzy kile. Samo lądowanie zaś odbywa się w następujący sposób: każda z tych łodzi, zbliżając się do brzegów, jest oczekiwana przez kilku ludzi mających w pogotowiu okrągłą belkę. Wyczekawszy korzystnej chwili, tj. nadejścia silnej fali, która by popchnęła łódkę daleko naprzód, starszy z wiosłarzy daje znak brzegowej załodze, by była gotowa, sam zaś ze swymi towarzyszami, skierowawszy łódź tyłem do brzegu, daje jej silny rzut naprzód. Czółno, pchnięte oprócz tego nadchodzącym wałem, zostaje wyrzucone na brzeg, gdzie już też oczekujący ludzie podrzucili przygotowany wałek i ciągną je szybko dalej, zanim nowe fale zalać je zdołają.

My jednakże musieliśmy chrztem opłacić doświadczenie i długie suszenie się na bulwarze przy pomocy południowego słońca zdołało zaledwie jako tako uporządkować zrujnowane kostiumy. Tu nastąpiło formalne obłężenie, prowadzone natarczywie przez różnego rodzaju przewodników, ofiarujących swą znajomość miejsca, i żebraków, których wszędzie pełno na południu, szczególnie w Hiszpanii, Portugalii i ich posiadłościach. W żadnym kraju żebractwo nie jest doprowadzone do takiego stopnia i nie czyni tak przykrego wrażenia, jak w wymienionych stronach. Biedniejsza klasa ludności, rzekłbyś, rodzi się tu nie do pracy, lecz do żebractwa i małe, często sześciolatnie dzieci wyciągają ręce z nałogu, z przyzwyczajenia, ile razy zobaczą cudzoziemca.

<sup>85</sup>prowizja (z łac.) — tu: zapas żywności, prowiant. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>fotografii — dziś popr. forma M. Im: fotografowie. [przypis edytorski]

Samo miasto nie jest wielkie, górzyste i dość źle utrzymane. Krótki bulwar, który tworzy niejako połączenie części will i części handlowej miasta, mógłby być pięknym miejscem przechadzki, gdyby był w energiczniejszych rękach, w obecnym jednak stanie zaniedbania czyni on niekorzystne wrażenie.

Ogólną uwagę cudzoziemców zwracają na siebie sposoby komunikacji. Arystokracja miejscowa i cudzoziemcy jeżdżą konno lub używają palankinów<sup>87</sup>, ostatni jest szczególnie przeznaczony dla dam i chorych, średnie zaś klasy używają oryginalnego ekwipażu<sup>88</sup>. Są to niezbyt foremne, wołami zaprzątnięte sanie z podrezami<sup>89</sup>, kryte rodzajem baldachimu. Sanie te co do szybkości nie dorównują nawet niemieckim dorożkom, wyszorowały zaś do takiego stopnia drobny bruk (przeprowadzony nie jako płaska, lecz jako falista powierzchnia), że chodzenie pieszo w pośrodku ulicy staje się prawie niemożliwe, tym bardziej że większa część ulic prowadzi pod górę lub na dół. Woźnica idzie zwykle obok sani, poganiając długim kijem swe woły.

Ponieważ wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali listów i wiadomości z Europy, udaliśmy się najprzód na pocztę po korespondencję. Wieleż<sup>90</sup> zajęć w przeciągu kilku tygodni! Naokoło naszego kraju zanosilo się na wojnę — same smutne wiadomości.

Lecz stroniąc od zajęć burzliwych i przygotowań zniszczenia, zajdźmy tu na Maderze do ustronia szczęścia i ciszy — w najpiękniejszy kącik Funchalu, i to jeszcze należący do zacnego gościnnego rodaka. Jest to hr. Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu, dla przyjaciół ekspedycji dobrze znana osobistość. Nad samym brzegiem, na wysokich skałach wznosi się w zachodniej części zatoki bujna południowa zieleń, wśród której wysokie królewskie palmy poruszają z lekka swe pierzaste korony na cudownym lazurowym tle nieba Madery, ocieniając taras ślicznej willi. W niej niegdyś cesarzowa austriacka przychodziła do zdrowia, a dziś obrał tu swą siedzibę z żoną, dziećmi i garstką służących Polaków niezmeńczony nasz rodak. Zadzwońnię do bramy i przeszedłszy śliczny cienisty park, którego południowy koloryt zachwycał wzrok, ujrzałem, wchodząc do willi, piękną, delikatną kobietę siedzącą przy pianinie. Była to hrabina, której jeszcze nie znałem. Domyśliła się jednakże, kim jestem, gdyż żaden okręt nie wpływa do portu niepostrzeżony przez ostry teleskop hrabiego, zajmującego się żywo wszystkim, co jest połączone z podróżą i morzem, i który dlatego na wystającej brzegowej skale parku przemienił śliczny pawilon na małe obserwatorium morskie. Zauważa się takowe już daleko z morza, po blisko stojącym wysokim maszcie z powiewającą na nim flagą morskiego jachtklubu.

Niczego tu nie brak w tej małej morskiej stacji, pod którą niedawno jeszcze kołysał się na dole w porcie piękny jacht hrabiego, wyglądający raczej na wzorowy okręt wojenny niż na prywatny jacht. W pawilonie znajduje się kompletna seria sygnałów, często wznoszących się i spuszczaćcych po maszcie dla zasięgnięcia wiadomości od znajomych okrętów; jest tu również i teleskop rzadkiej doskonałości, latarnia z reflektorami i mapy, nawet armatka sygnałowa. Słowem jest to prywatna kompletna stacja morska, we wzorowym utrzymywana porządku.

Rano zaraz spostrzegli nasz okręt, a widząc na głównym maszcie flagę Warszawy, wiedziano, że to „Łucja-Małgorzata”, od dawna zresztą oczekiwana. Przedstawienie się hrabinie było więc nietrudne i wyszliśmy razem na taras, z którego był już zauważył nas gospodarz, siedzący przy kawie ze starym swym przyjacielem Polakiem. Szlachetny przyjaciel ekspedycji przywitał mnie serdecznie na Maderze.

Przeprosiłem towarzystwo za rozstrojony mój kostium, którego słońce jeszcze nie było wysuszyło w zupełności, lecz znajdowałem się w rzeczywistym kółku podróżników; tak hrabia bowiem, jak i jego małżonka niejedną raz przepłynęli wzdłuż i wszerz ocean, a w bagnach Florydy i indyjskich dżunglach przebywali całe miesiące dla ekskursji i polowania. Siedliśmy więc na tarasie, przed którym rysowały się piękne grupy cyprysów, agaw, bananów, palm i innych przedstawicieli południowego roślinnego świata — i mu-

<sup>87</sup>palankin — zadaszone siedzisko ustawiane na grzbiecie zwierzęcia; rodzaj lektyki. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>ekwipaż (z fr.; przest.) — ogół rzeczy potrzebnych do wygodnej podróży, w szczególności zaprzęg, pojazd, wyposażenie. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>podrezy (daw.) — metalowe listwy, którymi podkuto płozy sań; tu zapewne: metalowe obręcze kół pojazdu. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>wieleż (daw.) — konstrukcja z partykułą -że skróconą do -ż i występująca w funkcji wzmacniającej; inaczej: jakże wiele, ileż. [przypis edytorski]

siałem opowiadać walki ekspedycji odbyte od czasu widzenia się naszego w Paryżu oraz długą naszą odyseję po oceanie.

Czas mijał szybko w miłym tym gronie osób żyjących cicho i spokojnie, w otoczeniu kwiecistego bukietu pięknej przyrody południa, odbijającego na wszystkim, co ich otaczało, wewnętrzny spokój i jasny horyzont. Jako wielki przyjaciel przyrody i piękna, zajmował się hrabia ze szczególnym zamiłowaniem fotografią. Całe godziny poświęcał temu zajęciu i w rezultatach doszedł rzeczywiście do doskonałości. Widziałem fotografie zdjęte przez niego, nieustępujące wyrobom pierwszych zakładów: widoki gór, portrety, lecz zawsze przedmiot musiał odpowiadać estetycznemu gustowi miłośnika.

Po kilku dniach naszego pobytu, który prawie ciągle koncentrował się naokoło gościnnego i serdecznego rodaka, hrabia, pragnąc nas zapoznać z wyspą, zaprosił ekspedycję na wycieczkę w góry. Kawalkada ta na długo pozostanie w pamięci tych, którzy razem spędzili ów dzień ochoczo. W wigilię wycieczki byliśmy wszyscy w willi na obiedzie, umawiając się co do dnia jutrzejszego. Jednakże już przedtem zajmowano się widocznie u hrabiego planem ekskursji, gdyż z parkowego masztu sygnalizował na okręt, dowiadując się o ilości potrzebnych koni. Przy obiedzie poznaliśmy też trzech nowych towarzyszy wycieczki; byli nimi książę Karageorgiewicz i dwóch Polaków chwilowo bawiących na Maderze: inżynier Rutkowski i pan Weidlich z Wołynia. Towarzystwo więc stawało się coraz liczniejsze, co obiecywało jeszcze więcej uprzyjemnić zabawę.

Po ożywionej rozmowie na tarasie, zawierającej wiele ciekawych wspomnień z podróży i polowań, hrabia pokazał nam przy wyjściu plan jutrzejszej drogi. Wybrał ją wzdłuż pięknego Grand Curralu, na którym chciał dać z dwóch różnych pików widoki na malowniczą kotlinę, by inną drogą, z zachodu, znów wrócić do Funchalu.

Tymczasem jednakże zapadła noc i naznaczywszy sobie schadzki rano na siódmą i pół w willi następnego dnia, pożegnaliśmy się, by powrócić na okręt. To jednakże stało się niemożliwe. Gdyśmy wyszli z parkowej bramy, zauważyłem śpiącego lazaron<sup>91</sup>, który kilka razy służył mi już jako przewodnik po mieście. Hałas wychodzących osób zbudził śpiącego, widocznie czekał na nas w nadziei otrzymania kilkudziesięciu rejsów<sup>92</sup> za doniesienie, że powstał silny południowy wiatr i że wszelka komunikacja z morzem przerwana. Ponieważ poleciłem na okręcie, by wieczorem czekała na nas szalupa przy odszukanych schodkach za Loo Rockiem, skierowaliśmy się więc ku niemu, by przekonać się o stanie morza i albo powrócić na okręt, albo odesłać szalupę. Portugalczyk, który był świadkiem upartego pierwszego naszego lądowania i kąpieli, myśląc, że chcę mimo to puścić się na morze, prosił usilnie, by tego nie czynić, i szedł w ślad za nami. Przybywszy na miejsce, zauważyłem rzeczywiście, że nie można było myśleć o popłynięciu na okręt. Fale biły o skały, rozpryskując białą pianę i zalewając co chwila schody. Szalupa nasza trzymała się jednak w pogotowiu o jakie 30 m od brzegu. Krzyknąłem jej więc, by powróciła na okręt, lecz łoskot fal był tak silny, że kilkakrotnie trzeba było powtórzyć rozkaz, zanim go usłyszano i łódź nawróciła.

Portugalczyk tymczasem wyszukał nam hotel i otrzymawszy 100 rejsów na wino (½ fr.), dla których tak długo był wartował przed willą, oddalił się wreszcie, podczas gdy gospodyni hotelu dokładała wszelkich starań dla ulokowania tylu gości w przepelnionym swym domu. Miała tylko jeden wolny pokój, a oprócz mnie było czterech towarzyszy. Na szczęście zastaliśmy w gościnnym pokoju jakiegoś litościwego jegomościa, który odstąpił nam jeszcze swój własny. Był to pan Joa de Nobrega Soares, redaktor jednego z miejskich dzienników, „Diario popular”. Ów nadzwyczaj miły i serdeczny przyjaciel podróżnych był zajęty korektą jutrzejszego dziennika; zapewniał, iż to mu zajmie całą noc, że mu więc pokój będzie niepotrzebny i prosił, bym go przyjął. Uczyniłem to z wdzięcznością i wypiwszy z uprzejmym literatem, który, jak się okazało, był autorem kilku dzieł portugalskich, butelkę malwazji<sup>93</sup>, zajęliśmy zdobyte kwatery, zbierając siły do jutrzejszego dnia.

<sup>91</sup>lazaron (daw., z wł.) — bezdomny włóczęga uliczny, żebrak. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>w nadziei otrzymania kilkudziesięciu rejsów — w Portugalii i jej koloniach bardzo łatwo zostać milionerem, licząc bowiem na rejsy (reis), których 1000 równa się 5 frankom, czyli 2 rublom. Milion rejsów więc przedstawia 2000 rs. [rs. to skrót od: rubli srebrem; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>93</sup>malwazja — dziś popr.: malmazja, dawne ogólne określenie słodkiego wina; pierwotnie nazwa ciemnych, aromatycznych win produkowanych w okolicach miasta Malvasia na Peloponezie. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ VI

*Wycieczka po wyspie. — Ludność Madery. — Szkice fizjograficzne. — Krajobrazy. — Śniadanie nad przepaścią. — Fotografie. — Hr. Tyszkiewicz jako strzelec. — Powrót do Funchalu. — Reparacje okrętowe. — Pożegnanie z hrabią. — Wypłynięcie.*

Gdyśmy nazajutrz wchodzili do parku willi, konie już czekały i zaopatrywano palankiny w żywność, aby mogły przed nami wyruszyć wraz ze służbą, która miała nas oczekiwać na szczycie, nad samym kraterem Grand Curralu.

Jak się okazało, stanęła ekspedycja pierwsza na placu. Przyjął nas doktor Gąsowski i poprosił na kawę. Wkrótce też nadszedł książę Karageorgiewicz, inżynier, p. Weidlich, i wreszcie hrabia, który był zajęty wyekspediowaniem awangardy<sup>94</sup>.

Czas był prześliczny, lekki wietrzyk zapowiadał dzień łagodny, niezbyt gorący. Pożegnawszy się więc z szanownym doktorem, skoczyliśmy na konie i wyruszyli naprzód. Wkrótce pozostałym w willi znikły z oka kaski i białe ubiory dziewięciu jeźdźców, z których składała się kawalkada. Droga prowadziła z początku przez wioskę i była otoczona z obu stron murami, spoza których wyglądały ciekawe głowy dzieci wieśniaków, to przyglądających się liczny jeźdźcom, to skrywających się za naszym przybliżeniem w rosnące za murkiem banany lub trzcinę cukrową. Wąskość drogi zmuszała nas do jazdy po dwóch, a potem pojedynczo. Otwierał rząd ks. Karageorgiewicz, zamykał go hrabia ze mną.

Niejeden z czytelników zastanowi się może nad tym, jakiej rasy są wieśniacy tutejsi. Otóż gdy w 1419 r. Joao Gonsalves Sargo i Tristao Vaz Teixeira odkryli wyspę (uwagi godny jest fakt, że bliska Porto Santo, z której przy jasnym powietrzu widać Madere, odkryta została o rok wcześniej przez Bartłomieja Perestrello. Było to pierwsze odkrycie Portugalczyków), znaleźli ją niezamieszkałą, pokrytą tylko gęstym lasem. Po dokonaniu odkrycia otrzymało ją kilku portugalskich magnatów, z prawem przesiedlenia na nią części Maurów<sup>95</sup>, Cyganów i Żydów z Portugalii. Nowo odkryty jednakże kraik przyciągnął swoją piękną także licznych Portugalczyków i Hiszpanów; inkwizycja systematycznie wygładzała różnicę wyznań i powstała z wiekami śniada, niby portugalska ludność, nadzwyczaj leniwa, żebracza, lecz spokojna i potulna. Z dawnych czasów pozostały w niej zwyczaje, a nawet część kostiumu. Równie jak nasz wieśniak, krajowiec tutejszy kłania się przejeżdżającemu cudzoziemcowi, chwytając za czubek swej czapki, o której pozwolę sobie powiedzieć słów kilka. Jest to może jedno z najoryginalniejszych pokryć głowy, rodzaj małej jarmułki, zszytej z czterech klinowych płatków czarnego sukna i mającej 3–4 cali<sup>96</sup> długi, w górę sterczący ogonek. Które z pierwotnych plemion przesiedlonych na wyspę dało wieśniaczemu ogółowi to oryginalne nakrycie głowy w spuściźnie i jakie kombinacje przekształciły jego pierwotną, prawdopodobnie inną formę — trudno dziś powiedzieć. Owo nakrycie głowy nazywa się *carapuza*.

Reszta kostiumu nie zawiera nic, co by można przedstawić jako charakterystyczne dla wieśniaka Madery. Noszą zwyczajne spodnie z grubego płótna i takąż koszulę, kobiety — płócienne suknie kupowane w Funchalu lub wyrobu domowego.

Maderscy Portugalczycy nie różnią się w ogóle niczym prawie od swych europejskich ziomków. Są to zwykle typy dość chude, o ostrych rysach, śniadej twarzy i czarnych włosach i oczach. Pomiędzy mężczyznami zauważa się rzadko twarz piękną, postać imponującą; płeć piękna zaś ma swe bardzo ponętne reprezentantki, lecz starzeją się one niezwykle prędko, mając wtedy skłonność wielką do jeszcze większego zaostrzenia się rysów, głównie podbródka, oraz do brodawek.

Ludność, jak na przesiedloną, jest dość gęsta na wyspie. Na 1550 kilometrów kwadratowych powierzchni liczy ona 134 000 mieszkańców, czyli 86 mieszkańców na kilometr kwadratowy; ilość zaś dymów wynosi 28 000 (ludności tej na Funchal przypada 29 000).

<sup>94</sup>*awangarda* — z fr. dosł.: straż przednia, oddział maszerujący przed siłami głównymi. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Maurowie* (hist.) — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*cal* — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

Wkrótce wioska się skończyła i zaczęliśmy się podnosić w górę. Krajobraz zmieniał się co chwila, to okazując przed nami grzbiety gór, to zielone piękne doliny, to znów głębokie kotliny i kamieniste koryta rzeczek. Chociaż rzeczki te, jak wspominałem wyżej, przedstawiają smutny widok wyschłych łożysk, podobnych raczej do przepaści i porośniętych krzewami, wyspa jednak posiada wodę w obfitości. Mnóstwo strumyków tryska z zielonych kobierców wśród skał, a sztuczne dukty<sup>97</sup> sprowadzają je na dół wzdłuż wiosek, gdzie wino, trzcina cukrowa i banany, główne plantacje ludności, wzbogacają dzięki wododajnym górcom rynek Funchalu i stanowią, szczególnie pierwsze, dobrze znany artykuł wywozowy do Europy<sup>98</sup>.

Po dwóch stacjach w małych wiejskich wentach (wiejski sklepik, rodzaj małej karczmy), gdzie poczęstowano nas bananami, daleko dojrzalszymi i słodszyymi, niż napotykaliliśmy w Funchalu, rzuciliśmy ostatni raz okiem na morze. U stóp zielonych skłonów gór, które z naszego posterunku wyglądały jak kolorowa szachownica, rozciągało się ono niby jasne, sine zwierciadło, w którym niebo odbijało swój spokój. Funchal już dawno znikł za górami, a wkrótce zniknie i morze, droga bowiem stromo prowadzi nas w góry. Nagle stajemy na wysokim górnym łańcuchu, wzrok sięga daleko dokoła, serce bije różnie i swobodnie na wyżynie. Odkrywa się przed nami cudna, rozległa kotłowina, dążymy na dół ku mostowi, który ją przerzyna, by z drugiej strony podnieść się na nowe pasmo. Wąska naturalna galeria prowadzi ku dołowi; uroczy widok na bazaltowe skały głębokiego wąwozu nie pozwala oderwać oka od tej żywej panoramy. Niebezpieczna jednak droga wymaga ciągłej baczności i uwagi: jedno fałszywe stąpienie konia zrzuci nas w przepaść, roztrzaska o ostre kolumny bazaltowej świątyni przyrody, pogrzebie w niej jeźdźca i wierzchowca. Lecz przyzwyczajone do swych wąwozów zwierzę niesie nas bezpiecznie naprzód. Stajemy na murowanym dukcie, który na wysokich arkadach łączy dwie strome ściany przepaści; puszczamy wodze koniom i ruszamy galopem, korzystając z równości gruntu, na przeciwległe pasmo, dokąd książe już dawno nas wyprzedził. Oddycha on pełną piersią; może marzy, że koń niesie go nad brzegami Driny, że to jego serbskie wąwozy albo kryjówki Czarnogóry.

Wesołe „hop! hop!” rozlega się nad rozciągniętą u stóp naszych doliną, echo kilkakrotnie odbiło je o skały i droga prowadzi nas znów przez góry, to przecinając pasma obrośnięte lasem, to prowadząc nad krawędzią nowej przepaści. Nareszcie przybyliśmy do Grand Curralu. Las, przez który ciągnęła się ostatnia część jazdy, nagle się kończy i przed nami podnosi się między dwoma wyniosłymi pikami zielony taras, u stóp którego zsiadamy z koni, by wejść na górę i odpocząwszy, zasiąść do przyniesionego w palankinach śniadania.

Biedne zwierzęta pokryte pianą, droga bowiem była daleka, a słońce, które stało na południku, piekło odbite o skały. Zatrzymawszy się chwilę przy koniach, naokoło których zgromadzili się także ludzie z góralskimi kijami oraz pewna liczba kobiet i dzieci, powiększających po drodze nasz orszak podróżny, weszliśmy na krawędź tarasu. Co za widok! Na próżno szukałem w pamięci czegoś podobnego.

Przed nami roztwierała się olbrzymia, tysiące stóp głęboka kotlina. Pod krawędzią, na której staliśmy, zionęła bezdenna przepaść, a z prawej i lewej strony ostrokanciaste skały tworzyły jakby olbrzymie kulisy dzikiej scenarii, która sterczała przed nami. Oto stary krater sławnego Grand Curralu na Maderze. Tworząc ten obraz, przyroda chciała chyba przedstawić świąty Plutona<sup>99</sup>, kryjówki Hadesu<sup>100</sup>, jak je tylko zarysować zdołała wyobraźnia starożytnych. W dali, przebijając się przez niebieskawą parę, sterczał Pico Grande, a przed nami za kraterem — wysoki Ruivo i bazaltowe kolumny Torrinas, które można by wziąć za olbrzymie stare ruiny. Widok był jeszcze wspanialszy z lewego

Góry

<sup>97</sup>dukt (z łac.: prowadzenie, ciąg) — tu: kanał lub rurociąg doprowadzający wodę; por. akwedukt. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>wino, trzcina cukrowa i banany, główne plantacje ludności stanowią (...) artykuł wywozowy do Europy — Na próżno jednakże szukałby podróżnik dziś na Maderze owych licznych winnic, jakie spodziewa się napotkać. Uprawa takowych upadła znacznie i upada z dniem każdym więcej; toteż pochodzenie wszystkiej „madery”, eksportowanej na całą kulę ziemską niby stąd, musi być w każdym razie co najmniej wątpliwe. [przypis autorski]

<sup>99</sup>Pluton (mit. rzym.) — bóg świata podziemnego, krainy umarłych, odpowiednik greckiego Hadesa. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Hades (mit. gr.) — podziemna kraina umarłych, rządzona przez boga o tym samym imieniu. [przypis edytorski]

piku, tak nazwanego Cidrao, na który wszedłem z członkami ekspedycji. Panoramy stąd widzianej nie śmiem znieważać bladym mym opisem.

Zszedłszy z Pico Cidrao, znaleźliśmy rozłożone obrusy i dywany zastawione śniadaniem, a opodal niezmeńczony hrabia ustawiał aparat fotograficzny, który rzadko nie towarzyszy mu w wycieczkach. Rzeczywiście każdy żywił pragnienie uwiecznienia cudownego krajobrazu. Żądanie to często zdarza się w podróży; niejednokrotnie czuje wędrowiec żal do siebie samego, że nie może zabrać z sobą szkicu napotkanego przypadkiem pięknego widoku dla późniejszych wspomnień i podzielenia się nimi z ziomkami. Podróżny aparat, szczególnie udoskonalony, jaki jest teraz, daje w takim razie ową możliwość każdemu, nawet nierysującemu i powinien być niezbędnym towarzyszem podróżnika w dalekich wycieczkach.

Hrabia pomyślał o wszystkim: był aparat fotograficzny i skrzynka z kliszami, winchesterski karabin do strzelania do celu, kule do rzucania jako cel do wystrzału, słowem nie brakło niczego, co może się przyczynić do wesołości w górach, na świeżym powietrzu. Hrabia pragnął zachować biesiadującą naszą grupę i gdyśmy zasiedli do śniadania, oddał nam jego aparat żadaną przysługę.

Śniadanie było nader ożywione i wesołe, tylko osy i moskity nakazywały co chwila mieć się na baczności. Co do owadów, Madera w ogóle posiada wielką ilość rodzajów, głównie pajaków i różnego rodzaju moskitów. Wyspa liczy ich do 1200 gatunków. Po owadach największą różnorodność przedstawia fauna Madery co do ryb, konch<sup>101</sup> morskich i lądowych; tych ostatnich posiada 155, morskich 156, ryb zaś około 186 gatunków.

Mając fotografię grupy przedśniadaniowej, poprosiliśmy hrabiego o pośniadaniową; ta ostatnia, której tło tworzyła gromada górali i dzieci, udała się wyśmienicie.

Tymczasem wydobyto karabin i ochoczy nasz gospodarz dał nam żywą ilustrację do swych polowań w Indiach i Florydzie odbytych. Byłem zdumiony, jak i wszyscy obecni, jego zręcznością. Z wolnej ręki trafiał, odwróciwszy się, podrzucony przez chłopca krąg, i to z ciężkiego karabinu Winchester. Było to rzeczywiście zastanawiającym; na dziesięć strzałów, osiem, często dziewięć przebijało drewniane kółko. Nie życzyłbym nikomu spotkać się z kulą hrabiego.

Wreszcie wyruszyliśmy dalej. Ponieważ nieco na południe od miejsca, na którym znajdowaliśmy się, leżał inny punkt dający piękny widok na Curral i odsłaniający nową jego odnogę, punkt, do którego konno dojechać było trudno, odesłano więc konie na umówione miejsce, sami zaś udaliśmy się pieszo do owego celu, który nosił ponętą nazwę „Boca dos amorados”<sup>102</sup>. Ścieżka prowadziła przez stary las słodkich kasztanów<sup>103</sup>, który jednakże, sądząc po regularnych odstępach drzew, zdawał się być sadzony. Opadłe żółte liście, bo znajdowaliśmy się w styczniu, pokrywały kamienisty grunt, szeleszcząc pod naszymi krokami. Jeden z wieśniaków niósł aparat, pałankiny zaś z resztą bagażu odesłano do domu.

Po godzinie marszu okazała się rzeczywiście czarująca „Boca dos amorados”. Słońce, które już od kilku godzin przeszło było południe, ozlacało amfiteatralną, skalistą, uroczo piękną scenerię, która leżała pod nami. Na dnie jej, ku przeciwległej ścianie stał jakiś biały domek w parowie, lecz w niezmiernej głębokości położony, wydawał się jak biały kamyk.

Znowu musiał służyć aparat i tu zdjął hrabia grupę członków ekspedycji. Potem jeszcze jedno długie „adio”<sup>104</sup> uroczej dolinie, „adio” na długie lata i schodzimy z wyżyny, by powrócić do koni. Ogólne jednak zmęczenie już dawało się uczuwać; ścieżka prowadząca do koni była tak spadzista i przy tym tak śliska, że z trudem tylko można było przejść po niej.

Siedliśmy więc na grupie kamieni w lesie i posłali po konie. Wkrótce też dało się słyszeć parskanie wierzchowców, rozmowa ludzi; konie nadeszły i nareszcie znów było się na siodle.

<sup>101</sup> *koncha* (z gr.) — muszla; tu: mięczak wytwarzający muszlę, np. małż lub ślimak. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *Boca dos amorados*, popr.: *Boca dos Namorados* (port.) — dosł.: Usta Zakochanych, punkt widokowy na Maderze na wysokości 1019 m. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *las słodkich kasztanów* — mowa kasztanie jadalnym, występującej na południu Europy roślinie z rodziny bukowatych. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *adio* (wl.) — żegnaj. [przypis edytorski]

Droga na dół do brzegów przedstawiała inne widoki. Hrabia wybrał śliczną linię, schodzącą najpierw ku małej zatoczce Camara de Lobos; potem droga zawijała się raz jeszcze naokoło skał tuż nad morzem, by nam pozwolić pożegnać się z nimi; następnie wjechaliśmy na most, wiodący nad nowym korytem wyschłej rzeczki, poza którą rozciągała się piękna szeroka aleja aż do miasta. Tu grunt był tak równy, tak starannie uszosowany, że mimo woli zachęcał do wyścigów i niebawem też część kawalkady puściła się galopem, podczas gdy reszta, śledząc za ścigającymi się, powoli zbliżała się do miasta, aż nareszcie wszyscy znów stanęli przed willą.

Odbyliśmy mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów drogi. Słońce zaszło, gdyśmy powracali, przy tym byliśmy zakurzeni i zmęczeni; pożegnaliśmy się więc z gościnnym gospodarzem i rozjechaliśmy się po domach.

Lecz dość zabawy; poznaliśmy wyspę, wracajmy znów na okręt. Poczciwy hrabia przysłał nam robotników, naprawy okrętowe poszły szybko i wkrótce „Łucja” była gotowa do drogi. Silny nowy bukszpryt zajął miejsce strzaskanego, nowy gig<sup>105</sup> wysunęliśmy nad sterem i nowe wanty (grube liny smolone, związane w formie drabin, trzymające maszt z prawego i lewego burtu) wzmocniły przedni maszt. Przy pierwszym pomyslnym wietrze mogliśmy rozwinąć żagle.

Trzeci to już raz hr. Benedykt Tyszkiewicz przychodził w pomoc ekspedycji. Przy pożegnalnym śniadaniu w jego gościnnym domu pragnąłem mu wyrazić głęboką swą wdzięczność. Niestety, niepodobna było wyrazić ją słowami. Szczerego, głębokiego uczucia, które żywię w sercu dla niego i jego domu, pragnąłbym żywo, pragnąłbym inaczej kiedyś mu dowieść. Jeżeli dojdą Cię kiedykolwiek, zacny protektorze<sup>106</sup> sztandaru „Łucji-Małgorzaty”, te słowa, zechciej je przyjąć i wierzyć, że poza szczytami Mongo-ma-Loba<sup>107</sup> i kameruńskimi skałami będę często powracał myślą na wybrzeże Madery, ku gościnnej twej willi, w cień cichych, szczęśliwych twych progów.

Dwudziestego siódmego stycznia przybył pakbot dążący do Europy, wysłaliśmy więc korespondencje i następnego dnia w niedzielę postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę do Wysp Kanaryjskich. Krótco przed podniesieniem kotwicy zauważyłem odbijającą od brzegu łódź, ku nam płynącą, pod flagą jachtklubu. Był to raz jeszcze hrabia, wiozący nam koszyki konserw i litewskiej starki<sup>108</sup> na drogę; przybywał ostatecznie się pożegnać. Wypiliśmy kieliszek strzeziennego i pożegnaliśmy się serdecznym „Do widzenia”.

Czy wrócę na Madere, czy zastanę wszystko na niej tak jak dziś? Bóg wie! Lecz czymże byłoby życie bez nadziei?

Hrabia siadł do szalupy. Długo jeszcze powiewały kapelusze, potem zakomenderowałem „pod flagę” i jak starego naszego profesora w Hawrze żegnała trzy razy syrena Warszawy zacnego tego przyjaciela wyprawy. Hrabia odpowiedział swoją flagą i znikł wkrótce w obrębie portu. Za godzinę zaszło słońce i podniesiono kotwicę, a gdy „Łucja” rozwinęła żagle, wybrzeża Madery pokryły znów nocne cienie. Ruivo otulił się w mglistej oponie<sup>109</sup> do snu, a w pawilonie na skale błysnęło światło migotające po zatoce: z willi świecono nam na drogę — i „Łucja-Małgorzata” zaczęła powoli pruć ciemne fale, podążając na południe.

## ROZDZIAŁ VII

*Na Kanaryjskie Wyspy. — Jacht angielski. — Pierwsza wiadomość o Kanaryjskich Wyspach. — Kartagińczycy. — Ekspedycja króla Juby. — Pliniusz. — Bracia Magbruini. — Juan de Bethencourt i zdobycie wysp dla Hiszpanii. — Guanczowie. — Pierwsza arystokracja wysp. — Mumie Guanczów i ich kryjówki.*

<sup>105</sup>gig — wiosłowa łódź okrętowa. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>protektor (z łac.) — opiekun, obrońca. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Mongo-ma-Loba — Kamerun, masyw wulkaniczny nad Zat. Gwinejską; czynny wulkan z najwyższym szczytem subsaharyjskiej Afryki zachodniej i środkowej (Fako, 4095 m n.p.m.); stanowi najbardziej wysunięte na południowy zachód odgańczenie łańcucha gór, wzgórz i płaskowyżów, zwanego Pasmem Kameruńskim. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>starka — tradycyjna, wytrawna wódka żytnia. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>opona (daw.) — zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]



Noc była nadzwyczaj spokojna, mogłem nawet narzekać na brak wiatru. Toteż powoli tylko posuwaliśmy się naprzód. Wypływając z portu, mijaliśmy jacht angielski, który już od kilku dni tu się znajdował. Zauważyłem przedtem, że ciekawie śledził za ruchami „Łucji-Małgorzaty”, widział, że płyniemy na południe, flaga świadczyła o przybyciu z dalekiej północy i nie chciało się widocznie wierzyć właścicielowi jachtu, że mały nasz lugier w tak daleką puścił się drogę. Na przednim maszcie błyszcząca podniesiona regulaminowa latarnia, oświetlając nam jego pokład. Ujrzelśmy brodatego majtka wychodzącego naprzód i opierającego się na galionie w chwili, gdyśmy mijali bukszpryt jachtu.

— *Where are you going to?*<sup>110</sup> — zapytał się brodaty.

— *To Fernando Poo*<sup>111</sup> — kazałem mu odpowiedzieć.

Majtek znikł, donosząc zapewne otrzymaną wiadomość, następnie powrócił za chwilę. „*Farewell!*”<sup>112</sup> — rozległo się za nami; posłałem im serdeczne „*Thank you*”<sup>113</sup> i minęliśmy jacht.

Następnego rana jaśniała Madera na horyzoncie jako biały mglisty pas, blednący z każdą chwilą; wkrótce zaś zawiął świeży NE, sylwetka wyspy zatoneła w falach i z szybkością 7–8 węzłów oddaliliśmy się od niej.

Z początku, przed przybyciem do Funchalu, zamierzałem zawinąć do Lanzarote, najbliższej ku Afryce posuniętej wyspie z kanaryjskiego archipelagu. Zamierzałem stamtąd zabrać pewną ilość mułów i osłów dla przyszłej stacji kameruńskiej i ekspedycji.

Jednakże po bliższym rozpatrzeniu się poznałem, że umieszczenie ich na okręcie byłoby nadzwyczaj trudne i że w razie potrzeby będzie odpowiedniejsze sprowadzić je potem parowcem do Fernando Poo. Ponieważ więc nie mieliśmy celu zatrzymywać się na Lanzarote, wzięliśmy kurs wprost na Teneryfę, która miała być naszą ostatnią „białą stacją”. Chciałem zwiedzić botaniczny ogród Orotawy<sup>114</sup>, jeżeli będzie możliwe Pico de Teyde<sup>115</sup>, a głównie uskuteczyć w Santa Cruz<sup>116</sup> ostatnie zakupy dla Afryki.

Zdecydowałem się więc zawinąć najprzód do Orotawy, leżącej na północnym brzegu, z której prowadzi droga najbliższa do sławnego wierzchołka i ogrodu, stamtąd zaś dopiero udać się do Santa Cruz.

Zanim jednakże wylądujemy na Teneryfie, musimy się zapoznać z owymi wyspami, znanymi już starożytnym pod nazwą Hesperyd. Pliniusz<sup>117</sup> przeważa je potem Kanaryjskimi, od wielkiej ilości psów, które tam napotkano. Następnie Hiszpanie nadali im znów miano „szczęśliwych”, podług starożytnych, zwąc je „Las Afortunadas”, nowsze wieki jednak zachowały słowo Pliniusza i wyspy są nam znane jako Kanaryjskie, „Las Canarias”.

Kto chce poznać ściślej uroczę te wyspy, niechaj przeczyta ważne dzieło Berthelota *Ethnographie et annales de la conquête des îles Canaries par Sabin Berthelot*. Ścisły znawca archipelagu, który należy do najciekawszych w świecie, był przez 46 lat konsulem francuskim na Wyspach Kanaryjskich. Czas ten oddał ścisłym studiom wysp i ważnej ich archeologii, wydając o nich dzieło po dziele. Jeżeli zaś zadowolę czytającego moim pobieżnym opisem, traktującym głównie o Teneryfie — uprzedzam, że oparty na Berthelocie — skreślę tylko wstępne notatki. Do obszerniejszej pracy o Wyspach Kanaryjskich zamierzam się kiedyś oddzielnie, gdyż powinny one stać się przedmiotem poważnych studiów, których śmierć nie dozwoliła dokończyć nieodżałowanemu pracowitemu Francuzowi.

Kto pierwszy odkrył Hesperyd, Afortunady, czyli Kanaryjskie Wyspy i jakiego pochodzenia byli ich pierwotni mieszkańcy zwani Guanczami, których zastali hiszpańscy zdobywcy w XV w., jest to zagadką jeszcze nierozstrzygniętą, której zasłona jednakże

<sup>110</sup>*Where are you going to?* (ang.) — Dokąd zmierzacie? [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*To Fernando Poo* (ang.) — Na Fernando Poo. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*farewell* (ang.) — żegnajcie; etymologicznie dosł.: dobrej podróży. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*thank you* (ang.) — dziękuję; dziękujemy. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Orotawa* — dziś popr.: La Orotava, miasto na wyspie Teneryfa, należącej do archipelagu Wysp Kanaryjskich, położone w dolinie noszącej tę samą nazwę. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Pic de Teyde* — dziś popr.: Pico del Teide (3718 m n.p.m.), najwyższy szczyt Teneryfy, jednocześnie najwyższy szczyt Hiszpanii. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Santa Cruz de Tenerife* — największe miasto Teneryfy. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Pliniusz Starszy* (23–79) — historyk i pisarz rzymski, autor dzieła *Naturalis historia* (*Historia naturalna*), stanowiącego rodzaj encyklopedii w 37 księgach. [przypis edytorski]

choć w części spadnie, gdyż skały i kryjówki Teneryfy są pełne czaszek i mumii starych Guanczów, którzy balsamowali swe trupy i składali takowe w najniebezpieczniejszych kryjówkach i grotach.

Przedsiębiorcze okręty Kartagińczyków, a mianowicie Tyru<sup>118</sup>, zakładały tu już swe osady w odległej starożytności, ale ich wielkość zbladła pod mieczem Rzymu i jego legiony objęły posterunki przedsiębiorczego narodu. Nie puściły się jednakże rzymskie floty ku dalekim Hesperyd, o istnieniu których zwyciężeni milczeli może umyślnie, i odległe Kanaryjskie Wyspy znów zasnęły w zapomnieniu.

Następnie za panowania Augusta<sup>119</sup> mauretański król Juba<sup>120</sup>, zapewne wskutek wiadomości i wskazówek otrzymanych z wnętrza swego państwa, znad brzegów dzisiejszego południowego Maroko, wysłał ekspedycję do odszukania owych wysp. Jako syn Juby starszego, króla Numidii zwyciężonego przez niezwalczone zastępy znad Tybru, był on wychowany w Rzymie, gdzie nabrał gustu do podróży i geografii i nasłuchiwał się wiele o starożytnych Hesperydach. Otrzymał więc od Augusta królestwo mauretańskie w zamian za utracone ziemie swego ojca, wysłał on na Wyspy Kanaryjskie ową ekspedycję, o której Pliniusz podaje nam relację (Pliniusza komentarz o Libii: lib. 7, cap. 37).

Gran Canarię, środkową z archipelagu, nazywa starożytny geograf, jak wspominaliśmy już, „Canaria” (*Canariam vocari a multitudine canum ingentis magnitudinis, ex quibus perducti sunt Jubae duo*<sup>121</sup>). Wyspę Ferro nazywa „wyspą kóz” (Capraria) od stad kóz w niej napotkanych przez posłańców mauretańskich<sup>122</sup>. Palmę nazywa „cienistą” od bujnej jej roślinności. Fuertaventurę i Lanzarote — wyspami mauretańskimi<sup>123</sup> (*Nec Mauritaniae insularum certior fama est. Paucas modo constat esse ex adverso Autololum, a Juba repertas, in quibus Getulicam purpuram tingere instituerat*<sup>124</sup>, lib. 6, cap. 36). Pliniusz nic nie wspomina o mieszkańcach, podaje tylko, że napotkano ruiny starożytnych budowli (*aparent que ibi vestigia aedificiorum*). Bynajmniej jednakże nie wynika z tego wniosek, że wyspy były niezamieszkałe; jeżeli bowiem ekspedycja króla Juby napotkała psy, to już obecność takowych świadczy o bytności człowieka. Prawdopodobnie więc mieszkańcy ukryli się w górach, widząc nadpływającą mauretańską flotę.

Przez długie wieki nie słyszymy następnie nic o archipelagu, o którym na nowo zapomniano. Wreszcie na początku XII wieku wypływa, podług arabskiego geografa Edrisi<sup>125</sup>,

<sup>118</sup>Przedsiębiorcze okręty Kartagińczyków, a mianowicie Tyru — starożytne miasto Kartagina zostało założone w IX w. p.n.e. w Afryce Północnej, na wybrzeżu M. Śródziemnego w pobliżu dzisiejszego Tunisu, jako kolonia fenickiego miasta Tyru (ob. Sur w Libanie); w VII–VI w. p.n.e. Kartagina usamodzielniała się, podporządkowała sobie inne zachodnie kolonie fenickie i zakładała własne kolonie, tworząc imperium obejmujące pas wybrzeża afrykańskiego i część Europy Południowej; od III w. p.n.e. prowadziła serię wojen z Rzymem, ostatecznie została zburzona w 146 p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>August a. *Octavian August*, właśc. *Gaius Iulius Caesar Octavianus* (63 p.n.e.–14 n.e.) — pierwszy cesarz rzymski; po okresie wojen domowych zapoczątkował epokę pokoju wewnętrznego i dobrobytu, zreformował armię i finanse, patronował rozbudowie i upiększaniu Rzymu, był opiekunem literatury. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Juba II (52 p.n.e.–23 n.e.) — władca Numidii, w 25 p.n.e. od rzymskiego cesarza Augusta otrzymał królestwo Mauretanii, po śmierci poprzedniego władcy, Bocchusa II, krótko rządzone przez Rzym; wspierał handel, sztukę i badania naukowe; napisał szereg niezachowanych książek na temat historii, geografii, przyrodoznawstwa, malarstwa, teatru. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*Canariam vocari a multitudine canum ingentis magnitudinis...* (łac.) — nazywa się Canaria z przyczyny mnóstwa psów niezmiernie wielkości, z których Jubie dwa przyprowadzono (Pliniusz, *Historia naturalna* VI 37, tłum. J. Łukaszewicz). [przypis edytorski]

<sup>122</sup>nazywa „wyspą kóz” (Capraria) od stad kóz w niej napotkanych przez posłańców mauretańskich — choć nazwa wyspy pochodzi najwyraźniej od słowa *capra*, tj. koza, Pliniusz nie pisze o kozach na tej wyspie ani o pochodzeniu nazwy, podaje jedynie: *Deinde Caprariam lacertis grandibus refertam* (Potem Capraria pełna wielkich jaszczurek; tłum. J. Łukaszewicz). [przypis edytorski]

<sup>123</sup>Fuertaventurę i Lanzarote — wyspami mauretańskimi — w rzeczywistości Pliniusz za ustaleniami Juby jako Wyspy Szczęśliwe wymienia nie trzy, ale pięć wysp, nazywając je kolejno: Ombrion, Junonia (wraz Junonią mniejszą), Capraria, Nivaria i Canaria, i o każdej podaje krótką informację; zaś zacytowany fragment o „wyspach mauretańskich”, zwanych też Wyspami Purpurowymi, występuje wcześniej, przy czym w następującym bezpośrednio po nim zdaniu Pliniusz stwierdza: „Niektórzy mniemają, że za tymi [wyspami] są Wyspy Szczęśliwe i kilka innych”. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*Nec Mauritaniae insularum certior fama est...* (łac.) — I o mauretańskich wyspach nie ma dokładniejszych wiadomości. To tylko wiadomo, że kilka z nich leży naprzeciw kraju Autololów; te Juba odkrył i nauczył mieszkańców farbowania purpurą getulicką (Pliniusz, *Historia naturalna* VI 36, tłum. J. Łukaszewicz). [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Edrisi, dziś: *Al-Idrisi*, właśc. *Abu Abd Allah Muhammad al-Idrisi* (1100–1166) — arabski kartograf, geograf i podróżnik działający na dworze króla Sycylii Rogera II; autor geograficznego opisu świata oraz jego przedsta-

z Lizbony, którą nazywa Aszboną (wtedy jeszcze znajdującą się pod panowaniem arabskim), ciekawa i uwagi godna ekspedycja: ośmiu braci Maghruinów.

Bracia Maghruini widzą Wyspy Azorskie, Maderę i przybywają wreszcie na Kanaryjskie. Napotykają tu ludność i zasiane pola, mężczyzn wysokiego wzrostu z włosami niekędzierzawymi, koloru śniadego, lecz rasy białej, kobiety nadzwyczajnej piękności. Ziemię widzą obrobioną i nadzwyczaj żyzną. Mieszkańcy biorą ich do niewoli i prowadzą przed swego króla, który zapytuje się przez tłumacza mówiącego po arabsku, jaki był cel ich podróży. Otrzymałszy odpowiedź, że ekspedycja wypłynęła dla odkrycia granic oceanu, król śmieje się z nich i objaśnia przez tegoż tłumacza, że ojciec jego próbował uczynić toż samo, lecz że okręty jego zaginęły. Następnie odsyła ich z zawiązanymi oczyma na okręt, na którym odwożą ich od wyspy.

„Płynęliśmy — opowiadają — trzy dni i trzy noce i przybyliśmy do nieznannej ziemi, na której wysadzili nas na ląd, z rękami związanymi na plecach. Następnie, pozostawiwszy nas na jakiejś równinie, odpłynęli. Tam pozostaliśmy do wschodu słońca, w smutnym stanie z przyczyny więzów, które trzymały nas w niemocy i męczyły nadzwyczajnie. Słyszając wreszcie wołanie i głosy ludzkie, zaczęliśmy krzyczeć. Wtedy przybyło kilku mieszkańców z okolicy, którzy znaleźli nas w tak przykrym położeniu, rozwiązały ręce, stawiając różne zapytania. Zdaliśmy więc relacje z naszego zajścia. Byli to Berberzy. Jeden z nich rzekł: »Czy wiesz, jaka jest odległość, która was dzieli od kraju?«. A kiedyśmy odpowiedzieli przecząco, dodał: »Z miejsca, w którym się znajdujemy, jest do waszej ojczyzny dwa miesiące drogi«. Jeden z tych ludzi, który wydawał się być naczelnikiem, powtarzał ciągle: »Wasafi!« (Oj! oj!) i to jest przyczyną, że nazwa tego miejsca pozostała do dziś dnia jeszcze: Asafi. Jest to port, o którym już mówiliśmy, że leży na końcu zachodu”.

Oto relacja odważnych arabskich nawigatorów. Edrisi podaje ją w zupełności<sup>126</sup>. Z relacji tej widzimy, że już wtedy udało się owym Arabom zwiedzić Maderę, Azory i Kanaryjskie Wyspy. Widzimy te ostatnie wyspy zaludnione, i to rasą nieafrykańską. Widzimy również, że miały stosunki z brzegiem Afryki, o czym świadczy tłumacz arabski, o którym wspomina relacja, oraz że mieszkańcy ściśle wystrzegali się przybyszów.

Kto byli atoli<sup>127</sup> ci mieszkańcy, skąd się wzięli i z jakich składali się szczepów — to pozostało dotąd tajemnicą. Prawdopodobnie pozostali oni jeszcze z resztek osad kartagińskich. Floty owych starożytnych przemysłowców przywiozły ich tu może z jednej z licznych swych posiadłości, a z czasem domieszała się do tych osadników część mieszkańców z brzegu, dalej z krain króla Juby, może i Rzymian nawet. Każdego dnia odkopujemy nowe pomniki, uzupełniając powoli wiadomości o nich, które prawdopodobnie rzucą wkrótce światło na pochodzenie zagadkowej rasy.

Znów minęło kilka wieków, ostatnich dla kanaryjskich wyspiarzy, przez które mogli cieszyć się swobodą i zapomnieniem ze strony Europy. Lecz nie na długo. Nadszedł wiek XV, a z nim zdobycie Kanaryjskich Wysp dla Hiszpanii przez Juana de Bethencourt, normañskiego barona. Rozpoczęły się rzezie i krucjaty, od chwili gdy okręty Normañczyka wspierane, a następnie wysyłane przez Hiszpanów, ukazały się na wodach długo szczęśliwego archipelagu. Najpierw (1402) zdobył Bethencourt Lanzarote, Fuertaventurę i Ferro, na których został przez Kastylię uznanym i upelnomocnionym władcą pod jej zwierzchnictwem. Po śmierci jego, która nastąpiła w r. 1406 w Normandii, reszta wysp uległa losowi pierwszych. Padła Gomera, Gran Canaria, głównie pod Hermanem Peraza, potem Palma i wreszcie Teneryfa z jej dzielnym królestwem Guanczów. Długo i rozpaczliwie broniła się nieszczęśliwa ta wyspa. Waleczni jej mieszkańcy mieli atoli także zginąć pod krwawym mieczem Hiszpanów, choć drogo musieli opłacić zdobywcę swą zdobycz. Każda piędź<sup>128</sup> ziemi pięknej Teneryfy okupiona była strumieniami krwi. Później zwiedzimy miejsce ostatnich zaciętych bitew, teraz zaznaczam tylko, że ludzie i przyroda były w przymierzu przeciw osaczonym Guanczom. Zaraza zdziesiątkowała ich

wienia na mapie pt. *Księga przyjemnych podróży przez nieznanne lądy*, w Europie znanego jako *Tabula Rogeriana* (łac. dosł.: Mapa Rogera) lub *Księga Rogera*. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Edrisi podaje ją w zupełności — dzieło Edrisi (Abu-abd Allah Mohammed-el Edrisi), nazywającego się chętnie geografem Nubii, było wydane w 1154 r. po n. Chr. pod tytułem *Rekreacje człowieka pragnącego poznać do głębi przeróżne części świata*. [przypis autorski]

<sup>127</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>piędź — dawna jednostka długości równa ok. 20 cm; pierwotnie odległość między końcem kciuka i małego palca rozwartej dłoni; tu: najmniejszy nawet skrawek ziemi. [przypis edytorski]

szeregi, a jednak szeregi te nie poddawały się dotąd, dopóki z ostatnią grupą swych wojowników nie uległ i ostatni król Guanczów, Bencomo, cofając się od świata i zamykając w najnieodostępniejszych wąwozach gór.

Nastąpiły teraz rządy Hiszpanów. Liczne familie Kastylii spokrewnione ze zdobywcami uzyskały tu posiadłości i tytuły. Obciążone kajdanami barki pozostałych zwyciężonych Guanczów znosić musiały kamienie przeznaczone na pałace zwycięzców, które szybko się wznosiły, jako siedziby prędko wytworzonej kanaryjskiej arystokracji.

Odtąd wyspy żyły wprawdzie jako prowincja hiszpańska, lecz oddzielnym życiem. Pierwszą rezydencją hiszpańskich magnatów i stolicą Teneryfy była wysoko położona Laguna, następnie zakwitła Orotawa i Santa Cruz. Z każdym rokiem przybywało ludności, a z Guanczów nie pozostało nic oprócz mumii, kości i licznych pamiątek cichego ich żywota.

Tylko na południowym brzegu, w najdalszej i najnieprzystępniejszej części Teneryfy, żyje oddzielnie do dziś dnia lud wieśniaczy zawierający resztki krwi ostatnich Guanczów z przymieszką krwi Hiszpanów. Czaszki tych górali mają wiele podobieństwa do starych odkopanych czaszek i przedstawiają ciekawe pole do badań dla tych, którzy zajmują się Teneryfą i starożytnymi jej mieszkańcami. Każdy, kogo losy zbliżą ze wskazówkami ich przeszłości, mimo woli zatrzymuje się nad grobami i zastanawia się nad zagadkami, jakie powoli odsłania Teneryfa. Co za dziwny naród przedstawiają ci pierwotni mieszkańcy jaskiń. Nie znali oni metalu i wyrabiali wszystkie swe narzędzia i sprzęty z drzewa, kamienia, gliny, kości i rogu. Otaczali jednak głęboką czcią zmarłych i dokładali wszelkich starań dla utrzymania jak najdłużej ich ciał: balsamowali je i przechowywali w najnieodostępniejszych kryjówekach.

Mumie Guanczów nadzwyczaj trudno odszukać; jaskinie, które obierane bywały na grobowce, bywały ściśle zamykane i pilnie zasypywane ziemią, by nie pozostawało nad nimi żadnego śladu. Dlatego przypadkowo tylko odkryć je można, najczęściej w miejscach dających przy stąpieniu głuchy odgłos podziemnego sklepienia. Jeden austriacki podróżnik, zauważywszy podobny odgłos, kazał prześwidrować grunt, na którym stał, i rzeczywiście natrafił na grobowisko Guanczów. Mumie, zaszyte w kozie skóry, leżały albo na drewnianych noszach, albo były oparte o ścianę; niektóre zaś, co jest zastanawiające, leżały na ziemi, mając tylko pod nogami podłożone deski. Męskie mumie mają ręce spuszczone na dół po bokach, żeńskie skrzyżowane nieco niżej piersi. Pomiędzy mumiemi znalazł ten sam austriacki uczonec, jak nam mówiono, w owej jaskini także — co najbardziej go zdziwiło — mumię olbrzymiej jaszczurki.

Jak już wspomniałem, kiedyś pomówimy obszerniej o Guanczach i przeszłości Wysp Kanaryjskich — teraz opuścmy dawne wieki i wracajmy do teraźniejszości.

## ROZDZIAŁ VIII

*Przybycie do Teneryfy. — Pilot — Port Orotawy. — Ogród botaniczny. — Pan Wildpret. — Plany wycieczki. — Fonda Espanola. — „Lucja-Małgorzata” odpływa naprzód do Santa Cruz. — Powrót do pana Wildpreta. — Panna Luiza. — Droga do miasta. — Pik Teneryfy. — Las Canadas. — Formacja wyspy. — Przybycie do miasta. — Hotel de Teyde. — Piękne damy Orotawy. — Ogrody. — Stary smok. — Wyjazd.*

Okręt nasz, który po wypłynięciu z Madery wstąpił w granice pasatów<sup>129</sup>, posuwał się bystro naprzód i już 31 stycznia przed południem ujrzelśmy kształtny, 13 497 stóp<sup>130</sup> wysoki wierzchołek Teneryfy — Pico de Teyde. Rzadko komu kanaryjski olbrzym ukazuje się w całej swej wspaniałości z daleka; zwykle pokrywa go pas chmur, ponad którymi sterczy szczyt jego biały. Nam jednakże odsłonił się cały około drugiej po południu.

Port Orotawy, do któregośmy dążyli, widocznie nie jest wiele uczęszczany; mapa nie wskazywała nawet latarni morskiej, a natomiast liczne skały i rafy podwodne. Wieczorem więc dla okrętu nieznanego tych wód zawinięcie do portu Orotawy jest niebezpieczne. Toteż kazałem podnieść sygnał żądający pilota i oczekiwaliśmy go z niecierpliwością, gdyż

<sup>129</sup> *pasat* — ciepły, stały wiatr o umiarkowanej sile, wiejący w strefie międzyzwrotnikowej; na półkuli północnej pasaty wieją z północnego wschodu, zaś na południowej z południowego wschodu. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *stopa* — dawna jednostka długości równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

wieczór się zbliżał. Sygnał jednakże wisiał już dobrą godzinę, podczas której lunety nasze były skierowane ku portowi, a nie mogliśmy nic zauważyć, co by odpowiadało naszemu żądaniu. Port podnosił się na małym wzgórzu, przed którym na zupełnie otwartej zatoce sterczały rzeczywiście czarne rozsypane skały. Morze pienilo się naokoło nich i biada łodzi, która by odważyła się zmierzać ku wirującym tym falom. Nieco dalej, o jakie dwie mile morskie od portu, leżało nad nim, w rozległej pięknej dolinie, właściwe miasto Orotawa. Słońce zachodziło właśnie i ozlacało drobne okienka białych domów.

Uroczą, nadobną doliną Orotawy, jakże gościnnie przyjął podróżników z północy!

Pilota jednak jak nie było, tak nie było. W porcie w ogóle nie stał ani jeden okręt, tylko wzdłuż brzegów pod samymi skałami płynęła lekka biała goeleta<sup>131</sup>. Musiała dobrze znać brzegi i wody orotawskie, gdyż pruła fale śmiało, wymijając jak stary bywalec niebezpieczne miejsca. Tymczasem zapłonęły szczyty gór, krajobraz zajaśniał złoto-purpurowym blaskiem i za chwil kilka skryło się słońce.

Nagle goeleta zmieniła kurs, jak gdyby chciała się zbliżyć ku nam, i postąpiwszy w nowym kierunku kilkadziesiąt metrów, spuściła lódź. Spostrzegliśmy na niej flagę pilota, wypłynęła więc na nasze spotkanie podług sygnału. Zatrzymano okręt i wkrótce przewodnicząca szalupa znalazła się obok burtu.

— *Saludo, senores!*<sup>132</sup>

— *Gracia! Buena tarde!*<sup>133</sup>

— Czy nie ma chorób na okręcie?

Jako odpowiedź poleciłem mu spojrzeć na nas. Byliśmy wszyscy przy nadzwyczajnym zdrowiu i w dobrym humorze. Pilot się zaśmiał, podczas gdy szalupie podano linę, by mogła z okrętem podążać naprzód. Lecz nagle po 20 metrach drogi pilot zakomenderował: „Zarzuć kotwicę!”. Staliśmy jeszcze tak daleko od brzegu, że dla odbycia tych kilkudziesięciu metrów zaiste nie było potrzeba pilota.

— Jak to, *senor piloto*, więc to nazywacie portem? Mamy stanąć na pełnym morzu? — zawołał kapitan Boutes zdziwiony. — Nie możesz prowadzić nas dalej?

— O nie! — odparł flegmatycznie wyspiarz. — Teraz w nocy to trudna sprawa.

Musieliśmy więc stanąć na kotwicy, rzeczywiście prawie na otwartym morzu.

— A gdzie port, przystań jaka dla okrętu?

— Tu port — odparł lakonicznie, wskazując miejsce, w którym staliśmy. — Nie ma innego.

To rzekłszy, zapytał, czy nam jeszcze czego nie potrzeba, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, uklonił się i powrócił do portu. Doświadczeniem więc przekonaliśmy się, że Orotawa nie posiada właściwie portu. Mapy nautyczne<sup>134</sup> twierdzą jednakże swoje i oznaczają Orotawę jako port, ponieważ posiada stację pilocką, ową goeletę i portowego kapitana.

Rozstawszy się z pilotem i zapuściwszy jeszcze kilkanaście sążni łańcucha, staliśmy bowiem na 20 sążniach głębokości — widziałem, iż tu z okrętem pozostać nie będzie można, i postanowiłem albo odesłać go następnego dnia do Santa Cruz, zwiedzić wyspę z Orotawy i przybyć do owego portu łądem na spotkanie okrętu, albo zwiedziwszy rano wyłącznie ogród botaniczny, wprost popłynąć do Santa Cruz.

Okrętowej szalupy nie chciałem już tym razem narazić na podobne zajście jak na Maderze zajście, które z powodu skał nadbrzeżnych łatwo mogło przybrać dla nas obrót daleko fatalniejszy. Gdy więc następnego rana odbyły się formalności co do stanu zdrowia osady okrętowej, umówiłem się z pilotem, przybyłym po honorarium za niewielkie swe wczorajsze trudy, by przewiózł nas do portu. Po krótkim targu pilot zgodził się za dwa i pół dolara na żadaną usługę; razem więc z członkami ekspedycji, jako też z kapitanem Boutes pojechaliśmy do Orotawy, by korzystać z okazji i zwiedzić sławny jej ogród botaniczny.

Udaliśmy się tedy do portu. Podchodząc ku brzegom, przekonałem się, że rzeczywiście byłoby niebezpiecznie narażać okrętowe łodzie na buruny, bijące jeszcze silniej niż na Maderze, bo chociaż port miał kamienną przystań dla szalup, jednak fale, odbijane

<sup>131</sup>*goeleta* (z fr. *goélette*) — dziś: szkuner, statek o ożaglowaniu skośnym, zwykle posiadający dwa maszty, przy czym tylny jest wyższy od przedniego. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Saludo, senores!* (hiszp.) — Pozdrowienie, panowie! [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*Gracia! Buena tarde!* (hiszp.) — Dziękujemy! Dobry wieczór! [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*nautyczny* — związany z nawigacją morską, żeglarstwem. [przypis edytorski]

od skał zakrywających wejście, piętrzyły się około nich i tylko przy pomocy podanych z brzegu ramion licznych widzów wydostaliśmy się bez kąpieli na ląd.

Polecilem szalupie, aby czekała na nas o trzeciej po południu, i postąpiwszy kilka kroków naprzód, znajdowaliśmy się na małym, brudnym portowym wybrzeżu.

— *Donde es la capitania?*<sup>135</sup> — zapytałem jednego z eskortujących nas licznych ciekawych chłopców, zamierzając udać się naprzód do naczelnika portu.

— *Aquí, señor, esta casa*<sup>136</sup> — wskazał zapytany i pobiegł naprzód ku drewnianemu domkowi, którego budowa i stan obecny pozostawiały nader wiele do życzenia.

Krzywe schodki prowadziły na mały ganek z obu jego stron, a na nim stał otoczony kilkunastu ludźmi średniego wieku mężczyzna, przyjemnej powierzchowności, z długą czarną brodą. Był to kapitan portu, który spostrzegłszy przybywającą od okrętu szalupę, wyszedł na ganek i przypatrywał się przybywającym. Widząc, że się z kapitanem Boutes kieruję ku niemu, uklonił się grzecznie i postąpił kilka kroków naprzód. Przedstawiliśmy się wzajemnie, zapytał nas o zdrowie, o cel dalekiej podróży i o przyczynę przybycia do rzadko odwiedzanego portu Orotawy. Objąsnilem go w krótkich słowach i poprosiwszy o przygotowanie papierów okrętowych na godzinę drugą i pół, pożegnaliśmy się i ruszyli przez portowe uliczki ku ogrodowi.

Port Orotawy, który dla odróżnienia od miasta Orotawy (*La Villa de Orotava*) nosi nazwę *Orotava el Puerto* lub też wprost *el Puerto*, był widocznie niegdyś założony na większą skalę. Blisko brzegu za kapitanerią zauważyliśmy rozległy plac, w pośrodku którego znajduje się skwer z wielką kamienną fontanną. W wodzie jej basenu igrają drobne złote rybki w towarzystwie mniejszych ryb morskich; woda jednakże mętna, a skwer i plac, niegdyś może okazałe, dziś zaniedbane i obrośnięte trawą. Nieco dalej, za krótką uliczką, piękny stary kościół, także na placu; wszystko jednakże uległo niszczącemu zębowi czasu. Założyciele portu lub następne pokolenia musiały się przekonać, że marynarze wolą bezpieczną zatokę *Santa Cruz* niż skaliste brzegi, przy których zarzuciliśmy kotwicę. Na założonych placach nie zapanował ruch oczekiwany i port podupadł zupełnie.

Podczas gdyśmy kroczyli naprzód w kierunku, w którym leżał ogród na mapie, gromada dzieci towarzysząca nam od brzegu ani myślała nas opuścić. Kapitan Boutes znalazł jednakże na to radykalny sposób. Wybrawszy sobie w cieniu alei, przez którąśmy przechodzili, mocną gałąź eukaliptusową i sporządziwszy z niej odpowiedni instrument, wpadł nagle pomiędzy natrętne towarzystwo, które też w mgnieniu oka rozproszyło się po okolicy i nie pokazało więcej. Drogę stanowiła z początku górzysta, kręta ścieżka, prowadząca najpierw wzdłuż skał morskich przez piękną aleję, następnie oddalała się od brzegu, wreszcie rozpoczęła się na wyżynie szeroka, agawami wysadzana szosa, na której zauważyłem pierwszych wieśniaków i wieśniaczki. Trzeba podziwiać zręczność kobiet tutejszych, z jaką noszą ciężary na głowie. Używają do tego celu płaskich, twardych, słomianych kapeluszy. Na tej przygotowawczej podstawie umieszcza wieśniaczka swój kosz, wielkie krajowe gliniane naczynie używane do wody lub podługowatą kanaryjską beczułkę i śmiało wędruje z tym ciężarem do miasta, pnie się po górach i schodzi w doliny, bez obawy o chwiejający się na głowie przedmiot.

Po półgodzinnym marszu znaleźliśmy się na zielonej wyżynie, na której zarysowały się też wkrótce mury i drzewa ogrodu. Poza nami w dole widniał port i wybrzeże morskie.

Ciche, szczęśliwe wy mury, poza którymi nigdy nic nie zakłócało spokoju; jak przyjemne były krótkie chwile spędzone pomiędzy wami!

Przed furtką stał rząd kilkunastoletnich smoczycich drzew (*drakonów*)<sup>137</sup>, zatrzymujących na sobie ciekawy wzrok moich podróżników, widzieli je bowiem po raz pierwszy. Drzewa owe, których zawsze zielone gałęzie podnoszą się jak ramiona świeczników w górę, od dawien dawna odgrywały ważną rolę na wyspach i są ściśle związane z ich historią. W Orotawie nabral szczególne rozgłosu zgrzybiały ich patriarcha: sławne na całą ku-

Dziecko

Drzewo

<sup>135</sup>*Donde es la capitania?* (hiszp.) — Gdzie jest kapitanat? (kapitanat to kierownictwo portu, urząd zarządzający sprawami związanymi z ruchem statków w porcie; na czele kapitanatu stoi kapitan portu). [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Aquí, señor, esta casa* (hiszp.) — Tutaj, proszę pana, ten dom. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*smocze drzewo* — dracena smocza a. smokowiec, drzewo o grubym, rozgałęziającym się pnium i wąskich liściach układających się w koronę na kształt parasola, występujące tylko na Maderze i Wyspach Kanaryjskich. [przypis edytorski]

łę ziemską smocze drzewo Orotawy, którego wiek oznaczył Humboldt<sup>138</sup> na 4200 lat. „Czternaście osób, siedzących naokoło stołu, jadło w jego spróchniałym pniu” — pisał Clavijo<sup>139</sup>, zmarły botanik wysp, wspominając niezwykły ten pomnik roślinnego świata. Później zwiedzimy miejsce, na którym się znajdował; silny orkan bowiem strząsał olbrzymiego staruszka w 1868 r.

Główną sławę zdobył drakonem (*Draco Canariensis*, *Dracaena Draco* Lin.) właściwym Wyspom Kanaryjskim, lecz napotykanym także na Maderze i Porto Santo — czerwony purpurowy sok, który jakby krew wycieka z pnia podczas lata i zsyca się jako kolorowa żywica. Już Rzymianie znali tę smoczą krew kanaryjskich drakonów, którą nazywali *crinabaris*. Pliniusz wspomina o niej w swej *Historii naturalnej*<sup>140</sup>. Żywica ta nie rozpuszcza się w wodzie bez pomocy alkoholu. Posiadając własności wysuszające i ściągające, bywała używana przez starych Guanczów przy balsamowaniu ich mumii, lecz ma ona oprócz tego ważny użytek w medycynie, gdzie jako środek wewnętrzny służy przeciw dyzenterii<sup>141</sup> i utracie krwi, używana zaś zewnętrznie jest wyśmienitym środkiem dla wzmacniania i ściągania dziąseł, toteż zawierają ją wszystkie proszki przygotowywane w tym celu. Ponieważ oprócz tego sok *Dracaeny* jest pożądanym do farb, kolorowych atramentów, werniksów<sup>142</sup> i laków, stanowi więc ważny artykuł handlu, dający dziesięciokrotne zyski. Szkoda tylko, że ważne i pożyteczne to drzewo staje się coraz rzadsze i że niestety prawdopodobnie z czasem wyginie, jeżeli mieszkańcy nie uczynią większych niż dotąd starań celem jego rozmnożenia.

Zatrzymawszy się tedy około zewnętrznego rzędu drakonów, weszliśmy następnie do sławnego ogrodu. Zapytałem o dyrektora i czy można będzie z nim się zobaczyć. Otrzymałem odpowiedź, że jest przy śniadaniu, posilem by go nie trudzono, i posłałem swój bilet, rozpatrując się tymczasem bez przewodnictwa.

Ogród, założony w r. 1796 przez markiza de Villanueva del Prado i podarowany w testamencie rządowi, leży na wysokości 85 metrów ponad powierzchnią morza. Nadzwyczajna jednostajność temperatury (średnio 18° Reaumura<sup>143</sup>) nastęrczyła założycielowi myśl użycia pięknego tego punktu orotawskiej doliny do aklimatyzowania roślin stref tropikalnych i przesyłania aklimatyzowanych okazów do metropolii i innych stolic Europy. W tym celu też ogród został założony.

Znajdowaliśmy się w rodzaju przed-ogrodu, w pośrodku którego biła fontanna, ocieniona rozłożystymi drzewami i niższą roślinnością. Gęste korony utrzymywały przyjemne półświatło, poza fontanną zaś, o kilka stopni wyżej, otwierała się, przecinając niski murek, perspektywa na długą, szeroką aleję, w całej długości ogród przerywnąją.

Nie zdołaliśmy się jeszcze rozpatrzeć wokoło, gdy wszedł młody człowiek, syn dyrektora, przepaszając, że ojciec za chwilę dopiero będzie mógł nam towarzyszyć, lecz że z miłą chęcią sam nas tymczasem oprowadzi po ogrodzie. Podziękowałem serdecznie za propozycję i zaczęliśmy rozmowę o ogrodzie, jego założeniu i teraźniejszej dyrekcji.

Wkrótce nadszedł też sam pan Wildpret, serdeczny, gościnny Szwajcar, ogólny ulubieniec wyspy, a duch opiekuńczy ogrodu. Pan Wildpret oświadczył mi, iż jest tylko głównym ogrodnikiem, w rzeczy samej zaś jest on wszystkim dla ogrodu. Sam dyrektor, Don Nicolas Benitez de Lugo, rzadko kiedy znajduje się w ogrodzie, zawsze prawie jest

<sup>138</sup> Humboldt, Alexander (1769–1859) — niemiecki przyrodnik i podróżnik, twórca nowożytnej geografii. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> Czternaście osób, siedzących naokoło stołu (...) pisał Clavijo — Viera y Clavijo, *Diccionario de Historia Natural de las Islas Canarias*, Gran Canaria 1860. [przypis autorski]

<sup>140</sup> Pliniusz wspomina o niej [o żywicy zwanej smoczą krwią] w swej „Historii naturalnej” — *Ex iis quoque Insulis crinabaris Romam advebebatur. Sane hodie etiam num frequens est in Insulis Fortunatis arbor illa, quae crinabarim gignit, vulgo sanguinem draconis appellant.* Plinius, *Historia naturalis*, lib. VI, cap. XXXVII [w rzeczywistości są to słowa przez rozmaitych uczonych i podróżników błędnie przypisywane Pliniuszowi, a pochodzące od Isaaca Vossiusa (1618–1689), z jego komentarza do dzieła Pomponiusza Meli: *Isaaci Vossii observationes Ad Pomponium Melam De Situ Orbis*, Hagae Comitum, apud Adrianum Vlacq, 1658, s. 315 (ad lib. III, cap. X); red. WL]. [przypis autorski]

<sup>141</sup> *Dyżenteria* — czerwonka, ostra choroba zakaźna jelit, której objawem jest uporczywa, krwawa biegunka. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *werniks* — substancja na bazie żywicy stosowana w malarstwie jako szlachetny lakier. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> 18° Reaumura — autor używa tutaj dawnej skali termometrycznej wprowadzonej w 1731 przez francuskiego fizyka Réaumura i używanej w Europie Środkowej jeszcze na początku XX w.; 18° Réaumura odpowiada 22,5° Celsjusza. [przypis edytorski]

w podróży i o ile mi się zdaje, posiada tylko tytuł nominalny. Natomiast dla pocziwego pana Wildpreta nie ma nic droższego na świecie nad powierzony mu ogród. Dwadzieścia sześć lat pracuje już nad nim przez rok cały, gdyż nie ma tu zimy, pozwalającej odpocząć ogrodnikowi. Panuje tu wieczna wiosna, a dla niego jest ciągła praca. Toteż tylko zamiłowaniu, zaparciu się siebie samego i zupełnemu poświęceniu p. Wildpreta ogród zawdzięcza swój byt. Rząd płaci mu tak mało, że wątpię, czy znalazłby się kto inny, który by się zdecydował na ćwierć wieku opuścić Europę dla ciągłej pracy w odległej, choć pięknej dolinie.

— A jednak — rzekł mi smutnie — rozstać się z Orotawą i z moim ogrodem nie mogę. Mówię: mój ogród, boć przecież ja sadziłem te drzewa, w których cieniu przechadzamy się. Delikatną roślinkę tej wysokiej palmy trzymałem w ręku, sadząc ją w tym miejscu, gdzie od dawna dom mój przerosła. Kiedym objął ogród, było w nim sześćset roślinek; dziś posiada on przeszło trzy i pół tysiąca przedstawicieli egzotycznego świata. Wtedy — dodał z westchnieniem — byłem młody i silny. Dziś, choć siwy, nie zostawię ogrodu bez opieki, przeciwnie, boję się nawet, by mnie z niego nie wyrzucili na starość.

Nigdy nie widziałem tak cichego, zupełnie oddanego swemu powołaniu pracownika. Nikt go prawie nie wspiera, rząd wyznacza na utrzymanie ogrodu sumkę nadzwyczaj szczupłą, bo rząd nie jest bogaty, Orotawa daleko od Madrytu, a pan Wildpret dokłada swego grosza, aby tylko nie brakło niczego roślinnym jego oblubieńcom.

Sliczne palmy przede wszystkim zwracają na siebie uwagę zwiedzającego. Wysoka palma kanaryjska (*Phoenix canariensis*), palma królewska (*Oreodoxa regia*)<sup>144</sup> i australijski kokos (*Cocos australis*)<sup>145</sup> królują blisko wejścia. W niewielkiej odległości od nich ciekawa zagadka przyrody: madagaskarskie „drzewo podróżnika”, wspaniała *musacea*<sup>146</sup>, *Urania speciosa*<sup>147</sup>. Oryginalna ta roślina rozszyła ze swej korony olbrzymie zielone wachlarze, kierujące się zawsze podług słońca i dające pod sobą cień zmęczonemu podróżnikowi. Pożyteczne łodygi i pień tej rośliny są wewnątrz puste i podczas tropikalnych deszczów napęlniają się obficie wodą, którą potem krajowcy Madagaskaru przez uczynione nacięcia toczą z zielonego źródła, dostarczającego jej w znacznej ilości.

Olbrzymie eukaliptusy, wprowadzone przez p. Wildpreta, dają ogrodowi wiele cienia. Niezmęczony botanik zwrócił mą uwagę na ośmioletni *Eucalyptus globulus*, który doszedł już do 32 metrów wysokości. W ogóle wyspa zawdzięcza swemu botanikowi dotychczas przeszło 5000 tych pożytecznych drzew. Drzewo papierowe (*Azabia papyrifera*)<sup>148</sup>, dające sławny chiński papier, prosperuje tu również. Obok pięknej grupy bambusów stoi wielki jawański *Pandanus*, lecz głównie zwraca uwagę naprzeciwko niego z drugiej strony alei stojący afrykański *Pandanus utilis*. Oryginalne to drzewo, z którego korony i pnia wrastają w ziemię drewniane kolumny, rodzaj pustych powietrznych korzeni, niewstrzymywanych nawet najtwardszym gruntem, wygląda z daleka jak olbrzymi żyrandol. Spód zaś, to jest pień, wydaje się jak gdyby był poobstawiany naokoło znaczną ilością pałek. Ojczyzną tego drzewa, dającego niewielki jadalny owoc, jest dolina rzeki Kongo, odkrył je zaś wielkiej pamięci Livingstone<sup>149</sup>. Główny ogród, tj. część przecięta aleją, leży kilka stóp wyżej od powierzchni fontanny wspomnianego już przedtem ogrodu, w końcu zaś alei podnoszą się znów schodki do ostatniej, jeszcze wyżej leżącej części. Tu znajduje się granitowy basen, którego woda, sprowadzana z gór przez drewny i sztuczne kanały, służy do potrzeb ogrodu podczas zbyt długiej suszy. Tu też zastaliśmy bujne, zielone grupy bananów, rosnących naokoło olbrzymiego abisyńskiego bananu, niedającego owoców. Mierzyłem jeden z ich liści: miał 2 i 1/2 stopy szerokości na 7 długości. Piękne te liście są jednakże nader delikatne;

Ogród

<sup>144</sup>palma królewska (*Oreodoxa regia*) — w ob. klasyfikacji *Roystonea regia*, palma pochodząca z Kuby. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>australijski kokos (*Cocos australis*) — kokosy w Australii nie występują; łaciński przymiotnik *australis* oznacza „południowy”, zaś nazwę *Cocos australis* nosił w XIX w. występujący w Ameryce Południowej gatunek *Syagrus romanzoffiana*, zwany palmą królowej. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*musacea* (biol.) — egzemplarz drzewa należącego do tropikalnej rodziny bananowatych (*Musaceae*). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>madagaskarskie „drzewo podróżnika” (...) *Urania speciosa* — w obecnej klasyfikacji *Ravenala madagascariensis*, pielgrzan madagaskarski. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Aralia papyrifera* — w ob. klasyfikacji *Tetrapanax papyrifera*. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>Livingstone, David (1813–1873) — szkocki misjonarz, lekarz i odkrywca, miłośnik Afryki, poszukiwacz źródeł Nilu; uważany za jednego z najsłynniejszych bohaterów Wlk. Brytanii z poł. XIX w. [przypis edytorski]



lada świeży wietrzyk przerywa owalną, podługowatą powierzchnię aż do środka i czyni je podobnymi do wielkich piór powiewnych.

Środek głównego ogrodu zajmuje także obszerna fontanna, której kamienny obwód jest obrośnięty kanaryjskimi euphorbiami<sup>150</sup> i drobnym fioletowym kwiatem teneryjskich nieśmiertelników. Kiedy przystąpił do fontanny, by bliżej obejrzeć tę drobną barwną roślinę, objaśnił mnie p. Wildpret, że posiada ona wielu amatorów, a właściwie amatek; nieśmiertelnik ten bowiem, mimo żywego swego koloru, nigdy go nie traci, toteż dość znaczne transporty jego wypływają corocznie do Francji, by spocząć na główkach paryżanek. Zapytałem starego botanika, czyby mi nie udzielił pęczka tych faworytek, abym mógł kiedyś przywieźć je nad Wisłę, dla paryżanek północy. Serdeczny Szwajcar nappełnił nam nimi kieszenie i butonierki. Czy je wam zdołam przewieźć w całości, nadobne<sup>151</sup> me rodaczki, po dalekich marszach, jakie mnie czekają, prawdziwie nie wiem i nie śmiem obiecywać, lecz postaram się spełnić.

Po obejrzeniu ogrodu p. Wildpret zaprosił nas, byśmy odwiedzili skromny jego domek; weszliśmy więc i wypoczęli przy kieliszku teneryfy, ciesząc się pięknym widokiem, jaki przez otwarte okna odsłaniał się na morze.

— Może chcecie panowie — zagadnął nagle niezmięczony gospodarz — zwiedzić moje zbiory nasion?

— I owszem — odrzekłem i poszliśmy do jego gabinetu.

Po pracowni poznajesz pracownika. Od posadzki do sufitu ciągnęły się tu półki zawierające uporządkowane nasiona.

— Oto — rzekł p. Wildpret, dobywając kilka kawałków starego spróchniałego, czerwonego koloru drzewa — drogocenne relikwie Orotawy, ostatnie szczątki starego smoka; były one świadkiem czterech tysięcy lat i serce się ścisnęło wszystkim, gdy kilkanaście lat temu straszny orkan rozbił w proch naszego patriarchę. Zechciejcie panowie przyjąć te jego szczątki od nowego, lecz serdecznego przyjaciela.

Ucieszyłem się drogocenną zdobyczą dla zbiorów ekspedycji, a wkrótce p. Wildpret zbogacił<sup>152</sup> nas nowym podarunkiem. Była to starożytna czaszka Guancza, odkopana na południowym brzegu. Nie wiedziałem, jak mu wyrazić swą wdzięczność, lecz radość moja powiększała tylko zadowolenie poczciwego starca, niechętnego nawet słyszeć o podziękowaniu.

— Czy pozostajecie panowie w Orotawie? — zapytał on, gdyśmy wychodzili z gabinetu.

— Nie jestem jeszcze zdecydowany — odparłem. — Port niezbyt bezpieczny, myślę więc wysłać okręt do Santa Cruz z kapitanem Boutes, sam zaś z towarzyszami pragnę udać się tam łądem, by zwiedzić wnętrza wyspy.

— Wyborny plan — zawołał nasz gospodarz żywo. — Mam także interes w Santa Cruz; jeżeli więc pan pozwoli, pojedziemy razem, a po drodze będzie mi przyjemnie pokazać panu część wyspy.

Byłem uradowany z propozycji.

— Czyż mogłem trafić szczęśliwiej? — odpowiedziałem. — Zejdę więc do portu, by uporządkować papiery w kapitani, i wysłać okręt.

— Wyśmienicie! A potem bądźcie panowie łaskawi znów wejść na górę do starego Wildpreta. Wypijemy jeszcze kieliszek teneryfy, dzieci moje zagrają nam marsza szwajcarskich strzelców, tymczasem zaś uprzedzę na górze w mieście, by przygotowano kolację w hotelu i ruszymy wieczorem do miasta, droga niedaleka.

Na tym też stanęło. Projekt był doskonały. Rzekłszy skromnemu domkowi do widzenia, powróciliśmy do portu.

Po drodze przypomniał nam żołądek, że pomimo pierwszej godziny po południu, nie mieliśmy dotąd nic w ustach od rana, oprócz teneryfy, która jeszcze zaostrzyła apetyt, weszliśmy więc do hiszpańskiej *fondy*, napotkanej przy wejściu do portu.

<sup>150</sup>*Euphorbia* — wilczomlecz, rodzaj roślin obejmujący ok. 2000 gatunków, rosnących głównie w strefach cieplejszych, szczególnie licznie w Afryce; w Europie występuje dziko ok. 100 gatunków, w Polsce ponad 20. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*nadobny* (przestarz.) — urodziwy, ładny. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*zbogacić* — dziś popr.: wzbogacić. [przypis edytorski]

Wszystkie prawie prowincjonalne hotele (*fondy*), szczególnie na południu w koloniach, są mniej więcej jednakowe. Przeszedłszy bramę, wchodzisz na galerię ciągnącą się dokoła wewnętrznego zamkniętego podwórka, mającego zwykle w środku grupę południowych roślin, aczkolwiek prawie zawsze silnie zaniedbanych. Z przedniej części galerii, przylegającej do schodów, prowadzą drzwi do salonu, zawierającego wielki dywan, sofę, kilka staroświeckich foteli, parę stolików pod lustrami, zegar z przeszłego wieku i obraz jakiego patrona albo patronki. Zupełnie taka sama była i „Fonda Espanola” w porcie Orotawy. Gdyśmy weszli na schody, ukazała się we drzwiach salonu hoża dziewczyna o śniadej cerze i z bujnymi rozpuszczonymi włosami.

— *Tiene algo que comer, señorita?*<sup>153</sup> — zapytałem się, zdejmując kask, który ciężył mi na głowie.

— *Si, señor*<sup>154</sup>.

I obiecała nam przygotować w przeciągu pół godziny śniadanie, a tymczasem przysłać karafkę teneryfy. Zgodziliśmy się czekać, pod warunkiem że karafkę przyniesie sama.

Hiszpanka zadość uczyniła prośbie i wkrótce siedzieliśmy przy stole w *comedorze* (pokoju jadalnym).

Kuchnia hiszpańska w koloniach jest nieco odmienna od europejskiej. Potrawy, których zwykle podają od siedmiu do ośmiu, ale każdej niewiele, przygotowane są na oliwie. Nie każdemu trafia to do gustu, lecz oliwa jest świeża. Hiszpanie do niej przyzwyczajeni, a obcy podróżnik, zwykle zmęczony, nie bywa wybredny, gdy ma apetyt. Na szczególną wzmiankę z kuchni hiszpańskiej zasługuje *tortilla*. Jest to omlet z jaj, batatów<sup>155</sup>, kartofli i cebuli, ulubiona ogólnie potrawa, rzeczywiście wyśmienita i przygotowywana z wielką umiejętnością. Ryby są prawie niezbędne przy każdym śniadaniu lub obiedzie, podają jednakże takowe, wbrew naszemu zwyczajowi, na końcu.

Jedzenie

Od Rafaeli naszej — bo takie było imię usługującej nam gospodyni — dowiedziałem się, że niedawno bawił tu jakiś książę Karageorgiewicz, który na krótki czas przed odpłynięciem z Funchalu także wyjechał parowcem do Teneryfy, prawdopodobnie więc spotkamy się znowu w Santa Cruz.

Powróciwszy do przystani, zastaliśmy o umówionej godzinie pilota czekającego z łodzią. Odwiedziłem więc powtórnie portowego kapitana, wziąłem papiery i powierzywszy otrzymaną czaszkę kapitanowi Boutes, pożegnałem się z nim, polecając mu, aby popłynął z okrętem do Santa Cruz. Myśmy tymczasem wyruszyli na powrót na górę do ogrodu i wkrótce zarysował się nam domek p. Wildpreta, na którego progu przywitał nas sam serdecznie.

— A więc jedziemy! — zawołałem, wyciągając do niego rękę.

— Jak to, chcecie panowie zaraz dalej? — odparł p. Wildpret, wprowadzając nas do pokoju. — Mamy wiele jeszcze czasu. Upredziłem w mieście w hotelu del Teyde, że będziemy około siódmej. Do miasta zaledwie pół godziny drogi, a teraz dopiero czwarta, proszę więc, zróbcie mi panowie tę przyjemność i siadźcie. Zagramy, zaśpiewamy, jak gdybyśmy byli u mnie w Szwajcarii. Mój Boże! Co też się tam dzieje w naszych górach! Teraz nie często miewam gości z Europy, patrzę więc na panów jak na starych przyjaciół.

— Służymy panu z całą ochotą — odpowiedziałem — bo z pewnością nikt na całej wyspie nie jest nam szczerzej życzliwy i nie rozporządzi lepiej krótkimi chwilami, które na Teneryfie pozostać możemy.

Siedliśmy przy oknie, rozmawiając o wykopaliskach z przeszłości Guanczów — pragnąłem skorzystać z każdej rozmowy z p. Wildpretem dla dowiedzenia się jak najwięcej na miejscu o przedmiocie żywo mnie zajmującym.

Wkrótce jednakże rozmowa nasza przyjemnie przerwana została wejściem panny Luizy, córki pana Wildpreta.

— Oto moja córka, pocziwe dziecko — rzekł do mnie, wskazując wchodzącą.

Panienka, którąśmy powitali, przedstawiała urocze zjawisko. Wytworny pędzel mi-

Uroda

<sup>153</sup>*Tiene algo que comer, señorita?* (hiszp.) — Czy macie coś do jedzenia, panienko? [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Si, señor*, popr.: *Si, señor* (hiszp.) — Tak, proszę pana. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*batat* — (po angielsku *sweet potatoes*), rodzaj słodkiego kartofla, zbliżony do jamsu. [przypis autorski]

strzów szkoły flamandzkiej<sup>156</sup> nie byłby w stanie stworzyć bardziej czarującego obrazu. Czarne, hebanowe sploty otaczały białe lica, ożywione parą ślicznych szafirowych oczu, których długie, jedwabne rzęsy podniosły się powoli, witając licznych przybyszów z wyrazem zadziwienia.

— Jakąż piękną córką obdarzyły pana nieba! — nie mogłem się wstrzymać, by nie powiedzieć półgłosem do p. Wildpreta, spoglądając z zachwytem na gwiazdę Orotawy.

— Och, mój Boże — odparł, uśmiechając się ojciec — każdy młody pączek jest świeży, a skończyła niedawno szesnaście lat.

I przedstawił nas pannie Luizie, zmieszanej ostatnimi słowami ojca, wypowiedzianymi w tak licznym towarzystwie.

Wkrótce jednakże lody były przełamane i uroczy kwiatek pięknej doliny gwarzył swobodnie z przybyłymi. Za chwilę wszedł też i brat, którego poznaliśmy już rano w ogrodzie, i usłyszeliśmy obiecany marsz szwajcarskich strzelców, artystycznie odegrany na cztery ręce.

— Czy nieprawda, że nasz marsz piękny? — zwrócił się do mnie poczciwy Szwajcar.

— Podziwiałem go zawsze — odpowiedziałem — dziś zaś zachwyca mnie jeszcze więcej i każdy ton jego pozostawi echo w mej duszy, przy tym... taka piękna wykonawczyni!

Pan Wildpret się uśmiechnął.

— A czy pan mówisz po hiszpańsku? Bo córka moja, niestety, nie posiada żadnego z północnych języków. Czybym był kiedy przypuszczał, że się ożenię z Hiszpanką, ja Szwajcar? A jednak tak się stało, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Żonę moją poznałem tu, dzieci wszystkie tu się urodziły, a dziewczyna mówi tylko po hiszpańsku.

— Mówię i ja jako tako — odparłem — lecz — dodałem, śmiejąc się — byłoby to nawet niepotrzebne. Patrz pan, jak żywą rozmowę prowadzą z panną Luizą towarzysze moi, choć nie znają języka.

Rzeczywiście naokoło p. Luizy panowała ożywiona, choć łamanym językiem prowadzona rozmowa; bystrość jednak, jaką posiada prawie każda kobieta, przychodziła jej w pomoc.

Nadszedł wieczór i ściemniało zupełnie, gdyśmy się pożegnali, by stanąć na górze w Orotava la Villa, gdzie mieliśmy poszukać koni, by następnego dnia rano wyruszyć w drogę. Do miasta było pół godziny. Podnosząc się ku niemu, ujrzeliśmy za sobą zatokę. „Łucji” nie było w porcie, kapitan Boutes wraz z okrętem puścił się już widocznie w drogę do Santa Cruz.

Wieczór był zachwycający. Księżyc rzucał swe blade światło na góry i pola, w których ukryty świerszczyk śpiewał wieczorną swą pieśń. Pico de Teyde pokrył się mgłą i parą. Eukaliptusy i platany, a gdzieś tam kształtny cyprys rzucały przed nami rzędy długich cieni, przerywanych bukietami agaw i euphorbii. Żwawo kroczyliśmy ku miastu w towarzystwie panów Wildpretów, ojca i syna.

— Czy nie zwiedzisz pan Piku? — przerwał pan Wildpret starszy milczenie, podczas którego podziwiałem zasypiający krajobraz.

— Pragnąłbym tego nadzwyczaj — rzekłem z westchnieniem — lecz wątpię, czy będziemy mieli dość czasu. Spieszę się do Santa Cruz, bo muszę płynąć dalej. Marzec bliski, z nim nadejdą tornada na południu, a wkrótce i pora deszczowa, która przeszkadzałaby planom naszym na kameruńskim brzegu.

— Wielka to szkoda — odparł towarzysz — bo widok, jaki się przedstawia z wierzchołka, jest rzeczywiście wspaniały. Teraz, gdy nie ma tyle pary w powietrzu jak w lecie, przedstawia się z niego, jakby ułożony na falach, cały zielony archipeląg. Byłem osiem razy na górze, a pragnąłbym wdrapać się raz jeszcze przynajmniej, lecz starość nie radość! Czuję to i nie wiem, czy mnie jeszcze nogi tam poniosą.

Nie mogłem jednakże zadośćuczynić gorącemu pragnieniu wejścia na wysoki wierzchołek. Obowiązki pędziły dalej; trzeba więc było podziwiać go tylko z daleka, pozostawiając bliższe zapoznanie się do powrotu z Afryki, jeżeli takowy nastąpi.

<sup>156</sup>szkola flamandzka — tu: mistrzowskie malarstwo flamandzkie epoki baroku, reprezentowane przez Rubensa oraz jego uczniów i współpracowników (m.in. Jordaensa, van Dycka), charakteryzujące się realizmem i zmysłowością. [przypis edytorski]

Pik Teneryfy jest dziwnie piękny i pociągający. Dawne wybuchy utworzyły naokoło niego olbrzymi wał amfiteatralny, jakby naturalny cyrk, Las Canadas, z którego rozległej, starą lawą pokrytej areny wznosi się dumny szczyt.

Rozeszła się właśnie wieść, że krater przygotowuje się do wybuchu, którego nie było od przeszło stu lat. Zapowiedź ta ściągnęła na Teneryfę wielu ciekawych Anglików, nie ziszcila się jednakże, choć rzeczywiście wiele osób mówiło mi w Santa Cruz, że widziano nad wierzchołkiem czerwoną lunę.

Od wielkiego kotła otaczającego pik, nieco rozwierającego się ku północy, dąży linia rozdziału wód wyspy: wysoki, ostry grzebień, ciągnący się stąd ku północno-wschodniemu przylądkowi Anaga i na zachód do przylądka Teno. Grzebień ten pochyla się łagodnie ku północnemu brzegowi, spada jednak prostopadle na całej swej linii z południowej strony, tworząc tam niezliczone mnóstwo skał, wąwozów i przepaści, rozrzuconych w dzikim nieporządku. Dlatego też głównie zamieszkały jest północno-wschodni półwysp i północne wybrzeże. Na półwyspie położone są: Laguna, stara stolica, i Santa Cruz, nowa. Miasta te łączy piękna szosa, prowadząca do Orotawy i okrążająca całą wyspę.

Cała formacja Teneryfy jest naturalnie wulkaniczna i składa się po większej części z wywietrzanej lawy i bazaltu. Pokłady te należą do znacznie odległych epok i w jakimkolwiek kierunku przeprowadzono by przecięcie wyspy, przedstawiłoby ono brunatną, gąbkowatą powierzchnię.

Lecz otóż przybyliśmy do miasta. Niestety już ciemno i ulice opuszczone, zmęczeni więc kierujemy się wprost do hotelu „Fonda de Teyde”, gdzie p. Wildpret już był uprzedził gospodynię o naszym przybyciu. Gdyśmy weszli, powitało nas wiele ciekawych oczu, przybyło bowiem kilku notablów<sup>157</sup> miasta, jak się zdawało, by zobaczyć podróżników „tajemniczego okrętu”, który zauważyli w zatoce, a którego niewielkim rozmiarem, nieodpowiednim wcale do odbytej drogi, wydziwić się nie mogli.

Było tam kilku adwokatów z miasta, doktor, kilku urzędników i jakiś kupiec z Santa Cruz, który mi się przedstawił, lecz którego nazwiska nie pamiętam. Wszyscy ci panowie byli nadzwyczaj uprzedzający, nienasycony co do szczegółów o odbytej trzydziestopięciodniowej żegludze i oddalili się dopiero, gdy p. Wildpret przyszedł nam powiedzieć, że obiad na stole. Ów zaś santakruzczyk przysłał nam jeszcze kilka butelek starej teneryfy oraz pudełko wysmienitych kanaryjskich cygar, prosząc, byśmy przyjęli te przedmioty, pochodzące z jego własnych plantacji. Kazałem mu podziękować i poprosić, czyby nie zechciał zasiąść z nami do stołu, przy którym rozpoczęła się ożywiona rozmowa podsycana ognistą teneryfą. Pan X. jednakże przyszedł przeprosić, że nie może dotrzymać nam towarzystwa, ponieważ wraca z podróży, jest nadzwyczaj zmęczony, a mimo to następnego dnia wcześniej wyjechać musi do Buenavisty, małego miasteczka leżącego w zachodniej części wyspy.

Obiad, jakim przyjęła nas gospodyni hotelu de Teyde, był wysmienity, a jednak gdyśmy wstali od stołu, zatrzymała mnie na korytarzu właścicielka, przepraszając i tłumacząc się, iż nic lepszego podać nie mogła.

— *Por Dios!*<sup>158</sup> — uspokoiłem troskliwą o nasze żołądki Hiszpankę. — Dwie godziny przecież siedzieliśmy przy stole, a patrz pani, jak weseli wstają moi towarzysze.

— O, ja wiem, ja wiem! — przerwała. — *Los senores de Europa!*<sup>159</sup> ...

— *Tia* (ciociu) — odezwał się nagle głos kobiety i równocześnie ukazała się na korytarzu młoda kobieta — nowa piękność Orotawy.

Była to siostrzenica gospodyni, panna Franciszka, znana ogólnie jako „piękna Paca”, w tak albowiem dziwny sposób skracano jej imię.

„Mamy szczęście” — pomyślałem i skłoniłem się pięknej Pace, która przysła do ciotki z jakimś interesem. Byłem jej za to niezmiernie wdzięczny, gdyż wybawiła mnie z trudnej roli pocieszyciela zakłopotanej ciotki, która po otrzymanym od siostrzenicy raporcie zaczęła spieszenie podążać do kuchni, przepraszając jeszcze po drodze i pozostawiając nas samych.

Gospodyni

<sup>157</sup> *notable* (z fr.) — najznakomitsi obywatele. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *Por Dios!* (hiszp.) — Na Boga! [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *Los senores de Europa* (hiszp.) — panowie z Europy. [przypis edytorski]

Skorzystałem z mimo woli oddanej mi przysługi, by zawrzeć znajomość z piękną Hiszpanką.

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny, seniorita — zwróciłem się do niej po odejściu opiekunki.

— Za co? — zapytała zdziwiona.

— Nie mogłem przekonać ciotki pani, iż się myli, sądząc, że nie dogodziła nam w zupełności obiadem. Przybycie pani rozproszyło, jak się zdaje, urojone troski i dozwoliło mi powtórzyć podziękowanie pięknej jej siostrzenicy.

Paca uśmiechnęła się figlarnie.

— Zrobiłam to przez ciekawość, by zobaczyć panów.

— Tak? — odparłem zdziwiony. — Ale cóż tak ciekawego w naszych osobach?

— Przecież pan dowodzisz tym „kaikiem”<sup>160</sup>, który przyplłynął z Europy?

— Tak jest, seniorita, choć to nie kaik, lecz lugier. Ale cóż z tego?

— Jak to, cóż z tego? Mówią, żeście panowie przez kilka tygodni byli na oceanie na tej łupince i przetrwali na niej straszne burze.

— Rzeczywiście — odparłem. — I to wszystko?

— Nikt by nie chciał być z panem — rzekła, potrząsając głową — a oprócz tego...

— Cóż takiego?

— Oprócz tego mówią, że chcesz się pan puścić z brzegów w głąb, pomiędzy Murzynów.

— I to prawda, senora, płynę z naukową ekspedycją, z zamiarem zbadania części ekwatorialnej<sup>161</sup> Afryki; okręt zaś jest taki mały, by mógł jak najgłębiej wpłynąć w głąb, po afrykańskich rzekach.

— I czy to długo trwać będzie? — zapytała Paca, wpatrując się we mnie coraz ciekawiej.

— Nie wiem jeszcze, może rok, może dwa, może jeszcze więcej. Zależy to od Murzynów i od odległości, w jakiej znajdują się przedmioty, których chcę szukać.

— *Santa Maria!*<sup>162</sup> — zawołała dziewczyna z zadziwieniem. — I po co pan to robisz? A jak pana zabiją?

— W takim razie — odparłem — prędzej tylko nastąpi to, co każdego czeka w życiu: koniec.

Paca wezwała jeszcze kilku świętych na pomoc, nie mogąc nic pojąć z powodów, które pchały nas do Afryki. Zaczęła żywiej się dowiadywać o różne szczegóły, stawiając mi cały szereg pytań, do których już w Warszawie i Paryżu byłem się przyzwyczaił.

Wkrótce nasze *tête à tête*<sup>163</sup> przerwane zostało, gdyż towarzysze moi także nadeszli i rozpoczęła się ogólna rozmowa. Panna Francisca była zajęta pracą zupełnie nieznaną u nas, a mianowicie wypychaniem jajek, które grają ważną rolę w ostatnich dniach karnawału Hiszpanów. Wtedy każdy dom przedstawia fortecę, z której okien padają niekiedy wystrzały tych karnawałowych bomb, napełnionych mąką, trocinami i różnokolorowymi papierkami, i biada przechodniowi, którego podczas ostatnich los lub przypadek przyprowadzi przed okna znajomych dam. Nie wyłącznie jednak dla znajomych przeznaczone są te pociski przyjaźni; rzadko kto, tubylec czy obcy, zdoła ich uniknąć. Zresztą będziemy wkrótce w Santa Cruz, i to na same ostatki.

Wieczór minął szybko. Kazawszy się następnego dnia wcześniej obudzić, zabieraliśmy się ku spoczynkowi. Droga jednakże prowadziła przez pokój, w którym siedzieli wzmiankowani już panowie z Orotawy; gościnni Hiszpanie czatowali widocznie na nasze życie. Spozobrzyliśmy niespodziankę. Przed sypialnym pokojem, w którym miałem objąć kwatery z L. Janikowskim, stał stolik pełen znanego już wina teneryfy. A że w tym samym pokoju znajdował się fortepian, więc jeszcze kilka godzin poświęciliśmy zabawie. Teneryfa była przecież ostatnią stacją łączącą nas z cywilizowanym światem; następne brzegi,

Obyczaje, Zabawa

Zabawa, Wino

<sup>160</sup>*kaik* (z tur.) — wąska, lekka łódka turecka. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*ekwatorialny* (rzad.) — równikowy. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Santa Maria!* (hiszp.) — Święta Mario! [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*tête à tête* (fr.) — sam na sam; spotkanie tylko we dwoje. [przypis edytorski]

które ujrzymy, ukazał nam już ów ład, na którego przestrzeniach Bóg wie co nas czeka; używaliśmy więc czary<sup>164</sup>, póki była pełna.

Nazajutrz rano usłużny Juan, sługa hotelowy, z trudnością zbudził mnie ze snu twardego. Janikowski już nie spał: spojrzalem na zegarek i przerażony zacząłem się spiesznie gotować do drogi; było już po siódmej.

Zapytałem o resztę podróżników.

— *Don German y dos caballeros eran al comedor*<sup>165</sup> — objaśnił Juan i rzeczywiście zastałem w jadalnej sali p. Wildpreta z częścią towarzyszy, prawie wszystkich jednakże silnie zmęczonych.

Wkrótce też nadeszli i pozostali. Wypiwszy filiżankę kanaryjskiej kawy, posłałem zobaczyć, czy konie gotowe, a tymczasem przeszliśmy się po mieście, by się z nim zapoznać, wczoraj albowiem, gdyśmy wchodzili, było już za późno.

Czyste miasteczko, liczące razem z portem 7–8 tysięcy mieszkańców, znajdowało się w stroju świątecznym, gdyż było to święto *Nostra Senora Candelaria* (Matki Boskiej Gromniczej).

Dzięki świętu mieliśmy szczęście ujrzeć pełny bukiet dam orotawskich w kościele. Piękne Kreolki<sup>166</sup> zawstydziły nas, bo wychodziły już ze mszy porannej, musiały więc wstać daleko wcześniej od nas.

Mimo woli stanąłem pomiędzy grupą drzew, podziwiając wieniec pięknych pielgrzymek dążących do domu. Słyszczą z pięknych kobiet Orotawa chciała widocznie dowieść nam tu słuszności swej reputacji, którą zresztą mieliśmy sposobność sprawdzić już wczoraj. Urodzone w blasku kwiecistej przyrody, mieszkanki uroczej doliny, z wielkimi swymi czarnymi oczami, hebanowym włosom i delikatną cerą, wydają się wcieleniem tego piękna, którym szafowała Opatrzność na szczęśliwej tej ziemi. Zaiste, gdybym nie był Polakiem i nie znał „Syreniego grodu”, pragnąłbym przenieść Orotawę nad brzegi naszej Wisły.

Dumne mieszkanki powoli i poważnie oddalały się z kościelnego placu. Pospieszaliśmy także dalej, zatrzymując się jeszcze około murów okazałego budynku przylegającego do kościoła, niegdyś klasztoru, dziś koszar miejscowego garnizonu. W rozległym wewnętrznym czworoboku, otoczonym arkadami — jak zwykle na południu — przechadzał się hiszpański żołnierz, straż trzymający, który wyglądał dzielnie i marsowo<sup>167</sup>.

Ponieważ od miasta dolina pochyla się jako taras ku morzu, ukazywały się co chwila brzegi pod nami. Otaczające zatokę świeże zielone pagórki błyszcząły w porannych promieniach słońca milionami brylantowych pereł rosy.

— Czy chcecie panowie zwiedzić prywatne ogrody miasta? — zapytał p. Wildpret. — Są tu niektóre rzadkiej piękności, tylko — dodał z westchnieniem — zaniedbane. Bogu dzięki, natura pomaga tu ludziom, a że z zamiłowania zaglądam czasem tu i ówdzie i gdzie mogę, dokładam trochę ręki, więc mam wszędzie wstęp wolny, chętnie mnie nawet witają, gdzie się tylko pokażę.

— Jeżeli czas pozwoli, to i owszem — odparłem, dziękując w duszy Opatrzności za tak dzielnego i doświadczonego towarzysza wycieczki po Teneryfie.

Bez niego nie byłbym mógł zwiedzić nawet trzeciej części tego, co widziałem na wyspie, a co razem wzięte ukazało mi to obszerne pole przyszłych studiów, które może po powrocie z Afryki poniosą mnie ku jej wybrzeżom na czas dłuższy. Rzeczywiście wskazał mi nowy mój przyjaciel niejedną pamiątkę przeszłości wyspy, niejeden okaz ważny dla jej fizjografii<sup>168</sup>. Przy jego pomocy poznałem zabytki ukryte jako własność prywatna i nie-

<sup>164</sup>używaliśmy więc czary — nawiązanie do *Pieśni filaretów* Adama Mickiewicza: „Hej, użyjmy żywota! / Wszak żyjem tylko raz; / Niechaj ta czara złota / Nie próżno wabi nas”. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Don German y dos caballeros eran al comedor* (hiszp.) — Pan Germanin i dwóch panów poszli do jadalni. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>Kreolka — pierwotnie: potomkini europejskich kolonizatorów (hiszpańskich, portugalskich lub francuskich) urodzona w Ameryce Łacińskiej (tu: na Wyspach Kanaryjskich) i traktująca ziemię, na których mieszka, jako swoją ziemię rodzinną; później: urodzona w regionie kolonialnym kobieta pochodzenia europejsko-tubylczego. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>marsowo (daw.) — groźnie, wojowniczo; od imienia Marsa, rzymskiego boga wojny. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>fizjografia (daw., z gr.: opis natury) — ogólny opis warunków przyrodniczych danego obszaru, obejmujący jego budowę geologiczną, rzeźbę terenu, stosunki wodne, klimat, gleby, roślinność i świat zwierzęcy. [przypis edytorski]

przystępne dla ogółu, a mimo których niejedyn badacz Wysp Kanaryjskich przeszedł, może nie wiedząc o nich nawet.

Za kilka chwil przewodnik nasz zapukał do bramy jednego z domów stojących na dość obszernym placu. Otworzyła się brama i po przejściu sieni, z której prowadziły piękne mahoniowe schody na piętro, weszliśmy do wewnętrznego czworoboku podobnego do starożytnego atrium<sup>169</sup>.

Ogród rozciągający się za nim rzeczywiście godny jest zwiedzenia. Jest on powszechnie znany na wyspie i wspomina go nieraz w Santa Cruz pod nazwą ogrodu Machado. Jest to ku morzu pochylona część doliny, pokryta cyprysami, eukaliptusami, palmami, olbrzymimi drzewami pomarańczowymi i kameliowymi. Pomiedzy pniami kołyszą się bujne zielone krzewy niskiej roślinności, a w ich cieniu wytryska ze szczeliny skalnej świeży, bystry strumyk, dążący przez sąsiednie plantacje na dół ku morzu.

Drzewa kameliowe były pokryte kwiatem. Piękne pąsowe, różowe i białe te kokardy, dobrze znane na północy, zakupywane u nas na wagę złota, bujały się tu w spokoju, nie pożądane, na ciemnych atlasowych konarach drzew, lub leżały przekwitłe po ścieżkach, rozpraszane wiatrem.

Pan Wildpret ułożył nam z najpiękniejszych kwiatów śliczne bukiety, które w Europie miałyby wielką wartość. Przeszedłszy przez długą aleję drzew pomarańczowych, obciążonych owocem tak, że literalnie zakrywał liście, opuściliśmy ogród Machado, by zwiedzić inne.

W jednym z blisko leżących spostrzegliśmy niezmiernej starości kasztan. Do jakiego stopnia rozwija roślina siła południowej przyrody, nowym on jest dowodem. Cztery lata mający olbrzym rozrósł się do więcej niż 20 stóp obwodu. W pusty, spróchniały pień i gałęzie nowe drzewa wpiły swe korzenie i strzelają w górę, niby na ramionach starej swej matki. Tworzy to oryginalną, zastanawiającą całość. Ogród ten jednakże, który przez swe położenie, jak również i przez skarb tylko co opisany mógłby być cackiem, znajduje się, przeciwnie, w tak opłakanym stanie zaniedbania, że nie zatrzymując się w nim dłużej, idziemy dalej do markizy de Sanzal, do dawnego ogrodu Franchy, gdzie jest pamiątkowe miejsce sędziwego olbrzyma drakona, o którym wspominałem już, że spoglądał stąd przez 4200 lat na fale oceanu, czczony jak bóstwo przez starych Guanczów.

Miejsce, które zajmował najstarszy żyjący pomnik roślinnego świata, ocembrowane zostało przez zmarłego markiza de Sanzal niskim murkiem z kamieni, mającym 18 metrów wewnętrznego obwodu; w pośrodku zaś ręka p. Wildpreta zasadziła nowe smocze drzewko.

— Ileż wieków postoi tu ono? — westchnął troskliwy botanik, wpatrując się w młodą roślinę. — Pomiedzy Guanczami przetrwał stary czterdzieści dwa wieki. Czy postoi tyle nowe drzewko, patrząc na zdarzenia przyszłych czasów?

— Nie chciej pan przerywać zasłony Saïtu — odparłem. — Wiadomość przyszłości, pozbawiając nadziei, byłaby może nieszczęściem dla nas.

Przeszliśmy dalej po ogrodzie. O kilkanaście kroków od grobu starego drakona stała ogólne zdziwienie wzbudzająca palma. Zgrabny cienki jej pień wzrósł do 48 metrów wysokości, a na tej wysokiej lodydze bez liści spoczywała w chmury sięgająca korona, niby bukiet zielonych piór. Pan Wildpret wskazał nam odłamany róg dachu, w dość znacznej odległości stojącego domu.

— To ona odbiła raz podczas burzy — rzekł. — Często widziałem ją kołysaną przez orkany jak olbrzymi kłos. Z dziesięć razy myślałem, że już już ją strzaskają, lecz niewzruszona stoi do dziś dnia i rośnie dalej.

Podczas gdy przypatrywaliśmy się zgrabnej palmie, miejscowy ogrodnik po cichej rozmowie z p. Wildpretem oddalił się szybko, lecz wkrótce powrócił, niosąc w rękach kilka kawałków czerwonego drzewa, szczątków starego drakona. Troskliwy nasz przewodnik namówił był ogrodnika do wydania nam ostatnich po staruszku pamiątek. W Anglii dano by za nie znaczną sumkę, ogrodnik markizy jednak pożegnał nas z wdzięcznością, gdy otrzymał kilka peset (franków). Co do podarku zaś, uważał go jako naturalną przysługę oddaną szanownemu Szwajcarowi.

<sup>169</sup> *atrium* (łac.) — centralne pomieszczenie w domu rzymskim, bez okien, z czworokątnym otworem w dachu, pod którym znajdował się basen na wodę deszczową. [przypis edytorski]

Ogród

Drzewo

Słońce tymczasem podnosiło się ku południkowi, chłód poranny zaczął ustawać i czas było puścić się w drogę. Powróciliśmy więc do fondy, by zapłacić rachunek. Gdyśmy wchodzili, konie już czekały.

Byłem zdziwiony, jak umiarkowany podano nam rachunek — i jeżeli kiedykolwiek, czytelniku, losy zaprowadzą cię do Orotawy, mogę ci śmiało polecić Fondę del Teyde, gdyż trudno by gdziekolwiek znaleźć większe wygody za stosunkowo tak niską cenę. Wpisawszy nasze nazwiska w podaną nam hotelową księgę i pożegnawszy się z piękną Pacą, która ciągle jeszcze nie chciała wierzyć, że wyjeżdżamy rzeczywiście, by się zapuścić w głąb Afryki, pozostawiłem jej otrzymany bukiet kamelii i za chwilę już nas unosiła landara<sup>170</sup>, zaprzężona w trójkę dobrych koni, poza obręb Orotawy.

## ROZDZIAŁ IX

*Wyjazd z Orotawy. — Smutne pomniki. — Widma z Barranco Hondo. — Kilka kartek z historii wyspy. — Plantacje cochenilii. — Matanza. — Tacoronte. — Muzeum pana Lebrun. — Laguna. — Ruch piśmienniczy Kanaryjskich Wysp. — Do Santa Cruz.*

Białe mury gościnnego miasta jaśniały jeszcze długo za nami, kilkakrotnie zegnaliśmy się z orotawską doliną, wreszcie opuściliśmy ją i droga zaczęła za chwil kilka prowadzić nas pod górę, po krętych kątach i skalistych ścieżkach, zanim wstąpiliśmy na szeroką szosę.

Każde miejsce tu napotykanne jest pomnikiem w historii wyspy. Tu odbywała się długa, rozpaczliwa o nią walka i wreszcie straszliwa rzeź — pierwsze dary cywilizacji, przyniesione spokojnym Guanczom.

Bolesnie ścisną serce, gdy się w tych skalach i przepaściach czyta historię. Tysiące cieni zdają się z nich występować i wołać, podnosząc krwawe ramiona: „Cośmy wam zawinili?!”

Jeszcze raz musimy obcować ze światem dawno zmarłych bohaterów, którzy „w barbarzyństwie swym” żyli i umierali wzniosłej, kochali i nienawidzili potężniej, karali i przebaczeni sprawiedliwiej niż przybywający z mieczem w ręku wielcy rycerze chrześcijaństwa. Tu, w dolinie Orotawy, walczył ostatni bohater Teneryfy — Bencomo, król północnego wybrzeża wyspy, państwa Tehoro.

Zapomnijmy na chwilę o terażniejszości, spojrzymy na dalekie wieki przeszłości, niech nam się zdaje, że przejeżdżamy po tych górach w r. 1493 i że otaczają nas ogorzałe postacie, które wtedy je ożywiały.

Niedaleko od Orotawy na skrócie skalistego wąwozu zatrzymujemy się nad głęboką, dziką przepaścią. Kupa kamieni napełnia głębię, stopy kości zmieszane z nimi — to Barranco Hondo, miejsce ostatniego zwycięstwa nieszczęśliwego króla Bencomo.

Gdy Hiszpanie pod dowództwem Alonco de Lugo wylądowali w roku 1493 z piętnastu okrętami w porcie Anazy (blisko dzisiejszego miasta Santa Cruz), poznał jedyny Bencomo grożące wyspie niebezpieczeństwo, zaważwał więc wszystkich sąsiednich mencegów (królów) pod swe dowództwo do wspólnej walki przeciw wspólnemu wrogowi. Lecz tylko kilku sąsiadów, a mianowicie król Tacoronte, król Tegueste, król Anagi i archimenceg Zebensui poddali się jego rozkazom dla zbawienia kraju; południowi zaś królowie Guimar i Anaterve na czele kilkuset krajowców przystali do hiszpańskiego generała, obawiając się ambitnego króla Bencomo. Sędziwy bohater nie posiadał więc nawet zjednoczonych sił swej wyspy, przeciwnie, południowy brzeg powiększał zastępy napastników. Nie zrażało to jednakże starego monarchy. Podczas gdy gotuje się u siebie do boju w Tahoro, wysłał brata swego Tinguaro na czele 300 Guanczów nad przepaść, przed którą właśnie stoimy.

Dzielni wojacy przybyli. Za chwil kilka ukryli się wśród drzew i szczelin i głucho milczenie panuje dokoła, gdy nagle ukazują się hiszpańskie zbroje i 3000 wojska Dona Alonco de Lugo zstępuje powoli w głębię, by z drugiej strony wdrapać się na górę i uderzyć na Tahoro. Ostatni żołnierz zstąpił do wąwozu — wtem rozlega się świst nokoło przepaści. Tinguaro ze swym hufcem górali ukazuje się na szczycie i grad kamieni, odłamy skał i ścięte pnie wałęsa się w otchłań, druzgocząc zastępy Hiszpanów. Na próżno

Walka

<sup>170</sup>landara — ciężka karetka podróżna bądź ogólnie: duży, niezgrabny pojazd konny. [przypis edytorski]



walczy Don Alonco: żołdacy króla Kastylii przybyli z rozkazu, wolni górale Teneryfy walcą z rozpaczą za drogą swobodę. Opuściwszy krawędzie, rzucają się jak antylopy ze skały na skałę, z przepaści w przepaść i przybywszy na dno otchłani, kończą krwawe dzieło rozpoczęte z góry.

Po dwóch godzinach straszliwego boju przepaść zapełniła się trupami i zaledwie 200 Hiszpanów, a pomiędzy nimi generał Lugo, zdołało uciec do obozu. Pod koniec walki nadchodzi Bencomo z nowym hufcem, by dopomóc bratu. Napotyka go na skałę, opartego o dzię i patrzącego w otchłań. „Jak to — woła nadchodzący menceg — ty odpoczywasz, podczas gdy twoi żołnierze walcą!” „Zwyciężyłem — odparł spokojnie wojak — obowiązki wodza skończyłem... teraz żołnierze dokonywają swego... zabijają!”

Zwycięstwo stanęło po stronie Guanczów, jednakże zwycięzca nie oddaje się radośnym orgiom, lecz przegląda pobojuwisko, na którym nie wszędzie jeszcze zagasły płomienie walki. W górnej szczelinie broni się jeszcze 30 hiszpańskich żołnierzy przeciw 500 Guanczom. Bencomo widzi potyczkę i wzniosły duch króla Tahoro nie może znieść tak nierównego boju; okazując szacunek walecznym, odsyła Hiszpanów do ich generała.

Była to ostatnia zwycięska bitwa dzielnego narodu. Wkrótce Don Alonso nowe ściąga siły i pod Laguną, na wyżynie dzielącej dwa brzegi, spotykają się na nowo nierówne siły. Otwarta płaszczyna, na której rozległ się łoskot hiszpańskich muszkietów, pokrywa się trupami wyspiarzy i coraz większe pustki zaczynają przerzedzać niczym niezastłonięte szeregi króla Bencomo. Guanczowie jednak nie upadają na duchu, podtrzymuje ich ostatnia nadzieja zachowania wolności; nie zważając na śmiertelne kule, rzucają się z odsłoniętą piersią na wrogów. Jednogłośny okrzyk szturmujących rozdziera powietrze i rozpoczyna się bój straszny, bój rozpaczliwy!

Przez dwie godziny chwije się szala zwycięstwa i już zabłysła nadzieja tryumfu dla Guanczów. Mimo ognistych pocisków, mimo strasznej broni cudzoziemców, widzi Bencomo promień zwycięstwa, króluje znów nad górami i przywraca im dawny spokój. Nagle zajaśniały nowe zbroje na widnokręgu — to świeże zapasy wojsk, przychodzące Hiszpanom na pomoc. „*Santiago y San Miguel!*” — zagrzmiało w szeregach Don Alonsa, następnie rozległ się trzask kartaczy<sup>171</sup> i z głuchym jękiem padają wojacy Guanczów. Rozpacz ogarnia nieszczęśliwych, z pośpiechem cofają się resztki ku górom, lecz nieubłagany wróg popiesza za nimi i rzuca się na bezbronych, mordując dokoła i dobijając rannych.

Nieszczęśliwy Tinguaro, sławny bohater z Barranco Hondo, aczkolwiek ranny, broni się przeciwko siedmiu Hiszpanom znalazoną obok siebie halabardą, lecz wreszcie pada i on, ciężko ugodzony dzidą hiszpańskiego żołnierza. Dzielny Guancz kona, a brutalny zwycięzca zsiada z konia, by dobić zemdloną swą ofiarę. Gasnące oko umierającego Tinguara pada ze smutkiem na swego zabójcę: „*Chucuz guayec atchimencey reste Bencom sabec tender relac nazet zabanez*” (Nie zabijaj królowi Bencomo brata, którego masz w niewoli) — woła słabnącym głosem, ale zwierzęcy żołdak nie czci ostatnich chwil zwyciężonego, lecz jak kat zadaje mu nowy cios i dobija nieszczęśliwego. Powoli ustaje zgiełk, rycerze cywilizacji są wreszcie zmęczeni zaszczytnym swym dziełem. Bencoma i króla Tacoronte ciężko rannych uniesiono z placu boju, resztę zgładziła rzeź straszliwa, która do dziś dnia nadała miejscu ponurą nazwę: Matanza<sup>172</sup>.

Nadchodząca noc zakończyła walkę, rycerze chrześcijańscy wykąpali się we krwi, kanonik Samarina z braciszkami zaśpiewali nad nią dziękczynne *Te Deum laudamus*<sup>173</sup> i zadowoleni z siebie legli pobożnie do snu, podczas gdy Don Alonso kazał odciąć głowę dobitego Tinguara, obnosząc ją cynicznie po obozie.

Czy mamy podziwiać szlachetnych posłów Europy? Wyruszyli oni narzucać „niewiernym” swą oświatę i wiarę! Dziwne dary! Zginęło przez nie plemię Guanczów, pozostawiło nam tylko swe groby, kilka kartek historii, kilka smutnych wspomnień i bolesnych porównań.

<sup>171</sup>kartacz — pocisk artyleryjski zawierający w lekkiej obudowie odłamki metali lub ołowiane kule rozpryskujące się przy wybuchu; używany do XIX w., zastąpiony szrapnelami i pociskami odłamkowymi. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>matanza (hiszp.) — rzeź. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*Te Deum laudamus* (łac.) — Ciebie, Boga, wysławiamy; hymn kościelny, śpiewany przy szczególnie uroczystych okazjach. [przypis edytorski]

Czy syn przyrody, Bencomo, nie czuł słusznie dla oświeconych przybyszów nic innego nad głęboką pogardę? O ileż wyżej stał zwycięzca z Baranco Hondo, barbarzyńca nad chrześcijańskim zwycięzcą z Matanzy?

Lecz zapomnijmy o tych okropnościach. Wspomnienie nie jest w stanie odkupić winy — miejsca plamy nic nie zmyje. Wróćmy więc do teraźniejszości, otrząśnijmy się z widm Matanzy i Baranco Hondo jak z przykrego snu.

\*

Powóz wiózł nas dalej powoli, słońce albowiem grzało coraz silniej, a droga prowadziła wciąż pod górę. Brunatne skały zasłoniły za nami starą, głęboką przepaść, otwierając widok na mniej górzyste miejscowości<sup>174</sup> — równiny pokryte plantacjami. Opuszczamy więc na chwilę siedzenia naszej ciężkiej landary, polecamy powożącemu Hiszpanowi podążać powoli za nami i idziemy pieszo, by skorzystać pełniej z ciągle zmieniającej się panoramy krajobrazów, następujących szybko po sobie.

Minęliśmy kilka wiosek; były to: Santa Ursula, składająca się z kilku małych domków, i Vitoria, nieco większa, leżąca bliżej nieszczęsnej Matanzy. Wioski te łączy piękna szosa, po obu stronach której ciągną się pola pokryte cochenillą<sup>175</sup>.

Ważne te plantacje zasługują na bliższą uwagę, południowe słońce ma albowiem dziwne kaprysy, nawet wstrętne nam w Europie owady, różnego rodzaju pasożyty rozwija ono pod zwrotnikiem w najżywszych kolorach i czyni je poszukiwanymi do różnych użytków. Do takich należy cochenilla, mały robak, pasożyt, żyjący na mięsistych liściach opuncji, roślin przypominających niektóre gatunki kaktusów. Hodowla cochenilli zajmowała niedawno jeszcze ważne miejsce na Kanaryjskich Wyspach. Ze sprzedaży tego produktu żyła większa część ludności, która zaaklimatyzowała tu owad w 1827 roku; dziś jednakże minął wiek cochenilli, sztuczne wyroby zadały jej cios śmiertelny i wszystkie plantacje znajdują się w stanie upadku. Mimo to zauważyć się daje jeszcze wiele pól opuncji, noszących farbodajny owad. Głównie poszukiwanym przez niego gatunkiem tej rośliny jest *Opuntia ficus indica*, najczęściej też wyznaczana pod plantacje cochenilli.

Odciawszy liść tej rośliny, spostrzega się wielką ilość ciemnych robaczek, pokrytych jakby białą mączką. Robaczki te są różnej wielkości, od drobnego ziarnka piasku do rozmiarów małej fasoli; wycisnąwszy zaś owad, wyglądający jak mały pęcherzyk napęczniony płynem, otrzymuje się obficie wypływającą ciemnopurpurową farbę. Samica rośnie nadzwyczaj prędko, staje się wkrótce daleko większa od samca i wgryza się w liść. Tu rodzi niezmierną ilość młodych owadów, które rozchodzą się po roślinie, podczas gdy matka umiera. Po trzech miesiącach nowe matki dają nowy zastęp owadów, po dalszych zaś trzech następuje trzecie pokolenie. Jak tylko rozejdą się młode robaczki po liściach, zeskrobują takowe tępym nożem do naczyń, zabijają je we wrzącej wodzie i rozłożywszy na sitach, suszą na słońcu. Suszone owady wyglądają wtedy jak małe purpurowe ziarna, pokryte szarawym odcieniem. Dla rozmnożenia zaś pozostawiają na niektórych liściach purpurowych ich mieszkańców, którzy wkrótce rozchodzą się po plantacji.

Jak wspominaliśmy, zmniejsza się ilość cochenilli z każdym rokiem. Jest to ogólny los tego przemysłu tak na Kanaryjskich Wyspach, jak w jego ojczyźnie, Meksyku, spowodowany tańszą od niej aniliną. W miarę jednakże jak zmniejsza się produkcja cochenilli, powiększa się ilość zbieranego wina i tytoniu, tak na Teneryfie, jak na wyspach przyległych. Palilem kanaryjskie cygara po nadzwyczaj niskiej cenie (2 ½ franka setka), które odznaczały się łagodnością i czystym bukietem. W krótkim czasie zakwitną również plantacje trzciny cukrowej.

Przeszedłszy dwa kilometry pieszo, zajęliśmy znów nasze miejsca w powozie i około jedenastej stanęliśmy w Matanzie. Na sławnym i smutnym pobojuwisku wznosi się dziś kilka lichych lepianek, a między nimi niewielka, zaniedbana wiejska fonda. Zatrzymaliśmy się przed nią. Po wąskich schodkach weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie przez

<sup>174</sup>miejscowość — tu: miejsce, okolica. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>cochenilla (z fr.) — dziś popr.: koszenila, naturalny ciemnoczerwony barwnik pozyskiwany z wysuszonych i zmieszanych owadów, zwanych czerwcami kaktusowymi (*Dactylopius coccus*); tu w znaczeniu: owad, z którego wytwarza się ten barwnik. [przypis edytorski]

otwarte okno rozwierał się zachwycający widok na Canady, Pik i łańcuch górzysty, zakrywający przed nami południowe brzegi. W fondzie było pusto. Na małym stoliku leżało kilka dzienników, we drzwiach prowadzących na ganek ukazała się opalona główka pięcioletniego dziecka, patrzącego na nas ciekawie, a na ganku szeleściła monotonna woda, przeciekająca przez kamienny filtr. Urządzenie tych filtrów wiejskich na Teneryfie zasługuje na uwagę z przyczyny ich nadzwyczajnej prostoty. Wielki gąbkowaty kamień lawy, w którym wyrżnięto żłobek, spoczywa na drewnianej sztaludze, wlana do niego woda przesiąka szybko przez pory i ścieka do podstawianych glinianych naczyń, jakie widzieliśmy już po drodze do Orotawy na głowach wieśniaczków. Woda ta jest czysta i zdrowa, a przy tym zawsze chłodna dzięki glinianemu naczyniu.

Spragnieni, uznojeni drogą, oceniliśmy ją należycie. Wkrótce przyniesiono nam śniadanie, które po odbytym marszu znalazło szczerych zwolenników. Siedliśmy do tego, co nam podano, przybywający goście albowiem, przyzwyczajeni do zwykłych potraw, nie dysponują tu swego śniadania lub obiadu. Przyjmują, co im poda wiejska gospodyni, a kraj ten tak jest obdarowany przez przyrodę, że za sześć lub siedem z ogólnie znanych dań zapłacą mniej więcej dwie pesety, nie potrzebując się zajmować układaniem menu. Tak samo stało się i teraz. Zdjęliśmy kapelusze, kazaliśmy przynieść wody do mycia i picia, podano potrawy, składające się z dziennych zapasów, wraz z karafką teneryfy i za godzinę byliśmy znowu w drodze, dążąc ku Tacoronte, gdzie znajduje się w prywatnym domu, należącym do jednego z kupców z Santa Cruz, pana Lebrun, obszerny zbiór odkopanych starożytności Guanczów i najlepiej zachowane ich mumie.

Droga do Tacoronte prowadzi również pod górę, zbliżamy się albowiem do wyżyny stanowiącej rozdział wód, na której leży Laguna. By nie męczyć niepotrzebnie koni pozostawiliśmy powóz na szosie, skręcając pieszo na lewo ku brzegowi, gdzie leży stara stolica głównego sprzymierzeńca króla Bencomo, wciśnięta w niskie skały. Dziś to wioska, której plac rozległy, ścielący się przed starym klasztornym budynkiem, nadaje pozór drobnego miasteczka. Prowadząca do niej ścieżka jest otoczona dosyć wysokimi naturalnymi ścianami, które tworzą z niej rodzaj wąwozu obsadzonego licznymi krzewami agaw. Przeszedłszy po niej, a następnie po placu, gdzie kilku wiejskich dygnitarzy grało w krowiety<sup>176</sup>, weszliśmy w wąską, nisko leżącą uliczkę, w której wkrótce p. Wildpret wskazał mi jednopiętrowy mały domek z zielonymi okiennicami. „Oto muzeum tacorońskie” — rzekł, zatrzymując się przed nim. Powierzchność była nieokazala, zawarte skarby — tym większe.

Poruszyliśmy młotek domowy<sup>177</sup> — lecz nikt nie odpowiadał. Było to święto i mieszkańcy widocznie rozeszli się po wiosce albo byli w Lagunie, i już mniemałem, że mała furtka ukrywająca zbiory nie otworzy się dla nas, gdy nadbiegł stróż domu, stary Manuel. Widział nas przechodzących przez plac, poznał botanika i przybiegł, by się z nim przywitać.

— Czy Don Diego w domu? — zapytał się nasz cicerone<sup>178</sup> wieśniaka.

— *No, señor!* — odparł zagadnięty. — Don Diego jest w Santa Cruz, teraz podczas karnawału bywa on tu na wsi tylko w niedzielę.

— Co za szkoda! — zawołaliśmy wszyscy, lecz p. Wildpret nie traci nadziei i ufając poszanowaniu i miłości, jaką się cieszył wszędzie między mieszkańcami wyspy, zapytał się Manuela, czy nie moglibyśmy mimo to zwiedzić muzeum p. Lebruna, dodając, żeśmy obcy i że przybyliśmy umyślnie po to.

— Don German — zawołał usłużny stróż, krzątając się około furtki — któż śmiałby nie otworzyć drzwi domu przed panem? — i wkrótce furtka była otwartą i staliśmy na małym podwórku, otoczonym pomarańczowymi i cytrynowymi drzewami, przepelnionymi owocem.

Za podwórzem ciągnął się obszerny ogród, dający piękny widok na wybrzeże i morze; podczas gdyśmy się przechadzali po nim, otworzył nam Manuel drzwi prowadzące do zbiorów p. Lebruna. Przeszedłszy przez korytarz i *comedor* służby, znaleźliśmy się w muzeum.

<sup>176</sup>*krowiety* — gra, w której uderza się specjalnymi młotkami w drewnianą kulę, aby przeprowadzić ją przez bramki na drugi koniec boiska. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*młotek domowy* — chodzi tu o młotek wiszący na drzwiach i używany jako kołatka. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

Główną wagę ma dla badacza śladów i pamiątek, pozostałych po Guanczach, pierwszy pokój. Tu są poustawiane w szafach i szklanych trumnach mumie starożytnych mieszkańców Teneryfy, zachowane tak dobrze, że podziwiać należy ich sztukę balsamowania. Twarze nawet, szczególnie dwu przy ścianie stojących okazów, zachowały główne swe rysy. Oschła skóra mimo wieków dozwala podziwiać kształtne ręce i nogi, a głowę okalają najczęściej blond włosy. Jedna z mumii, kobieca, zwraca na siebie uwagę przez zagiętą w tył nogą; według wszelkiego prawdopodobieństwa była to kaleka, gdyż trudno inaczej to wytłumaczyć. Z lewej strony wejścia leży olbrzymia męska mumia, wzrost jej jest jednakże wyjątkowy. Pierwsi przybyli na wyspę Hiszpanie mówią o olbrzymie, o którym wspominali krajowcy — są to prawdopodobnie jego śmiertelne resztki. Niestety okaz ten uległ w znacznej części uszkodzeniu.

Wielkie ilości balsamu, przygotowanego, jak wspominaliśmy już w Orotawie, z czerwonego soku smoczego drzewa, a zgniecionego w wielkie bochenki, leżą złożone w czterech rogach pokoju. Balsam ten odkopują zwykle z mumiami, muzeum zaś posiada piękne, zadziwiająco dobrze zachowane kawały. Sposobów balsamowania zauważyć można cztery, widocznie odpowiadają one stopniowi zamożności zmarłego; wszystkie zaś mumie zaszyte są w kozie skóry. Kilkadziesiąt czaszek poustawianych na ziemi daje już piękny zbiór, choć ilość posiadanych przez p. Lebruna nie może się równać z kraniologicznym<sup>179</sup> zbiorem, jaki widziałem później w Santa Cruz w muzeum miejskim, o którym będzie jeszcze mowa. Co do mumii atoli, Tacoronte zawiera najpiękniejsze odkopaliska z całej wyspy.

Dzidy i w ogóle broń i narzędzia sieczne wyrabiane są z drzewa, rogu i kości, a wreszcie z kamienia. O zadziwiającej zręczności świadczą haki i haczyki do wędek, wystrugane z rogu tak gładko i misternie, że na pierwszy rzut oka zdają się wyrobami żelaznymi; Guancze jednakże nie znali metalu.

Ozdoby, prawdopodobnie kobiet, tworzą paciorki wyrabiane z gliny. Są to niby kawałki pociętej drobnej rurki glinianej, sporządzonej tak równo i gładko, jak gdyby utworzyła je maszyna. Liczne rzędy tych kólek<sup>180</sup> rozwieszono po ścianach pomiędzy okazami broni, naczyniami, kamieniami młyńskimi ze starej lawy, plecionkami i materiami wyrobionymi przez nich. Patrząc na te przedmioty, podziwiać trzeba zwinnych, a dawno zgasłych robotników.

Wieków cofnąc niepodobna, ale wyschłe twarze spoczywających tu Guanczów ustawicznie wstecz kierowały myśli nasze. Wyobraźnia widziała na chwilę ich ogorzałe postacie przy kamiennym kowadle na owej starej Teneryfie, która zapomniana lub nieznaną jeszcze przez Europę, spoczywała szczęśliwie pod cieniem królewskiej palmy, olbrzymich euphorbii i drakonów, pośród fal Atlantyku. Gdzieście dziś czasy niezamąconego pokoju i wy, prości synowie czystej przyrody?

W dalekiej krainie, od której dzieli nas zagadka naszego istnienia, spoglądacie z litością na tych, którzy zarozumiale badają wasze w proch rozsypujące się kości.

Reszta sal zawiera zbiory flory, fauny lądowej i morskiej, okazy fizjograficzne archipelagu i innych stron, przeważnie afrykańskich. Oprócz tego znajduje się tu zbiór broni pochodzącej od zdobywców wysp — zabójcze żelazo obok ofiar. Pomiędzy fauną morską znajdują się dwa dobrze zachowane rekiny, pomiędzy płazami<sup>181</sup> jaszczurki, iguany i krokodyle afrykańskie oraz długi, ciemny wąż ekwatorialnej Afryki, zwracający ogólną uwagę, o ile się zdaje, *Atractaspis niger*.

Ostatnie części zbioru są zdobyczami przypadku, pierwsza zaś, przedstawiająca dział archeologiczny, jest owocem długoletnich poszukiwań zmarłego proboszcza, człowieka rzadkiej światłości, który przed śmiercią zapisał swe skarby panu Lebrun, obywatelowi z Santa Cruz, wiedząc, że oddaje je pod dobrą opiekę.

Długo nie chciałem opuścić tego ciekawego domku, nieocenionego dla studiów. Czas jednakże mijał, wieczne me hasło „dalej w drogę” kazało powracać do rzeczywistości —

<sup>179</sup>*kraniologia* (z gr.: *kranion*: czaszka) — dział anatomii porównawczej zajmujący się budową czaszki. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*Ozdoby* (...) *tworzą paciorki wyrabiane z gliny*... — w Muzeum Techniczno-Przemysłowym w Krakowie znajduje się taki naszyjnik pomiędzy zbiorami przywiezionymi przez ekspedycję. [przypis autorski]

<sup>181</sup>*płaz* (daw.) — dowolne stworzenie pełzające; dziś: ziemno-wodny zmiennocieplny kręgowiec, którego rozwój przebiega w zbiornikach słodkowodnych, np. żaba, salamandra. [przypis edytorski]

konie czekały na górze, podziękowaliśmy więc staremu Manuelowi za grzeczność i przebywszy wąż z ogarami, siedliśmy znów do powozu, który nas zawiózł do Laguny. Wyżyna, na której leży stara stolica wyspy, stanowi niejako spichrz Teneryfy. Euphorbie, kaktusy, plantacje cochenilli ustąpiły tu miejsca naszym gatunkom zboża, południowe palmy — wiatrakom.

W jednej z wiosek nieopodal Tacoronte stał właśnie przed młynem wielbłąd obladowany zbożem, które przywiózł z sąsiedztwa. Wytrwałych tych zwierząt jest tu jednak niewiele. Przywieziono za to znaczną ich ilość na wyspy Lanzarote i Fuertaventura, które co do swej powierzchni zbliżają się do Afryki i noszą jej cechę. Tam wielbłądy zaaklimatyzowały się dobrze; nie można jednakże powiedzieć tego samego o Teneryfie i o reszcie zachodnich wysp; wątpię też w ogóle, czy zwierzę to rozpowszechni się na nich.

Około piątej wyjeżdżaliśmy wreszcie do Laguny. Bagniste jezioro, znajdujące się niedyś w tym miejscu, nadało i miastu nazwę. Kiedyś ożywiały ulice ruch i nawet blask niejaki, dziś wszystko czyni wrażenie miasta martwego. Prawda, że to zimowa pora i przy tym karnawał, czas, w którym większa część ludności znajduje się w Santa Cruz. Latem miasto bywa więcej ożywione, poszukiwane nawet przez mieszkańców stolicy, ponieważ posiada dzięki wysokiemu położeniu niższą temperaturę niż Santa Cruz i Orotawa, a więc więcej chłodu podczas skwarów; wieczór lutowy zaś, jakim był nasz, bywa w niej nawet dosyć chłodny i każdy z przechodniów ukrywa się w *capie*<sup>182</sup>.

Mimo utraty swego znaczenia Laguna posiadała niedawno jeszcze uniwersytet. Jest to obszerny gmach o kilku wewnętrznych podwórzach, znajduje się dziś w nim rządowe gimnazjum, pensjonat uczniów internów i biblioteka, licząca przeszło 6000 tomów. Niestety takowa była zamknięta z przyczyny święta, nie mogliśmy jej przeto zwiedzić.

Słyszac, że miasteczko liczące 8000 mieszkańców posiada dwa dzienniki, nie mogłem ukryć mego zadziwienia przed p. Wildpretem, lecz Kanaryjskie Wyspy, o których zaledwie wiemy cośkolwiek na północy, mają swój własny ruch prasy, i to niemały. Sama wyspa Teneryfa posiada 14 dzienników, cały zaś archipelag liczy ich dwadzieścia kilka.

Życie przeszłości urąga w Lagunie na każdym kroku terazniejszym pustkom. Prawie każda z ulic wskazuje dumne frontony pałaców kanaryjskich magnatów. Większa część tych budynków jednakże, na których widnieją jeszcze stare herby, jest dziś sprzedana. Najpiękniejszy z nich zajmuje casino<sup>183</sup> miejskie, inne znów stoją puste, na oknach wyrasta mech, podczas gdy przez walące się ściany księżyc rzuca swe półświatło w opuszczone i zapyłone komnaty.

W casino, którego sale zwiedziliśmy, zaproszeni przez gospodarza, przygotowywano bal na wieczór. Mimo propozycji, byśmy zostali dla takowego w Lagunie, nie można było zadośćuczynić życzeniu gospodarza, było albowiem i tak już ciemno, gdyśmy siedli do powozu i wjeżdżali na szosę prowadzącą do Santa Cruz.

Pan Wildpret, zmęczony całodzienną rozmową, usiadł na kozle, my zaś, nie mając kanaryjskiego mentora<sup>184</sup> pomiędzy sobą w powozie, oddaliśmy się uroczystemu milczeniu. Tymczasem konie zaczęły znosić nas z wyżyny. Zarysowało się morze, zajaśniały światła teneryfskiej metropolii, tonącej w zabawach karnawału, i po godzinie jazdy stanęliśmy na placu Konstytucji w Santa Cruz.

## ROZDZIAŁ X

*Stolica Kanaryjskich Wysp: Santa Cruz. — Jej znaczenie w przyszłości. — Plac Konstytucji. — Wiadomości portowe. — Opóźnienie „Łucji-Małgorzaty”. — Wizyty. — Komendant Borris i jego obietnica. — General Veyler. — Gubernator wojenny Kanaryjskich Wysp i admirał Vigo-Nina — Karnawał w Santa Cruz. — Zbiory profesora Maffiota i muzeum miejskie. — Francuska korweta „Cher”. — Don Pablo Pebrer i jego biblioteczka. — Pożegnanie. — Serdeczność komendanta Lafond. — Wyjazd.*

<sup>182</sup>*capa* — szeroki faldzisty płaszcz Hiszpanów. [przypis autorski]

<sup>183</sup>*casino* (wł.) — dziś popr.: kasyno; tu: lokal zebrań towarzyskich, rodzaj klubu. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*mentor* — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

Stolica Kanaryjskich Wysp, zawsze ożywiona i wesoła, jest niejako królową afrykańskich wód Atlantyku. Miasto, liczące mniej więcej 20 000 mieszkańców, jest budowane rozległe i okazale, posiada piękne place i skwery, głównie zaś obszerny i bezpieczny port, w ścisłym utrzymywany porządku; port, który stanie się jeszcze dogodniejszy, gdy długie granitowe molo będzie wykończony i przeprowadzony dalej, podług istniejącego już projektu. Wtedy Santa Cruz zaliczyć się da do najlepszych przystani morskich, jakie istnieją. Jeżeli dotychczas port ten nie miał odpowiedniego sobie ruchu handlowego, to należy szukać przyczyny tego w braku komunikacji telegraficznej; okręty wołały mieć jako stację Maderę lub Wyspy Zielonego Przylądka<sup>185</sup> mimo braku roślinności na tych ostatnich. Wkrótce jednakże zmieni się to wszystko, ważny ten czynnik korespondencji zadrga lada dzień w Santa Cruz i skoncentruje tu może handlowe znaczenie Madery i wysp Cap Verde. Rząd hiszpański przeprowadza albowiem kabel telegraficzny z Kadyksu na wyspy kanaryjskie, franko-hiszpańska kompania przedłuży go zaś prawdopodobnie dalej do Senegalu, tak iż Santa Cruz będzie wkrótce połączona z Europą i z lądem afrykańskim<sup>186</sup>.

Główny ruch miasta panuje na placu Konstytucji, na którym wysiedliśmy, przybywając. Tu znajduje się pałac cywilnego gubernatora, casino miejskie, rezydencja naczelnika dywizji morskiej oraz kilka większych hotelów. Plac przedstawia się jako podługowaty czworobok wyniesiony ponad ulicami i wyłożony wielkimi płytami granitu. W obu końcach, tj. w pośrodku stron mniejszych stoją dwa pomniki, jeden z nich wyobraża krzyż — herb miasta, drugi tworzy grupę przedstawiającą przyjęcie chrześcijaństwa przez pierwotnych krajowców. Tu wreszcie znajduje się również główne *café-restaurant*<sup>187</sup> miasta: „Café del comercio”.

Kiedy powóz nasz stanął na placu, było już późno i ciemno; odesłałem więc konie i poszliśmy do portu, by się przekonać, czy „Łucja-Małgorzata” przybyła do Orotawy. Obszerne granitowe molo, po którym wiodła nas droga, było już opuszczone. Na morzu zauważyłem wprawdzie kilka okrętów, panowała jednak taka ciemność, że nic rozpoznać nie byłem w stanie. Wtem spostrzegłem majtkę floty wojennej opartego o słup łańcuchowy. Mniemając, że należy do zarządu portowego, zapytałem go się językiem dumnej Kastylji, jakie okręty stoją na kotwicy i czy nie zauważył „Łucji-Małgorzaty”.

„*N'comprends par M'sieur*”<sup>188</sup> — odparł zagadnięty tak czysto bretońskim akcentem, jak gdybyśmy stali na plantach Brestu. Był to francuski majtek wojenny: teraz dopiero, przystępując bliżej, poznałem czerwony kutas<sup>189</sup> czapek rządowych floty francuskiej, okręt tej narodowości musiał więc znajdować się w porcie. Prostując omyłkę, zwróciłem się do Francuza w jego ojczystym języku i dowiedziałem się, że „Łucji” jeszcze nie ma i że okręty, które widziałem na rejdzie, są to dwie francuskie korwety<sup>190</sup>: pierwsza „Cher”, płynąca od Nowej Kaledonii<sup>191</sup>, druga „Du Petit-Thuars”, pod flagą komendanta eskadry kapitana Borris, główny okręt oddziału francuskiej floty na wodach afrykańskich, następnie „Sigera”, wojenny okręt stacji hiszpańskiej. Wiadomość o pierwszych szczerze mnie uradowała, gdyż przez długi pobyt we Francji, a głównie w Paryżu, Breście, Cherbourgu i Hawrze, miałem wielu dobrych znajomych pomiędzy oficerami francuskiej marynarki. Nieobecność okrętu naszego jednakże żywo mnie zaniepokoiła, udałem się więc do biura portowego, gdzie otrzymałem uspakajającą wiadomość, że „Łucja” w porcie być nie może, ponieważ przez cały dzień nie było wiatru, panowała zupełna cisza na morzu. Zmęczony drogą, powróciliśmy na plac Konstytucji i zasnęli wkrótce w jednym z hotelów.

Kiedym następnego dnia wcześniej rano wyszedł na molo, ujrzałem wreszcie zgrabne maszty i syrenę „Łucji”, kołyszącej się lekko na falach zatoki. Wziąłem więc łódź portową

<sup>185</sup>Wyspy Zielonego Przylądka — archipeląg w środkowej części Atlantyku, 620 km na zach. od wybrzeży Afryki, na wysokości Zielonego Przylądka (fr. *Cap-Vert*, port. *Cabo Verde*) w Senegalu. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>rząd hiszpański przeprowadza albowiem kabel telegraficzny z Kadyksu na wyspy kanaryjskie... — w chwili gdy niniejsze notatki przygotowują się do druku, owe linie telegraficzne już funkcjonują. [przypis autorski]

<sup>187</sup>*café-restaurant* (fr.) — kawiarnia-restauracja. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*N'comprends par M'sieur* (pot. fr.) — nie rozumiem pana. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>kutas (daw.) — frędzel; zwisająca ozdoba ze związanego w pędzel pęczka nici. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>korweta — niewielki okręt; do XIX w. żaglowy, używany głównie do służby zwiadowczej i zadań pomocniczych, także w ekspedycjach naukowych; później korwety były wyposażane w silniki parowe, ale zachowały pomocnicze ożaglowanie; w latach 60. XIX pojawiły się korwety pancerne, rodzaj wczesnych pancerników, mniejszych od fregat pancernych. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Nowa Kaledonia — francuskie terytorium zamorskie w zach. części Oceanu Spokojnego, ok. 1400 km na wsch. od Australii. [przypis edytorski]

i pojechaliśmy ku naszemu okrętowi, by jak najprędzej dowiedzieć się, jak odbył drogę z Orotawy.

Gdyśmy przybyli do portu, zastałem kapitana Boutes w piorunującym humorze.

— Jakaż była żegluga, Mr. Boutes? — zapytałem się, wchodząc na pokład.

Mr. Boutes mógł zaledwie powstrzymać swe gromy na ciszę morską, która była zaskoczyła okręt wobec skał Orotawy i Anagi. Uspokoił się jednakże na widok bezpiecznego portu Santa Cruz, tym bardziej że dla dalszej żeglugi mieliśmy w perspektywie stałe świeże pasaty, które za dni kilka miały nas przenieść dalej na południe, do Liberii.

Głównym celem, w którym przybyłem do Santa Cruz, było uzupełnienie listy przedmiotów potrzebnych jeszcze ostatecznie dla ekspedycji oraz wyjednanie jej jak największej protekcji ze strony władz hiszpańskich. Przewidując więc liczne wizyty, przeniósłem się na czas pobytu do hotelu „De Cuatro Naciones”, w którym stanął również p. Wildpret. Pierwszym i najlepszym hotelem w Santa Cruz jest wprawdzie inna, wygodnie po angielsku urządzona gospoda „Hotel Camacho”, lecz chciałem jak najdłużej pozostać z naszym przyjacielem z Orotawy, stanąłem więc w jego fondzie.

Kiedym powrócił z okrętu i uczynił pierwszych kilka kroków na ulicy portowej, spostrzegłem znaną twarz, która mi się również zdawała przypatrywać. Zbliżywszy się, poznałem ze zdziwieniem już z Madery nam znajomego księcia Karageorgiewicza, który bawił jeszcze w Santa Cruz, czekając na parowiec mający go przewieźć do Marsylii po zwiedzeniu kilku marokańskich portów. Przywitaliśmy się wzajemnym: „*Comment! vous ici?*”<sup>192</sup>

Ponieważ jednakże spieszyłem do hotelu, a było i tak już późno, musieliśmy się więc tymczasowo pożegnać, pozostawiając plany, powstające z przyczyny spotkania, na dni następne. W hotelu zastałem p. Wildpreta. Pospieszyłem zaprosić go na okręt na obiad w obawie, by nie przyjął innego zaproszenia. Na szczęście wyraziłem mu nasze ogólne życzenie dość wcześnie, gdyż przyrzekł. Tymczasem zaś siedliśmy do hotelowego śniadania, przy którym podziwiać musiałem gwarliwość Hiszpanów przy stole. Poznałem tu kilku santacruzkich przyjaciół mego towarzysza drogi i wkrótce dzięki niemu miałem już liczne znajomości. Pan Robinet, sekretarz francuskiego konsulatu, także jeden z przyjaciół p. Wildpreta, nadzwyczaj serdeczny i wykształcony jegomość, objaśnił mnie co do osób, którym pragnąłem złożyć me wizyty, dodając, iż konsul francuski, baron Chassoriot, i Don Abel Aguilar, zięć jego, konsul rosyjski, byli nadzwyczaj zdziwieni, widząc mały nasz północny okręt aż na wodach Teneryfy. Długo rozmawiałem przy stole z przyjemnym Francuzem, którego już po zamaszystej napoleonce<sup>193</sup> można było z daleka poznać jako takiego. Gawędziliśmy o wieściach otrzymanych przez ostatni pakbot z Europy, o zajściach we Francji, lecz najgłośniejsza dla mnie była wiadomość, że rząd francuski wysyła eskadrę składającą się z 14 okrętów na wody zachodnich brzegów Afryki i że naczelnik jej, komendant Borris, przybyły na „Du-Petit-Thuars”, zabawi w Santa Cruz prawdopodobnie jeszcze ze dwa dni. Był to szczęśliwy traf, dający możliwość zbliżenia się z dowódcą eskadry, który jako taki był ważną osobistością dla każdego, kogo obchodzą sprawy zachodnioafrykańskie. Oświadczyłem więc p. Robinet, iż oprócz wizyty, jaką zamierzam złożyć generalnemu gubernatorowi i admirałowi stacji, postanowiłem również złożyć takową panu Aguilar, że więc będzie mi nadzwyczaj przyjemne i pożądane poznać przy sposobności barona Chassoriot, jego krewnego, i złożyć me uszanowanie komendantom francuskich okrętów. Tak się też stało.

U francuskiego konsula spotkałem się z komendantem Borris i stosownie do mego życzenia baron Chassoriot przedstawił mnie naczelnikowi francuskiej eskadry.

— Jak to — zawołał komodor — podczas ostatnich burz byłeś pan z tym lugierem na oceanie?

— Tak jest, komodorze — rzekłem. — „Łucja-Małgorzata” posiada najlepsze zalety morskie.

— *Parbleu!*<sup>194</sup> Musi je posiadać, inaczej nie byłbyś pan dzisiaj na Teneryfie; ale małe rozmiary jej — *sacristi!*<sup>195</sup> — to nie musiały być żarty. Korweta „Cher”, która stoi ze mną

<sup>192</sup>*Comment! vous ici?* (fr.) — Jak to, pan tutaj? [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*napoleonka* — tu: bródka modna w czasach Napoleona III. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*parbleu* (fr.) — dalibóg. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*sacristi* (fr.) — do kroćset! [przypis edytorski]

na rejdzie, jest parową korwetą wojenną, przy tym nie najmniejszą, a krzyżując po oceanie w tym samym czasie, nielekko miała przejścia; była siedemnaście dni w drodze.

Komodor Borris, stary, dzielny marynarz, poczuł za bohaterską żeglugę „Łucji-Małgorzaty” niezmierną dla niej przyjaźń, a przyjaźń marynarza do jakiegokolwiek okrętu rozpościera się na wszystko, co do niego należy.

Mówiliśmy więc chwil kilka o mej ekspedycji i wreszcie pożegnałem się, widząc, że komodor ma interesy do załatwienia z konsulem.

— Gdziekolwiek bądź spotkasz pan jaki okręt mej eskadry — rzekł mi przy pożegnaniu — bądź pan pewny, iż będzie zawsze gotów nieść wszelką pomoc ekspedycji, jaką tylko będzie w stanie jej okazać. Nie omieszkam dać odpowiednich instrukcji, a więc do widzenia na Fernando Poo. Szczęśliwej drogi!

Dnia następnego poznałem pana Aguilara, konsula rosyjskiego, który przyszedł oddać mi wizytę, ofiarując się towarzyszyć mi do gubernatora i admirała. Poszliśmy więc razem.

W pałacu komendantury przyjął nas naczelnik sztabu, pułkownik Tolosa, i wkrótce wprowadził nas marcjalnie<sup>196</sup> wyglądający adiutant do generała Veylera, głównego komendanta Kanaryjskich Wysp.

Wszędzie w obszernych salach, na schodach, w dyżurnych pokojach i biurach panował wzorowy porządek. Prosto i dzielnie trzymające się warty, z respektem wchodzący i wychodzący oficerowie, wszystko świadczyło, że tu władza silną ręką, żeśmy w bliskości dzielnego generała.

Wkrótce znajdowaliśmy się rzeczywiście wobec jednego z najdzielniejszych wodzów armii hiszpańskiej. Generał Veyler, czyli jak go tu nazywają podług tytułu: „*el capitán general*”, jest stosunkowo do stopnia i godności, jaką piastuje, jeszcze młodym człowiekiem; może mieć około lat 36; co mu zaś tak wcześnie przyniosło szlify generalskie i nadało ogólną powagę i poszanowanie pośród armii, to jego czynne, czysto wojskowe życie. Każdy jego stopień oficerski otrzymany jest na polu bitwy, obóz był mu najlepiej znaną kwaterą, a szabla prawie nieustannym towarzyszem; walczył nią szczęśliwie przeciw karlistom<sup>197</sup> i wyruszał kilkakrotnie na wrzące w powstaniu to Kubę, to Wyspy Filipińskie.

Po tym wszystkim, co słyszałem o generale, sądziłem, że ujrzę typ barczystego i pokiereszowanego „starego wojaka”, byłem więc zdziwiony, gdy wyszedł ku nam niskiego wzrostu jegomość, niezbyt silnej budowy i ubrany po cywilnemu — był to generał. Pan Aguilar przedstawił mnie gubernatorowi, mogłem zatem bliżej przypatrzeć się milej i inteligentnej jego twarzy. Mimo niepozornej postaci wzbudzał on poszanowanie: rysy nosiły piętno stanowczości i wielkiej siły woli, spojrzenie świadczyło o niezmiernej bystrości poglądu, wysokie czoło zaś o niezwykłej inteligencji. Mimo to wszystko można było odczuć w generale zaraz na wstępie prostotę i szlachetność, można by powiedzieć: serdeczność nawet, choć znów z drugiej strony uderzała pewność w postępowaniu i ufność w siebie.

Po kilku słowach tyczących się podróży naszej zauważyłem w nim szczerze zajęcie się ekspedycją, określiłem mu więc cel jej i opisałem dotychczasową żeglugę. Generał tymczasem wspomnił mi, że i on za kilka lub kilkanaście dni wyruszy z ekspedycją wojskowego charakteru na brzegi marokańskiej Sahary, by zająć w imieniu rządu hiszpańskiego jeden z punktów, do których Hiszpania ma prawo. Jest to marokańska miejscowość Agadir, czyli jak nazywają ją Hiszpanie Santa Cruz de Mar Pequena<sup>198</sup>, położona mniej więcej w 30° 20' północnej szerokości. Stary traktat, podpisany w Wadi Ras<sup>199</sup>, oddał prawnie

Żołnierz

Kolonializm

<sup>196</sup>marcjalnie (daw., z łac. *martialis*: marsowy) — wojowniczo, groźnie. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>karliści — konserwatywni zwolennicy Karola Burbona, hrabiego Moliny; po śmierci swego brata, króla Hiszpanii Ferdynanda VI, który na następcę wyznaczył kobietę, swoją niepełnoletnią córkę Izabelę, uznał on decyzję poprzednika za złamanie tradycyjnych praw dziedziczenia i ogłosił swoje wstąpienie na tron jako Karol V (stąd nazwa ruchu); wywołało to I wojnę karlistowską (1833–1839); mimo brutalnego spacyfikowania ruchu karlistowskiego zwolennicy Karola oraz jego potomków nie ustawali w dążeniach do przejęcia władzy siłą, organizując próby zamachów stanu i powstań w latach 1846, 1855, 1860, 1870, 1872–1876 i 1900. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>marokańska miejscowość Agadir, czyli jak nazywają ją Hiszpanie Santa Cruz de Mar Pequena — mowa o dawnej osadzie hiszpańskiej założonej w 1478 w pobliżu przylądka Tarfaja, porzuconej w 1524, kiedy władcy Maroka z dynastii Sadytów wygnali Europejczyków z placówek na wybrzeżu; obecnie miejsce to nosi nazwę Foum Agadir, w odróżnieniu od dużego miasta Agadir, położonego 500 km dalej na północ. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>Stary traktat, podpisany w Wadi Ras — traktat pokojowy zawarty w 1860, kończący wojnę hiszpańsko-marokańską (1859–60). [przypis edytorski]



ową przystań morską rządowi madryckiemu; sułtan Sidi Muley Hassan atoli, obecny władca marokański, oparł się temu, podczas gdy dla Hiszpanii spełnienie traktatu miało swoją wagę, dla wschodnich zaś wysp kanaryjskiego archipelagu była to kwestia żywotna. Wyspy te, Lanzarote i Fuertaventura, prowadzą dość znaczny handel rybami, bliskość marokańskich brzegów tymczasem narażała rybaków hiszpańskich na ciągłe napaści i rabunki ze strony wojowniczych nadbrzeżnych mieszkańców, tak że zajęcie owego punktu Santa Cruz de Mar Pequena stało się niezbędne dla obrony interesów kanaryjskich.

Rozpoczęto więc nowe traktowania z sułtanem, uwieńczone rezultatem korzystnym dla Hiszpanii i generał Veyler otrzymał rozkaz z Madrytu zająć oznaczony posterunek; oczekiwał tylko przybycia okrętu transportowego z wojskiem i pancernika „Numancia”. Tymczasem nadszedł ordynans. Zauważyłem, że generał zajęty, pożegnałem się więc, musząc przyrzec sympatycznemu gubernatorowi, iż będę na balu, który dawał owego wieczora.

Naczelnik stacji morskiej, admirał Vigo-Nina, któremu złożyłem następną wizytę, przyjął nas równie uprzejmie i okazał także jak największą przychyłność dla ekspedycji. Obiecał mi list do gubernatora wyspy Fernando Poo i zapewnił, że możemy rachować na wszystko, w czym tylko kolonia Fernando Poo będzie w stanie pomagać pracom ekspedycji.

Gdy powróciłem do hotelu, zauważyłem dopiero, co się działo na ulicy. Karnawał rozgościł się na dobre w Santa Cruz: śniadania, obiady i bale gonily się po kolei, na stole zastałem liczne zaproszenia, wszystkie były tak serdeczne, domy tak gościnne, że nie wszędzie odmowa była możliwa. Najweselej spędzała karnawał młodzież miejska, jak to zresztą wszędzie bywa. Całe miasto przemieniło się w bal maskowy; liczne grupy poprzebierane przeciągają wtedy po ulicach, to pieszo, to konno, to na wozach, zatrzymując się przed pierwszym lepszym domem, gdzie podczas ostatków zawsze zastawione są stoły dla znajomych i nieznanym masek. Przed wejściem jednakże przybywająca grupa musi znieść atak z okien, z których jak ze strzelnic fortecy wita ją grad jaj, wypychaniu których przypatrywaliśmy się już w Orotawie w hotelu „Teyde”.

Podczas karnawału poważni i dumni Hiszpanie przetwarzają się zupełnie, rzekłbyś, że nie znają granic wesołości. Widziałem jeźdźców wjeżdżających wraz z koniem do kawiarni i głoszących z siodła jak z kazalnicy mowy do zebranych. Rzadko jednakże widać pijanych, a do nadużyć nie dochodzi prawie nigdy. Jak mi mówiono, cieszy się Santa Cruz w ogóle reputacją wesołego miasta, mieszkańcy lubią się bawić, casino częste daje bale, bulwar zawsze zapełniony spacerującymi, nawet w gustownie urządzonej teatrze również jest pełno mimo karnawału i tak miernej trupy, że siadłszy w fotelu parterowym, zasnąłem snem twardym i przerywanym wyłącznie podczas pauz. Mylnie jednakże przypuszczano by, że podróżnik nie znajdzie tu nie oprócz zabaw i miejsc wesołości. Stolica Teneryfy ma też swe przybytki pracy i nauki, chociaż są to po większej części prywatne pracownie. Taki jest gabinet zmarłego profesora Maffiota, który uprzejmi synowie dozwolili nam zwiedzić i przejrzeć zbiory pracowitego przyrodnika. Mają one głównie znaczenie dla mineralogii i geologii Wysp Kanaryjskich i zajęły nadzwyczaj K. Tomczeka. Prócz okazów mineralogicznych znajdują się tu zbiory fauny morskiej archipelagu i wykopaliska po Guanczach, a pomiędzy nimi pieczęć, którą opisuje i podaje w kolorowanym rysunku Berthelot w jednym z tomów o starożytnościach Guanczów.

Głównym skarbem dla badacza Guanczów jest w Santa Cruz miejskie muzeum, właściwiej byłoby je nazwać: muzeum doktora Bethencourt (jednego z ostatnich potomków sławnego Juana de Bethencourt, pierwszego zdobywcy Kanaryjskich Wysp). Muzeum to, znajdujące się w starym klasztornym budynku, należy wprawdzie do miasta, lecz zawdzięcza swe zbiory i byt prawie wyłącznie poszukiwaniom i staranności doktora. Poznawszy się z nim przez p. Wildpreta, miałem sposobność zwiedzić drogocenne te zabytki. Przeszedłszy po jednej z mniejszych uliczek, weszliśmy w furtkę starego klasztoru, w którym dziś mieszczą się różne biura i gimnazjum miasta. Przebywszy kilka korytarzy i schody, na dół prowadzące, staliśmy wreszcie przed starymi drzwiami, ukrywającymi mozolnie zebrane pamiątki przeszłości. Doktor posłał po klucze i wkrótce znajdowałem się z p. Wildpretem i z jednym z oficerów hiszpańskiej marynarki, który nam towarzyszył, w podługowatej, wąskiej sali, czyniącej wrażenie trupiarni. Po obu stronach poustawiane były na półkach przez całą długość nawy czaszki pierwotnych mieszkańców Kanaryjskich

Zabawa

Wysp (pomiędzy nimi wiele Guanczów), na dole zaś mumie, kawały balsamu i mnóstwo zabytków miejscowych starożytności. Zbiór kraniologiczny zawierał 746 czaszek i przedstawiał ciekawe pole dla antropologa i historyka. Z westchnieniem pomyślałem o dwu przyjaciółach ekspedycji: o czcigodnym doktorze Baranieckim i o profesorze Kopernickim z akademii krakowskiej; otrzymałem jednakże w Santa Cruz drugą czaszkę Guancza, był więc choć w części plon dla tego ostatniego.

Tymczasem czas schodził, interesy w Santa Cruz były ukończone, a jednak zatrzymało nas gościnne miasto.

Komodora Borris już nie było na rejdzie, wypłynął był do Senegalu, lecz stała jeszcze korweta „Cher” i na długo pamiętne będą mi chwile spędzone u jej komendanta, porucznika Lofond i serdecznych jej oficerów z księciem Karageorgiewiczem, panem Aguilar i konsulem francuskim. Jednej jeszcze osoby nie mogę pominąć milczeniem, ponieważ mimo woli często przychodzi mi na myśl jako serdeczny, rzadkiej dobroci przyjaciel ekspedycji. Był nim Don Pablo Pebrer, naczelnik górnictwa i lasów prowincji Kanaryjskich Wysp. Wychowany w Europie, mówił wyśmienicie po francusku i w ogóle można go było wziąć prędzej za Francuza niż za Hiszpana. Pan Pebrer był to jegomość dobrej tuszy, lubiący ciszę i spokój, zdziwiłem się więc niemało, gdy zastałem go pewnego dnia w „Café del comercio” obładowanego książkami; spociał się aż pod ciężarem swej biblioteczki.

— Co to takiego, Don Pablo? — spytałem zdziwiony, podchodząc do niego i podając mu rękę.

— Oto dzieła o Kanaryjskich Wyspach — rzekł, pokazując książki. — Są one po większej części tu wydane, sądziłem, że będą pożądane dla biblioteki „Łucji-Małgorzaty”. Chciej je więc pan przyjąć od szczerego przyjaciela jej zadania, a w dalekich podróżach przypomni to panu czasem naszą Teneryfę.

Nie wiedziałem, jak dziękować pocziwemu panu Pebrezowi. Piękne, pożyteczne dzieła były dla mnie cennym zbiorem, lecz stokroć cenniejszymi jeszcze szczerą przyjaźń i gorąca chęć popierania naszej pracy. Jeżeli te ćwiartki kiedykolwiek dojdą do niego na Wyspy Kanaryjskie, niechaj odczyta w nich wspomnienie długich naszych gawędek i odczuj szczerą, zawsze zachowywaną przyjaźń.

Lecz czas nagli, musimy płynąć dalej, żegnajmy się więc z gościnnym miastem Santa Cruz i przyjaciółmi.

Pocziwy pan Wildpret pierwszy nas opuszcza, musi albowiem wracać do Orotawy. Tak się przyzwyczaiłem do tego cichego towarzysza, że trudno mi było rozstać się tak prędko, lecz drogi nasze już się rozchodziły, i to w chwili, gdyśmy się najlepiej poznali, jak to często bywa w życiu. Uścisnęliśmy więc sobie dłonie, przyrzekli dawać wzajemnie wiadomości i rozstaliśmy się.

Generał Veyler pożegnał mnie krótko, lecz serdecznie:

— Gdziekolwiek bądź będziemy — rzekł mi — czy tu, czy w Europie, rachuj pan na przyjaciela.

Stary admirał Vigo-Nina wręczył mi listy do gubernatora Fernando Poo. Odczytawszy je, musiałem przyznać, że najlepszego przyjaciela nie byłbym goręcej polecił. Admirał jednakże zdawał się jeszcze nie być zadowolony z siebie, chociaż podług jego listu mieliśmy prawo żądać wszystkiego na Fernando Poo<sup>200</sup>. Z twarzy admirała było widać, że pragnąłby sam być na owej wyspie, by uczynić tam dla nas, co było w jego mocy.

Ostatniego dnia pan Pebrez zaprosił mnie do siebie na pożegnanie.

— Nie tańczyłeś pan na balach — rzekł mi — nie mogłem więc przedstawić pana mej żonie i córkom, zechciej pan zatem ostatnie to śniadanie spędzić razem z nami; córki moje grają na fortepianie, usłyszymy utwory pańskiego rodaka, Szopena, i kilka urywków z oper, zdaje się, że trafi to panu do gustu.

Przyjąłem gościnne zaproszenie i spędziłem w cichym domu pana Pebreza może najprzyjemniejsze chwile w Santa Cruz. Mówiąc o fortepianie, Don Pablo wiedział dobrze, że trafił w słabą mą strunę. Gdyby nie ostatnie chwile i czas naglący, byłbym dłużej wsłuchiwał się w urywki naszego mistrza, w których piękne seniority streszczały melodyjnym echem przyjemne dni pobytu w Santa Cruz.

<sup>200</sup> podług jego listu mieliśmy prawo żądać wszystkiego na Fernando Poo — Niestety, osoba, do której list ten się stosował, dzielny p. Montes de Occa, został odwołany do Europy, nim przybyliśmy do Fernando Poo, a na miejsce jego przybył gubernator nowy, człowiek nie bardzo dobrej woli. [przypis autorski]

Kiedym wchodził w godzinę później mniej więcej do francuskiego konsulatu, by poznać się z p. Aguilarem i baronem Chassoriot, zastałem oficera z korwety „Cher”, której komendant pan Lafond ofiarował był mi holowanie „Łucji-Małgorzaty” z portu, ponieważ nie było wiatru, a jednego dnia mieliśmy podnieść kotwicę. Oficer był więc przysłany, by się zapytać, czyśmy gotowi. „Cher” płynął również na południe, dążąc do Nowej Kaledonii, serdeczny komendant pragnął więc okazać nam swą życzliwość, używając sił swej maszyny naszej żaglowej „Łucji” przez część drogi wspólnej. Niestety, czekałem jeszcze na różne przedmioty zakupione dla ekspedycji, miałem prócz tego korespondencją do skończenia, nie mogłem zatem przyjąć zobowiązującej propozycji i musiałem podziękować komendantowi, życząc mu z całego serca jak najszczęśliwszej drogi. Oficer odpłynął na pokład swego okrętu, za chwilę dany był sygnał i statek powoli zaczął oddalać się z portu. „Łucja” zamieniła z nim saluty flagą i za godzinę „Cher” był na pełnym oceanie.

Przed wieczorem skończyliśmy interesy. Nasza szalupa odbiła od portowej przystani i wkrótce staliśmy znów na pokładzie naszego lugra, gotowi do dalszej drogi. Wiatr jednakże się nie wzmacniał. Na próżno wyczekiwałem go przez kilka godzin, musieliśmy noc jeszcze postać na kotwicy i dopiero następnego dnia rano (9 lutego) „Łucja-Małgorzata” rozwinęła żagle.

Teneryfa znikła w mgłę porannej, na chwil kilka ukazały się z lewej burty wybrzeża Gran Canarii, wreszcie znikły i one na horyzoncie. Byliśmy znów na oceanie.

## ROZDZIAŁ XI

*Spokój oceanu. — Fauna morska. — Pasaty i ich powstawanie. — Pas cisz i jego niebezpieczeństwa. — Huragany, tajfuny i tornady. — Kliper „Oprycznik”. — Deszcze tropikalne. — Ulewa w Brazylii. — Harmattan. — Rozrywki na morzu. — Połów rekina. — Noc oceanu podzwrotnikowego.*

Ocean tropikalny, w którego obszary wstąpiła „Łucja” nareszcie, opanował wkrótce wszystkich swymi czarami. Najmniejsza chmurka nie mąciła czystego, błękitnego sklepienia nieba, lazurowe tonie wodne poruszał z lekka łagodny północno-wschodni wiatr, dmąc w białe żagle okrętu, podczas gdy podzwrotnikowe słońce ożlacało cuda fauny oceanu: zielonawe bonity<sup>201</sup>, srebrne ryby latające, wesołe stada delfinów, bujające na falach żółwie morskie olbrzymich rozmiarów, jaskrawe meduzy, gwiazdy morskie i ową różnorodną a niezliczoną ilość różnych moluszek<sup>202</sup>, delikatnych barw których ładowemu mieszkańcowi opisać jest niepodobieństwem.

Każda cząstka wodnych obszarów łśni się i błyszczycy w tych stronach, gdzie słońce prostopadle zsyła swe promienie na daszek okrętu, bez którego mieszkańcy „Łucji” już nie mogą przechadzać się swobodnie. Duszne kajuty opuszczone, wszyscy wyszli na pokład i wpatrują się z wysokiej burty galionu w ożywiony ten świat podwodny.

Okręt tymczasem jednostajnie posuwa się naprzód, łagodnie pochylony na prawą burtę północno-wschodnim pasatem, najdrogocenniejszym darem dla marynarza.

Podczas gdy na północy żaglowiec oddany bywa na łaskę i kaprysy zmieniających się wiatrów, częstokroć całymi tygodniami mu nieprzychylnych, na wodach stref tropikalnych panuje stałe prawo atmosfery, na podzwrotnikowym zaś Atlantyku zupełnie stały wiatr, a mianowicie: w pasie gorącym północnej półkuli — północno-wschodni, w południowym — południowo-wschodni. Wiatry te nazywają się pasatami (*tradewinds* u Anglików, *vents alizes* u Francuzów, *Passatwinde* u Niemców).

Przez silne działanie słońca na wody oceanu, pomiędzy zwrotnikami leżące, podnoszą się gorące prądy atmosfery, które rozchodząc się jakby snopy w wyższych jej warstwach, ochładzają się, dążą ku biegunom i opadają, stamtąd ponad powierzchnią morza powracają ku równikowi, wykonywając w ten sposób ciągłe obroty. Pierwotny ich kierunek byłby z północy na południe, gdyby nie istniał obrót sferoidu ziemskiego, który wyprzedzając owe powietrzne prądy, nadaje im wyżej wspomniany kierunek. Oto przyczyna pasatów.

<sup>201</sup>*bonito* — tuńczyk pasiasty, gatunek drapieżnej ryby morskiej, występującej w tropikalnych i subtropikalnych morzach i oceanach. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>*moluski* (fr. *mollusques*, z łac. *molluscus*: miękki) — mięczaki, typ zwierząt, do którego należą m.in. ślimaki, małże, ośmiornice. [przypis edytorski]

Na północy i południu dalszym, w szerokościach chłodniejszych, wpływ wielu innych ubocznych przyczyn burzy regularność prądu atmosferycznego, czyli wiatrów.

O ile jednak przychylne są dla żeglugi owe stałe wiatry, na które marynarz zawsze liczyć może, a w których pozwolone mu jest odpocząć spokojnie, postawiwszy żagle we właściwym kierunku, po trudach i zmianach północy — o tyle straszny bywa pas otaczający bezpośrednio równik, a oddzielający północne pasaty od południowych. Jest to „pas cisz morskich” (*Les calmes* Francuzów, *equatorial calms* Anglików, *Kalmengürtel* Niemców). Tu panują na przemian: kilkotygodniowa cisza bez wiatru, bez przewiewu, i najstraszniejsze orkany, jakie zrodzić zdoła przyroda. Pas cisz jest kolebką owych huraganów, cyklonów, tornadów i tajfunów (na Oceanie Indyjskim i Spokojnym, głównie na Morzu Chińskim), które pokryły już kośćmi i szczątkami okrętów niejedno miejsce dna oceanów. Te straszne walki odbywają się bez świadków zwykle, nieszczęśliwy okręt ginie prawie nieomylnie w walce z huraganem, a admiralicja lub biuro kompanii notuje w swych księgach po próżnym wyczekiwaniu: „przepadł bez wieści”. Tak zginął między innymi ofiarami wśród Oceanu Spokojnego rosyjski kliper<sup>203</sup> wojennej marynarki „Oprycznik”. Admiralicja do dziś dnia, od pół wieku prawie, czeka na jego przybycie, nie mając najmniejszego śladu, lecz zdaje się, iż pochłonął go ocean podczas jednego z owych okropnych przesileni natury, gdyż okręt kupiecki angielski widział właśnie w czasie katastrofy na Oceanie Spokojnym wojenny statek rosyjski, ku któremu zbliżał się huragan 24 grudnia, a więc w samą wilię Bożego Narodzenia. Musiała to być dla oficerów i załogi rozpaczliwa wilia.

Orkany te, straszne dla flot, portów i miast, postępują tu w pasie cisz, po linii parabolicznej, w wirowym biegu za północ rzadko jednakże wykraczają poza zwrotniki, w ich szerokości nawet są już rzadkie. Za to pomiędzy nimi nadmiar działań słońca wysyła takie olbrzymie masy par z oceanu, prądy powietrzne tak gwałtownie poruszane bywają, że przesilenia atmosfery następują z potęgą wszystko niszczącą, z okropnością, przed którą truchleje człowiek, kryją się zwierzęta. Deszcze są tu potopami, orkany śmiertelnymi dreszczami przyrody. Niedawno, w 1882 roku, zniszczył huragan całą prawie Manilę, przebiegając lotem pioruna przez Wyspy Filipińskie, zaś o deszczach, a raczej ulewach tropikalnych mieszkańców północy wtedy może nabrać pojęcia słabego, gdy zważy, iż siła spadających strumieni wody dziurawi żagle okrętowe, przekształca przez kilka godzin rzeczki małe w rwące potoki.

Czudi, znany badacz-podróżnik, opisuje jeden z takich deszczów w liście pisany w brazylijskiej prowincji Minas Geraes.

„W przeciągu popołudniowych kilku godzin — pisze podróżnik — spotężniał deszcz do straszliwej ulewy, która trwała z niesłychaną siłą przez siedem godzin. W licznych moich podróżach widziałem często nadzwyczajne deszcze, lecz trwało to zwykle przez kilka chwil tylko. Nigdy jednakże nie miałem do czynienia z podobnym jak tu zjawiskiem. Po kilku godzinach stało się ono rzeczywiście przerażające. Przestraszeni mieszkańcy obawiali się o byt swej wioski, z każdej skały lały się potoki wody, potoki, których wielkość i siła rosły z każdą godziną, przesycona ziemia nie była już w stanie wciągać w siebie tyle wody. W mieszkaniu mym — był to najlepszy dom w Capellinhie — nie było już suchego miejsca; woda, która wdarła się przez dach, wypływała jako potok drzwiami. Od czasu do czasu oświecała błyskawica ciemne pokoje, podczas gdy piorun zagłuszał na chwilę szumiące strumienie deszczu. Niespokojni, oczekiwaliśmy z każdą godziną końca strasznej tej gry przyrody, lecz dopiero około północy przesiliła się burza. Dziś jeszcze myślę z niejakim przerażeniem o niej. Wszystkie nadzwyczajne zjawiska przyrody, przeciw którym człowiek walczyć nie jest w stanie, którym poddać się musi, skazany na bezczynność, wywierają nań nadzwyczaj głębokie, stałe wrażenie. Następnego dnia trudno było poznać wioskę. Jestem przekonany, że obserwacje pluwiometryczne<sup>204</sup> byłyby dały dnia tego takie rezultaty w Capellinhie, jakie pozostałyby jedynymi w archiwach meteorologii”.

„Łucja” jednakże, Bogu dzięki, nie miała do czynienia z owymi strasznymi burzycielami spokoju żeglugi i oceanów; raz tylko zawiął gorący i ostry harmattan<sup>205</sup> od brzegów

<sup>203</sup>kliper — rodzaj szybkiego, smukłego żaglowca popularnego w 2. poł. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>pluwiometria — mierzenie opadów deszczu. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>harmattan — silny, suchy i pylny wiatr pasatowy wiejący w porze suchej znad Sahary na wybrzeże Zatoki Gwinejskiej i zachodnie wybrzeże Afryki Północnej. [przypis edytorski]

afrykańskich. Są to wiatry właściwe tutejszym wodom przybrzeżnym. Około jedenastej przed południem 19 lutego stało się nagle duszno i niezwykle, oddech tamujące gorąco raziło wszystkich pasażerów okrętu. Niebawem zakolysało się morze silnie, gładką przed kilku chwilami powierzchnię poruszała nagle niby niewidzialna ręka, z pieniających się fal dwie wpadły na pokład. Lecz nagle jak się stawił, tak też ustał harmattan. Przez chwilę szarpał złowrogo za liny, które szumiały i warczały, jak gdyby chciały się porwać — potem morze wygładzać się poczęło, gorąco ustało i okręt, powróciwszy na swoją prawą burzę, dążył w dal jak przedtem. Monotonność żeglugi przerywało zawsze drobne jakie zdarzenie, urozmaicając okrętowy tryb życia. Najczęściej powodem było zjawienie się koło okrętu mieszkańców morskich lub czatowanie na nich. Znaczną część ranka zajmowała kąpiel, a raczej zlewanie się morską wodą, przy czym podróżnicy moi wzajemnie sobie służyli, wołąc ten sposób niż kauczukową mą wannę. Następnie czytano zwykle lub porządkowano notatki, bawiono się sporządzeniem hamaków, które niestety przy próbie wieczorem zawodziły nadzieje fabrykanta, niemającego wprawnej ręki majtka, i rwąc się, zrzuciły go z owocu całodziennej pracy; to znów zakładano wędki, czatując na bonity i tony. Często łowiący długo czekał na próżno, zawiedziony rzucił wreszcie wędkę i siadł do stołu. Nagle ukazuje się zamiast tona drobna srebrzysta rybka. „Pilot, pilot” — krzyczy któryś z majtków. Wszystko, co żyje, opuszcza stół, talerze i dąży w oznaczonym kierunku za ster. Rzeczywiście płynie tu drobne, zwinne stworzenie, to zbliżając się do wyrzuconych na reki przyrządów, to oddalając się od nich — wtem znikła! Lecz na jej miejscu ukazuje się w głębi bezkształtna szara masa, poruszająca się to w prawo, to w lewo. Podnosi się z wolna, odróżnić można nieforemną głowę, olbrzymią paszczę, niby na gardle umieszczoną; wtem paszcza ta podskakuje ponad powierzchnię i łakomie chwytając jeden z kawałów mięsa, które wloką po wodzie za okrętem ukryte haki.

„Rekin! Harpuna!” — wyrywa się naraz ze wszystkich piersi. Stary majtek chwytając za ostre żelazo przyczepione do długiej mocnej liny i staje na burcie za sterem, otoczony widzami. Potwór poczuł już połknięty hak; zdziwiony, czuje się podciągnięty ku burcie, a w chwili, gdy zupełnie jest zbliżony do niej, brodacze nasz po krzyku „baczność!” rzuca z nigdy niechybiającą zręcznością harpunę i wbija ją głęboko w kark znenawidzonego morskiego zbrojaka. Struga krwi farbując wodę naokoło, zwierz rzuca się z siłą wścieklej rozpaczki, lecz już drugi majtek zarzucił mu pętlę z liny naokoło ciała i razem z brodatym ciągnąc go na pokład. Jeżeli harpuna dobrze była rzucona, wtedy od głównego ostrza odskakuje we wnętrzu zwierzęcia drugie, tworząc z pierwszym krzyż; można więc śmiało ciągnąć za linę wbitej mocno w kark rekina harpuni bez obawy, iż ta ostatnia wyskoczy. Gdy zwierzę podciągnęli już do burty, dwu majtków niezwłocznie i szybko odrąbuje ogon, bez tego albowiem rekin, którego siła w ogonie jest zdumiewająca, potrząsałby burtę i wszystko, co tylko by pod straszny młot ten wpadło. Nawet po odrąbaniu ogona należy się mieć na baczości: widziałem raz, jak jednym uderzeniem zламаł resztę swego ogona nogę odważnego majtka, niewierzącego należycie w jego siłę i zbliżającego się do rozbestwionego potwora. Toteż rekin tak jest nienawidzony przez załogi okrętowe, iż z nieopisaną radością witają jego przybycie na pokład, by zająć się męceniem. Zwierz albowiem posiada nadzwyczajną siłę żywotną, rozcięty i rozplątany porusza się czasem jeszcze po dwu godzinach.

Na „Łucji” powitano wciągnięcie rekina również z wielką radością: majtkowie dla zemsty za starych kolegów, pasażerowie dla preparowania różnych jego części, jako to: szczęki, skóry ostrej jak pilnik, kości pacierzowej i skrzel. Zapomniano o obiedzie i wszystkim innym, nawet o zapachu tranowym, który panuje na okręcie długi czas po zabiciu rekina.

Takie i tym podobne zajęcia skracają zwykle czas morskich podróży pasażerom i załozie „Łucji”. Najprzyjemniejszymi chwilami jednakże były cudne południowe wieczory pokładowe, gdy gorące, palące promienie słońca ustąpiły miejsca nocnemu chładowi, a ciasne ramy płóciennej markizy szerokiego firmamentowi, na którym miriady<sup>206</sup> gwiazd zabyły spokojnie, unosząc myśli przez daleką atmosferę ku prawom tajemniczym, co miejsca i ruchy dyktują.

<sup>206</sup>miriada (z gr.) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

Noc tropikalnego oceanu to sen czarodziejski, to wieniec cudów przyrody, na którego wspomnienie wyobraźnia opuszcza najbogatsze pałace naszego ładu, dążąc ku owym srebrzystym obszarom bez granic i skazy — świętym, wielkim i wolnym jak wieszczca natchnienie!

## ROZDZIAŁ XII

*Ląd! — Charakter zachodnich brzegów Afryki. — Przylądek Monte. — Pierwsza noc przy afrykańskim brzegu. — Osady i pirogi krajowców. — O Krumanach i ich angażowaniu, cechy charakterystyczne, zalety i wady. — Dziwaczne przezwiska. — Rzeczpospolita Liberia, jej początek i historia. — Przybycie do Monrowii. — Przylądek Mesurado. — Krootoun. — Natrętni goście.*

Dnia 24 lutego ujrzelśmy wreszcie zachodnie brzegi afrykańskiego ładu. Gdym się obudził około piątej rano, usłyszałem zaraz ów charakterystyczny głuchy szmer fal, bijących o ziemię i zwiastujących bliskość wybrzeża. Równocześnie wszedł do kajuty dyżurny majtek, przynosząc wiadomość od kapitana Boutesa, że widać brzegi z lewej burty.

Wyszedszy na pokład, mogłem rzeczywiście powitać tę Afrykę, do której płynęliśmy; znajdowaliśmy się o kilka staj zaledwie od wybrzeża na wodach Rzeczypospolitej<sup>207</sup> Liberyjskiej.

Widok, jaki przedstawiają te brzegi, jest po większej części bardzo jednostajny: linia żółtawa to piasek nadbrzeżny, druga, nieco w tył posunięta, ciemnozielona — to gęszcze lasu dziewiczego, a pod i nad nimi ciemniejsze i jaśniejsze pasy sine — to morze i niebo, tworzące ramy dziwnie prostego pejzażu. Takie mniej więcej wrażenie uderza podróżnika, który się zbliża do brzegów zachodniej Afryki. Tu i ówdzie palma, wznosząca swą piękną koronę wyżej nieco ponad ogólną linię gęszczy, lub faktoria samotna wraz z nielicznymi grupami krajowców, snujących się po piasku, ożywiają jedynie tę monotoność. Tu jednakże ukazał się nam krajobraz w żywszych nieco barwach. Z fal oceanu wznosił się świeży i górzysty przylądek Monte (Cape Mount) pokryty bujną, ku morzu spływającą roślinnością. Ten, następnie przylądek Mesurado, u stóp którego leży stolica tej afrykańskiej Rzeczypospolitej, Monrowia, wreszcie Przylądek Palmowy (Cape Palmas), stanowią jedyne prawie punkty wyższe, przerywające te wybrzeża aż do kolonii Złotego Brzegu, którą później poznamy.

Sądziłem, że będziemy po południu dnia tego w Monrowii, u pierwszego celu dwutygodniowej żeglugi naszej z Santa Cruz; około dziesiątej z rana jednakże wiatr ustał zupełnie, a „Lucja” stanęła nieruchoma naprzeciwko malowniczego przylądka Monte. Zjawiło się kilku krajowców, przybywających w długim, z obu stron ostro zakończonym pirogu<sup>208</sup> (czólnie krajowym), ofiarując usługi pilota do Monrowii, których nie potrzebowaliśmy, mając ściśle mapy żeglarskie i wiedząc z instrukcji nawigacyjnych<sup>209</sup> francuskiej admiralicji, że wpłynięcie do portu Monrowii nie przedstawia żadnej trudności.

Gdy nawet z nadejściem nocy wiatr się nie wzmagił, zarzuciliśmy dla bezpieczeństwa kotwicę. Noc była niezmiernie jasna i pogodna, długo siedzieliśmy na pokładzie, wpatrując się zadumani w brzegi owego ładu, na których kto wie, jaki los nam był przeznaczony.

Na wybrzeżu migotały ogniska, poruszające się to w prawo, to w lewo, a od czasu do czasu dolatywały do nas dźwięki bębenków i pieśni tańczących z łuczycami krajowców.

Następnego dnia, 25 lutego — była to niedziela — podniesiono przed wschodem słońca kotwicę; wiatr był znów przychylny i posuwaliśmy się szybko naprzód. Od czasu do czasu zauważyć można było na brzegu wioski krajowców, składające się z chat „bambusowych” — tak przynajmniej zwykle je nazywają, choć drzewo, z którego chaty te są zbudowane, nie jest bynajmniej bambusem. Przed każdą prawie z nich spostrzegliśmy

<sup>207</sup> *rzeczypospolita* — tu: republika, państwo o ustroju, w którym władza jest sprawowana przez organ wyłoniony w wyniku wyborów na określony czas. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *w pirogu* — dziś popr. forma Ms. lp: w pirodze (r.ż.). [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *mając ściśle mapy żeglarskie i wiedząc z instrukcji nawigacyjnych...* — Nadmienić tu wypada, że wszelkie instrukcje nawigacyjne dotyczące się zachodniego brzegu Afryki, a drukowane przez różne rządy, wymagają ścisłej rewizji, dając informacje przedawnione niekiedy o kilkadziesiąt nawet lat, tj. w obecnym czasie wprost fałszywe. [przypis autorski]

wysoki słupek, przedstawiający prawdopodobnie fetysz<sup>210</sup>. Z wiosek tych przyływały ku nam niejednokrotnie pirogi z krajowcami, przywożąc kury lub ryby na sprzedaż, tj. żądając za nie wódki, tytoniu lub innych przedmiotów. Nieraz litość brała, gdy się patrzyło na nadzwyczajne ich wysiłki dopędzenia okrętu, płynącego dość szybko. Jeżeli się to udawało, wtedy podawano im linę z pokładu, do której przywiązywali wężle swe czółna, płynąc tak wraz z okrętem dopóty, dopóki nie dobili targu lub, jeżeli żądali za wiele, dopóki ich nie odczepiono.

Przyjrzyjmy się teraz nieco bliżej krajowcom zamieszkującym w ogóle te brzegi. Ktokolwiek poznał tryb życia w zachodniej Afryce, ten wie, jak ważną odgrywają w nim rolę Krumani<sup>211</sup>, czyli właśnie ci krajowcy. Dzielą się oni na liczne szczepy i osady, mające oddzielne swe nazwy, jak: Kru, Vhey, Bassa, Grebo itp., dla obcych zaś istnieje dla nich wspólna nazwa Krumanów, czyli ludzi z brzegów Kru.

Po zniesieniu niewolnictwa wszystkie faktorie i plantacje europejskie byłyby musiały zwinąć na afrykańskim brzegu swą czynność dla braku robotników, gdyż miejscowi krajowcy nigdzie prawie nie godzą się do pracy. Jedyni Krumani<sup>212</sup> nie stronią od takiej, i od Sierry Leony do Kongo wszystkie prawie faktorie i plantacje spomiędzy nich rekrutują robotników.

Werbują ich dla różnych aspirantów i miejsc parowce, obsługujące te brzegi. Niech tylko jeden z takich statków stanie przed jakimkolwiek punktem Liberii, w tej chwili zostaje otoczony przez liczne pirożki nadpływających Krumanów szukających służby, czy to na samym parowcu — gdzie kapitanowie zwykle ich angażują do cięższych robót, by nie narażać białej swej załogi w tym klimacie — czy w faktoriach, w Lagos, Bonny, Kalabarze, Kamerunie, Gabonie lub w innych punktach. Kapitan przegląda swe notatki, patrząc, gdzie przez niego obstalowano Krumanów, i angażuje takowych. Dawniej Krumani godzili się na trzy lub dwa lata, teraz jednakże żaden z nich nie zgadza się na dłuższy termin jak na rok jeden, po upływie którego najmujący plantator lub agent faktorii zobowiązany jest odesłać go na powrót do kraju. Ułatwiają to te same parowce, biorąc za przewóz każdego Krumana w jedną stronę 1½ funta szterlinga. Miesięcznie robotnik taki pobiera od 3 do 5 dolarów, zależy to od jego wzrostu i siły. Niegdyś płacono towarami, przy czym faktorie, naturalnie, niemałe robiły interesy. W niektórych punktach praktykuje się to jeszcze obecnie, Krumani jednakże już są znacznie mędrsi i coraz częściej żądają połowy zapłaty gotówką, czyli jak brzmi kontrakt: „*half cash – half goods*”<sup>213</sup>. Godząc się, pobiera każdy Kruman zaliczkę w ilości jednomiesięcznej płacy, co do żywności zaś przyjęto raz na zawsze dawać im funt<sup>214</sup> ryżu dziennie w dwóch racjach, dodając do tego w niedzielę mięsa lub ryb. Europejczyk, który by względem swych Krumanów nie dotrzymał któregoś z punktów kontraktu, miałby następnie wielkie trudności przy rekrutowaniu nowych, gdyż powróciwszy po odbytej służbie do siebie, Krumani informują się wzajemnie o „złych panach”.

Ubiór ich jest bardzo różnorodny; stanowi go bądź kawał płótna zawieszono na około bioder lub stara koszula, znoszona przez jakiegoś byłego chlebobawcę, czasem również stary kapelus, oprócz licznych obrączek i amuletów.

W służbie i przy robocie Kruman jest niezmeńczony, ale tylko wtedy, gdy go krótko trzymają; wtedy można z nim po prostu cudów dokonać. Przede wszystkim jednak trzeba mu dawać wszystko, co mu się należy, za wyjątkowo dobrą pracę czasem obdarowywać kieliszkiem rumu lub liściem tytoniu, a gdy co przeszkobie, bez ceremonii chwycić za bambus. Są oni niezmiernie przywiązani do kraju swego i do takiego stopnia solidar-

<sup>210</sup>fetysz — w religiach pierwotnych: przedmiot mający nadprzyrodzoną moc. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>Krumani, Krumanowie (z fr. l. poj. *krouman*) — pierwotnie Afrykanie z ludu Kru, pochodzący się z Liberii, od XVIII w. zatrudniani na europejskich statkach lub jako tragarze; później nazwą krumanów, wywodzoną z ang. *crewman* (członek załogi), określano całą kategorię społeczno-zawodową żeglarzy i tragarzy z Liberii i Wybrzeża Kości Słoniowej pracujących w służbie osadników na wybrzeżach zachodniej Afryki. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>krajowcy nigdzie prawie nie godzą się do pracy. Jedyni Krumani nie stronią od takiej — dalej na południu, niedaleko od Kongo znajduje się drugie podobne pod tym względem plemię, nazwane Kubinda. Europejczycy tam zamieszkali, głównie Portugalczycy, najmują ich również do pracy; nie są oni jednakże tak dobrymi robotnikami jak Krumani. [przypis autorski]

<sup>213</sup>*half cash – half goods* (ang.) — pół w gotówce, pół w towarach. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*fun*t — dawna jednostka wagi, równa 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

ni między sobą, że za nic w świecie Kruman nie wyda Krumana. Przy tych wszystkich zaletach mają oni też, jak wszystko na świecie, i swoje wady. Jedną z głównych jest niepo- hamowany popęd do kradzieży. Jeżeli takowa się udała, jeżeli zdołali okraść swego pana umiejętnie i w znacznych rozmiarach, widzą w tym po prostu czyn bohaterski, choć nie gardzą równie żadną drobnostką. Rzemiosło to wydaje im się tak wygodne, że przyuczają do niego swe dzieci za młodu i karzą je surowo za nieudane ćwiczenia.

Postać tych Murzynów zwraca na siebie uwagę silną, niejednokrotnie piękną budową ciała; jest to prawdopodobnie najsilniejszy szczep na zachodnim brzegu Afryki. Charakterystycznym znakiem, po którym łatwo poznać każdego Krumana, jest skośna kresa na czole, ciemnoniebieskiego, a czasem czarnego koloru. Kiedy Kruman dojdzie do kilku lat wieku, cechują go już tym znakiem. Odbywa się to w następujący sposób: Rodzice nacinają mu skórę na czole, poczynając od góry czoła do dolka między oczami, częstokroć nawet przedłużają tę linię do końca nosa. Następnie każą dziecku palić fajkę napelnioną rośliną kone, która przy paleniu wydziela płyn burego koloru, czasem zielonawego. Malec przykrywa fajkę ręką, na której zbierze się ów sok, w którym znowu ojciec macza koniec palca i wprowadza go w ranę dziecka. Po zagojeniu pozostaje owa linia ciemnoniebieskiego koloru, która zdobi czoło każdego Krumana. Niektóre z ich plemion wypilowują oprócz tego trójkąty pomiędzy dwoma przednimi zębami górnej szczęki. Tatuowanie to nie razi jednakże tak bardzo, jakby się zdawać mogło, z przyczyny ciemnej cery; przeciwnie, pomiędzy młodymi Krumanami napotyka się częstokroć przyjemne bardzo twarze, co się głównie zauważyć daje, gdy się nieco wypaśli w jakiej faktorii podczas roku kontraktowej służby; u siebie w domu są zwykle chudzi i zgłodniaли. Okrągłość form trzyma się ich zwykle bardzo niedługo po ukończeniu służby, wtedy albowiem pakują swe zarobione skrzynki dżynu, paczki tytoniu, kapelusze, koszule kolorowe i pieniądze (jeżeli nie zakupili i za nie podobnych przedmiotów) i powracają na brzegi krumańskie do swych rodzin. Kupują sobie żony, rozdają część swej chudoby<sup>215</sup> krewnym i spijają się z nimi, dopóki nie dochodzą na nowo do biedy i nie są przez to zmuszeni zgodzić się znów do faktorii. Nazwiska ich własne zdają się Europejczykom zwykle zbyt trudne do spamiętania, każdy więc Kruman ma swe angielskie przezwisko, wybierane bądź przez niego samego, bądź też nadane mu przez białego chlebowawcę, który w tym wypadku nie odznacza się najczęściej dowcipem, gdyż trudno znaleźć coś więcej niedorzecznego nad te przezwiska Krumanów. Napotyka się prawie zawsze następujące: Blackwill, Seabreeze, Yellowwill, Spider, Upside Down, Teaspoon, Spyglass itp., czyli spolszczone: Czarna Wola, Wiatr Morski, Żółta Wola, Pająk, Do Góry Nogami, Łyżka do Herbaty, Spluwaczka etc. Daleko było by rozsądniej zachować ich nazwy krajowe, które bynajmniej nie są takie trudne np. Gimdu, Nuba, Ble, Pide, Tung itd. Mają rację Francuzi, mówiąc: „*Des goûts et des couleurs il ne faut pas disputer*”<sup>216</sup>. Krumani są jednym z bardzo nielicznych szczepów w Afryce niehołdujących zwyczajowi obrzezania.

Tyle o niecywilizowanych mieszkańcach tych stron.

Rzućmy teraz okiem na kraj, w którym Krumani są tubylcami — na Rzeczpospolitą Liberyjską. Co to za rzeczpospolita, tu w Afryce leżąca, jak ona powstała i jakie są jej historia i położenie obecne.

Czytałem w Europie, przed wyjazdem do Afryki, wiele różnorodnych zdań o ciekawym tym państwie czarnych, starających się żyć na stopie europejskiej lub amerykańskiej raczej, słowem na stopie świata cywilizowanego. Misyjne raporty wychwalały rezultaty osiągnięte przez czarne to społeczeństwo, podnosząc je pod niebiosa. R. Oberlander znowu w dziele swym *West Afrika* oraz uczeni inni przedstawili je jako „karykaturę cywilizowanego państwa”. Postanowiłem więc dla wyrobienia sobie własnej opinii o nim poświęcić o ile możliwości najwięcej czasu na obcowanie z Liberyjczykami dla poznania wewnętrznych stosunków ich społeczeństwa.

Historia Liberii jest następująca:

Z początkiem tego wieku rozpoczął się w Ameryce, której dzisiejsza Liberia zawdzięcza swe istnienie, ruch niezwykle pomiędzy licznymi tam znajdującymi się Murzynami. Ruch

<sup>215</sup>chudoba — dobytek, niewielki majątek. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Des goûts et des couleurs il ne faut pas disputer* (fr.) — O gustach i kolorach się nie dyskutuje. [przypis edytorski]



ten stał się następnie przyczyną ciągłych i długich zaburzeń, aż wreszcie wybuchnął pod postacią krwawych rewolucji.

Po kilkukrotnych powstaniach ogłosili Murzyni niepodległą republikę na wyspie Haiti. Gdy zaś czarni przebywający w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki stawali się przez ciągłe rozruchy coraz większym ciężarem dla rządu, zaczęto obradować nad rozstrzygnięciem kwestii murzyńskiej w Ameryce. Było to rzeczywiście zadanie niełatwe. Po uwolnieniu niewolników znalazło się w Stanach Zjednoczonych blisko ćwierć miliona czarnego proletariatu<sup>217</sup>, niewiedzącego co począć z sobą. Wielu z nich wpadło z ciężkiego niewolnictwa w drugą krańcowość: w zupełne lenistwo, do którego każdy w ogóle Murzyn ma nadzwyczajny pociąg; inni wprost pracy znaleźć sobie nie mogli i zaczęli wkrótce zaludniać więzienia. Sprawilo to, jak zresztą i ich przeszłość niewolnicza, że biali zawsze prawie pomiatali nimi, z drugiej strony znów sami Murzyni zaostżeli te stosunki przez pewnego rodzaju arogancję, do której po polepszeniu swego losu mają wielkie skłonności. Położenie czarnych stało się z tych przyczyn po prostu nieznośne. Po nieudanych więc i nieszczęśliwych powstaniach, wywołanych przez eksniewolników Danmarks, Veseya i Nat Turnera, powstała wreszcie tak między białymi, jak i czarnymi w Stanach Zjednoczonych myśl przesiedlenia tych ostatnich tam, skąd niegdyś wywieziono ich praocjów jako niewolników, tj. do Afryki.

Nie będziemy tu rozbierali kwestii, czy był to pomysł szczęśliwy, czy nie, gdyż zdaje się, że byłoby to przedwczesne. Rozpatrzmy tylko przebieg urzeczywistnienia planu, a następnie dotychczasowe rezultaty.

W 1816 r. utworzyło się w Stanach Zjednoczonych towarzystwo pod nazwą North American Colonisation Society, które postanowiło działać łącznie z Afrykańskim Instytutem w celu nabycia na zachodnim brzegu Afryki obszaru ziemi i przesiedlenia na takowy czarnych kolonistów z Ameryki. W marcu 1818 r. przybyło też do angielskiej kolonii Sierra Leone dwu delegatów towarzystwa: Samuel Mills i Ebenezer Burges, duchowni, w celu wyszukania tam, stosownie do zleceń otrzymanych w Ameryce, potrzebnej im ziemi. Gubernator angielski oświadczył jednakże, że „rząd Jej Królewskiej Mości nie może ani uważać za odpowiednie, ani ścierpieć u siebie kolonistów amerykańskich o zupełnie różnych zasadach politycznych”. Wtedy delegaci udali się na wysepkę Sherboro, leżącą nieco na południe od Sierra Leone, i nabyli tam od krajowców pożądaną dla nich kawałek ziemi. Wybór ten jednakże okazał się wkrótce bardzo niefortunny, z emigrujących albowiem już w 1820 r. 88 czarnych kolonistów umarła zaraz czwarta część na febrę<sup>218</sup> tamtejszą; wraz z nimi umarli wszyscy prawie biali, których im dodano na przewodników. W następnym roku 1821 przybył nowy transport pod dowództwem duchownego p. Andrews, lecz i z nich umarła znaczna część wraz z samym p. Andrews. Poznano wtedy w Ameryce, że trzeba się będzie postarać o inny, zdrowszy punkt dla przedsięwzięcia. W tym celu wysłany został pod koniec tego samego 1821 r. dr Ayres, który też przeniósł pozostałych kolonistów z wyspy Sherboro na przylądek Mesurado, gdzie nabył kawałek ziemi już 15 grudnia 1821 roku, przesiedlenie zaś nastąpiło w czerwcu 1822 r. Nabyty kraik nazwano Liberią, a wybudowana u stóp górzystego przylądka osada otrzymała nazwę Monrowia (Monrovia) na cześć rządzącego wtedy prezydenta Stanów Zjednoczonych, Monroe. W tej początkowej swej fazie kolonia miała niewiele więcej nad 400 kilometrów kwadratowych obszaru, na którym każdy kolonista otrzymywał 5 morgów<sup>219</sup> gruntu, żonatym zaś dodawano 2 morgi dla żony i 3 dla dzieci. W roku 1823 po krótkiej bytności w Ameryce przywiózł Ayres znów przeszło 100 czarnych kolonistów, nieco później zaś w tym roku przybył nowy transport i ludność kolonii zaczęła stopniowo wzrastać. Teraz jednakże rozpoczęły się trudności innego rodzaju: plemiona tubylców, od których Ayres był zakupił początkowe terytorium Liberii, zaczęły żalować, że takowe odstąpiły — rozpoczęły się niesnaski między nimi a kolonistami. 11 listopada 1823 r. krajowcy napadli na miasto w liczbie kilkuset i byłiby może kres położyli dalszemu rozwojowi osady, gdyby nie dzielna obrona takowej, prowadzona przez niejakiego Jehudi Ashmun, który był

<sup>217</sup> znalazło się w Stanach Zjednoczonych blisko ćwierć miliona czarnego proletariatu — należeli do niego Murzyni czystej krwi oraz liczni mieszańcy, Mulaci najróżnorodniejszych odcieni. [przypis autorski]

<sup>218</sup> febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami; dawniej również ogólnie: gorączka, której towarzyszą dreszcze. [przypis edytorski]

<sup>219</sup> morga a. mórg — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

pierwszym prawodawcą Liberii i pierwszym jej obrońcą. Drugi napad krajowców, którzy w grudniu tego samego roku zjawili się w dwa razy większej liczbie, rozpędził na szczęście amerykański okręt wojenny. Załoga tego ostatniego osłoniła nawet Monrowię rodzajem twierdzy, która też ostatecznie odstraszyła krajowców. Liberia stanęła teraz pod protektoratem<sup>220</sup> Stanów Zjednoczonych Ameryki i w następnych latach przybyło znów kilkuset nowych kolonistów z zachodu. W r. 1826 otworzono w Liberii pierwszą drukarnię, która przychodziła w pomoc kościołom i założonym szkołom.

Dnia 26 lipca 1847 r. rząd Stanów Zjednoczonych zwinął wreszcie swój protektorat i Liberia ogłosiła się niepodległą republiką. Jakkolwiek ta zmiana wbiła Liberyjczyków w dumę, jest to jednak rzeczą bardzo wątpliwą, czy przyniosła im korzyść, czy nie lepiej byłoby zrobić, pozostając pod flagą amerykańską. Dobrobyt kraju byłby w takim razie o wiele większy, a na zewnątrz zaślaniałaby ich flaga potężnego państwa zamiast flagi niepodległej Liberii, której bezsilność dobrze już im się dała we znaki. Pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej Liberyjskiej był Mulat<sup>221</sup>, p. J. J. Roberts, który cieszył się ogólnym poszanowaniem i był wybierany kilkakrotnie. Po nim nastąpił Stefan Allan Benson, którego przyjmowano w r. 1862 podczas podróży po Europie na różnych dworach.

Powoli terytorium rzeczypospolitej zaczęło się powiększać, bądź przez traktaty zawarte z krajowcami, bądź drogą zdobyczą, tak że w danej chwili należy do niej linia brzegowa od rzeki Mannah<sup>222</sup> (na północno-zachodzie) do rzeki San Pedro<sup>223</sup> (Liberyjczycy utrzymują nawet, że do rzeki Fresco<sup>224</sup>) na wschodzie. Podzielono kraj cały na pięć prowincji, czyli hrabstw, a mianowicie: Cape Mount, Mesurado, Grand Bassa, Sinoe i Maryland ze stolicą Cape Palmas, drugim miastem kraju po stolicy rzeczypospolitej. Wewnętrzna granicę Liberii przedstawia mapa rządowa jako leżącą mniej więcej o sto mil morskich od brzegu.

W r. 1862 Liberia zajęła się badaniem swego kraju; wysłano wtedy Beniamina Andersona w głąb do plemienia Mandingów. Opis tej podróży następnie wydany został pod tytułem *Narrative of a journey to Musardu, the capital of the Western Mandingoes. By Benjamin Anderson*. Później poznamy też mapę rządową, zestawioną przez tego czarnego geografa, B. Andersona, a przedstawiającą między innymi linie jego podróży. Ta ostatnia miała dla Liberii również znaczenie polityczne, gdyż stworzyła pewne stosunki między republiką a Mandingami, których część nawet przyłączyła się wskutek tego do Liberii, choć władza rzeczypospolitej nad ową częścią kraju Mandingów jest w istocie nominalna.

Drugim, mniejszym przedsięwzięciem tego rodzaju (tj. w celu zbadania nieznanego wnętrza kraju) było wysłanie przez rząd liberyjski mniejszej partii<sup>225</sup> eksploracyjnej pod dowództwem liberyjskiego majora p. Powella (w marcu 1873 r.), jak świadczą akta rządowe, udzielone mi uprzejmie przez pp. Travisa i Grimesa, których poznamy w Monrowii<sup>226</sup>.

Partia ta wysłana została do wnętrza Grand Bassy dla zbadania skutków wybuchu wulkanicznego, jaki podług doniesienia krajowców miał tam miejsce w 1872 r. w odległości 60 mil na wschód od Ediny, punktu, z którego wyruszyła ekspedycja. Droga jej prowadziła najprzód po rzece św. Jana (St. John's River), następnie przez dwa dni łądem do celu wyprawy. Skonstatowano<sup>227</sup>, że wybuch miał miejsce pomiędzy dwoma łańcuchami pagórków rozdzielonych strumieniem, a mianowicie z zachodniej strony wschod-

<sup>220</sup>protektorat (z łac. *protectio*: osłona) — forma zależności politycznej, w której państwo posiadające własny ustrój znajduje się pod kontrolą obcego, silniejszego państwa (protektora), prowadzącego jego sprawy zewnętrzne, np. politykę zagraniczną i gospodarczą. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Mulat — potomek białego mężczyzny i czarnej kobiety lub białej kobiety i czarnego mężczyzny. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Mannah — dziś popr.: Mano, rzeka w zach. Afryce, na pograniczu Liberii i Sierra Leone. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>San Pedro — rzeka w zach. Afryce uchodząca do Atlantyku w pobliżu miasta o tej samej nazwie, w płd.-zach. części ob. Wybrzeża Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Fresco — dziś częściej: Bolo lub Bwiko, rzeka w zach. Afryce, uchodząca do Atlantyku w pobliżu miasta Fresco, pośrodku linii brzegowej ob. Wybrzeża Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>partia — tu: zorganizowana grupa. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>wysłanie przez rząd liberyjski mniejszej partii eksploracyjnej (...) (w marcu 1873 r.), jak świadczą akta rządowe... — P. *Message of this Excellency President J. J. Roberts to the legislature*. December, 15-th 1873. Monrovia. [przypis autorski]

<sup>227</sup>konstatować — stwierdzać jakiś fakt. [przypis edytorski]

niego łańcucha, u stóp jednego z jego pagórków, gdzie znaleziono przepaść, spadającą na 400 stóp. Poruszona ziemia zajmowała obszar 16 akrów<sup>228</sup>, krater zaś był o średnicy 150 jardów<sup>229</sup>. Nieopodal od tego miejsca znaleziono, jak twierdzi dokument, wielką ilość magnezji, a na jednym z pagórków obfite zapasy białego marmuru. Jeden z pagórków, stojący w bliskości rzeki St. John, miał przeszło 1000 stóp wysokości, nieco dalej zaś na zachodzie, mniej więcej w odległości 15 mil od owego pagórka, znaleziono pokłady rudy żelaznej.

W ogóle jednak rząd liberyjski uczynił bardzo niewiele nie tylko dla poznania bogatych krain leżących przy jego wewnętrznych granicach, ale nawet dla zbadania własnego terytorium. Można śmiało powiedzieć, że oprócz linii brzegów morskich i wąskiego pasa wzdłuż niej się ciągnącego oraz wybrzeży większych rzek cały kraj jest nieznan.

W ostatnich latach rozwój rzeczypospolitej liberyjskiej zaczął ciągnąć się bardzo wolnym krokiem. Kredyt jej tak moralny, jak i materialny upadł znacznie, szczególnie od roku 1872, w którym jeden z prezydentów rzeczypospolitej, Roye, zaciągnął państwową pożyczkę w Anglii, przy czym dopuścił się malwersacji na 200 000 dolarów, sumy ogromnej wobec szczupłych funduszy kasy liberyjskiej. Złożono go wprawdzie z urzędu i uwięziono w Monrowii, gdzie utonął niedaleko przylądka Mesurado, chcąc się ratować ucieczką i przepłynąć na znajdujący się tam właśnie parowiec z Europy, lecz kraj miał długie i ciężkie kłopoty z wypłatą tego długu, do którego zresztą wkrótce przyłączyły się i inne. Tak mniej więcej przedstawia się w streszczeniu dotychczasowa historia Liberii.

Wkrótce zresztą wylądujemy na jej ziemi i poznamy z bliska położenie obecne.

Około dziesiątej z rana ujrzeliśmy przeszło 100 stóp wysoki przylądek Mesurado, pokryty również jak i przylądek Monte bujną, ciemną roślinnością, przyciągającą ku sobie żywymi barwami oko podróżnika. Miasta Monrowii nie widać z morza, leży ono ukryte w zieleni z drugiej strony pagórka nad ujściem jednego z ramion Rzeki Św. Pawła, zwanym Stocton Creek, naprzeciw ślicznej wysepki, położonej w tym ujściu: Perseverance Island. Na niej to wylądowali koloniści, przybywając tu po raz pierwszy. Przed przylądkiem zaś spostrzegamy krajobraz czysto afrykański, a mianowicie szerokie wybrzeże piaszczyste z wielką ilością bambusowych chat, a więc podróżnikowi wprzód rzucają się w oczy strzechy pierwszych, dawniejszych mieszkańców kraju niż domy obecnie rządzących przybyszów, Liberyjczyków.

O jedenastej z rana byliśmy na miejscu. Zaledwie spadła kotwica, gdy zostaliśmy otoczeni mnóstwem pirogów<sup>230</sup> krumańskich, z których zręczni wioslarze niezwłocznie też zjawili się na pokładzie. Z początku nie chciałem ich puścić, oczekując na jakiegoś urzędnika portowego lub szalupę sanitarną, przed przybyciem której nie wolno się właściwie komunikować z kimkolwiek przybywającym z portu; tak przynajmniej bywa w każdym cywilizowanym państwie i tak też opiewały nasze instrukcje nawigacyjne. Musiałem jednak przyjść do przekonania, że tu nie dbają o to, co sprawiło na nas pewnego rodzaju niekorzystne wrażenie. Krumanów tymczasem przybywało coraz więcej i wkrótce zalegli cały pokład. Jeden miał na sobie starą jakąś flanelową koszulę, inny tylko olbrzymi kapelusz, ten znów kawał płótna zawiązanego naokoło bioder, a starsi i poważniejsi podszarżane europejskie cylindry lub wypłowiałe resztki jakiego angielskiego munduru. Każdy zaś miał na szyi zawieszoną blaszankę, z której na wyścigi podawał różnego rodzaju świadectwa, ofiarując hałaśliwie i natarczywie swe usługi. Krajowcy ci są niezmiernie bystrzy: instynktem, można by powiedzieć, wynajdują w jednej chwili, kto dowodzi, toteż gdziekolwiek się ruszyłem, miałem za sobą całą bandę. Zgodziłem jednakże tymczasowo tylko jednego, Toma herkulesowej budowy, na czas pobytu naszego w Monrowii, za 2 szylingi<sup>231</sup> dziennie, a na pierwsze zajęcie poleciłem mu wyekspediować ziomek swoich z pokładu, gdyż kapitan Boutes, który był już stracił cierpliwość, czuł, jak widziałem, chętkę do wzięcia na pomoc linki okrętowej, co w wolnym i republikańskim państwie, i to zaraz na wstępie, jakoś nie uchodziło.

<sup>228</sup> *akr* — anglosaska miara powierzchni gruntów; 16 akrów to ok. 6,5 hektara. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *jard* — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *pirogów* — dziś popr. forma D. Im: pirog. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> *szyling* — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów, 20 szylingów tworzyło funt. [przypis edytorski]

Wreszcie byliśmy wolni, spuszczone szalupy i po śniadaniu posłałem nowo najętego Toma do miasta, by odszukał owego p. Travaisa i wręczył mu list, otrzymany dla niego w Orotawie od p. Wildpreta, wraz z mym biletem, zapytującym, czy może mnie przyjąć, gdy słońce nieco mniej będzie się dawało uczuć. Szanowny p. Tom nie spieszył się z powrotem i odpowiedzią, siedzieliśmy więc na pokładzie pod markizą, delektując się wyborowymi teneryfskimi cygarami i kawą, blisko do piątej po południu. Wreszcie Murzyn wrócił, przywożąc uprzejme zaproszenie p. Travaisa, z którego też zaraz skorzystałem, i popłynęliśmy do przystani Monrowii.

## ROZDZIAŁ XIII

*W przystani Monrowii. — Faktorie afrykańskie, ich urządzenie i handel zamienny. — P. Travis. — Charakter miasta Monrowii. — Osada Krootown. — Wizyta u prezydenta. — Stan rzeczy w Liberii. — Europejczycy względem Liberyczyków.*

Zwykle przedstawiają się miasta portowe korzystniej z morza, niż w rzeczywistości wyglądają. Pewne oddalenie, pewna perspektywa, są najlepszymi dekoratorami. Śliczna jest sylwetka Konstantynopola, gdy się patrzy na miasto z wód Bosforu, mniej piękną przedstawia się rzeczywistość dla krocącego po ulicach jakiegokolwiek jego dzielnicy. Nawet mała Monrowia czyni na przybywającym od strony rzeki korzystne i malownicze wrażenie, po wylądowaniu jednakże znika takowe zupełnie. Miasto ma około 4000 mieszkańców, przedstawia się jednakże raczej jakby długa rozrzucona wieś. Mimo kilkudziesięciu lat istnienia i zawiązujących licznych corocznie parowców nie pomyślała nawet municypalność<sup>232</sup> dotychczas o wybudowaniu porządnej przystani; powiedzmy nawet więcej: jakiegokolwiek w ogóle. Wylądowaliśmy więc przed jedną z faktorii europejskich, mającą swą kamienną przystań prywatną.

Ponieważ to pierwsza faktoria, jaką napotykaemy, musimy objaśnić to słowo, gdyż będziemy często takowe napotykali.

Na wszystkich tych wybrzeżach zauważamy domy, bądź kamienne, bądź drewniane, otoczone magazynami i składami, w których większe firmy portowych miast Europy mają swych agentów dla prowadzenia handlu zamiennego z krajowcami. Zarząd takiej faktorii składa się z głównego agenta, zwykle białego, kilku pomocników, również białych, kilku czarnych *clerków* (uczniów kupieckich) oraz pewnej ilości Krumanów, bednarzy z Accrah<sup>233</sup> (Złoty Brzeg)<sup>234</sup> lub Sierry Leony. Biali urzędnicy faktorii zamieszkują zwykle górną część domu, tj. piętro faktorii, parter zaś takowej zawiera najczęściej składy. Ku niemu ciśnie się zwykle garść Murzynów przynoszących swe produkty krajowe w zamian za importowane artykuły rynków europejskich. Zapas takowych obejmuje w sobie najróżniejsze przedmioty: na pierwszym planie stoją wszędzie rum i dżyn, tytoń, sól, tkaniny, proch, fuzje (najczęściej skalkówki<sup>235</sup> lub stare kapiszonówki<sup>236</sup>), sztaby żelaza, pręty miedziane i mosiężne, po nich następują naczynia fajansowe, kociołki i garnki, długie noże (*kołtasy*<sup>237</sup>) wyrabiane specjalnie dla afrykańskiego brzegu, paciorki, a w miejscach więcej cywilizowanych, jak np. tu, przedmioty galanteryjne, garderoby i prowizje.

Miasto

Kolonializm, Handel

<sup>232</sup>municypalność (daw.) — zarząd miejski. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>Accrah — dziś popr.: Akra, miasto nad Zatoką Gwinejską, stolica, największe miasto i główny port Ghany. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>Złoty Brzeg — Złote Wybrzeże, kolonia brytyjska nad Zatoką Gwinejską, utworzona w 1821, w 1957 uzyskała niepodległość i zmieniła nazwę na Ghana. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>skalkówka — strzelba skalkowa, długa broń palna z zamkiem skalkowym, ładowana od strony lufy, używana od XVII w. do połowy XIX w.; po naciśnięciu spustu broni kurek ze skalką (kawalkiem krzemienia) opadał na metalową płytkę, krzesząc iskry, które padały na panewkę z prochem, zapalając go. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>kapiszonówka — strzelba kapiszonowa, długa broń palna z zamkiem kapiszonowym, w której odpalenie następuje przy użyciu kapiszona, miedzianej mieszczki zawierającej piorunian rtęci; wynaleziona w 1818, wyparła broń skalkową, również ładowaną od strony wylotu lufy, po czym w drugiej połowie XIX w. została z kolei wyparta przez broń odcylkową na naboje zespolone. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>kołtas (znieksz. fr.) — francuskie słowo *coutelas* w niektórych regionach tropikalnej Afryki i na Karaibach (podobnie jak pochodzące od niego angielskie *cutlass*) oznacza maczetę: długi, szeroki nóż używany do wyrąbywania ścięzek w tropikalnej dżungli oraz ścinania trzciny cukrowej na plantacjach; por. kordelas: długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny oraz jako element uzbrojenia marynarzy. [przypis edytorski]

Przedmiotami wywozu są na afrykańskim brzegu przeważnie: olej palmowy, orzechy palmowe, słoniowa kość, kauczuk, kopal<sup>238</sup>, kawa, kakao, pistacje (*arachides* Francuzów), drzewa farbiarskie, heban, *coprali* (potłuczone kawałki orzecha kokosowego, wysyłane w workach do Europy dla wyrabiania oleju kokosowego), a w niektórych punktach złoto i srebro.

Na tym handlu zamiennym zarabiają faktorie częstokroć kilkaset procentów, europejski artykuł albowiem ocenia się przez takowe podwójnie już po włączeniu kosztów transportu, przy tym zapominać nie należy, że krajowcy nie płacą za kupiony przedmiot pieniędzmi, lecz, jak wspominaliśmy, produktami krajowymi, na których znów faktoria zarabia 100–200%, przyjmując np. wielką beczkę oleju palmowego za 10 funtów szterlingów, podczas gdy wartość takowej na liverpoolskim rynku dochodzi do 25–30 funtów szterlingów.

Faktorii europejskich posiada Monrowia trzy: holenderską, belgijską i niemiecką, które przedstawiają główne tężno handlu Liberii, mając liczne filie w innych jej punktach, jak np. w Buchanan (stolicy prowincji Grand Bassa), Sinoe, Cape Palmes i innych.

Zwiedziliśmy faktorię, przy której wylądowaliśmy, i zapoznawszy się z jej agentem, podążyliśmy ku domowi p. Travisa, który już był wyszedł naprzeciw nas i przywitał nas po drodze. Był on mieszanej krwi i urodzony w Liberii, studia zaś swe ukończył w Anglii, po czym przez pewien czas był członkiem senatu Liberii. Był to jeden z dość rzadkich wyjątków pod względem charakteru i wewnętrznej wartości cywilizowanego czarnego społeczeństwa, o którym będziemy zresztą później mówili.

Zaszedłszy do jego mieszkania, tj. do domu jego ciotki, wdowy po zmarłym prezydencie Robertsie, na białej twarzy której niełatwo było odgadnąć przymieszki krwi murzyńskiej, odpoczęliśmy w nim na chwilę, podziwiając jego wykwintne urządzenie. Jest to jeden z najlepszych domów Monrowii i to samo możemy powiedzieć o jego mieszkańcach, reszta bowiem miasta przedstawia się dość smutno. Trzy jego główne ulice wytknięto wprawdzie z początku równoległe, również jak i przekątnie, lecz nie myślano bynajmniej o splanowaniu terenu, pozostawiając nawet na nich kawały skał, głazów i pni, bruku zaś nie ma wcale — wszystko porosło wysokim chwastem, przerywają od czasu do czasu koryta wypłukane wodą deszczową lub gdy skończyła się pora sucha, przez liczne kałuże. Zdawać by się mogło, że tych ulic nie używa żadne społeczeństwo ludzkie, a jednak są one w codziennym użyciu 4000 mieszkańców miasta, niestety zbyt niedbałych i apatycznych. Główne budynki, stawiane po części z kamienia i cegły lub drewniane, znajdują się na równoległych głównych „ulicach”. Są to domy konsulów, pani Roberts, dom prezydenta i kilku zamożniejszych Liberyjczyków, kilka kościołów, należących do najrozmaitszych sekt, wreszcie „hotel” p. Fullera, Liberyjczyka, leżący na jednej z mniejszych uliczek. Zwracają na siebie uwagę jeszcze dwa budynki rządowe, w których zbierają się corocznie Izby i w których znajdują się główne biura. Starano się takowym nadać pewien nastrój parlamentarny.

W chwili jednakże, którą opisujemy, miasto nosiło na sobie jakby wyraźne cechy upadku. Pomiedzy domami świeciły tu i ówdzie pustki, w których powstały dzikie gąszcze, a z samych domów niejednen się zapadał lub był opuszczonym. Całość robi przykre wrażenie. W końcu środkowej ulicy prowadzi ścieżka przez głązy i kamienie na szczyt przylądka Mesurado, z którego otwiera się widok na całe miasto. Tu znajduje się też latarnia morska Monrowii; światło jej jest jednakże tak słabe, że nie można jej dostrzec z większej odległości — palą w niej podobno olej palmowy — lecz co gorsza, nie świeci ona regularnie. W wielkim zaniedbaniu znajduje się również cmentarz, leżący nieopodal wieży morskiej oraz szubienicy. Nie ma on nawet ogrodzenia i niejednokrotnie można się spotkać na nim z krowami, kozami lub nierogacizną, również jak i na ulicach miasta. Spostrzeżenie, że czym bardziej podążamy na południe, tym większą znajdujemy niedbałość w usposobieniu mieszkańców, a które już w Europie wyraźnie zauważamy, stanie się tu najpełniejsze. Trudno sobie zaiste wyobrazić, jak mogą Liberyjczycy nie czuć wstrętu do takiego zaniedbania i nieporządku.

Po zwiedzeniu miasta powróciliśmy wraz z oprowadzającym nas p. Travisem do domu p. Roberts, gdzieśmy poznali jej syna, doktora medycyny. O ile się zdaje, jest on jedyny na

Miasto, Upadek

<sup>238</sup>kopal — twarda, żółtawa masa żywiczna, zbliżona do bursztynu. [przypis edytorski]

cały kraj, powracał zaś właśnie z okolic przylądka Monte, w których odbył kilka ekskursji i które opisuje jako kraj bogactw mineralnych.

Na cóż się przydadzą te bogactwa, jeżeli panują nad nimi ludzie nieumiejący pracować, niemogący się wyrwać z tej letargicznej apatii!

Ponieważ zapowiedzieliśmy na okręcie, że szalupa ma wrócić po nas wieczorem ku wybrzeżom osady Krootown, udaliśmy się więc teraz w tym kierunku i stanęliśmy wkrótce wśród bambusowych chat „niecywilizowanych” mieszkańców kraju: Krumanów. Chaty te były misternie zbudowane z tak zwanego bambusu tutejszego i mat palmowych, każda miała kilka przedziałów, w których zastaliśmy liczne kobiety i dzieci. Przełożony osady nosi oryginalną nazwę: „Two Glasses” (Dwie szklanki) i był przystrojony w dwie koszule, olbrzymi kapelusz i liczne pierścienie. Reszta krajowców, również jak i kobiety, nosiła to koszule flanelowe, to wprost kawałki płótna, zawsze zaś wielką ilość bransoletek i obrączek; dzieci były zupełnie nagie.

Szalupę naszą zauważyliśmy już z daleka; majtkowie wyciągnęli ją na brzeg, czekając naszego przybycia. Zepchnięcie byłoby sprawiło niemałe trudności, z przyczyny znajdujących się w niej sześciu pasażerów, lecz wiemy już, że Krumani nie stronią od pracy, tym bardziej, gdy jest nadzieja otrzymania podarku za wyświadczoną usługę. Na wezwanie więc barczystego naszego Toma przybiegła cała chmara chłopców i przy głośnych okrzykach „hip, hip, hurra!” zepchnęli łódź wraz z nami na morze.

Następnego dnia czekała mnie czynność bardzo uciążliwa, a mianowicie złożenie wizyt u prezydenta republiki i innych dygnitarzy kraju, u których p. Travis ze zwykłą swą uprzejmością już mnie był zameldował. Jest to ciężkim zadaniem odbywać oficjalne wizyty, w kostiumie oficjalnym, około południa, pod słońcem prawie równikowym.

Prezydentem republiki był p. Russel, Mulat, wysoki starzec o długiej siwej brodzie i tak jasnej cerze, że można go było wziąć za Europejczyka. Przyjął mnie w obszernym salonie, przedstawiając członków gabinetu, ministrów, czyli jak ich tu nazywają, sekretarzy republiki. Było ich pięciu, a mianowicie: sekretarz stanu, czyli kanclerz, zawiadujący sprawami zagranicznymi, p. Gibson; sekretarz skarbu, sekretarz spraw wewnętrznych, zawiadujący również oświatą, sekretarz sprawiedliwości, czyli *attorney general*, bardzo inteligentny i przyjemny p. Grimes, wreszcie sekretarz poczty p. Wiles — wszyscy czarni. Oprócz nich zaś był komendant milicji w okazałym mundurze. Całe zebranie było oprócz tego ostatniego we frakach i białych kamizelkach.

Rozpocząłem rozmowę z prezydentem Russel, objaśniając mu cel naszego przybycia, to jest chęć poznania rzeczywistego stanu Liberii i wyrażając nadzieję, że znajdę u niego poparcie na terytorium liberyjskim. P. Russel zapewnił, że ułatwi nam wszystko, co tylko będzie w jego mocy, i chętnie udzieli nam żądanych informacji. Następnie skierowałem rozmowę na kwestie bieżące Liberii. Wrażenie, jakie wyniosłem z takowej, było mniej więcej takie samo, z jakim powróciłem dnia poprzedniego na okręt: w republiki brak inicjatywy i energii do życia czynnego, istnieje ona z dnia na dzień i jak się zdaje, straciła wielką część jej obywateli ufność w jej siłę żywotną i siebie samych, obawiając się zawiąkania własnych stosunków i spraw, gdyż nikt nie prowadzi ich podług pewnego określonego programu. Tak prezydent Russel, jak pan Gibson narzekali na szczupłe fundusze kraju, tj. na dochody tak małe, że trudno opędzić czasem republiki swe wydatki. Finanse Liberii, jak zresztą wszystkie jej instytucje są rzeczywiście w stanie opłakanym — przejrzymy to później. Przed pożegnaniem p. Gibson powiedział mi, że główną nadzieją kraju jest rozwijający się przemysł na plantacjach i farmach Rzeki Św. Pawła (St. Paul's Birez) i że ma nadzieję, iż zwiedzę takową. Postanowiłem też zaraz następnego dnia to uczynić, by poznać dodatnie strony kraju, ponieważ podług mego przekonania stan jego stolicy i tryb życia w niej panujący przedstawiają tylko strony ujemne.

Po wizycie u prezydenta zwiedziłem biura rządowe, archiwum, dwie szkoły, sąd, pocztę i kilka innych instytucji, a poznawszy się następnie bliżej z niektórymi z widzianych u prezydenta członków gabinetu, mogłem wejrzeć nieco głębiej i detaliczniej w położenie rzeczy tego kraju.

Wracając wieczorem ku przystani, zdarzyło mi się widzieć „wojsko” republiki, którego część ubrano dnia tego w mundury. Nie chcę powtarzać wyrazu „karykatura”, którego już tak często używano przy opisach Liberii, lecz otwarcie mówiąc, wojsko to

Żołnierz

było rzeczywiście takową, a co najmniej robiło wrażenie dzieci bawiących się w żołnierzy. Część ich była w mundurach, bosy, mając karabiny nieczyszczone i różnorodne, inna znów część nie miała wcale munduru ani broni palnej, oficerowie za to (z których zdaje się żaden nie otrzymał wojskowego wykształcenia) przybrani byli w świecące uniformy, brzęcząc usilnie uderzającymi o kamień pałaszami<sup>239</sup>, z wyrazem twarzy tak wielkiego zadowolenia z siebie, że również jak i ich oryginalne szeregi pobudzali do uśmiechu.

Pobudza do niego także niejednokrotnie, wystrojona publiczność Monrowii. Ostatni dolar musi być wydany, wszelki sposób robienia długów próbowany, aby móc tylko paradować jak dandy<sup>240</sup> londyński, co oprócz funduszków nie jest odpowiednie ani ze względu na klimat, chwasty i gęszcze monrowijskich „bulwarów”.

Przejrzyjmy teraz w ogóle maszynę rządową Libery i istniejące w niej instytucje.

Rząd składa się z dwóch izb, tj. senatu i izby niższej, zbierających się corocznie na obrady; każda prowincja, czyli hrabstwo przysyła wtedy wybranych swych posłów. W senacie zasiada pewna ograniczona część liberyjskich nababów<sup>241</sup>, mających wpływy przez swe kapitały. Posłowie do izby niższej mają być wybierani większością głosów, w rzeczywistości jednakże wybiera wielką część takowych również, jak się zdaje, nacisk wywierany na korzyść takiej lub innej osoby przez tych samych kapitalistów, gdyż biedniejsi mają prawie zawsze długi u bogatszych i stają się przez to niejednokrotnie zupełnie od nich zależni. Wpływ taki zresztą nie jest tu wywierany jedynie na jednostki tylko, lecz nawet na całe postanowienia rządu, który nieraz już był winien pewne sumy prywatnym osobom i faktoriom, nie mogąc ich spłacić.

Do pewnego czasu zasiadali w izbach tylko Liberyjczycy, reprezentanci zaś krajowych plemion, czyli „dzikich”, nie byli powoływani do głosowania. Od r. 1881 jednakże wysyła każde plemię krajowców jednego reprezentanta z tytułem delegata plemienia i z prawem głosu we wszystkich kwestiach dotyczących się krajowców wyłącznie<sup>242</sup>.

Siła wykonawcza spoczywa w rękach prezydenta wybieranego na dwa lata, którego gabinet składa się, jak już wspominaliśmy, z pięciu tek, tj. spraw zagranicznych, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, skarbu i poczty. Honoraria tych pierwszych urzędników kraju są bardzo szczupłe. Prezydent rzeczypospolitej pobiera 600 dolarów rocznej pensji, sekretarz stanu 300, również jak i sekretarz skarbu, reszta zaś liberyjskich ministrów pobiera po 200 dolarów, gdy zaś skarb jest pusty, objaśnił mnie jeden z dygnitarzy, w takim razie trzeba na pewien czas stać się wierzycielem takowego, najwyżsi więc urzędnicy, jak np. minister poczty i inni, zajmują się równocześnie handlem i niejeden podróżnik będzie zdziwiony, gdy po rannej oficjalnej wizycie, np. jako ministra, zobaczy takowego po południu jako gospodarza małego sklepika i sprzedającego pudełko zapalek, chustkę do nosa lub paczkę tytoniu.

Roczne dochody rzeczypospolitej wynoszą zaledwie 60 000 dolarów, oprócz tego posiada Liberia dług stały w Anglii i niejednokrotnie czasowy w faktoriach. Jakże też ma być inaczej? Rzadko kto chce pracować, choć kraj jest tak niezmiernie przez przyrodę udarowany, jedną zaś z ustaw konstytucyjnych jest prawo zabraniające białym posiadać jakkolwiek własność ziemską na gruncie rzeczypospolitej. Otóż jedna z głównych przeszkód do rozwoju kraju — czarni obywatele po największej części nie mają ani energii, ani kapitału, nie chcą zaś przypuścić tych do własności gruntu, pomiędzy którymi znalazłoby się i jedno, i drugie, czując, iż wtedy staliby się proletariatem Liberii, a nie rządzącymi.

Pod względem oświaty, będącej pod zarządem sekretarza spraw wewnętrznych, posiadała Liberia w r. 1880 43 szkoły rządowe, obsługiwane przez 44 nauczycieli, a uczęszczane

<sup>239</sup>pałasz — broń sieczna o długiej, prostej i szerokiej kłindze; używany w Europie do XIX w., przeważnie przez ciężką jazdę. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>dandy (ang.) — dandys, męczycyna z przesadą dbający o strój i kurtuazyjny w zachowaniu. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>nabab — przen.: wielki bogacz. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>Od r. 1881 jednakże wysyła każde plemię krajowców jednego reprezentanta z tytułem delegata plemienia i z prawem głosu we wszystkich kwestiach dotyczących się krajowców wyłącznie — Patrz: *Acts passed by the Legislature of the Republic of Liberia during the session 1880–1881*. Printed by Authority. Monrowia. T. W. Howard Printer 1881. [przypis autorski]

przez 1430 uczniów i uczennic<sup>243</sup>. Podług sprawozdania złożonego przez prezydenta Gardnera ze swej czynności w grudniu 1880 r., do szkół tych uczęszczała dość znaczna ilość dzieci krajowych plemion: Golah, Vhey, Dey, Bassa i Grebo.

Wykształcenie, jakie dają te szkoły, jest naturalnie elementarne, lecz można napotkać wielu Liberyjczyków piszących dość dobrym stylem i szkoły te byłyby zadowolające, gdyby ich uczniowie, wychodząc z nich, brali się do pracy i stawali się rzemieślnikami bez zarozumiałości i niestosownych pretensji. Jeżeli jednakże pobyt w tych szkołach ma powodować wytworzenie „kolorowego dżentelmena”, w takim razie nie odpowiadają one bynajmniej celowi. Oprócz tych szkół posiada Liberia jeden instytut naukowy wyższy, nazywający się Liberia College, a stojący pod dyrekcją dra E. Wilmot Blyden, człowieka, który jest na swoim miejscu, który otrzymał staranne wychowanie w Ameryce i tam odbył swe studia uniwersyteckie. Szkoła ta, którą rząd liberyjski zajmuje się jako tako, wytworzyła rzeczywiście kilku dość wszechstronnie wykształconych młodych Liberyjczyków i jest, zdaje się, na dobrej drodze. Obecnie p. Blyden zamierza wykładać w niej również język arabski<sup>244</sup>, co jest myślą rzeczywiście praktyczną, biorąc pod uwagę, że cała Liberia jest niejako wybrzeżem wielkiej części zachodniego Sudanu<sup>245</sup>, w którym wszędzie panuje język arabski i z którym Liberyjczycy — gdyby mieli nieco szersze poglądy i mniej wygórowane aspiracje — powinni zespolić się jak najbliżej. Byłoby to dla nich wielką korzyścią, wyrobiliby sobie wtedy może cywilizację swoją wspólnymi siłami i swymi środkami, a stanęliby zapewne na silniejszych podstawach niż dziś, gdy wszystko u nich jest pożyczane.

Na czele ministerium<sup>246</sup> sprawiedliwości stał podczas naszego pobytu najbardziej może wykształcony Liberyjczyk, p. Grimes, który skończył uniwersytet w Anglii. Nie wystarczają jednakże jednostki, jeżeli całość jest niedojrzała i najlepsze dążenia owych pozostaną niewykonalne w społeczeństwie niedbającym o siebie. Jurysdykcja więc liberyjska nie była dotąd w stanie wzbudzić wielkiego zaufania, również jak i posiedzenia izb, których sprawozdania<sup>247</sup> zajmują się przeważnie tworzeniem nowych sekt religijnych i dawaniem rozwodów, doprowadzających do koniecznych w tym kraju następstw, tj. prostytucji kobiet.

Siłę zbrojną Liberii mieliśmy już sposobność widzieć przedtem, dodać tylko należy, że armii stałej Liberia nie posiada wcale, lecz każdy mężczyzna od 15 do 50 lat powinien w razie potrzeby stanąć pod bronią; istnieje jednak tak nazwana milicja i częśćka wolontariuszów, których mundury zauważyliśmy wyżej.

Marynarki nie posiada Liberia obecnie wcale. Dawniej miała ona jeden okręt, darowany jej przez Stany Zjednoczone Ameryki, gdy takowy jednakże się rozbił, skasowali marynarkę w zupełności i dziś nie ma nawet okrętów kupieckich liberyjskich, choćby dla obsługi własnych punktów brzegowych.

Flaga liberyjska, którą czasem zauważyć można powiewającą nad latarnią morską na przylądku Mesurado, jest kopią flagi Stanów Zjednoczonych Ameryki, tylko że zamieniono gwiazdy znajdujące się na polu niebieskim — księżycem. Co do monety, wybija Rzeczpospolita Liberyjska tylko miedziaki i banknoty papierowe, przyjąwszy za jednostkę monetarną amerykański dolar, dzielący się na centy. Banknoty te jednakże nie mają kursu poza granicami Rzeczypospolitej, a w jej obrębie nawet upadła ich wartość do mini-

<sup>243</sup>Pod względem oświaty, będącej pod zarządkiem sekretarza spraw wewnętrznych, posiadała Liberia w r. 1880 43 szkoły rządowe... — Patrz: *Message of the President of the Republic of Liberia to the second session of the 17-th legislature*, December 1880. Published by Authority, Monrovia. T. W. Howard Printer. 1880. [przypis autorski]

<sup>244</sup>obecnie p. Blyden zamierza wykładać w niej również język arabski — Patrz: *The aims and methods of a liberal education for Africans. Inaugural address delivered by E. Wilmot Blyden L. L. D., President of Liberia College. January 5, 1881.* Cambridge, USA, John Wilson et Son 1883. [przypis autorski]

<sup>245</sup>Sudan — tu: kraina geograficzna i historyczna w Afryce, rozciągająca się na sawannach pomiędzy Sahelem, na południe od Sahary, a obszarem wilgotnych lasów równikowych, od Wyzyny Abisyńskiej aż po Ocean Atlantycki. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>ministerium (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>posiedzenia izb, których sprawozdania — Sprawozdania te wychodzą corocznie jako niewielkie broszurki i zawierają nowe prawa uchwalone przez izby, a kompletujące kodeks liberyjski jako *Acts passed by the legislature of the Republic of Liberia*. [przypis autorski]



mum. Natomiast posiada Liberia już order wspaniały wraz z gwiazdą i wstęgą, nazywający się „Redemption Cross”<sup>248</sup>, a noszący napis: „*Love of liberty brought us here*”<sup>249</sup>.

Oto mniej więcej treść uwag nad Liberią, jakie skreśliłem podczas pobytu na tych brzegach, a zauważyć mogłem, że zgadzały się one w zupełności z opinią, jaką wyniósł również stąd dzielny mój towarzysz K. Tomczek, obdarzony jasnym i byстрыm poglądem na stosunki, które obserwował. Pod jednym względem jednakże muszę stanąć w obronie Liberyjczyków (w których obronie zresztą będziemy mieli sposobność stanąć jeszcze raz na Rzece Św. Pawła, ukazującej Liberyjczyka jako farmera w daleko lepszym świetle niż jako mieszkańca miasta w Monrowii), a mianowicie pod względem arbitralności, jakich dopuszczają się zwykle Europejczycy na tych brzegach. Czując brak sił społecznych, czyli bezbronność państwową Liberii, dopuszczają się tak pakboty europejskie, jak i faktorie różnych nadużyć, jak np. przy odbieraniu i wydawaniu poczty, opłacaniu cła i samowolnym zawijaniu do portów nieotwartych dla handlu.

Przyczyną tego postępowania, a raczej pobudkami do niego jest pewnego rodzaju lekceważenie ze strony Europejczyków dla wszystkiego, co podchodzi pod rubrykę „*coloured gentlemen*”<sup>250</sup>. Z daleko większym poważaniem patrzy zwykle Europejczyk na przeciętnego mieszkańca centralnego Sudanu niż na te jednostki, o których nie można powiedzieć, że są dzicy ani też najczęściej, że są cywilizowani, które wstydzą się, że są czarnymi, a nie mogą być białymi.

Wróćmy teraz na okręt, by przygotować się do drogi na Rzekę Św. Pawła, gdzie poznamy lepsze strony Liberii, tj. życie jej farm — jedyną nadzieję na przyszłość.

Było dość późno, gdyśmy stanęli na pokładzie „Łucji-Małgorzaty”, poleciłem więc zaraz Tomowi przyprowadzić jutro przed wschodem słońca kilku Krumanów, by nie narażać naszych majtków na całodziennie wiosłowanie pod gorącymi słonecznymi promieniami tych stron. Wycieczkę obliczyłem na dwa dni, spakowano więc namiot, prowiant i inne części bagażu i byliśmy gotowi do drogi.

## ROZDZIAŁ XIV

*Wycieczka na Rzekę Św. Pawła — W kriku, brzegi mangrowiowe. — Las dziewiczy, termity i ich budowy. — Ławy aligatorów; znów zmiana scenerii: farmy i plantacje; przyszłość Liberii. — Nawracamy. — Plantacja p. Ducoursy. — Kawa. — Plantacja p. Sbarpa, trzcina cukrowa. — Wioska Vbeyów. — Pourót.*

Następnego rana, 27 marca, odbiły szalupy nasze przed wschodem słońca od burtu „Łucji”, by zawinąć do przystani miasta po p. Travaisa, i za ledwie pierwsze promienie słońca ozłociły wzgórza Monrowii, gdy staliśmy na umówionym miejscu, czekając na liberyjskiego towarzysza ekskursji.

Pierwsza szalupa płynęła pode mną i miała przyjąć p. Travaisa, druga, pod K. Tomczkiem, zawierała namiot, prowiant, kuchnię i inne potrzebne przedmioty; w nadziei zaś licznej zdobyczy myśliwskiej zabrał każdy z nas dubeltówkę. Lecz oto i on — oczekiwany towarzysz! Szerokim swym słomianym kapeluszem przesłał nam właśnie dzień dobry i z zawieszonym przez ramię karabinem kroczy tak żwawo ku szalupie, iż mimo woli nagli nas do pośpiechu. Otóż wsiadł, przywitaliśmy się i naprzód płynie ochoczo załoga „Warszawianki”, wyprzedzającej swą towarzyszkę. Minawszy brzeg morski, wpływamy na szeroki Stocton Creek, wiodący do Rzeki Św. Pawła. Brzegi jego, wynurzające się z bliskiej mgły porannej, tworzą mangrowiowe<sup>251</sup> bagna, napotykanne zwykle w tych stronach Afryki przy ujściach rzek i *krikach*<sup>252</sup>.

<sup>248</sup>*Redemption Cross* (ang.) — Krzyż Wyzbawienia. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*Love of liberty brought us here* (ang.) — Umiłowanie wolności przywiodło nas tutaj. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>*coloured gentlemen* (ang.) — kolorowy dżentelmen (tj. dżentelmen, który nie jest rasy białej). [przypis edytorski]

<sup>251</sup>*mangrowiowe* — dziś popr.: mangrove. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>*krik* — krikie (creek Anglików) nazywa się w Afryce naturalny kanał wodny łączący dwie rzeki lub ramiona rzecznej delty. Zachodnie brzegi obfitują głównie w te kriki, często łączące też rzeki z morzem, jak właśnie tu Stocton Creek. [przypis autorski]

Kto nie zna Afryki Zachodniej, ten nie może sobie przedstawić krajobrazu, jaki przedstawia przestrzeń pokryta mokrym tym fantastycznym gąszczem. Są to lawy mułu, tworzące dopiero brzegi, na których szare pnie mangrowiów i blada ich zielen sterczą dziwnie pokręcone we wszystkich kierunkach. Pnie te jednakże nie wznoszą się wprost z ziemi, lecz noszą je powietrzne wysokie korzenie, pomiędzy które spadają inne, wyrastające z pnia i gałęzi. Wszystko to razem jako całość przedstawia dla oka dziki, fantastyczny labirynt, wśród którego podczas odpływu (zwykle w krikach jeszcze panującego) przewijają się w szlamie i mule, przez owe pień noszące korzenie — węże, jaszczurki i aligatory, a rozbudzonej imaginali zdumionego przybysza zdaje się, iż widzi jeden z owych odległych periodów potopowych i że lada chwila fantastyczna postać ichtiozaura<sup>253</sup> ukaże się również pomiędzy ohydnyymi mieszkańcami tego dziwnego świata amfibii<sup>254</sup>.

Wkrótce jednakże zmieniła się panorama, monotonne mangrowie pozostały za nami i powitały nas lasy dziewicze, morza świeżej uroczej zieleni: bombaksy<sup>255</sup>, bambusy afrykańskie, palmy najróżnorodniejszych rodzajów, powiewne banany, mangozy, olbrzymie paprocie i złociste ananasy — wszystko poprzeplatane lianami i ożywione barwną, różnokolorową orkiestrą śpiewaków koron leśnych, witających piękny, ochoczy poranek.

Od czasu do czasu wystrzał, pochodzący to z jednej, to z drugiej łodzi, zagłuszał świergot ptactwa i kilkunastu śpiewaków stoczyło się z wysokiej siedziby. Były to śliczne okazy o niezmiernie żywych barwach. Papugi afrykańskie o popielatych skrzydłach i grzbiecie, białym spodzie i czerwonym ogonie, drobne różnokolorowe „karły”, niby kolibry, świecące wszystkimi barwami tęczy, „król rybaków” wielkości szpaka naszego, a tak zwany przez Liberyjczyków (*king fisher*) dla swej pełnej lazurowej barwy — wszystko to tworzyło żywy kalejdoskop, zmieniający się nieustannie, a zapraszający co chwila do chwytania za dubeltówkę, nigdy albowiem przedtem ani w Afryce, ani w Europie nie widziałem naraz tyle najrozmaitszego ptactwa.

Słońce tymczasem wzbilo się wyżej i zaczęło przypiekać gorącymi promieniami. Na twarzach wiosłarzy, jak i w ruchach ich spostrzec można było zmęczenie, kazałem więc podплыnąć ku brzegowi, w cień, by wypoczęli przez chwil kilka. Olbrzymie drzewo, które rosło niby wywrócone lub wygięte przez kaprys przyrody tuż nad wodą, służyło za przystań. Przywiązaliśmy przy nim łodzie i wdrapawszy się na ląd, wstąpiliśmy do dziewiczego lasu.

Las

Niewstrzymywana tu przez żadne wpływy roślinność, wytryskająca wszędzie z każdego atomu przyrody, rozrastająca się w jeden węzeł, nie przepuszcza nawet promieni słonecznych i pogrążając olbrzymie te przestrzenie w wiecznym zmroku, obejmuje podróznika z początku niepokojem i tajemniczością. Tajemnicze też światy dokoła! Każdy krzak, każdy pień spróchniały obrośnięty lianami, każde drzewo zdaje się ukrywać wrogów czyhających w ukryciu. Człowiek, przejęty majestatem przyrody, czuje się jak dziecko niepewny swych kroków i obawia się nawet dotknąć się liścia, który mu drogę zasłania. To chrzest lasu dziewiczego! Wkrótce krok staje się pewniejszy, oko łatwiej się orientuje, a wyobraźnia mniej staje się rozgorączkowana. Syczący wąż nie czyha na podróznika, jak się to zdaje w Europie, lecz grzejąc się na słońcu, pospiesznie się kryje, skoro tylko usłyszy nadchodzące kroki. To samo i z resztą większych mieszkańców gąszczy, których liczne zastępy ukryte w swych jarach i łożyskach, śpią leniwie, oczekując nocy dla swych drapieżnych pochodów. Coraz pewniej kroczy podróznik swą leśną dróżką, aż w końcu czuje się prawie równie swobodny, jak w lasach europejskiej ojczyzny.

To samo wrażenie rysowało się i teraz na twarzach po raz pierwszy wstępujących w lasy egzotyczne, podczas pierwszych kroków naprzód, pośród lianów<sup>256</sup>, gałęzi i paproci. Liczne ananasy czepiały się liśćmi swymi przechodnia, dzicy jednakże byli powydrążali słodkie wnętrza owoców, których skórki tylko leżały dokoła. Krajowcy albowiem mają inny sposób jedzenia ananasa niż my w Europie i — muszą im to przyznać — może

<sup>253</sup>*ichtiozaur* (gr.: rybojaszczur) — wymarły, mezozoiczny gad morski, z kształtu przypominający rybę o długim pysku. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>*amfibia* — zwierzę ziemnowodne, przystosowane do życia zarówno w wodzie, jak i na lądzie. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*bombax* (biol., łac.) — welniak, rodzaj drzew występujących w tropikalnej części Afryki, Azji i Australii. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*lianów* — dziś popr. forma D. lm: lian. [przypis edytorski]

racjonalniejszy. Zamiast obierania ananasa i krajania go na kawałki, przy czym zwykle traci się cały sok, wypijają oni takowy, wydrążając mięso we wnętrzu owocu. Mnóstwo mrówek i robactwa rozpoczynało się zagnieżdżać w rozrzuconych łupinach, wskazując przechodniom, jakie ilości owadów ukrywa tu każdy zakątek. Przed krokiem nadchodzącego uciekały tysiące drobnych i większych żyjatek do swych kryjówek, a pomiędzy nimi rysowały się tu i ówdzie nieforemne kameleony, najróżniejszych rodzajów jaszczurki, drobne wężyki i olbrzymie pająki, których wstrętne ciała były czasem wielkości kurzego jaja. Wszędzie kipiało życie w pełni i sile.

Postąpiwszy kilkaset kroków w gąszczu, napotkaliśmy stare szczątki opuszczonej chaty murzyńskiej. Wśród bambusowych belek porosły były liczne pasożyty, liany oplatały całość, a zwinne jaszczurki kryły się w nich przy naszym zbliżeniu. Jak łatwo wytryska tu zielen! Lada przedmiot opuszczony przez człowieka i oddany w opiekę przyrodzie zostaje wkrótce odziany jej szatami. Czasem przed początkiem pory deszczowej zwali tornado jednego z zielonych olbrzymów leśnych – pozostał strzaskany pień i zwalone drzewo, które wkrótce zaczyna gnić w wilgoci leśnej, lecz zanim zdoła się rozłożyć nieboszczyk, objęły go zielone ramiona nadziei, zawsze młodej bogini afrykańskiej flory. Jakby dotknięty jej nieśmiertelnością, pokrywa się on nową zielenią, a po niedługim czasie znajdujemy na miejscu tym samym wdzięczną zieloną kolumnę i fragment jej, również żyjący u stóp, jakby bukiet rzucony przez tropikalne driady<sup>257</sup>.

Wszystko oplotły liany swymi wiecznymi wieńcami. Tak też przedstawiała się opuszczona chata; nie była to ruina, przeciwnie, była to kolebka zieleni.

Wkrótce odkryliśmy przyczynę jej opuszczenia. Niedaleko od chaty, nieco ukryty w zaroślach, stał wysoki pagórek termitów, dochodzący do wzrostu człowieka; drobny ten biały wróg ludzkich mieszkań spłoszył widocznie Murzyna, który tu był obrał sobie siedzibę.

Podziwienia godne te mrówki białozółtego koloru są plagą mieszkańca Afryki ekwatorialnej. Europejczyk, który u siebie zapakował swe rzeczy w drewniane skrzynie lub kufrzy, i przybywszy tu, postawił je nieszczęsnym trafem w miejscu, w którym żarłoczny owad obrał swą siedzibę (choćby to było w magazynie faktorii), odkryje zapewne z żalem już po dwóch dniach ciężką stratę. Skrzynie będą pokryte długimi liniami, przedstawiającymi się jakby wstęgi z gliny. Są to tunele, które legiony tych białych mrówek, niecierpiących światła, zbudowały na swej zdobyczy może w przeciągu jednej nocy, by pod tym mieszkaniem wkrótce przedrzeć skrzynie i zniszczyć przedmioty (głównie płótna, książki, przedmioty drewniane) w nich zawarte. Częstość stół wstawiony kilka tygodni temu do mieszkania, rozpada się nagle — to termyty; wydrążyły drzewo wewnętrzne, pozostawiając coś jakby cieniutki futerał formy stołu.

Mrówki te głównie przyciąga miejscowość<sup>258</sup> gliniasta, toteż w domkach glinianych ściany pokryte są ich tunelami, a kto by tylko powiesił tużurek<sup>259</sup> lub parasol na noc na takowej, zauważyłby może już następnego rana, że podobny tunel ciągnie się również i po tużurku, zniszczonym, przedziurawionym do szczytu.

Lecz stokroć ciekawsze i oryginalniejsze są budowle innego rodzaju termitów — w lesie. Są to wysokie, nieraz wyższe od człowieka budowle z gliny, przedstawiające się jakby piramidy, ozdobione z różnych stron niby wieżycami gotyckimi. Wnętrze tej misternej budowy przeryniają liczne korytarze i celki, a w pośrodku znajduje się królowa. Otwór i wejście do jej celi jest daleko mniejsze, jakby się zdawać mogło dla wielkiego jej korpusu. Otworem tym jednak królowa weszła do celi, tylko że wtedy był to mały, wątyły owadek; następnie się rozrósł, nabrał tuszy i jest już więźniem, któremu liczne drobne karawany poddanych obficie dostarczają pokarmu.

Tymczasem wioślarze wypoczęli. Nawróciliśmy więc z krótkiej wędrówki i siedli nazad do łodzi, które też wkrótce wypłynęły na wspaniałe wody Rzeki Św. Pawła. Miejsce, w którym krik łączy się z rzeką, przedstawia rozległą powierzchnię wodną, czyniącą wrażenie jeziora. Kilka ław odkrytych przy niskim stanie wody zwykle obierają tu aligatory na miejsce leniwej drzemki pod palącymi promieniami słońca. Podpłynęliśmy ku

<sup>257</sup> *driady* (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *miejscowość* — tu: miejsce, okolica. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *tużurek* (z fr.) — dwurzędowy surdut popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

nim ostrożnie, trzymając karabiny w pogotowiu, lecz niestety, żaden z potworów nie chciał, byśmy go przywitani — nic się nie wynurzało z wody. Podpłynęliśmy więc dalej i znów zmieniła się sceneria brzegowa. Podczas gdy Stocton Creek przedstawiał po większej części brzegi dziewicze i dzikie, wstąpiliśmy z wpływieniem na rzeczywistą rzekę w strony noszące więcej śladów cywilizacji. Brzegi Rzeki Św. Pawła albowiem okazały się rzeczywiście najważniejszą arterią życia, zaczątkiem siły społecznej i ważnym czynnikiem w skromnych dochodach rzeczypospolitej. Lata przyszłe pokażą może, że stąd rozprysnie się widmo niekorzystnych obrazów, jakie przedstawia Monrowia — lepszy rozwój i mocniejsza postawa kraju. Są to albowiem brzegi niezmiernie urodzajne i już pokryte licznymi, okazałymi poniekąd farmami i plantacjami zamożniejszych Liberyjczyków. Plantują oni przeważnie kawę (a kawa monrowijska już sobie zdobyła pewne stanowisko na targach europejskich), trzcinę cukrową, z której zaraz na miejscu wyrabiają rafinadę cukru i rum. Tu i ówdzie pracują parowe prasy cukrowe na tych brzegach rzeki. Krajobrazy te wynagradzają podróżnika nieco za nieład, jaki zauważył w samej Monrowii. Powiedzieliśmy bez ogródki nasze zdanie o tej ostatniej, bądźmy z drugiej strony sprawiedliwi dla farmerów znad Rzeki Św. Pawła! Oby energia amerykańskiej Unii<sup>260</sup> silniej działała na młodą Liberię i oby Rzeka Św. Pawła kiedyś współzawodniczyć mogła z dobrobytem na Missisipi. Takie przebudzenie się Afryki byłoby najwyższą nagrodą i radością dla tych, którzy poświęcili jej zdrowie swe, przyjaciół, dobrobyt i życie nawet.

Po wesołym śniadaniu, do którego rozłożyliśmy się obozem na jednym z miejsc wyciętych na lewym brzegu rzeki, poczęliśmy zwiedzać główne farmy, plantacje i faktorie należące do Liberyjczyków. P. Travis był nam przy tym drogocennym przewodnikiem, gdyż wszędzie go znano, lubiano i przyjmowano z wielkim szacunkiem.

W trakcie popołudniowych godzin zwiedziliśmy jedną z faktorii, należącą do Liberyjczyka-Mulata. Czyniła ona dość dobre wrażenie. Nagromadzone towary pochodziły z rynków Europy lub Ameryki (Liberia wiele importuje z tej ostatniej), a zaspakajają one potrzeby tak sąsiadów, farmerów, jako też krajowców nieplacących za nic pieniędzmi, jak już wspominaliśmy, lecz produktami krajowymi, tj. olejem palmowym, orzechami olejnymi, skórami małp lub lampartów, woskiem, miodem, gumą etc. Wchodząc do faktorii, zauważyłem tytoń, ubrania europejskie, buty, płótna, zapasy żywności, przedmioty galanteryjne, piśmienne, słowem niemal wszystko, co główne potrzeby życia zanotować każą kupcowi. Na ścianie zaś jednej wisiała owa mapa Liberii, o której mówiłem, wydana w Monrowii przez rząd, a zestawiona przez B. Andersona<sup>261</sup>, czarnego podróżnika, który w r. 1868 odbył znaną wyprawę do kraju Mandingów, Musardo i Buley. Mapa, której linia brzegowa i topografia nie odznaczają się wprawdzie ścisłością i pozostawiają wiele do życzenia, jest atoli ważnym dokumentem jako pierwszy okaz kartograficzny wydany w Rzeczypospolitej Liberyjskiej. Daje przy tym pogląd chronologiczny co do aneksji i kupna od krajowców różnych części terenu, tworzącego dziś ziemię rzeczypospolitej<sup>262</sup>.

Młody albinos, który zastępował właściciela, przyjął nas bardzo uprzejmie i oprowadzał po magazynach faktorii, po zwiedzeniu której puściliśmy się dalej po rzece.

Południowe słońce tymczasem powoli pochylać się zaczęło ku brzegowym lasom i plantacjom i znów zastąpił przyjemny chłód rażący upał dzienny. Jakby żywa panorama przesunęła się brzegi z prawej i lewej strony, a na nich zawsze te same obiecujące farmy, faktorie i plantacje.

Chętnie byłbym się posunął dalej po rzece, która jakby wstęga szeroka otwiera wygodną drogę w głąb, czas jednak drogi. Nie tu leży nasze pole działania, lecz dalej na południu, więc trzeba się było ograniczyć na dwudziestomilowej wycieczce i nawrócić, zanim słońce zajdzie, do pobliskiej plantacji, należącej do jednego z przyjaciół p. Travaisa, plantatora i farmera p. Ducoursey, by tam spędzić noc i jutro z brzaskiem rozpocząć drogę nazad do Monrowii.

<sup>260</sup> *Unia* — zbiorcze określenie amerykańskich stanów, które pozostały w składzie Stanów Zjednoczonych Ameryki podczas domowej wojny secesyjnej (1861–1865), z powodu ich wygranej używane także jakiś czas po wojnie na określenie całego państwa. [przypis edytorski]

<sup>261</sup> *mapa Liberii (...) zestawiona przez B. Andersona* — Anderson żyje obecnie i mieszka w Monrowii, niestety w biedzie i w smutnym stanie zdrowia. [przypis autorski]

<sup>262</sup> *mapa Liberii (...) wydana w Monrowii przez rząd, a zestawiona przez B. Andersona (...) jest atoli ważnym dokumentem...* — mapa ta znajduje się w zbiorach ekspedycji. [przypis autorski]

Słońce zachodziło. Zmroku tu prawie nie ma na południu, noc następuje niezwłocznie, a więc spieszyć się trzeba. Silniej też uderzyły wiosła; majtkowie nasi i najęci Krumani na wyciągi pracować zaczęli i za chwil kilka stanęliśmy w jednej z największych plantacji Liberii.

Z piętrowego, przyjemnie i czysto wyglądającego domku o obszernej werandzie wyszedł ku nam gospodarz, p. Ducoursy, czarny plantator, zapraszając uprzejmie do siebie na noc.

Z wdzięcznością przyjąłem propozycję, lecz zanim wejdziemy do jego wygodnie urządzonego mieszkania, skorzystajmy z ostatnich chwil dnia dla zwiedzenia plantacji.

Po prawej stronie domu stały zabudowania przeznaczone dla robotników Krumanów oraz wielka murowana platforma, jaką się tu zwykle zauważa; służy ona do suszenia ziarna. Naokoło zaś zabudowań ciągnęły się z jednej strony plantacje kawy, z drugiej rozległe pola trzciny cukrowej, a pomiędzy nimi stały domy zawierające parową maszynę (lokomobilę), prasę cukrową z kotłami oraz destylarnię rumu.

Wszędzie, gdzie pomiędzy zwrotnikami podróżnik napotka plantacje trzciny cukrowej, tam znajdzie on połączone owe dwie gałęzie użytkowywania jej: alembik<sup>263</sup> destylacyjny oraz prasę cukrową. Podczas gdy sok wyciśnięty po wygotowaniu krystalizuje się wprost, dając nieoczyszczony cukier, biorą resztki melasy i wyciśnięte kawały trzciny do alembiku do przedestylowania. Resztki te dają rum Anglików, gorszego gatunku, służący do handlu z krajowcami przeważnie.

Głównym artykułem dochodów p. Ducoursy jednakże była kawa, której rocznie wysyłał bardzo znaczną ilość.

Poświęćmy kilka chwil temu artykułowi handlu, który dostarcza wszędzie tak powszechnie znanego napoju, stanowczo dziś zaaklimatyzowanego na zachodnim brzegu Afryki, gdzie ożywia on znacznie rynek eksportacyjny Liberii.

Roślina sadowi się najpierw do urządzonego ogrodu lub otrzymuje się w nim z ziarna, a gdy podrośnie na tyle, że może bez zbytniego narażenia być rozsadzona na plantację, wtedy przed porą deszczową przenoszą młode drzewka, sadząc je w prostych liniach, zwykle o 10 stóp jedną od drugiej. Dopóki drzewka są młode, sadzą częstokroć banany pomiędzy takowe dla ochrony słabych jeszcze roślin. Następnie, gdy drzewka podrosły, oddalają opiekuńcze krzewy i plantacja przedstawia regularne rzędy zielonych drzew o owalnych, zastrzonych nieco liściach. Właściwej wyłącznej pory, w której by owoce dojrzewały, nie ma wcale: na drzewku kawowym zauważa się zwykle równocześnie kwiaty, owoce zielone i dojrzałe gałki pomarańczowego koloru. Po trzech latach drzewka dają tyle, że opłacają koszt urządzenia, rzeczywiste zaś i wielkie ich zyski rozpoczynają się po pięciu latach.

Owoc przedstawia gałkę wielkości wiśni podługowatej i jakby zrosniętej z dwóch połówek. Rozłupawszy te połówki, zauważa się w każdej jedno ziarno kawowe, które otrzymuje się atoli dopiero po rozbiciu dość twardej skorupki, otaczającej każde ziarno z osobna, a następnie trzeba jeszcze zdjąć trzecią, cieką powłokę. U p. Ducoursy lupinki te obierali Murzyni ręczną pracą, choć istnieją dla zdjecia każdej oddzielne maszyny. Roślina ta, której pierwotną ojczyzną była Arabia, rozplodziła się dziś po całej strefie gorącej. Napotyamy ją tu, w Afryce, w Ameryce: przeważnie na wyspach Ameryki Środkowej, w Azji: na Cejlonie, Jawie, Sumatrze i na Wyspach Filipińskich. Już jednak w proporcji rozszerzenia się kawy zagraża jej i niejedyn wróg, a mianowicie brak rąk hodowli. Azja, posiadająca pracowitego kuli<sup>264</sup>, najmniej uczuwa ten brak, lecz tu, na afrykańskim wybrzeżu, po zniesieniu niewolnictwa to samo zaś w Ameryce — wprost nie ma rąk do pracy. Krajowiec afrykański jest oprócz wspomnianych już kilku plemion i nielicznych innych za leniwy — i bez owoców pozostały wszelkie próby przedsięwzięte w celu użytkowania go do pracy. Liberia, ojczyzna Krumanów, najpierwsze zająć może miejsce na wybrzeżu afrykańskim pod względem hodowli kawy, wyspy zaś São Tomé i Príncipe<sup>265</sup>

<sup>263</sup>alembik — dawne naczynie służące do destylacji płynów. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>kuli (ang.) — dziś popr.: kulis, niskoplatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>São Tomé, Príncipe (port.) — dziś popr.: Wyspa Świętego Tomasza oraz Wyspa Książęca, położone w Zatoce Gwinejskiej w pobliżu równika; dawniej bezludne, odkryte przez Portugalczyków w 1471, od 1522 razem z kilkoma mniejszymi stanowiące kolonię portugalską, która w 1975 uzyskała niepodległość jako państwo o nazwie: Wyspy Świętego Tomasza i Książęca. [przypis edytorski]

w Biafryjskiej Zatoce, które posiadały bogate plantacje za czasów niewolnictwa, obecnie chyłą się ku upadkowi. Być może, że i tu, na zachodnich brzegach Afryki, wkrótce zawita kuli jako robotnik — wtedy odżyją te brzegi bogate, dla których nie trzeba nic więcej nad ręce zdolne do pracy.

A teraz, zwiedziwszy plantacje i pogawędziwszy o kawie, wejdźmy do domku p. Ducoursy, by poznać mieszkanie plantatora brzegów Św. Pawła. Zauważamy w nim pewien komfort angielski: w pośrodku mieszkalnego pokoju stoi wielki stół okrągły z lampą oraz rozłożonymi na zielonej serwecie książkami i albumami, a rozpatrzywszy się pomiędzy pierwszymi, zauważamy *Biblię Dorégo*<sup>266</sup>, Milтона *Stracony raj*<sup>267</sup>, pięknie ilustrowany, Szekspira, kilka romansów Waltera Scotta<sup>268</sup> itp. Szafka zaś z książkami zawierała dzieła gospodarskie, encyklopedię, zoologię i kilka tomów dzieł botanicznych. Książki te może spełniały tylko rolę dekoracji potrzebnej dla gości, w każdym razie zdziwiły niemało wchodzących do farmy afrykańskiego plantatora.

Przespawszy tu noc spokojnie, ruszyliśmy nazajutrz w drogę powrotną po rzece. Słońce piekło jeszcze goręcej niż dnia zeszłego i z prawdziwą przyjemnością przyjęliśmy nieco przed południem nową propozycję p. Trávisa — zatrzymania się przy innej jeszcze plantacji, p. Sharpa, i zwiedzenia jego pól trzciny cukrowej. Gdyśmy weszli do domu, zauważyłem dwóch malców-Mulatów z książeczkami w rękach; uczyli się oni swej lekcji, a nauczycielem był sam ojciec, p. Sharp. Trudno zapomnieć poczciwego tego kolonistę, skromnego, cichego, lecz dzielnego człowieka. Zacząłem z nim rozmawiać o stosunkach Liberii i przyszedłem do przekonania, że Liberyjczycy-farmerzy znad Św. Pawła stoją nieskończenie wyżej od swych współobywateli stanowiących „towarzystwo” stolicy Monrowii.

Zaczęliśmy zwiedzać farmę: przed domem stała zwykła destylarnia, opodal zaś parowa prasa i kotły cukrowe, a za nią rozległa plantacja trzciny.

Przypatrywaliśmy się wczoraj kawie, zatrzymajmy się dziś przy trzcinie cukrowej.

Jest to może najwdzięczniejszy artykuł dla plantatora, albowiem bardzo niewiele wymagający pracy i zachodów — oprócz kakao, o którym pomówimy później w swoim miejscu.

Przed porą deszczową sadzą kawały trzciny wprost ucięte z jakiej innej plantacji, poruszywszy nieco przedtem ziemię i sadząc szczepy ukośnie. Po sześciu miesiącach już trzcina wyrosła i dziesiątki Murzynów z długimi nożami (*kotlasami*) ścinają ją i wnoszą pomiędzy walce wyciskające sok cukrowy. Pozostałe pieńki opalają wraz z pociętymi liśćmi, porozrzucającymi po żniwach na plantacji, następnie zaś pieńki puszczają na nowo, które po sześciu miesiącach nowe dają żniwo. Tak daje ta sama roślina co sześć miesięcy przez cztery lata ciągle żniwa bez siewu i dopiero wtedy pole na nowo obsadzić potrzeba. P. Sharp opowiedział nam, iż był rozpoczął z 5 dolarami w kieszeni, z którymi przybył z Ameryki — dziś zaś jest to jeden z najbogatszych i najbardziej poważnych plantatorów i obywateli kraju. Gdyby się więcej znalazło takich Sharpów w Liberii, chcących pracować, kraj i jego obywatele poważniejsze by sobie już wyrobili stanowisko.

Po gościnnym przyjęciu ze strony pracowitego gospodarza pożegnaliśmy go i ruszyli w dalszą drogę. Jeszcze do szalup posłał za nami dowody swej gościnności, zarzucając je po prostu świeżą trzcina i bananami. Trzcina ta jest niezmiernie soczysta, gasi pragnienie i jest nadzwyczaj pożywna. Często robotnicy przychodzą chudzi i chorowici na plantacje, a przez żucie trzciny cukrowej tak polepszają swą kompleksję<sup>269</sup>, że opuszczają plantacje, kompletnie wypasły się.

Powrót po Rzece Św. Pawła był naturalnie o połowę krótszy niż droga pod prąd i szybko zbliżaliśmy się nazad ku Monrowii. Zanim jednak powróciliśmy do stolicy rze-

<sup>266</sup> *Biblia Dorégo* — jedno z licznych XIX-wiecznych wydań *Biblii* z rycinami Gustave'a Dorégo (1832–1883), francuskiego grafika należącego do najbardziej znanych mistrzów ilustrujących motywy biblijne. [przypis edytorski]

<sup>267</sup> *Stracony raj* — poemat epicki w 12 księgach autorstwa angielskiego poety Johna Milтона (1608–1674), opowiadający o buncie aniołów pod wodzą Szatana; przyjęta obecnie polska wersja tytułu brzmi: *Raj utracony*. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *Scott, Walter* (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

<sup>269</sup> *kompleksja* (daw.) — budowa ciała. [przypis edytorski]

czypospolitej, wylądowaliśmy raz jeszcze, a to dla zwiedzenia wioski krajowców plemienia Vbey.

Znajdowała się ona tuż przy brzegu w lesie. Kilka glinianych i bambusowych chat, stojących naokoło wyciętego placu, tworzyło całą osadę. W pośrodku stało małe ogrodzenie, jakby klomb, w którym zauważyłem kilka drewnianych fetyszów i postawione im ofiary — platany, trochę jamsu<sup>270</sup> i oleju palmowego. Typ krajowców był zbliżony do zwykłego typu Krumanów, ubiór zaś stanowiła przepaska ze starego kawałka materii, a na szyi wisiały liczne amulety. Widziałem młodą, 12-letnią Murzynkę z nowo narodzonego dzieckiem na ręku. Dziecko to miało zaledwie dwa dni, lecz już od 24 godzin matka zwykłym trudniła się zajęciem. Trudne to do uwierzenia, jak również i okoliczność, że matki karmią nowo narodzone dzieci zaraz pierwszego dnia nie piersią wyłącznie, lecz dają im ryżu gotowanego z wodą, i to w znacznej ilości. Mimo to, że krajowe dzikie plemiona w ciągłej żyją nieprzyjaźni z Liberyjczykami i często napadając na osady kolonistów, przyjęto nas w wiosce Vbeyów bardzo przyjaźnie i bez najmniejszych zatargów, a nawet bez zebrania ruszyliśmy dalej.

Księżyc osrebrzał już w pełni dachy Monrowii i zręczną sylwetkę „Łucji”, kołyszącej się spokojnie na falach, gdy wysadziwszy przedtem przyjemnego naszego towarzysza pana Travaisa w przystani, stanęliśmy u burtu naszego okrętu. Zmęczeni weszliśmy na pokład — owiało nas miło owym powietrzem domowego progu, jakie owiewa zwykle powracającego do domu z podróży.

Ładowiec przywiązuje się tak do domowego swego ogniska i marynarz pojmuje go zupełnie, lecz ręczę, że ten nie jest przez niego zrozumiany, gdy powie, że również droga, droższa jest mu daleko deska ta skrzypiąca, co go niesie przez wody.

— Witaj, „Łucjo” kochana! — zawołaliśmy też z Tomczekiem, wchodząc na pokład, i za chwil kilka siedzieliśmy znów naokoło stołu kajut-kompanii, przechodząc przy samowarze wrażenia z podróży.

Prezydent Russel i p. Gibson mieli rację: Rzeka Św. Pawła przedstawiała rzeczywiście strony dodatnie Liberii — życzyć w takim razie tej ostatniej wypada, by jak najwięcej jej obywateli garnęło się do rolnictwa, czyli mówiąc stylem tutejszym: do farm i plantacji. Wyszliby na tym dobrze moralnie i materialnie.

## ROZDZIAŁ XV

*Obiad u kanclerza rzeczypospolitej. — P. Smith, reprezentant amerykański. — Wścigi. — Wizyta wieczorna na pokładzie „Łucji”. — Belgijczycy na łądzie afrykańskim. — Sekty. — Oryginalny napis. — Gimdu i Luis. — Wypłynięcie z Monrowii. — Południowe prowincje Liberii. — Prowincja Bassa. — Pilot. — Przybycie do Cap Palmas. — Burza. — Miasto, faktorie i monety. — Znajomości zawarte na plantacji p. Verdier. — Deszcz. — Cywilizowany kaczk Grebo. — Gościnność miasta Cap Palmas.*

Po dniu wypoczynku, jaki nastąpił po tej dwudniowej wycieczce, przysłano na okręt bilety p. Gibsona, kanclerza, zapraszające nas na obiad do jego rezydencji. Zebranie było liczne: prezydent rzeczypospolitej ze swym gabinetem, poseł Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz konsulowie zagraniczni byli obecni i muszę wyrazić w tym miejscu podziękowanie p. Gibsonowi za gościnne przyjęcie, jakiego doznała ekspedycja w Liberii. Czym jednak grzeszy każde zebranie tutejsze — choć to grzeszki niewinne — jest to nadmierna ilość mów, mówek i toastów, których ostatnie słowo powtarza całe zgromadzenie, jakby uznając je za przykładowe orzeczenie. Nuży to niezmiernie, lecz Liberyjczycy kontenci, bo mogą popisywać się wymową.

Po obiedzie p. Gibsona odwiedziliśmy p. Smitha, ministra-rezydenta amerykańskiego, ponieważ zaprosił nas na wścigi jego szalupy z szalupą niemieckiego konsula. Muszę się zatrzymać na chwil kilka przy osobie tego niebiałego reprezentanta. P. Smith albowiem był czarny jak heban, lecz dzielny jego charakter i wykształcenie głębokie, jakie posiadał, wzbudzały już po krótkim poznananiu w każdym głęboki szacunek dla jego

<sup>270</sup>jams — pochryzn, rodzaj wieloletnich pnączy z bulwiastymi kłęczkami, rosnący dziko i uprawiany ze względu na jadalne bulwy w Afryce Zachodniej oraz w Azji pld.-wsch., w Ameryce Południowej i na Karaibach. [przypis edytorski]

osoby; trudno nawet sobie wyobrazić, że p. Smith mógł mieć nieprzyjaciół. Wysoka, barczysta jego postać i twarz o bystrym, rozumnym, lecz równocześnie i serdecznym spojrzeniu, ujmowała każdego, a przysłowie: „Jaki pan, taki kram” sprawdziło się na nim także. Pierwszy rzut oka na gabinet jego mówi dobrze o właścicielu. Biurko świadczące o pracy oraz obszerna biblioteka stoją tu na pierwszym planie, a obok najbliższe go obchodzących licznych tomów *Kodeksu praw Stanów Zjednoczonych* zajęli miejsce Draper, Buckle, Smiles<sup>271</sup> itp. Być może, że stąd ukaże się kiedyś *Historia Liberii*, do której p. Smith zbiera materiały, a przy znajomości społeczeństwa, w jakim mieszka obecnie już dość długo, obdarzy on świat naukowy zapewne dziełem poważnym. Chwile zaś wolne od zajęć poświęca p. Smith wycieczkom w łodzi lub czytaniu nowych wydań księgarskich Europy i Ameryki. Tak był otrzymał właśnie piękne dzieło Ebersa *Egipt* w przekładzie angielskim. Twierdzeniu więc, że słońce równikowe zabija chęć do zajęć umysłowych, zadaje czarny nasz Amerykanin najzupełniejszy kłam. Do najprzyjemniejszych gawędek z czasu pobytu w Liberii zaliczę wieczorne rozmowy prowadzone z nim — pięknym przedstawicielem prawdy, iż pod berłem światła rzeczywistego giną w dalekim zmroku przesady i zatrą się duchowe różnice ras. „Jestem czarny — rzekł raz pewnego p. Smith bez najmniejszej ogródki lub fałszywego wstydu, jaki się tu często z przyczyny koloru napotyka — i wszystko, co jest przyjazne dla praojczyzny mej, Afryki, jest dla mnie naturalnym, drogim przedmiotem przyjaźni. Chciałbym widzieć społeczeństwo to posuwające się naprzód duchowo do wysokości innych społeczeństw, a za nim podążający cały ten ład, dziś ciemny i drzemiący”. Kiedyż będzie Afryka posiadała wielu takich Smithów, których *Alma Mater*<sup>272</sup> stałaby na tej ziemi! Czasy to bardzo jeszcze odległe, dziś nawet myśleć o nich nie można.

Lecz siądźmy do szalupy! Amerykańska flaga z niemiecką zrównały się, każda obsadzona ośmioma silnymi Krumanami. Siadłem pod flagą amerykańską i strzeliły łodzie po morzu naokoło przylądka Mesurado. Szum fal zagłuszał nawoływania Krumanów napędzające ich do wiosł, lecz na próżno potęgowano wołania w niemieckiej szalupie! Ameryka wygrała! I jakby w nagrodę rozwiął wiatr wieczorny flagę Stanów Zjednoczonych, a oświetlone fale odbiły gwiazdziste jej pole osrebrzone światłem księżyca. Gdy szalupy znów się zrównały, zaprosiłem obie załogi na pokład „Łucji-Małgorzaty”, by zmęczonych Krumanów posilić szklanką rumu, my zaś z gośćmi zasiedliśmy na pokładzie naokoło stołu, przy kieliszku starej litewskiej starki, podarku hr. Benedykta Tyszkiewicza.

Tak mijał czas w Liberii, pouczająco i przyjemnie zarazem. Wyczekiwaliśmy teraz tylko na parowiec do Europy, by wysłać korespondencje do kraju, a potem w dalszą ruszyć drogę. Wreszcie nadszedł takowy — udałem się na pokład pakbotu, oddałem listy, których spora nazbierała się ilość, i już chciałem odpływać, gdy niespodziewanie spostrzegłem znajomego pasażera, przybywającego do Monrowii. Był to generalny konsul belgijski z Santa Cruz, p. Desguin, wysłany przez rząd swój dla zwiedzenia tych brzegów. Belgijczycy albowiem pod wpływem wielkodusznego króla Leopolda<sup>273</sup>, protegującego tak wzniosłe rozwój i badanie afrykańskiego lądu, energicznie biorą się do pracy i właśnie w chwili, którą opisujemy, stał okręt belgijski na kotwicy przed Monrowią, zakładając tu, jako też w innych miejscach brzegowych faktorie. Chciałem zaprosić p. Desguin, by zamieszkał na „Łucji” przez czas jej pobytu przed Monrowią, lecz już był zabrał nam gościa p. Smith, którego dom zawsze jest otwarty dla cudzoziemców.

Czas jednak w dalszą ruszyć drogę! Ostatni dzień pobytu był niedzielny, a kto zna uciążliwą angielską bigoterię niedzielną, ten łatwo uformuje sobie pojęcie o liberyjskiej,

<sup>271</sup> *Draper, Buckle, Smiles* — *John William Draper* (1811–1882), amerykański przyrodnik i historyk, pionier fotografii, autor popularnej książki *History of the Conflict between Religion and Science* (*Dzieje stosunku wiary do rozumu*, 1874); *Henry Thomas Buckle* (1821–1862), brytyjski filozof, historyk kultury, socjolog, autor dzieła *History of Civilization in England* (*Historia cywilizacji w Anglii*, 1857–1861), w którym przedstawił koncepcję obiektywnych praw procesu dziejowego; *Samuel Smiles* (1812–1904), szkocki pisarz, autor książki *Self-Help* (*Samopomoc*, 1859), w której promował oszczędność i twierdził, że ubóstwo jest powodowane w dużej mierze przez nieodpowiedzialne nawyki. [przypis edytorski]

<sup>272</sup> *Alma Mater* (łac., dosł.: matka karmicielka) — uroczysta nazwa nadawana uniwersytetom i innym szkołom wyższym od czasów średniowiecza. [przypis edytorski]

<sup>273</sup> *Leopold II* (1835–1909) — król Belgów od 1865; sfinansował wiele wypraw handlowych i badawczych w głąb Afryki; od 1885 władał również Wolnym Państwem Kongo, które było jego prywatną własnością, prowadząc tam rabunkową gospodarkę i ludobójczą politykę. [przypis edytorski]



gdy powiem, iż jest ona taka sama. W ogóle strona religijna w Liberii stanowi jedną z ujemnych stron kraju. Ja zauważyłem już w rozdziale XIII, że każdy niemal sejm nadaje nowej jakiej sekcji prawa państwowego kościoła. Sekty te częstokroć różnią się drobiazgową, śmieszną jaką bagatelą jedna od drugiej, by zaś zyskać adeptów, nadają prozelitom<sup>274</sup> swym różne ułatwienia i doprowadziły liczbę rozwodów i nieprawych dzieci do przerażających zaiste liczb. Toteż „biskupi” tych sekt i *meeting-housy* (domy nabożeństw) ich wyrastają jak grzyby na liberyjskiej ziemi. Kaplice te czynią jednak niejednokrotnie wrażenie przypominające przysłowie „*Du sublime au ridicule il n’y a qu’un pas*”<sup>275</sup>. Tak zauważyliśmy w jednej z nich następujący charakterystyczny drukowany napis: „*No spitting on the floor nor chewing of tobacco allowed in the church*” (Spluwanie na podłogę lub żucie tytoniu w kościele jest niedozwolone). Było to w domu nabożeństw episkopalnych metodystów. Hymny zaś, panujące w tych przybytkach przesadzonej świątobliwości, nie są bynajmniej budujące! Kilkanaście czarnych dam, pamiętających założenie Liberii, oraz tyłuż malców napętnia sale te wtedy przeraźliwym piskiem, mającym się podobać Panu Bogu.

Tymczasem jednakże poskładaliśmy wizyty pożegnalne i kierujemy się do miasta krajowców Krootown, gdzie woła mnie interes. Co rano albowiem zauważaliśmy na okręcie podpływającą małą pirogę, a w niej dwóch zwinnych malców Krumanków, przywożących ananasy i orzechy kokosowe na sprzedaż za suchary. Chłopcy ci oświadczyli, że chcą koniecznie wstąpić do służby u mnie, udałem się więc do osady Krootown, gdzie mieszkał ich ojciec i przeszedłszy mnóstwo bambusowych chatek, odszukałem takowego, by pozyskać jego zezwolenie dla malców i umówić się o ich zapłatę.

— A długo mają tam pozostać synowie moi? — zapytał olbrzymi Murzyn, gdym mu rzekł, po co przyszedłem.

— Dwanaście miesięcy — odparłem, dodając, że dam mu to na piśmie, jeżeli zechce.

Tymczasem jednakże nadeszła matka, nieszporna jeszcze Murzynka i stanowczo nie dozwoliła na wyjazd chłopców.

— Ha! Wtedy ucieknę z białym — dodał jeden z malców.

Na te słowa barczysty ojciec schwycił nieposłusznego za ramię, powalił go na ziemię i podnosząc kawał drzewa, byłby uderzył chłopaka, gdybym go nie był powstrzymał.

— A cóż im będziesz płacić? — zawołał stary Murzyn, rzucając kłodę i zwracając się do mnie. — Dasz im razem dolara na miesiąc?

— Zgoda — odparłem — tę płacę mogą pobierać, a zadatku, czyli awansu mogę ci zostawić cztery dolary (8 rs.).

Ta ostatnia propozycja zaraz usunęła trudności i za pół godziny Gimdu i Nuba, czyli Luis byli zainstalowani na pokładzie „Łucji Małgorzaty” do usług przy stole.

Następnego dnia, 5 marca, ze wschodem słońca zaszeleściły łańcuchy kotwic okrętowych, za chwil kilka „Łucja” rozwinęła żagle i powoli malownicze zarysy przylądka Mesurado i dachy Monrowii znikły nam z oczu.

Płynęliśmy wzdłuż liberyjskich brzegów przed prowincjami Bassa i Sinoe do przylądka Palmas, gdzie spodziewałem się zastać listy z Europy. Przy tych właśnie brzegach zatrzymują się zwykle parowce i okręty rekrutujące Krumanów, w Bassa, Sinoe, Setra Kroo, Nana Kroo, Grand Sess, Beribe i w licznych innych. Niezmiernie żyzna i urodzajna jest prowincja Bassa<sup>276</sup>. Krajowcy hodują tu tytoń, ryż, kawę i trzcinę cukrową obok zwykłych plantacji jamsu, koki i bananów. Lasy zaś dostarczają znaczną ilość kauczuku, który powoli zaczyna być ważną gałęzią handlu afrykańskiego.

Ośmego około południa powstał ruch na okręcie — zabito i złowiono rekina. Majtkowie wzięli się niezwłocznie do rozplątania potwora, członkowie ekspedycji do preparowania różnych jego części. Lecz poznaliśmy już scenę połowu rekina, nie zatrzymujemy się więc, lecz płynmy dalej. Bryza (wiatr panujący około brzegów lądowych) tak jest słaba, że posuwamy się z wolna naprzód, gdyż wypłynęliśmy od dawna poza obręb pasatów. Wreszcie dziewiątego wieczorem zbliżyliśmy się do Palmowego Przylądka. Pilot-Murzyn,

<sup>274</sup>prozelita — neofita, nowo pozyskany wyznawca jakiejś wiary. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*Du sublime au ridicule il n’y a qu’un pas* (fr.) — Od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>prowincja Bassa — nazywana też Grand Bassa. Nie trzeba jednakże kraju tego brać za francuską posiadłość Grand Bassam, leżącą w pobliżu Assini. [przypis autorski]

którego wzięliśmy po drodze, gdyż sam podpłynął ku nam na swej wątłej pirodze około osady Sestres, zgodził się za dwie nitki (6 łokci) materii, 4 główki tytoniu i butelkę wódki, wskazuje nam miejsce do zarzucenia kotwicy, lecz przybycie nasze do Cap Palmas nie było tak spokojne, jak przybycie do Monrowii.

Niebo, które już przed wieczorem pokryło się gęstymi chmurami, przeszył nagle piorun, morze się zakolysało, rzucając okrętem na wszystkie strony i wkrótce rozpoczął się dziki koncert w przyrodzie — ryczenie wichru, huki grzmotów i łoskot fal, przerywane rzucaniem się „Łucji”, której załoga przez całą tę kilkugodzinną walkę żywiołów musiała być na pokładzie, mimo zmęczenia z żeglugi, grunt albowiem w Cap Palmas nie jest zbyt dogodny dla okrętów i nieraz jedna kotwica nie wytrzyma. Z tego też powodu statki rozbiły się już na wodach Palmowego Przylądka.

Gdy następnego rana słońce oświeciło pogodne niebo, zauważyliśmy, iż staliśmy zbyt daleko od miasta. Podniesiono więc kotwicę i przybliżyliśmy się do lądu, ponieważ trzeba było tu nabrać świeżych zapasów wody. Następnie spuszczone szalupy i udaliśmy się do miasta.

Cape Palmas, stolica południowa Rzeczypospolitej Liberyjskiej, do gubernatora której miałem listy od kanclerza Gibsona, przyjęła nas z równą gościnnością jak Monrowia.

Jest to miasto niewielkie, przeważnie z domów drewnianych budowane, leżące niedaleko od rzeki Cavalla, wrzynającej się głęboko w ląd. Trzy europejskie faktorie: holenderska, niemiecka i francuska razem z jedną liberyjską, pp. Gill et Comp., dostarczają mieszkańcom potrzebnych towarów europejskich rynków.

Poznawszy się z konsulem francuskim, p. Verdier, posiadającym plantację kawy o kilka mil od miasta, zostaliśmy przez niego zaproszeni spędzić tam zbliżającą się niedzielę. Droga z miasta do wiejskiej rezydencji p. Verdier była bardzo przyjemna. Nad ranem przysłano nam dwukołowe bryczki, zaprzęgnięta każda wołem, i ruszyliśmy przez wycięte już lasy, na których miejscu dziś ciągną się plantacje. I pod tym względem Cape Palmas stoi wyżej od Monrowii, gdyż tam lasy i gąszcze podchodzą jeszcze pod samo miasto, a dla braku dróg nie ma tam dotychczas komunikacji kołowej.

Plantacje p. Verdier okazały się jako rozległe i dobrze pielęgnowane pola kawowe i dzień upłynął szybko. Przyjemną też zawarliśmy tu znajomość z młodym, wykształconym Francuzem, p. Bretignère, powracającym z Europy, gdzie odpoczywał po małej handlowej eksploracji krajów Assini<sup>277</sup> i Grand Bassam. Obecnie zaś czekał na odpowiedni parowiec, by znów udać się do Assini, gdzie brat naszego p. Verdier posiada faktorię, a nieco dalej, w głębi kraju, zakłada olbrzymią nową plantację kawy. Po całodziennej rozmowie z młodym Francuzem poznałem w nim przyjemnego towarzysza podróży, a zaproszony przez niego zwiedzić Assini, zaproponowałem mu nie czekać na parowiec, lecz wyruszyć z nami na „Łucji”. Plany powzięte bez długich przygotowań zwykle udają się najlepiej. Prosiłem więc gościa, by stawił się jutro w Cape Palmas i doniósł mi o swej decyzji.

Tymczasem niebo się zachmurzyło — zbierało się na niepogodę i pożegnawszy gościnnie dom Francuza, by jeszcze przed deszczem powrócić do miasta, ruszyliśmy ku brzegowi, napędzając nasze woły, jak tylko było można, przez plantacje. Deszcz jednakże nie czekał, aż będziemy pod dachem, i w połowie drogi zmoczyła nas nagła tropikalna ulewa. Na szczęście znajdował się blisko dom gubernatora, a że znana nam była uprzejmość jego, podążyliśmy więc ku niemu, szukając schronienia.

Zauważywszy nas, uprzejmy gospodarz niezwłocznie ukazał się we drzwiach i zaprosił do domu. Siedliśmy na przewiewnej werandzie, bez której żaden dom w tych stronach budowany nie bywa. Często otacza ona kilka stron domu, co najmniej zaś ciągnie się takowa wzdłuż przedniego i tylnego frontonu. Tu, na werandzie, przepędza mieszkaniec stron tropikalnych część dnia wolną od zajęć i postawiwszy na niej kilka wygodnych foteliw maderskich, przywożonych przez parowce z Funchalu na cały brzeg afrykański, oddycha on tu swobodniej niż w dusznych pokojach podczas skwarnych miesięcy pory suchej.

<sup>277</sup> Assini — dziś: Assinie, region w pld-wsch. części Wybrzeża Kości Słoniowej, przy granicy z Ghaną; w 1637 Francuzi założyli tam misję, zaś w 1843–1845 francuski admirał Louis Edouard Bouët-Willamez podpisał traktaty z królami regionów Grand Bassam i Assinie, czyniąc ich terytoria francuskim protektorem. [przypis edytorski]

Wkrótce zresztą deszcz ustał i ruszyliśmy dalej do miasta.

Po drodze spotkaliśmy grupę krajowców zajętych tańcami i rozsadzających uszy nasze nadmiernym „tam-tam”. Sądząc, iż uczynią nam przyjemność, uderzyli afrykańscy artyści za naszym zbliżeniem się ze szczególną siłą w swe drewniane instrumenty. Wątpię wprawdzie, czy ktokolwiek z nas gustował w tych utworach, lecz co kraj, to obyczaj: trzeba było wyrazić swe zadowolenie, rzucić im kilka miedziaków i pójść dalej, gdyż odesłaliśmy nasze powoziki z wołami, przybywszy do gubernatora, i korzystając z odświeżonego po deszczu powietrza, szliśmy pieszo.

Krajowcy tej prowincji Rzeczypospolitej Liberyjskiej składają się głównie ze szczepu Grebo. Są oni surowych obyczajów i nieco rubaszni w obejściu, co zaś do sposobu życia, obrządków i mowy nie różnią się od ogólnych cech Krumanów.

Zauważyliśmy kilku z nich, których cywilizacja wyparła z dziewiczych lasów i posunęła na „kolorowych dżentelmenów”, najczęściej jednak nie na ludzi pracy, lecz na „misjonarzy” jakiegokolwiek sekty, gdyż to wygodne i łatwe zajęcie. Tak np. siedzieliśmy na obiedzie danym przez byłego mera<sup>278</sup> miasta Cape Palmas na cześć ekspedycji razem przy stole z pewnym naczelnikiem plemienia Grebo, który już nie przedstawiał się bynajmniej jako nagi syn lasów i chat bambusowych. Był on po europejsku ubrany i miał pewne wykształcenie, był nawet „abonentem pisma angielskiego”, jak mi zauważył z pewnym zadowoleniem, choć jeszcze nosił przez czoło wypaloną kresę, znak plemienny, którym go napiętnowali po urodzeniu jego rodzice z gąszczu.

Cape Palmas dawało nam zresztą liczne dowody swej gościnności, ciągłe zaś obcowanie z Liberyjczykami dozwoliło wytworzyć sobie pewne pojęcie o rzeczywistym stanie tego kraju, który skreśliliśmy w rozdziałach XII i XIII. Gdy już mieliśmy odpływać, czarne damy zapragnęły nawet pobalować z gośćmi. Lecz musieliśmy podziękować za dobre chęci; czas schodzi, trzeba płynąć dalej — podążajmy więc znów na pokład „Łucji”.

Zanim jednakże ruszymy w drogę i opuścimy ostatecznie brzegi czarnej Rzeczypospolitej, musimy jeszcze uczynić kilka uwag tu, jako w miejscu najlepiej ku temu się nadającym.

Zastanawiając się nad tym, jak ostatecznie zapatrywać się na dotychczasowe postępy cywilizacji między czarną ludnością tego lądu — zapytanie, które nasuwa się niejako samo przez się jako streszczenie obserwacji czynionych wśród społeczeństwa Liberii — przychodzi podróżnik do rezultatów niekorzystnych dotychczas dla rasy czarnej, lecz znajduje zarazem część przyczyn takowych w nas białych.

Dotychczasowo przeciętny przedstawiciel rasy czarnej (będący nawet już dość dawno pod wpływem europejskiej lub amerykańskiej cywilizacji) nie czuje rzeczywistej potrzeby i znaczenia komfortu, jaki wymaga tryb życia naszego, nie ma on albowiem poza sobą takiej przeszłości, która mogłaby być wytworzyć w nim stopniowe o nim pojęcie i odczuwanie potrzeb i wyników takowego.

Ta okoliczność rozwija dwa najwybitniejsze rysy „czarnego obywatela” — lenistwo i niedbałość, z przeciwdziałających zaś czynników znajdujemy rzadko kiedy inne nad próżność, chęć błyszczenia i przenoszenia się nad innych. Pierwsze z tych czynników trzymają go uporczywie w szeregach umysłowego i społecznego proletariatu, pozbawiają go siły i energii, siły charakteru i szerszych poglądów, w końcu możliwości wyrobienia sobie programu dla swej działalności — ostatnie popychają go wprawdzie czasem do jakiegokolwiek zajęcia (częściej zaś wprost do różnych nadużyć przedsięwziętych w celach zysku) skierowanego do możliwości posiadania środków do błyszczenia, środków przeznaczonych nie tylko dla własnego dobrobytu, ile dla pokazania go innym; rodzą one jednakże w nim nieprzeparty pociąg do naśladowania form Europy i czynią z niego nie cywilizowanego w rzeczywistości obywatela, lecz najczęściej tylko karykaturę.

Ten, kto poznaje po raz pierwszy „cywilizowanych czarnych”, znanych na brzegach Zachodniej Afryki pod nazwą *coloured gentleman*, daje się zwykle łatwo wprowadzać w błąd i nabiera wyobrażenia zbyt wysokiego o wartości rzeczywistej tych „kolorowych dżentelmenów”. Po dłuższej obserwacji i bliższym ich poznaniu sympatia ta stygnie znacznie i patrzy się na każdego z nich z uzasadnionym sceptycyzmem.

<sup>278</sup>mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

Naturalnie napotkaliśmy i napotka podróżnik zawsze przyjemne wyjątki — postaramy się też w następnych rozdziałach zawsze takowe przedstawiać. W tym miejscu jednakże zastanawiamy się nad przeciętnym „cywilizowanym czarnym obywatelem” i nie mogę inaczej powiedzieć, poznawszy następnie bardzo wielu z nich i obcowawszy z niektórymi przez całe miesiące (mieszkając niejednokrotnie i żyjąc z nimi), że napotykając „kolorowego dżentelmena” można spodziewać się w nim wszelkich niedobrych skłonności, które mogą go lada chwila posunąć do nadużyć i występków, gdy zdarzy się ku temu sposobność, rzadko zaś coś rzeczywiście i stale dobrego.

Każda prawie z tych jednostek jest materialna do najwyższego stopnia, dla służby swej jest bezwzględna i częstokroć niezmiernie okrutna, żywiąc ją zawsze w sposób jak najlichszy, prawie niemożliwy do zachowania zdrowia, by na wszystkim zyskać dla siebie najtańszym kosztem. Dla pieniędzy albowiem poświęca się tu prawie wszelkie inne uczucia, które w ogóle leniwo i rzadko kielkują w tych naturach.

Poznałem później na Fernando Poo „kolorową lady”, która kijem zabiła młodą dziewczynę, będącą potajemnie jej niewolnicą i niemogącą lub nie chcącą tyle pracować, ile jej pani wymagała. Ta sama „obywatelka”, wyludziwszy korzystny bardzo testament na bogatym jej mężu, który wkrótce zachorował, nie dozwoliła, by sprowadzono lekarza mimo jego próśb i nalegań — dopóki nie przeniósł się na tamten świat. Do jakiego stopnia zaś dochodzi demoralizacja kobiet, o tym trudno byłoby pisać. Pod względem okrucieństwa i demoralizacji można tu spostrzec niekiedy dziwne, potworne zaiste przykłady! Niedawno wyszły w Anglii drukiem akta sądowe przedstawiające proces kryminalny wytoczony czarnym misjonarzom jednej z przeróżnych sekt angielskich o oburzające nadużycia i państwienie się nad młodymi Murzynkami w miejscowości Quinteha nad Nigrem. Akta te odsłaniają po prostu horrenda<sup>279</sup>!

Mimo woli nasuwa się teraz pytanie: dlaczego dały dotychczasowe próby cywilizacyjne w zachodniej Afryce tak smutne rezultaty?

Zdaje się, że Europejczycy są w wielkiej części sami temu winni, a mianowicie pewne poglądy fałszywej filantropii pochodzącej z Exeter Hall<sup>280</sup> w Londynie, która wyrządziła więcej szkody postępowi afrykańskiej rasy niż ktokolwiek niezający tych stosunków przypuści, włączając samych owych filantropów.

Zamiast zapatrywać się na czarnych mieszkańców afrykańskiego lądu jak na wielkie dzieci, rozwojem których z tego stanowiska jedynie kierować wypada, głoszono im ustawicznie, że mają równe z Europejczykami prawo i że na równi z nimi traktowani być powinni. Kto by powiedział dziecku, że ma równe z dorosłymi prawa i że na równi z nim jest uważany, ten zapewne usłyszałby od malca przede wszystkim uwagę, że w takim razie do szkoły chodzić nie potrzebuje i że powinien to i owo posiadać, obowiązków wypadających mu jednakże z tej roli nie znałby wcale. Otrzymałobyśmy naturalnie karykaturę, w której wkrótce rozwinęłyby się wszystkie złe jej skłonności. Zupełnie tak postępowano zwykle dotychczas z dziecięcą czarną rasą! Nie czekając, dopóki wieki wyrobią ją stopniowo i podniosą, zepsuta, przesadzona filantropia tysiące tych jednostek zaraz na wstępie zepsuła przez nagłe wysuwanie ich do śmiesznych częstokroć ról i aspiracji.

Wykonawcami tych idei byli misjonarze licznych sekt angielskich, którzy, nawiasem mówiąc, są jedną z najnieznośniejszych plag Afryki. Gdyby ci czcigodni panowie o twarzy wiecznie uśmiechniętej byli pozostali w Anglii, którą prawdopodobnie opuścili dlatego, że nie umieli zająć się tam pożytecznie, byłiby zapewne oddali ważną przysługę Afryce, w której gdzie tylko się pojawili, tam rozwinęli lenistwo i stworzyli owe jednostki spaczone, o których mówiliśmy wyżej<sup>281</sup>.

<sup>279</sup> *horrendum* (łac.; lm: *horrenda*) — okropność, coś przerażającego. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> *Exeter Hall* — dawny budynek w pln. części ulicy Strand w Londynie, z wielką aulą, w której odbywały się spotkania religijne i filantropijne, m.in. Stowarzyszenia Antyniewolniczego (stąd określenie „Exeter Hall” stało się synonimem lobby antyniewolniczego); budynek, wzniesiony w 1831, został w 1907 sprzedany i zburzony, na jego miejscu wybudowano Strand Palace Hotel. [przypis edytorski]

<sup>281</sup> *misjonarze licznych sekt angielskich, którzy (...) są jedną z najnieznośniejszych plag Afryki...* — Ktokolwiek poznał tych „misjonarzy”, jest mniej więcej tego zdania. Oto co pisze A. Lanchier, który był ze mną przez kilka miesięcy w Kamerunie: „*Ces missionnaires fanatiques, qui sous prétexte de tempérance et d’humanité, mettent des entraves à la liberté qu’ils osent invoquer dans leurs fastueux sermons, sont, avec juste raison laissés de côté par les gens sensés, et les négociants s’établissent à quelques milles de distance*”; p. M. A. Lanchier, *Les richesses Africaines*, Paris, 5 Rue Jacob, Challamel Ainé 1886. [przypis autorski]

Liberyjczycy — cokolwiek o nich mówią — należą jednak do lepszych przedstawicieli takowych: są oni leniwi, niedbali, mają naturalnie zwykłą chęć błyszczenia, lecz nie mają owego otwartego pociągu do nadużyć, jaki stał się główną cechą innych reprezentantów tej kategorii czarnych.

Dopiero w angielskiej kolonii Sierra Leone i w Lagos rażą typy podobne szczególnie przybysza. Nadano albowiem tamtejszym obywatelom takie prawa i swobody, że dziś dla białego pobyt pomiędzy Sierraleończykami (którzy wyrobili sobie zresztą na całym brzegu najgorszą reputację pod każdym względem) staje się po prostu nieznośny. Między innymi np. zdarzają się tam jednostki zarabiające sobie w następujący sposób od czasu do czasu pieniądze: czarny dżentelmen w tużurku i krawacie naumyślnie zaczepia Europejczyka i niecierpliw go dopóty swą arogancją, dopóki ten ostatni nie chwyci za laskę lub parasol. Tego zaś tylko czekał czarny elegant — niezwłocznie udaje się na skargę za uderzenie jedno lub kilka i otrzymuje za każde pewną sumę, na zapłacenie której Europejczyk zostaje skazany. Co do sposobów wyzyskiwania ludzi, cywilizacja dała Sierraleończykom i licznym innym „kolorowym dżentelmenom” rzeczywiście najróżniejsze pomysły<sup>282</sup>.

W końcu jako rezultat tych spostrzeżeń muszę twierdzić z niejednym innym znaczącym te stosunki i — wbrew wszystkim pięknym frazesom, jakimi przepełnione są zwykle raporty angielskich misjonarzy — że daleko więcej jest warta i bezwarunkowo więcej nadziei wzbudza własna cywilizacja państw centralnego Sudanu, jak np. Sokoto, Bornu, Bagirmi i inne, niż ta, którą dano owym społeczeństwom czarnym paradującym w europejskich tużurkach i krawatach.

Tamte podnoszą stopniowo to, co swoje, dążąc do rozwoju — te naśladują tylko formy cudzych instytucji i zwyczajów. Tamte zadziwiają przybysza do pewnego stopnia swym samoistnym postępowaniem cywilizacji, mającym prawo żądać pobłażliwości — te mimo woli niejako pobudzają go do śmiechu i pewnego lekceważenia.

Oto mniej więcej wrażenie, jakiego doznaje podróżnik, patrząc na dotychczasowe rezultaty rozwoju osiągnięte wśród czarnych mieszkańców tych brzegów.

## ROZDZIAŁ XVI

*Wyłynięcie z Cap Palmas. — Pożegnania. — Południowa granica Liberii. — Noce pod niebem tropikalnym. — O mały włos w barze. — Barry afrykańskie. — Hegemonia wpływów angielskich. — Próbką anglo-afrykańskiego żargonu. — Królestwo Assini. — Na kotwicy w Assini. — Trudna przeprawa na ląd. — Przywitanie w francuskiej faktorii. — Kąpiel upragniona i przymusowa. — Ulewa. — Wyjazd po rzece assinijskiej do króla Amatifu.*

Pan Bretignére zdecydował się jechać z nami, dobyto więc mapy brzegów Assini, by w oznaczony dzień wypłynąć.

Z francuskim gościem przybył w przeddzień odjazdu na pokład jego towarzysz podróżny pan Sion, jadący do Assini jako pomocnik agenta faktorii domu Verdier z La Rochelle. Niestety od pierwszego kroku uczynionego na pokładzie opanował ich Neptun z bezwzględną surowością i trzymał ich ciągle, głównie zaś pierwszego, w kajdanach choroby morskiej. Z miasta przybył, odprowadzając nas, też jeden z agentów faktorii, p. Rine, który nas był przyjmował ze szczerą gościnnością u siebie podczas pobytu w Cap Palmas. Serdeczny cudzoziemiec przynosił nam dwa młodziutkie aligatory w alkoholu oraz kilka skór małpich i aligatorów. Chcieliśmy się pożegnać przy szklance groku<sup>283</sup> na okręcie, ale i on, zaledwie stanął na pokładzie, poddać się musiał tyranii bożka morskiego i spieszył się opuścić obcy mu żywioł. Tak to często bywa! Marynarz pragnąłby niejed-

<sup>282</sup>Co do sposobów wyzyskiwania ludzi, cywilizacja dała Sierraleończykom i licznym innym „kolorowym dżentelmenom” rzeczywiście najróżniejsze pomysły — Wygórowane i przesadzone popędy filantropów angielskich zagrażały nawet przez pewien czas w kolonii Sierra Leone bezpieczeństwu białych. Nadano albowiem Sierraleończykom prawa sędziów przysięgłych, przy czym zdarzało się, że czarni sędziowie przysięgli uniewinniali czarnych rozmyślnych morderców, którzy sami się przyznali do winy. Dopiero gdy fakty takie przekroczyły granice zdrowego rozsądku i powtarzały się zbyt często, pozbawiono czarnych owego urzędu. [przypis autorski]

<sup>283</sup>grok — dziś popr.: grog, napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

nokrotnie ze szczerego serca przyjąć jak najlepiej u siebie przybywającego gościa z ładu, lecz ten mimo woli zaledwie przybył, już zaczyna przeklinać ruchome progi gospodarza!

Następnego dnia, czternastego rano podnieśliśmy kotwicę i rzekli do widzenia lub może *adio* Liberii. Wkrótce minięto ujście rzeki Fresco, granicę południową rzeczypospolitej i płynęliśmy wzdłuż opuszczonych, choć do Francji zaliczanych brzegów Grand Basam i Assini, z których ostatnie pod względem etnograficznym już są częścią kraju Aszanti<sup>284</sup>. Dynastia też krajowa panująca w Assini, Amatifilu, jest spokrewniona z dynastią aszantyjską, choć ta poddała się wpływowi angielskim, tamta zaś francuskim.

Dnie były niezmiernie gorące, życie więc okrętowe poszło owym powolnym flegmatycznym trybem, który charakteryzuje strony podzwrotnikowe. Kajut-kompania stała naturalnie pusta, całodzienne pożycie odbywało się na pokładzie; tu zastawiono stół, czytano, gawędzono lub odbywano sjęstę<sup>285</sup>. Byliśmy w czterech stopniach północnej szerokości, pas pasatów się skończył, a przeto i „Łucja” przyjęła powolność południową i tylko bryzy (wiatry z ładu), odświeżając cały pokład, posuwały ją z wolna naprzód na wschód.

Za to noce były czarujące i jak we dnie, tak i wtedy był pokład zaludniony, gdyż oprócz jednego wszyscy pasażerowie i załoga przenieśli tu swe materace i spali na świeżym powietrzu z tą ufnością w czuwanie Opatrzności, która podróżnikowi w pewnym stopniu jest niezbędna, a bez której staje się on wprost nieszczęśliwym, wiecznie zatrwożonym człowiekiem.

Pewnej nocy, śpiąc na pokładzie obok Brelignera — kapitan Boutes trzymał wartę — usłyszałem nagle, budząc się, szum podczas tych cichych pięknych nocy. Zerwałem się i — Bogu dzięki, że było dość wcześnie — kazałem ster przełożyć na drugi bort. Sterujący Guedau, podczas gdy Boutes zeszedł na dół na chwilę dla konsultacji mapy, bądź z nieuwagi, bądź ze złej woli — gdyż został za przewinienie zdegradowany w Santa Cruz — sterował tuż w brzeg, którego trzymaliśmy się tak blisko, jak tylko bezpieczeństwo dozwalało, by poznać jego charakter i już, już znajdowaliśmy się w barze Grand Bassamu, najgorszej niemal na całym brzegu, która by była zapewne nie wypuściła nas cało kilka minut później. Już przy Monrowii zapoznaliśmy się z tą plagą afrykańskiego brzegu, którą nazwano „*the bar*”, „*la barre*”, „*die Barre*” — a więc powiedzmy „barra” po polsku. Jest to wysoki wał wodny, z daleka nadpływająca fala oceanu, która nagle znajdując się wobec płaskiego brzegu, łamie się, podczas gdy już nadchodzi druga, trzecia itd. Taki pas nadchodzących grzebieni wodnych, częstokroć wysokich jak ściana piętrowa, ciągnie się po całym wybrzeżu, a najgorsze barry znajdują się w Grand Bassam, Assini, Accrah oraz w Lagos. Gdyby więc sternik przez chwilę choć jeszcze był pozostawiony sobie samemu, byłibyśmy prawdopodobnie ponieśli nieszczęście fatalne dla ekspedycji.

Dzięki Bogu przełożono ster dość wcześnie, zmieniono sternika i znów uspokoiło się na pokładzie, osoby wolne od czuwania powróciły w objęcia snu. Odtąd jednakże miałem czujniejsze oko na olbrzymiego Guedau.

Przez dnie następne nawiedzały nas często pirogi murzyńskie przybywające do burtu. Zwykle podawano im linę z pokładu, której się czepiali, płynąc przez jaki kwadrans w taki sposób razem z okrętem, a przez ten czas jeden z czarnych przybywał na pokład z kurą, rybami lub pękiem plantanów<sup>286</sup> lub bananów, by je zamienić na suchary, wódkę lub tytoń. Każdy z nich umiał choć kilka słów po angielsku, jakkolwiek byliśmy u wybrzeży, które Francuzi uważają za swoje. W ogóle językami cywilizowanej Afryki, tj. językami pośredniczącymi między Europejczykami a krajowcami są przeważnie angielski lub portugalski, częstokroć nawet w koloniach należących do innych narodowości, jak np. tu. Sprawiają to liczne angielskie okręty i parowce, które wyłącznie prawie (w ostatnim czasie konkurują z nimi kilka niemieckich) zaopatrują punkty brzegowe w potrzeby i łączą je

<sup>284</sup>*Aszanti*, *Aszantowie* a. *Asante* — lud afrykański zamieszkujący Ghanę, Togo i Wybrzeże Kości Słoniowej, razem z m.in. Adansi, Akwamu, Assini, Fanti i Denkira należący do grupy Akan; na pocz. XVIII w. stworzyli imperium w Afryce Zachodniej; toczyli walki z sąsiednimi królestwami i plemionami, pokonali Brytyjczyków w pierwszych dwóch z czterech wojen (1823–1896). [przypis edytorski]

<sup>285</sup>*sjęsta* (z hiszp.) — odpoczynek popołudniowy w krajach o ciepłym lub gorącym klimacie; drzemka poobiednia. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>*plantan* — rodzaj banana niesłodkiego; zwykła jarzyna krajowców do mięsa lub ryby, gotowana najczęściej w oleju palmowym i silnie zaprawiona pieprzem. [przypis autorski]

ze światem cywilizowanym. Portugalczycy zaś w pewnych częściach — dalej na południe — zbyt dawno kraj w ręku swym mieli, by nie nadać mu swego języka.

Mają oni też swą linię parowców, która nawet jest najszybszą komunikacją między Lizboną, Maderą, Wyspami Zielonego Przylądka, São Tomé i Loandą<sup>287</sup>. Francuskie pakiety kursują tylko do Senegalu, cała zaś przestrzeń północna Zatoki Gwinejskiej przyjmuje i wysyła przez dwa towarzystwa angielskie: British and African Steam Navigation Company i African Steam Shipp-Company, kursujące z Liverpoolu. W nowszych czasach kursują z Hamburga niemieckie parowce — dla pasażerów zresztą bardzo niewygodne — lecz wpływ angielskich za dawny i stosunek liczbowy za nierówny, by ostatnie mogły aklimatyzować swój język. Najczęściej więc faktorie angielskie czy nieangielskie na wolnym lub państwa jakiego brzegu używają języka angielskiego lub portugalskiego do porozumienia się z czarnym. Prawda, że to rodzaj angielszczyzny, której i Anglicy, dopiero przybywając na brzeg afrykański, uczyć się muszą. Dla znających język angielski podam tu kilka próbek, tak np.: „*jou save* (czyt. podług wymowy polskiej: sawe) *dem palaver?*” zamiast: „*you know that queston?*”, dalej: „*jou be man for dem town?*” zamiast: „*you are from this town?*”, albo: „*he go chop'em?*”, zamiast: „*he will eat it?*”.

Oto główny charakter żargonu brzegowego, który Anglicy nazwali Nigger-English. Każda miejscowość z osobna zaś dodaje do tego swe indywidualne dodatki, co sprawia, że przybywający świeżo Anglik nawet nie rozumie z początku mówiącego doń „po angielsku” Murzyna.

Francuzi starają się konkurować co do wpływu swego języka, lecz dotychczas osiągli to tylko częściowo w Senegalu i Gabonie, nie może też być inaczej, jeżeli zważymy, że nawet kolonia Gabon, od dawna francuska posiadłość, do dziś dnia nie jest połączona linią własną z metropolią: pomiędzy Europą a Gabonem pośredniczą parowce angielskie, portugalskie i niemieckie.

Lecz otóż zbliżamy się do Assini. O kilka mil na wschód od ujścia rzeki tegoż imienia zauważamy trzy drewniane domki — to wszystko, co posiada brzeg ten ze śladów życia Europy — trzy faktorie: dwie angielskie i jedna francuska. Ale gdzież forty Joinville i Nemours, o których głosi mapa? Nie ma żadnych fortów, nawet ślady porosły lasem, a dziś oprócz jednego Francuza, kupca, pana Boy, agenta francuskiej faktorii nie ma tu żadnej białej francuskiej narodowości. Dziś Assini przedstawia brzeg zarośnięty lasem dziewiczym, a wśród którego trzy faktorie zamieniają europejskie towary na pepity<sup>288</sup> lub piasek złota rodzimego i olej palmowy.

Kiedyś jednak było tu inaczej! Po zajęciu kraju w 1842 r. przez Bouet-Villaumera urządzono tu koszary i forty, utrzymywano komendanta kraju z dość licznym sztabem i garnizonem, lecz kraj to niski, brzeg piaszczysty, tu i ówdzie rozpościerają się bagna, barra także przedstawia trudności przy wylądowywaniu — więc kolonia się nie podnosiła, przeciwnie, upadała. Po nieszczęśliwej więc dla Francji wojnie 1870–71<sup>289</sup> zwinęła rzeczpospolita forty i koszary, odwołała komendanta i garnizon, a miejsce pozostało na opatrności krajowców, Francja zaś tylko zagwarantowała sobie prawo zwierzchnictwa nad Assini i Grand Bassamem. Nic więc dziwnego, że po 12 latach tropikalna przyroda nie pozostawiła i śladu fortów, koszar lub w ogóle mieszkań europejskich.

Słońce już zbliżało się do horyzontu, gdyśmy stanęli na kotwicy. Na morzu stał tu niewielki żaglowiec domu Verdier „Pandora” pod flagą francuską, a na pokładzie jej powstał huczny okrzyk „hurra!”, gdy spostrzegli znajomego im pana Bretignéra.

Jak większa część okrętów w tych stronach miała „Pandora” czarną załogę oprócz kapitana i botsmana.

Podnieśliśmy sygnał stosujący się do francuskiej faktorii: „*Avez vous une embarcation disponible?*”<sup>290</sup> i wkrótce widzieliśmy odbijającą od burtu „Pandory” szalupę, która przybyła po nas, porozumiawszy się z faktorią. Powierzyłem więc „Łucję” pieczy kapitana Boutes

<sup>287</sup>Loanda — dziś popr.: Luanda, miasto portowe w pld.-zach. Afryce, stolica i największe miasto Angoli; założone w 1576 przez Portugalczyków jako São Paulo da Assunção de Loanda. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>pepita (z fr. *pépite*) — samorodek, bryłka cennego metalu powstała w przyrodzie drogą naturalną; pol. wzór na tkaninie przypominający kratkę lub tkanina z takim wzorem. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>nieszczęśliwej (...) dla Francji wojnie 1870–71 — mowa o wojnie francusko-pruskiej, w której Francja została pokonana i utraciła dominującą pozycję w Europie na rzecz nowo powstałego państwa: zjednoczonych Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>*Avez vous une embarcation disponible?* (fr.) — Czy macie dostępną łódź? [przypis edytorski]

i przyjmując teraz zaproszenie naszych gości przybywających w swoje progi, siedliśmy do silnej balenier<sup>291</sup> i podążyli ku ładowi. Lecz kto w Assini chce wstąpić na łódź, ten musi wziąć los na loterię, jaką tam trzyma od wieków Neptun, to jest zgodzić się na 50% prawdopodobieństwa, że szczęśliwie nie przepłynie przez barrę i że zostanie wyłowiony na łódź przez Murzyna po przymusowej kąpieli.

— Jakże dziś barra? — zapytał się p. Bretignère, wsiadając do łodzi przybitego kaptana „Pandory”.

— Spokojna nadzwyczaj; szczęśliwego przepłynięcia, panowie! — odparł Francuz i ruszyliśmy od burtu „Łucji”, dążąc ku ładowi.

Z wolna, choć silnie uderzali z początku czarni wiosłarze swymi ostro zakończonymi wiosłami, można by raczej powiedzieć, że wbijali je w wodę, gdyż Murzyn trzyma swą „pagaję”<sup>292</sup> prostopadłe i z góry wpuszczają silnie w fale, odgarniając je nazad. Przyjrzałem się temu szczepowi. Nie bez słuszności nazwali go apollińskim<sup>293</sup>: rzeczywiście są to postacie piękne o regularnych rysach twarzy, nieco zmysłowych, o silnej budowie ciała i ze spojrzeniem zdradzającym inteligencję.

Tymczasem oddaliliśmy się dość znacznie od okrętu, faktoria coraz wyraźniej rysowała się przed nami. Wtem na rysach Murzynów zaigrało pewne gorączkowe zajęcie — zaczęli śledzić zbliżające się fale, aż nagle zawołali z niepokojem i febrycznym pośpiechem: „Barra idzie!” i równocześnie rzucili się do wiosł. W takt, sycząc do uderzeń pagaj, wiosłowali co tchu. Każdy muskuł drgał — cała ich myśl, siła, chęć, przelała się w wiosło, które nagle, jakby ożywione, popychało szalupę szybko naprzód; a w ślad za nami widok zaiste przerażający dla nowego przybysza — pędzi, piętrząc się, wysoki, prostopadły wał wodny, niby ściana rozstępującego się morza. Wszyscy wyteżaliśmy wzrok gorączkowo. Każdy chciałby wzrokiem, oddechem przyspieszonym jeszcze napędzać Murzynów i przelać w nich swą żądzę wygrania w tym niebezpiecznym ciągnięciu losów! Nagle — już, już dopędza nas masa wodna i ma nas pochłonąć w sobie i pochować, gdy głośny okrzyk radości wydziera się ze spoconych czarnych piersi, a łódź równocześnie chwyta niewidzialna siła, wznosi ją wysoko w górę, a następnie jak strzałę spuszcza na dół, naprzód, jakby ześlizgując ją z góry jakiej. To grzebień nadchodzący runął, lecz nie doścignawszy nas, a łamiące się wody dążąc naprzód ku brzegowi, uniosły łódź swym prądem. Z duszy życzysz Murzynowi odpoczynku po zwycięstwie — pot kroplami spada im po brunatnych, muszkulistych<sup>294</sup> piersiach; niestety, nie ma czasu! Już drugi wał rysuje się od strony morza, nadchodzi, pędzi... „Żwawo, żwawo chłopcy!” — piorunuje olbrzymi Murzyn u steru, pochylając się naprzód jak tytan, mierząc rozognionym okiem nadchodzącego wroga i pracujących wiosłami, nad siły prawie, towarzyszków. Takich wałów wodnych i zwycięstw wiosłarzy trzeba przejść cztery do sześciu, zanim można się przedostać na łódź; obraz zaś ten na długo zapewne utkwii każdemu w pamięci.

Wreszcie ugrzęzła łódź szczęśliwie w gruncie niskiego piaszczystego brzegu, przed nami jednakże na odległości jeszcze jakich 20 stóp igrały przyływowe fale, to podlatując ku niemu, to odlatując odeń, jak zachcianki kapryśnej kokietki.

Murzyni wyskoczyli i wkrótce na ich barkach, jak się to wszędzie praktykuje na tych brzegach, stanęliśmy na lądzie, gdzie p. Roy, agent faktorii francuskiej, otoczony malowniczym, różnokolorowym tłumem, przyjął nas bardzo uprzejmie i poprosił do stojącego w pobliżu domu faktorii, otoczonego wraz z magazynami palisadą. Przed zabudowaniami zaś wznosił się od strony morza maszt sygnałowy z flagą francuską.

Tłum krajowców, jaki była zgromadziła przed palisadami szybko rozchodząca się wieść o przybyciu licznych białych, podążył za nami na dziedziniec faktorii i ugrupował się tu nader malowniczo. Byłem zdziwiony bogactwem assinijskich, czyli apollińskich magnatów, błyszczących w bogatych jedwabnych szalach i złotych naszyjnikach, bransoletach i obrączkach. Czysto wymyć i wyperfumowani, zadawali kłam znaczeniu słowa

<sup>291</sup>baleniera (wł.) — długa, smukła łódź wiosłowa, używana do transportu wyższych oficerów na łódź lub na inne statki. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>pagaja — pagaya (Francuzi nazywają ją *la pagaye*) jest to ostro zakończona łopatka, przedstawiająca na tych brzegach wiosło krajowe [dziś popr.: pagaj (r.m.), red. WL]. [przypis autorski]

<sup>293</sup>apolliński — tu: mający piękne ciało, jak grecki bóg Apollo, będący ideałem męskiego piękna. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>muszkulisty — dziś popr.: muskularny. [przypis edytorski]



„bouquet d'Afrique”<sup>295</sup>. Być może, że Francuzi zepsuli tu nieco krajowców, których wymagania dziś już są wyższe, niż przypuszcza przeciętny Europejczyk. Assinijczyk za złoto, które przynosi, bierze dla siebie oprócz zwykłych przedmiotów potrzebnych dla handlu ze szczepami głębi (tytoniu, skałkówek, krzemieni, fuzji i wódki) — materie jedwabne i inne droższych gatunków, aksamity nawet widziałem w faktorii, a oprócz tego perfumy, błyskotki. Ba, damy assinijskie żądają nawet pudru i używają go w znacznej ilości, co im naturalnie nie przeszkadza pozostawać przy krajowej modzie kostiumu, tj. przy zarzucanym kawale materii, w którym zresztą dzieciom Afryki lepiej do twarzy niż w stroju europejskim, robiącym z nich zawsze karykaturę. Znaczną ilość prochu potrzebują też dla obchodów uroczystych, na których, jak zobaczymy niżej, głównie przy śmierci osób „znakomitych”, wyprawiają istną kanonadę, nabijając lufy wypróbowanych fuzji ilością prochu, która niejednokrotnie mimo wypróbowania je rozsadza.

Gdyśmy weszli na dziedziniec, powitali wszyscy znajomego im Bretignère'a głośnymi okrzykami radości i do późnego wieczora, nawet po wesołej i gościnnej kolacji, mieliśmy krajowców w faktorii. Z jednym zaś z nich musimy się przede wszystkim poznać. Jest to średniego wzrostu i średnich lat Murzyn o brunatnej cerze, z małą bródką i rozumnymi oczami — Kastor, faktotum<sup>296</sup> faktorii. Mówi on płynnie po francusku i po angielsku, czyta i pisze, posiada piękną dubeltówkę Lefouckeux i dzielnie nią mierzy, wypycha ptaki, gotuje znakomicie, a nieoceniony jest jako tłumacz. Z głową spuszczoną i oczami wlepionymi w ziemię słucha on wtedy mowy, którą ma powtórzyć w krajowym języku, chwytając każdą myśl, i powtarza następnie całość ściśle w tym samym porządku temu, do którego była ona skierowana. Kastor będzie tu ciągle przy nas i z nim to odbędziemy już jutro podróż do Krindzabo<sup>297</sup>, stolicy kraju i rezydencji króla Amatifu, do którego zaraz po przybyciu do faktorii wysłaliśmy, dzięki grzeczności p. Bretignère, kuriera, by zapowiedział przybycie ośmiu białych gości do stolicy, a pomiędzy nimi naszego gospodarza. Szczęśliwy traf zrzucił, że właśnie krótko przed naszym przybyciem do Assini przywiózł tu pancernik francuski skrzynkę pięciofrankówek srebrnych, których król Amatifu rocznie od Francji pobierać musi tysiąc, podług traktatu z 1842 r., mocą którego Amatifu odstąpił kraj swój admirałowi Bouet Villauméz, występującemu w imieniu Francji, za odpowiednią sumę, za wybudowanie pałacu królewskiego w Krindzabo, mundur generała-feldmarszałka Francji i „1000 największych monet srebrnych, jakie Francja posiada” rocznie. Pancernik był powierzył odesłanie skrzynki z monetami francuskiej faktorii, zabierał ją więc teraz p. Bretignère do Krindzabo, co nam zapewniało tym lepsze przyjęcie u króla Amatifu.

Kolonializm

Następnego dnia, 22 marca, zbudził nas rano dzwon faktorii, zwołujący robotników do pracy dziennej. Taki zwyczaj panuje w wielu afrykańskich faktoriach i na odgłos dzwonu schodzą się zwykle Krumani najęci na rok jeden. Tu jednakże, jako też w sąsiednim Grand Bassamie, właściciel faktorii jest w tym rzadkim położeniu, że krajowcy sami pracują, toteż robotnicy p. Boy składali się z Assinijczyków. Widzimy więc, że choć lubią zbytki i błyskotki, mają jednakże swą cenę apollińscy Murzyni, gdyż rzadko krajowiec na zachodnim brzegu pracuje dla białego; wspomnę tylko zatokę Benin i Biafryjską pod tym względem, gdzie nikt by nie pracował, gdyby nie było sprowadzonych Krumanów.

Gożąco było niezmierne. Zwiedziwszy z gospodarzem naszym budynki faktorii, doszliśmy do rzeki Assini<sup>298</sup>, by się wykąpać w świeżych jej wodach. Pan Bretignère wprawdzie odradzał, utrzymując, iż rzekę zaludniają liczne aligatory, częstokroć nawet wypełzające i grzejące się w brzegowej trzcinie, lecz upał był szalony, a woda tak zapraszała parne ciało, że dawszy kilka wystrzałów w nią dla odpędzenia nieprzyjemnych sąsiadów, użyliśmy pożądanej odświeżającej kąpieli bez wszelkiego niebezpieczeństwa, a nawet bez ukazania się potworów.

Wyruszenie do Krindzabo miało nastąpić po południu, musiałem się więc udać na pokład, by przygotować podarki dla króla Amatifu. Wziąwszy takowe z „Łucji-Małgo-

<sup>295</sup> *bouquet d'Afrique* (fr.) — bukiet Afryki (tu w znaczeniu: woń, zapach). [przypis edytorski]

<sup>296</sup> *faktotum* (z łac.) — osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>297</sup> *Krindzabo* (fr., ang. *Krindjabo*) — ob. wioska w pld.-wsch. części Wybrzeża Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> *rzeka Assini* — laguna Assini w ob. Wybrzeża Kości Słoniowej. [przypis edytorski]

rzaty”, a mianowicie: dwa dywany, nieco materii kolorowych i 10 galonów<sup>299</sup> anyżówki, wsiadłem do łodzi i udałem się nazad do faktorii. Łódź wiozła też kilka beczek i bal z „Pandory”, była więc naładowana i już minęliśmy połowę barry szczęśliwie, w nadziei dalszej dobrej przeprawy przez nią, gdy nagle jeden z wałów wodnych runął tuż przy łodzi i zalał takową — a za chwilę cała jej zawartość pływała w spienionych falach. Murzyni jednakże są obeznani z takimi wypadkami, zanim albowiem cośkolwiek stać mi się mogło, uczułem się schwycony przez silne czarne ramiona i na barkach krajowego wioślarza odstawiono mnie na brzeg przemoczonego wprawdzie do szczętu, lecz bez szwanku. Całe towarzystwo z faktorii było tu zebrane, gdyż zauważyli zajście z okien domu. Weszliśmy więc zaraz do takowego, by zmienić przemoczone rzeczy. Dywany i inne przedmioty wylowiono także. Były wprawdzie też zmoczone, lecz miałem nadzieję, że Jego Królewska Mość Assinijska nie pozna się na tym. Zaczęliśmy je też zaraz suszyć na słońcu.

Tymczasem niebo pokryło się gęstymi chmurami i po przedpołudniowym upale nastąpiła ulewa, jaką tylko w stronach podzwrotnikowych napotkać można. Spragniona ziemia miała zadośćuczynienie — nie mogła nawet zrazu przyjąć w całości spadających mas wody, które jako małe potoki szumiały naokoło faktorii. Spotkać się z takimi strumieniami z chmur spadającymi w drodze byłoby niezbyt pożądane, lecz siedząc na werandzie pod palmowym dachem, przypatrywaliśmy się z zajęciem i południową flegmą nagłemu zjawisku tropikalnej przyrody, owego syfona olbrzymiego, w którym tu atmosfera z majestatyczną siłą odbywa swe przesilenia. Lecz nagle, jak nastąpiła, minęła też ulewa. Niebo na nowo zabłysło światłem pogody, ozłaczając zielone korony palm i bananów, strumyki i potoki, które tylko co szumiały po drogach, znikły, wsiąkły w piasek — i znów zapanował skwar południowy, choć już mniej nużący; świeższa nieco stała się przyroda.

Tak tu wszystko pod niebem tropikalnym. Nagle przechodzą nocne cienie w światło dnia co dobę i nagle znów odbiera noc światła panowanie. Nagle nastaje tornado i w okamgnieniu potężnieje do straszego, wszystko niszczącego zjawiska, by za chwilę ukazać na nowo niebo o pogodnym i jasnym obliczu. Tylko noc moralną, noc umysłów zbyt opieszale rozjaśnia światło północy i tylko w małych, szczupłych promieniach przedziera się słońce w gąszcz dziewiczy afrykańskiego łądu.

Czas nam jednakże w drogę, bo musimy dziś jeszcze przepłynąć część dalszą rzeki Assini i część jeziora Aby<sup>300</sup>, by stanąć na nocleg w Elimie, plantacji pp. Verdier.

Kastor ze zwykłą swą przezornością wyekwipował łódź we wszystkie potrzeby, skrzynki z prowizją i podarki dla assinijskiego monarchy już ułożył, urządził siedzenia i wreszcie schodzi od strony faktorii ku rzece ze skrzynką ciężką, a noszącą napis: „*À sa Majesté le Roi Amatifou d'Assinie*”<sup>301</sup>, przysłane od Rzeczypospolitej Francuskiej.

Wszystko było gotowe do drogi, zajęliśmy więc miejsca pod szeroką markizą łodzi obsadzonej ośmiu wioślarzami i uderzyły wiosła o powolne fale rzeki. Ruszyliśmy po niej, pełni oczekiwania tego, co nam miały przedstawić dnie przyszłe u dworu daleko dokoła znanego afrykańskiego monarchy.

## ROZDZIAŁ XVII

*Po assinijskiej rzece. — Jezioro Aby. — Elima. — Nieudane polowanie nocne. — Plantacja kawy. — Boa Constrictor. — Po rzece Krindzabo. — Jej panorama. — Przybijamy do przystani.*

Aczkolwiek łódź nie była mała, było w niej jednakże nieco ciasno — okoliczność zresztą, do której we wszystkich krajach przyzwyczaić się trzeba, jeżeli towarzystwo jest liczne, a było nas razem wszystkich dwudziestu: pp. Bretignère i Sion, z „Łucji” nas sze-

<sup>299</sup>galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon angielski jest równy ok. 4,5 litra. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>jezioro Aby — laguna Aby, największa z lagun tworzących zespół lagun Aby w ob. Wybrzeżu Kości Słoniowej, składający się z trzech części, z zachodu na wschód: laguna Aby, laguna Tendo i laguna Ehy. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>À sa Majesté le Roi Amatifou d'Assinie (fr.) — Do Jego Królewskiej Mości Amatifu z Assini. [przypis edytorski]

ściu, inteligentny Kastor, Anema — syn króla Amatifu, będący na wychowaniu w faktorii francuskiej, by się nauczył europejskiego *savoir vivre*<sup>302</sup>, Anema, mały Murzynek do usług, wreszcie sternik i ośmiu wiosłarzy Assinów, którzy siłą swych szesnastu ramion zmuszali szalupę szybko pruć fale assinijskiej rzeki. Minęliśmy wioskę krajowców, noszącą złowrogo brzmiącą nazwę Mafia<sup>303</sup>, a tuż za nią rozchodzą się różne kriki, ciągnące się pomiędzy trzema wyspami, z których największa Wyspa Nocy (Isle de la nuit) ma około 30 mil nautycznych długości, przy 15–20 milach szerokości.

Ze zdziwieniem przypatrywałem się Murzynom, pracującym nieustannie swymi pagajami. Muskuly, piersi i ramiona występowały przy każdym uderzeniu wiosła o wodę, świadcząc o herkulesowej sile. Kolor ich cery jest czekoladowy, a naturalnym czarnym barankiem pokryta głowa zakończyła przyjemnie całość postaci. Nazywamy Afrykanów „czarnymi”, choć nigdy prawie nie widziałem zupełnie czarnego Murzyna. W ogóle żaden kolor nie jest zbyt wybitnie panujący w plemienu: w grupie dziesięciu Murzynów zauważy się prawdopodobnie zwykle kilka odcieni brązowych, a kolory te bynajmniej nie rażą oka, przeciwnie, mają, jak dla mnie, coś przyciągającego, lecz *de gustibus non est disputandum*<sup>304</sup>!

Po kilku godzinach wypłynęliśmy na obszerne jezioro Aby, noszące w południowej części nazwę Ei, czyli Tando. Oddzielone 20-milowym pasem lądu od oceanu, ciągnie się ono od NW ku SE, mając około 60 mil szerokości, a około 200 długości. Co za widok wspaniałej tej olbrzymiej powierzchni wodnej! Woda jeziora jest słodka; niestety jest ono płytkie i nie pozwala okrętom posuwać się po nim. Brzegi otaczają lasy dziewicze, tylko rzadko ukazują się pomiędzy nimi bledsze tony prerii. Cała ta sceneria brzegowa ukazuje się jednakże z przyczyny rozległej przestrzeni gładkiego jak lustro jeziora w dalekiej tylko, niewyraźnej perspektywie, oprócz dwóch wysp w pośrodku niego leżących, As-songo i Ansom, które odbijają się jaśniej, gdyż są bliższe. Równe wody laguny przerywają przegrody rybackie, ciągnące się wszędzie. Są to płociki z gałęzi, zbudowane w wodzie, a służące do zastawiania przy nich sieci. Gdziekolwiek stały nawet całe domki rybaków na słupach, a nad wszystkim krążyły roje ptactwa wodnego — czajki afrykańskie i inne ich współzawodniczki, łakome zdobyczy.

Chociaż łódź bystro posuwała się naprzód, zaczęła się nam droga wkrótce długą wydawać pod palącymi promieniami słońca, widocznie uradowanymi, że na szerokiej toni miały łódź naszą, by odbić na niej swe gorąco. Chociaż nad nami rozciągnięta była markiza, miał się mimo to wkrótce pokazać pierwszy wpływ równikowego słońca na podróżników naszych. Nie uprzedzamy jednakże zdarzeń.

Wreszcie, wkrótce przed zachodem słońca, zarysowała się plantacja Elima, należąca również do pp. Verdier z La Rochelle, a około szóstej stanęła łódź przy jej brzegu.

P. Bernard, przełożony plantacji, oczekiwał nas na brzegu, otoczony grupą kilkudziesięciu Murzynów, którzy niezwłocznie wskoczyli do wody, by nas przenieść na ląd. Słońce zaszło. Wśród cieni wieczoru ujrzeliśmy zarysy budującego się domu murowanego, przyszłego mieszkania dyrektora plantacji, który tymczasem mieszka w chacie bambusowej na zdrowym wzgórzu, na którym leży Elima. Zapoznawszy się z p. Bernard i jego pomocnikiem, amerykańskim plantatorem Jansenem (Mulatem), ruszyliśmy na wzgórze do domu plantacji. Okrzyki i śpiewy Murzynów przerywały ciszę wieczoru, aż wreszcie karawana nasza, do której przybywały coraz to nowe postacie zaciekawione przybyciem cudzoziemców, urosła do niemałej liczby głów.

Po krętej, stromej ścieżce, pięła się ta karawana pod górę. Księżyc przyświecał pochodowi, rzucając blade światło na malownicze grupy czarnych postaci. Po półgodzinnym marszu stanęliśmy na niewielkiej polanie, zabudowanej bambusowymi chatami. Była to siedziba p. Bernard. Przez szczeliny jednego z tych domków przebijały się płomienie ogniska kuchennego, a że po długiej drodze czuliśmy niezły apetyt, powitaliśmy je więc, jeżeli mam być szczery, z niekłamną radością.

OCzekując wieczery, usiedliśmy, zaproszeni przez naszego gospodarza, w altanie

Alkohol

<sup>302</sup>*savoir vivre* (fr.) — zasady właściwego zachowania się w towarzystwie, dobre maniery. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>*Mafia* — ob. Assinie-Mafia, nadmorski kurort w pld.-wsch. części Wybrzeża Kości Słoniowej, 80 km na wsch. od Abidżanu. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*de gustibus non est disputandum* (łac.) — o gustach się nie dyskutuje. [przypis edytorski]

bambusowej przy szklance absyntu<sup>305</sup>. Pan B. człowiek jeszcze dość młody, narzekał na nadzwyczajną swą samotność. „Jak się zdaje — zanotował jeden z mych towarzyszków po drodze — rozpił się biedak w tym zaciszu i dzisiaj uważa absynt za jedyne lekarstwo na nudy i febrę”.

Podczas wieczery zgadało się o polowaniu. P. Bretignère twierdził, iż łatwo by nam było upolować antylopę lub może lamparta, gdybyśmy chcieli pójść z nim w nocy na stanowisko. Cóż mogliśmy chętniej przyjąć nad taką propozycję, za godzinę też dążyliśmy z fuzjami na plecach na skraj gąszczu. Droga wiodła po południowych skłonach wzgórza, gdzie schodzą się rzeczywiście, jak przekonały nas ślady, liczne antylopy, dzikie koty i lamparty, dążąc o północy do jeziora.

Po długim dniu nastąpiła noc jasna, piękna, jaką tylko przedstawić jest w stanie przyroda ekwatorialna. Rozdzieliliśmy się na partie i podczas gdy reszta towarzyszków objęła stanowisko na prawo, zająłem z Bretignère'em posterunek na skaju. Anema rozesał nam dywan w gąszczu na zroszonej ziemi i obserwując pole, położyliśmy się, czatując z przygotowanymi fuzjami.

Teraz jako *simplex servus Dei*<sup>306</sup> powiem otwarcie, jak się ta nocna wyprawa skończyła. Niejeden oczekuje, że powróciliśmy z lampartem ubitym, antylopą, a przynajmniej z dzikim kotem — otóż nie! Dzień był nas zmęczył. Leżąc, zacząłem się wpatrywać we wspaniały nocny krajobraz, zadumałem się przy tym, aż czekając i dumając, sam nie wiedząc jak, zasnąłem snem twardym, błogosławionym. Parę godzin później, budząc się z mym sąsiadem, spojrzeliśmy po sobie. Przespaliśmy się na dobre i parsknawszy śmiechem, rzekliśmy dobranoc niezgłaszającej się zwierzynie. Lamparty byłyby mogły nas poszarpać, zanimbyśmy byli ich spostrzegli, lecz coś ich trzymało z daleka, prawdopodobnie uczta i hałas panujący w pobliskiej wiosce murzyńskiej Embue z przyczyny przybycia tylu białych.

Następnego rana wyszliśmy na zwiedzenie plantacji kawowej, która dwa lata temu tu założona została. Dlatego że 100 hektarów terenu jest dopiero 20 zaplantowanych; reszta przedstawia nader pouczająco wszystkie fazy, przez jakie przechodzą roboty przy zakładaniu plantacji, od wycinania drzew leśnych do pielęgnowania już podrastających drzew kawowych. Topór tu jednak ma ciężką pracę, twarde olbrzymy afrykańskich lasów nie łatwo mu się poddają i musi dopomagać ogień. Lecz jeszcze cięższą pracą jest rugowanie korzeni z ziemi i ostateczne oczyszczanie jej, dopiero wtedy można z przygotowanej szkółki rozsadzać młode rośliny. Drzewo kawowe w stanie dzikim dochodzi do 20 stóp wysokości, hodując jednakże takowe, nie dozwala mu się tak wyrastać, obcinając górne gałęzie, by wzmocnić soki i powiększyć ilość owoców. Naprzeciw siebie stojące liście kawowe zbliżają się co do formy i koloru do liści laurowych i są zawsze zielone. Jak powiedziałem już wyżej, drzewo kwitnie i owoc dojrzewa równocześnie, tak że na jednym i tym samym egzemplarzu znajduje się biały kwiat pachnący obok owoców zielonych i dojrzałych. Tak przedstawiają się drzewa przez cały rok i zbiera się owoc ustawicznie, najobfitsze żniwa jednakże odbywają się tu w styczniu.

Pierwszy owoc dają drzewka również i tu po dwóch lub trzech latach, lecz żniwa dające oczekiwane dochody następują także w Assini dopiero po pięciu latach.

Plantacje kawy mają jednakże w Assini już swego nieprzyjaciela, który niszczy je w kolebce. Przechodząc około szkółki, zauważyłem tego strasznego wroga plantatora — jest to robak, właściwiej larwa, około cala długa, której ostre szczęki przecinają łodygi młodych roślin. Co rano Murzyni pracujący w szkółce zabijają znaczną ich ilość. Ponieważ pomocnik Jansen, znający plantacje kawy w Liberii, nigdy, jak twierdził, nie widział przedtem owej larwy w innych punktach brzegu, zebrałem więc kilka okazów dla gabinetu warszawskiego. Tymczasem zeszliliśmy ze wzgórza i przybyli na miejsce, na którym budują nowy dom murowany, zauważony już wczoraj. Materiałem budowlanym jest piaskowiec sprowadzany z okolicy, wapno zaś wypalają z muszli brzegowych. Niedaleko od tego miejsca zaszliśmy do krajowej wioski Embue. Chaty, budowane z gliny, były bardzo czyste, większą ich część zdołały rodzaje małych tarasów murowanych i malowanych na

<sup>305</sup>absynt — wysokoprocentowy alkohol na bazie m.in. piołunu i anyżu. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*simplex servus Dei* (łac.) — prosty sługa Boży (przen.: człowiek uczciwy, prostoduszny, nieoświecony prostack). [przypis edytorski]

czerwono, wszędzie zaś zauważyliśmy znaczną ilość fetyszów – figury z gliny lub drzewa, czaszki, wypchane wielkie jaszczurki, żółwie itp.

Krajowcy jednakże obawiali się nas; widocznie byliśmy za liczni, gdyż było nas dziesięciu białych. By nie powracać do domu tą samą drogą, zapuściliśmy się w dziewiczy las, przez który ścieżka, wąska jak tunel przecięty, przez zielen zaprowadziła nas na najwyższy punkt plantacji. Przy ściętej palmie zatrzymaliśmy się, by przekonać się, czy nie wycieka z niej wino palmowe, gdyż dlatego zapewne ścięli ją nieogłędni krajowcy. Rzeczywiście odkryliśmy wkrótce wycięty w niej otwór, a przy nim podstawioną kalabasę<sup>307</sup>, w którą wyciekał ów sok fermentujący, noszący nazwę wina palmowego. Dzieci afrykańskich lasów, gdy nie znali jeszcze takich darów Europy jak wódka, odurzali się wśród życia znoju tym napojem jedynie, który zresztą i dziś jeszcze lubią nadzwyczaj. Jest on słodkawy i kwaskowaty zarazem; jak wszystkie plody Afryki, z początku nie bardzo zadawała Europejczyka, później jednak gusta nasze tu się zwykle zmieniają.

Wreszcie słońce podniosło się znacznie, powróciliśmy więc na dziedziniec domu mieszkalnego. Zaledwie jednakże weszliśmy nań, gdy rzuciła się na podwórze gromadka Murzynów, donoszących z żywą gestykulacją, że „ów wielki wąż, co w nocy tak często przychodzi po kury i kozy”, ukazał się tuż obok domu na skłonie w krzakach. „*Le boa! Le boa!*” dało się słyszeć ze wszech stron i schwyciwszy za fuzje, cała chmara czarnych, a pomiędzy nimi nasze białe kaski — rzuciła się ku oznaczonemu miejscu. Nagle stanął przewodniczący Murzyn i milcząc, wskazał ręką na wielki zawył korpus olbrzymiego węża (*Boa constrictor*), lecz też w tej samej chwili gorąca krew jednego ze strzelców nie mogła dłużej wytrzymać i wymierzył do zwierza, który nietrafiony, lecz przestraszony, znikł. Już sądziłem, że jak wczoraj lamparty, tak dziś boa nam się wymknie, lecz nagle zauważyliśmy przewrócone, wewnątrz wzdłuż przepróchniałe drzewo, mające być gniazdem węża. Jeden z Murzynów tak twierdził, a gdy mu inni przeczyć chcieli, zaiskrzyły mu się oczy z gniewu. Z dumnym spojrzeniem, śmiało i wyzywająco sięgnął w otwór drzewa, a wyciągając z niego dwa jaja węzowe, rzekł z pogardą i pewny siebie: „Jest, jak powiedziałem”. Trzeba było wypędzić potwora z kryjówki i daliśmy kilka strzałów rewolwerowych dwunastego kalibru w jeden z otworów, podczas gdy druga partia czekała przy drugim. Po trzecim strzale boa zaczął wypełzać i wkrótce ukazała się rozwarta szeroko jego paszcza w przeciwległym do strzelających otworze, lecz tu go przywitał pełny ładunek z dubeltówki kapitana Boutesa, strzał celnie wymierzony — głowa opadła, boa był nasz.

Ogólny okrzyk radości, pochodzący z piersi murzyńskich, rozległ się w powietrzu i oznajmił pozostałym na plantacji, że boa zdobyty. Niezwłocznie schwyciło kilka silnych czarnych ramion za szyję zwierzęcia i jakby długi kabel okrętowy wyciągnięto go ze spróchniałego drzewa. Sześciu Murzynów wzięło go na barki i nazad pod górę przed dom mieszkalny posypała się w solennym pochodzie pstra masa, rozogniona zwycięstwem. Przystąpiłem do zdobyczy, by zanotować rozmiary; był to śliczny, rzadkiej wielkości okaz, mający 3 m 62 cm długości, przy 36 cm obwodu.

Ochoczo upłynęło po porannym spacerze i improwizowanym polowaniu śniadanie, a po takowym w dalszą trzeba było ruszyć drogę, by wieczorem stanąć w stolicy kraju, w Krindzabo.

P. Bernard, grzeczny i usługny nasz gospodarz w Elimie, odprowadził nas do brzegu jeziora i znów zajęliśmy miejsca w szalupie, odpływającej pod prostopadłymi promieniami słońca. Szczęściem dość silny wietrzyk wiejący od morza pozwolił nam rozwinąć żagiel i znów posuwaliśmy się szybko po wodach dziś lekko falujących. Uradowani wioslarze zsunęli się poza daszek, pozostawiając łódź opiece Eola<sup>308</sup>, wdzięczni, że się zlitował nad czarnymi ich głowami, na które zlewał się żar słońca południowego, zanucili, zapewne na cześć jego, jedne z owych monotonnych swych pieśni murzyńskich, dziwne na słuchającym wywierających wrażenie.

Wkrótce znajdowaliśmy się na środku olbrzymiego jeziora, a brzegowe ramy leśne zarysowały się znów w dali we wszystkich odcieniach zielonosinych kolorów, począwszy od szarawych stóp wybrzeża do jego błękitnych szczytów, ginących na lazurowym tle

<sup>307</sup> kalabasa — naczynie wykonane z wydrążonego owocu. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> Eol (mit. gr.) — bóg wiatrów. [przypis edytorski]

nieba. Lecz otóż zwiększa się wiatr i z szybkością pięciu, następnie sześciu, a wreszcie siedmiu węzłów, pędzimy ku północnym brzegom, gdzie wpada rzeka Krindzabo. Minąwszy nieznaczne barry, będące u jej ujścia, barry, którym krajowcy, przyzwyczajeni do niebezpiecznych burunów morskich, nawet przyznać nie chcą tej nazwy, wpłynęliśmy na uroczą rzekę, nad którą leży stolica króla Amatifu. Po obu stronach ujścia rzeki stoją tu, malowniczo rozrzucone, gliniane chatki dwóch wiosek, jakby na straży przy jedynej bramie do serca kraju, głównego jego tętna. Niby srebrna wstęga wije się rzeka przez dziewicze lasy, odkrywając olśnionym oczom podróżnika krajobrazy, które przyroda tylko z wypogodzonym czołem stworzyć mogła. Jednostajne mangrowiowe brzegi ustąpiły tu miejsce ściśnionym rzędom rozłożystych olbrzymów, śmiałym zarysom giętkich lian, piętrzącym się ciemno zielonym krzewom, których gałęzie i liście, kąpiąc się w toni, tworzą orzeźwiająco, chłodne grotty — siedziby węzów i aligatorów. Ciekawa mała, przywabiona śpiewem Murzynów, porzuciła swą kryjówkę i spoza szerokich liści spoziera na przepływające podróżne nasze grono. Orzeł biały siedzi nieruchomo na pierzastej koronie palmy królewskiej, nie troszcząc się o huk wystrzału, jak gdyby wiedział, że na wysokiej jego siedzibie nie dosięgnie go ani kula, ani strzała. Wąż wodny, pyszniąc się z jaskrawych farb i regularnością form zdumiewającego rysunku łusek, wysunął lśniący grzbiet ponad powierzchnią wody i goniąc za szarą kaczką, znikł razem z nią w nadbrzeżnej gęstwinie.

Wreszcie skręcamy na prawo. Rzędy palm kokosowych wskazują już z daleka wsie, wioski, których kilka leży nad samym brzegiem. Znowu skręcamy na prawo, aż wreszcie, po kilku godzinach tej przesuwającej się panoramy, przybijamy do brzegu — do przystani królewskiej stolicy.

## ROZDZIAŁ XVIII

*Przybycie do Krindzabo. — Delegacje króla Amatifu. — Pałac królewski. — Sędziwy Amatifu i mowy powitalne. — Akasamadu. — Spacer wieczorny. — Domek fetyszów. — Cmentarzysko. — Uprzejmość i piecza nad nami starego króla.*

Przy brzegu, obok palmowego szalasu zawierającego dwie olbrzymie królewskie pirogi, stała grupa bogato udrapowanych Murzynów — to posłańcy króla, którzy witają nas z wielkim poszanowaniem. Posłaniec nasz był przybył w swoim czasie, donosząc o naszym przybyciu (i 5000 franków francuskich, przywiezionych przez pana Bretignère), a król Amatifu oczekiwał nas z wielkim zadowoleniem i z niecierpliwością. Tej ostatniej okoliczności jednakże nie rzekli posłańcy, jak łatwo się domyśleć.

„Jego Królewska Mość — zaczęli solennie — z zadowoleniem spogląda na dzień przybycia gości swoich i by stopa ich przyjemniej mogła odbyć drogę do stolicy, kazał przeciąć nową drogę dla nich od przystani do miasta”.

Rzeczywiście Amatifu kazał był utworzyć w przeciągu niespełna dwóch dni 2–3 metrów szeroką drogę na całej dwukilometrowej przestrzeni dzielącej stolicę Krindzabo od rzeki i przystani. Byłem zdumiony tym dowodem przyjaźni, dla dokonania którego musiał chyba spędzić całą ludność swej metropolii. Rzekłszy nam, co jej kazano, królewska deputacja<sup>309</sup> podążyła szybkim krokiem do miasta, pozostawiając nam część Murzynów do przeniesienia naszego bagażu i utworzenia naszej eskorty, gdyż bez licznej świty w Afryce nie może odbyć się żaden fakt doniosły.

Podczas gdy wynoszono podarki i bagaż z łodzi, przyjrzałem się olbrzymim pirogom: królewska miała 27 kroków długości, druga, należąca do następcy tronu Akasamadu, była nieco mniejsza. Obydwie były ozdobione rzeźbami i malowane w czerwone, białe i czarne desenie.

Wreszcie pochód nasz był gotów, toalety nieco uporządkowane i ruszyliśmy ku bramom miasta. Po dwudziestu minutach czy pół godziny drogi, przebitej, jak już zauważyłem, dopiero co przez lasy dziewicze otaczające stolicę assinijską, wkroczyliśmy do olbrzymiego miasta. I tu czekała na nas solenna deputacja, donosząca, iż Amatifu wita nas w swej rezydencji i prosi, byśmy uważali pałac jego za swoje mieszkanie; równocześnie

<sup>309</sup>deputacja (daw., z łac.) — poselstwo, delegacja, grupa przedstawicieli wysłana w celu załatwienia jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

nowa grupa przyłączyła się do nas i wstąpiliśmy na długą ulicę, prowadzącą na plac pałacu królewskiego. Tu widać było również przygotowania: ulica była czysto zamieciona, a po bokach stali w jaskrawych togach mieszkańcy i dwór afrykańskiego władcy. Na placu rozległym, którego jeden fronton stanowi pałac Amatifu (zajmujący czwartą część miasta) zauważyliśmy rozłożyste drzewo kauczukowe — jest to główna świętość, fetysz kraju. Jak ulica, przez którą przechodziliśmy, tak i plac zaludnił się świątecznie ubraną ludnością, której grupy stały spokojnie i poważnie przed werandą, a raczej balkonem królewskim, panującym nad placem. Pokoje przylegające do tego balkonu, z którego Amatifu oznajmiać zwykł rozkazy swym poddanym lub przypatrywać się uroczystościom ludowym, były wyznaczone dla nas. Jeden z ministrów stał przy wejściu do pałacu, którego parter jest murowany, piętro zaś drewniane; budował to francuski architekt. Reszta zaś rozległej rezydencji króla Amatifu składa się z mnóstwa skrzydeł, stawianych jako wewnętrzne czworoboki, i z niezliczonych zamkniętych kwadratowych dziedzińców małych. Mieszkają tam żony królewskie, których afrykański monarcha posiada 66, oraz synowie z żonami i córki.

Wprowadzeni przez niewielki korytarz ozdobiony rzeźbami przedstawiającymi aligatory, postacie ludzkie i inne przedmioty (prawdopodobnie fetysze), weszliśmy na dziedziniec królewski i po schodach wewnętrznych na piętro. Tu przygotowano nasze apartamenty, przedstawiające pele-mele — urządzenie na wpół europejskie, na wpół afrykańskie. Ściany były zastawione kanapami z bambusu, pokrytymi matami i drogocennymi materiami w czerwone, czarne i żółte pasy przeplatane złotem. Materie te są wyrobu aszantyjskich i assinijskich warsztatów ręcznych, które ich dostarczają po niezmiernie wysokiej cenie dla dworów w Kumassi<sup>310</sup> lub Krindzabo i dla bogatych dygnitarzy bratnich tych krajów. W pośrodku tych dywanów wschodnich (które w nocy służą za łóżko) stał stół okrągły, europejski, podarek Francuzów, nakryty pasową serwetą. Wyżej zaś po ścianach wisały lustra w złożonych (niegdyś) ramach i liczne porcelanowe ozdoby, przesłane swego czasu przez królów francuskich i Napoleona III<sup>311</sup>.

Posłano Kastora do Jego Królewskiej Mości z pozdrowieniem i objawiając, żeśmy przybyli, żeśmy głęboko poruszeni jego serdecznym przyjęciem i prosząc, by nam oznajmił, czy zdrowie jego jest — jak się spodziewamy — dobre jak zawsze i czy możemy się z nim przywitać.

Kastor powrócił za chwilę z poselstwem, że Amatifu prosi, byśmy odpoczęli po długiej drodze, a że za chwil kilka sam przyjdzie nas przywitać i dowiedzieć się o naszym zdrowiu. Przygotowano więc podarki i oczekiwałem przybycia jego.

Po godzinie „odpoczynku” zaczął się zapelniać wewnętrzny czworobok dworem J. K. Mości i wkrótce ujrzelśmy króla wchodzącego z liczną świtą do „salonu naszego”. Amatifu — jest on bezwarunkowo wspaniałą postacią. Sędziwy, przeszło stuletni starzec, wysokiego wzrostu z długą białą brodą, uczynił na wszystkich wielkie wrażenie, choć nie w Afryce i nie na Wschodzie pilniej ukrywać się powinno, jak wrażenie doznane. Z wielką powagą podał mi rękę i spoczął na krześle, drogą po schodach zmęczony. Nastąpiła etykietalna pauza, podczas której tak p. Bretignére, jak i ja przygotowywaliśmy w duchu kilka słów introdukcji<sup>312</sup> i powitania. Ubiór, jaki miał Amatifu dnia tego, był bardzo skromny: składała<sup>313</sup> go wielka toga z niebieskiego jedwabiu, w której jednak poważnie wyglądał niż gdyby był włożył swój mundur generał-feldmarszałka.

P. Bretignére przerwał wreszcie poważne milczenie nader zręczną i piękną przemową, w której przedstawił mnie i mych towarzyszków, jako już znajomy. „Przybyłem — rzekł — znów z Francji i w ostatniej części drogi na okręcie tych cudzoziemców, którzy też teraz towarzyszą mi do Krindzabo, by poznać naszego przyjaciela Amatifu. Cieszę się,

Król

<sup>310</sup>*Kumassi* — dziś popr.: Kumasi, miasto w Ghanie, ok. 250 km na płn.-zach. od Akry; od 1695 stolica państwa Aszantów, częściowo zniszczona podczas trzeciej wojny Brytyjczyków z Aszantami w 1874; obecnie stolica regionu Aszanti. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał przewrotu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w lipcu 1870 wypowiedział wojnę Prusom, w bitwie pod Sedanem (1 września 1870) skapitulował i oddał się wraz ze swą stutysięczną armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*introdukcja* (z łac.) — wstęp. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>*składać coś* (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

widząc Cię tak czerstwym<sup>314</sup> i jakby odmłodzonym; od czasu jak Cię widziałem, lata spłynęły po Twojej głowie jak cienie słoneczne, nie wyrządzając jej żadnej szkody. Francja przysłała Ci roczny zwykły podarek pięć tysięcy franków, a ci biali pragną również złożyć Ci kilka skromnych upominków!” Z pilną uwagą słuchał tłumacz Kastor słów Francuza i nieruchomy, ze spuszczonej oczami, przejęty wielkością swego monarchy, powtórzył słowo w słowo, co powiedział biały, stojącemu przy fotelu starego Amatifu ministrowi, który dopiero z wielkim poszanowaniem powtórzył mowę swemu panu.

Następnie przywitałem ja w imieniu ekspedycji assinijskiego monarchy, mniej więcej w tych słowach: „Z daleka, z najdalszego prawie kraju północy, przybywam z towarzyszami moimi do Ciebie, królu Amatifu, by poznać piękne Twe ziemie, o których mówiono mi często w mojej ojczyźnie i które już tam pokochałem i zapragnąłem je widzieć. Słyszałem, że w tych ziemiach Ty, Amatifu, szczęśliwie panujesz i że Cię kochają przyjaciele biali i czarni, a boją się wrogowie. Gdy wreszcie przybyłem, serce me poruszyło Twe gościnne przyjęcie, byłem zdumiony, jak prędko kazałeś piękną tę drogę przebić od rzeki do Twojej stolicy, po której przeszliśmy przyjemnie, jak na ziemi białych. Przyjmij podziękowanie ode mnie i od moich towarzyszy, którzyśmy wszyscy serdeczni Twoi przyjaciele, a w dowód tej przyjaźni przyjmij również kilka drobnych podarków; miałem ich więcej, lecz fale barry wzięły mi ich część”.

Tu nastąpiło wynoszenie podarków, które rozkładano przed nim. Gdy przyszła kolej na spirytualia, napiłem się pierwszy na znak, że nie zawierają one nic szkodliwego — następnie Amatifu wychylił szklanekę i podarek był przychylnie przyjęty; kazał sobie nalać drugą.

W końcu minister królewski oświadczył, że Amatifu dziękuje nowym swym przyjaciołom za ich przybycie i pamięć o nim, że wszystko, czego pragniemy, jest gotowe na nasze żądanie i że jutro zwoła naród stolicy na ceremonię i ucztę na cześć swoich gości. Następnie wstaliśmy wszyscy, stary władca podał każdemu rękę na pożegnanie i z tą samą powagą opuścił wraz ze swą żoną nasze pokoje, udając się do swych żon. Audjencja była skończona na dziś.

Teraz udaliśmy się złożyć wizytę następcy tronu, Akasamadu, mającemu swą rezydencję w innej części miasta. Jest to konglomerat równie licznych czworoboków muryrowanych, aczkolwiek bez pawilonu drewnianego w głównej części. Następcą tronu nie bywa tu syn panującego monarchy, lecz — jak na wschodzie — najstarszy siostrzeniec, który jednakże ze swym królewskim wujem żyje w najgorszych stosunkach.

Przeszedłszy kilka wewnętrznych dziedzińców, przed którymi zwykle przy wejściu stoi fetysz drewniany lub kamienny, zastaliśmy w małej komnacie, niby kolumnadzie, litość wzbudzającego następcę. Leżał on na macie, na której przy naszym wejściu podniósł się nieco, by podać rękę — cierpi albowiem na niewyleczoną chorobę, nader silną rupturę<sup>315</sup>, która nie pozwala mu prawie opuszczać swego łóża. Wraz z licznymi żonami czeka w smutku na koronę, nie mogąc darować sędziwemu Amatifu, że tak długo cieszy się nią przy dobrym zdrowiu. Zastaliśmy go przy wieczerzy, którą jedna z żon mu podawała, a gdyśmy go zaprosili do nas na obiad na jutro do pałacu Amatifu, odparł, nie tając swej miłości siostrzeńczej, że „do tego człowieka on nigdy nie pójdzie”.

Akasamadu jest, jak łatwo się spodziewać, bezdzietny, a i choroba jego przeniesie go może do krain przodków, zanim się doczeka tak upragnionego przezeń tronu. Drżą na tę myśl żony jego nieszczęśliwe, gdyż w razie śmierci „ważnego magnata”, tak w Aszanti, jak i w Assini, a przy zgonie króla lub następcy tronu w szczególności, odbywają się przeliczne ofiary ludzkie, a najnieszczęśliwsze są żony po zmarłym. Zanim doniosą ministrowi o śmierci narodowi i białym w Assini, biedne kobiety te wyprowadzają do lasu i ścinają, by towarzyszyły małżonkowi na tamten świat. W jakiejże obawie żyć muszą żony króla Amatifu, stuletniego starca, który lada dzień skończyć może! Toteż najłżejsze niedomaganie królewskiego małżonka bywa głośnym przedmiotem skarg i rozpacz jego 66 zatrwożonych towarzyszek i ciągłej ich nad nim pieczołowitości. Położenie tych kobiet jest bez nadziei rzeczywiście, mimo że kraj znajduje się pod protektoratem Francji. Lecz w domowe życie i zwyczaje krajowców Europejczycy wchodzić nie mogą, a o śmierci kró-

Żona, Król, Ofiara, Śmierć,  
Obyczaje

<sup>314</sup>czerstwy (daw.) — zdrowy, silny. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>ruptura (med.) — przepuklina. [przypis edytorski]



la Amatifu dowiedzą się dopiero wtedy, gdy krwawy dramat się skończył. Na zapytanie białych: „A gdzie żony?” odpowiedź krajowców łatwa będzie do przewidzenia: „Uciekły ze strachu przed ceremoniami i zwyczajami pogrzebowymi” — będzie brzmiała takowa. Tak to wszędzie w koloniach europejskich w Afryce!

Przeciętny Europejczyk sądzi, iż kraj, w którym wieje sztandar białych, jest administrowany w zupełności podług przykładu Europy! Tak — dla białych tam mieszkających, lecz w cieniach lasów i miastach krajowców panuje tu fetysz i oprawca i nie ma może nocy, żeby światło księżycy nie rzuciło swych bladych cieni na świeżą krew ludzką. Wobec tych smutnych zwyczajów długowiekowej nocy afrykańskiej prawa białych są bezsilne. Jedno prawo zwycięży kiedyś tych ciemnych synów puszczy i gąszczów, a tym prawem jest światło, prawda, gdy i w owe umysły zawita.

Wielkie są tu zadania Europejczyka! Chwytajmy więc pochodnię tego światła i wyjdźmy z nią na te pola. Niechaj śmiechy materialnego otoczenia nie zbijają nas z drogi, bo tu, dokąd dążymy, rozpacz mamy skrócić — nie śmiechy tych, co osądzić nas nie są w stanie.

Lecz wróćmy do melancholicznego Akasamadu, choć tylko na chwilę, by się z nim pożegnać i korzystając z wieczoru niezajętego żadnym programem, zwiedzić kilka ulic miasta. Piękna księżycowa noc otuliła wszystko na wpół tajemniczym blaskiem — mimo zmęczenia czuliśmy się orzeźwieni wieczornym chłodem i spokojem, w jakim zatoneła okolica; tylko z domostw krajowców dolatywał cichy szmer życia domowego.

Charakterystyczne są domy krajowców w Krindzabo. Każde gospodarstwo składa się co najmniej z czterech domków, które poustawiane w czworobok i niemające okien na zewnątrz, na ulicę, zamykają tętno życia rodzinnego w ramach wewnętrznej podwórza. Pierwszy domek, zaopatrzony na wewnątrz rodzajem małego tarasu, czy raczej stopni szeroki, jest przeznaczony dla głowy rodziny, drugi zajmują żony, trzeci dzieci, czwarty wreszcie zawiera służbę i niewolników, a równocześnie kuchnię. Jak już zauważyłem, składają się pałace Amatifu i Akasamadu z kilkunastu do kilkudziesięciu takich czworoboków, obejmujących nawet i ogrody, i części lasów — co wszystko razem stworzyło labirynt, z którego wydostać się bez przewodnika zaprawdę nie jest łatwe.

Powoli ucichły głosy przy domowych tych ogniskach, przypominających klasyczne atrium Rzymian i ich życie. Cisza, przerywana dźwiękami drobnej fauny afrykańskiej, zaległa dokoła, ulice miasta były już puste, tylko tu i ówdzie dał się słyszeć głos posłańca króla Amatifu, zapowiadający mieszkańcom jutrzejszą ceremonię. Wkrótce znajdowaliśmy się na krańcu miasta, prawie już w obrębie lasów, gdzie domek fetyszów strzeże wejścia do stolicy. Bęben „tam-tam”, kilka czaszek ludzkich, beczka z kośćmi, zaschła i szerniała krew po ostatniej ofierze, wyszczerbiony nóż, który do niej służył — oto co przy bladym świetle księżycy mogliśmy w nim dostrzec. Kastor, wierny nasz tłumacz, szedł z nami, a dalej w pewnej odległości posuwała się grupa dworzan króla dodanych do naszej świty.

Wąską ścieżką udaliśmy się stąd w innym kierunku, prowadzeni przez młodego Anemę, który z powagą nad wiek pokazywał nam uwagi godne miejsca stolicy swego ojca.

Nagle zatrzymał się w miejscu, które zwróciło szczególną uwagę naszą na siebie, wszyscy albowiem postąpiliśmy równocześnie naprzód, spoglądając w jeden punkt.

Był to „cmentarz przodków”. Słowo „cmentarz” jest tu właściwie niestosowne, gdyż nikt tu nie jest pochowany. Gdy umiera jaki mieszkaniec miasta, wtedy kapłani wynoszą trupa w gąszcz i im tylko wiadomo, w jakim rzucili go miejscu. Natomiast potem pozostali po nieboszczyku krewni wyrabiają bądź z drzewa, bądź z gliny posązek, mający być jak najbardziej podobnym do zmarłego. Te oto posązki, w liczbie kilkuset, stały tu na wielkim kurhanie, a o kilka kroków dalej rysowała się w cieniach nocy druga podobna masa statuetek. Niektóre z nich były stare, mchem obrosłe, inne wyglądały świeżej. Przedstawiały one postacie ludzkie, bądź siedzące, bądź stojące, z rękami założonymi lub w innej pozycji. Każda twarz miała inny wyraz i widocznie starano się wywołać podobiznę z rysami zmarłej osoby, którą posązek przedstawia. Cmentarzyska te, oglądane szczególnie o tej nocnej godzinie, czyniły na nas dziwne wrażenie. Mimo woli zadrgały różne przypuszczenia i myśli — zarysował się Egipt stary, którego wpływu na północne plemiona Afryki, nienależące do południowych Bantu, nawet tysiące lat zatrzeć we wszystkim nie zdołały. Skąd ten zwyczaj, skąd jasna cera arystokratów i członków królewskiej

Dom

Cmentarz

familii aszantyjskiej, przypominająca żywo cerę żółtobrązowaną starożytnych Egipcjan, i skąd jedność form z owymi starożytnymi Afrykanami znad Nilu w mnóstwie sprzętów domowych? Wiecznie piętury się tu przed umysłem mnóstwo zagadek i prawd pogrzebanych, których rydłem odkrywczym może stać się tylko długoletnia, cicha, niezależna praca.

Pragnąłem zjednać Kastora dla otrzymania choć jednego takiego posążka. Lecz chociaż tłumacz nasz był mniej zabobonny od innych Assinińczyków, dzięki długoletniemu i ciągłemu obcowaniu z białymi na brzegu, poznałem po przestraszonym jego wejrzeniu i spuszczonej głowie, że nawet pytanie me wprawia go w strach i obawę. „Amatifu — dodał z cicha — kazałby odciąć głowę Kastora, gdyby choć usłyszał samo to zapytanie białego do Kastora powiedziane”.

Zadumany wróciłem z towarzyszami ku miastu. Leśna drożyna, którą kroczyliśmy, była oświetlona milionem świecących owadów, których światła jak iskry, czy brylanty igrały na ciemnozielonym tle nocnej scenerii. Coraz silniejsza rosa zmuszała nas do powrotu, inaczej mimo zmęczenia wołałbym tu przedumać cudowną tę noc.

Gdym powrócił do pałacu i wszedł do pokoju z królewską werandą, który tworzył mój apartament, by spocząć wreszcie na matach, zauważyłem dwie wysokie, ciemne postacie, stojące prawie nieruchomo przy drzwiach sypialni. Byli to dwaj olbrzymiego wzrostu Murzyni, których Amatifu przysłał tu jako straż przyboczną, z zleceniem dostarczania mi wszystkiego, czego bym zapragnął. Toż samo opowiedzieli mi towarzysze podróży dnia następnego o swych pokojach.

## ROZDZIAŁ XIX

*Podarki króla Amatifu. — Heroldowie królewscy. — Dary przysłane od Akasamadu. — Stary tron króla Amatifu i sala tronowa. — Fufu. — Przybycie króla na obiad. — Dziwny obowiązek assinijskiego ministra. — Etykieta assinijska. — Żona tygodniowa króla. — Sjesta. — Obraz z tysiąca i jednej nocy. — Uroczystość na cześć gości. — Orowadzanie fetyszów. — Taniec miłości. — Podarki. — Pierścienie Amatifu. — Chorzy nasi zmuszają do odwrótu.*

Następnego rana, gdym wyszedł na wewnętrzny dziedziniec przylegający do naszych pokojów, zauważyłem ruch niezwykły. Czarni słudzy króla Amatifu znosili całe masy bananów, kur, kóz, baranów, jamsu, jaj, a wreszcie sprowadzili wołu. Był to podarek Jego Królewskiej Mości, którym zwyczaj krajowy kazał się wywzajemić za ofiarowane przez nas dary. Ten sam zwyczaj jednakże wymagał również, by ofiarowana żywność posłużyła do wspólnej z ofiarodawcą uczyty. Zaprosiliśmy więc na obiad starego króla, który też przyjął zaproszenie — przysłał służbę na pomoc naszemu kucharzowi i oświadczył, że prosi nas użyć na ten cel „salę tronową”. Osobny zaś posłaniec doniósł, że Amatifu napędził wszystkich swych złotników do wykończenia dla nas pierścieni na pamiątkę od assinijskiego władcy, lecz że takowe nie mogą być wykończone prędzej jak na wieczór. Podziękowałem królowi za ten nowy dowód przyjaźni i korzystając z kilku wolnych chwil, zdobytych podczas przygotowań kulinarnych naszych ludzi, udaliśmy się do miasta, by zwiedzić resztę jego dzielnic.

W jednej z ulic napotkaliśmy znowu wysłańców króla, którzy na nowo zwoływali poddanych na popołudniowe uroczystości i polecali ich szczególnej uwadze i poszanowaniu białych gości, przyjaciół Amatifu. Posłańców było czterech. Pierwszy niósł dzwon i grzechotki, zwracając ich dźwiękami uwagę mieszkańców na siebie, za nim szedł główny herold z fetyszem Amatifu, ogłaszając zlecenia otrzymane od króla, w końcu wreszcie szło dwóch innych heroldów z dzidami, oznakami godności. Wszyscy byli pomalowani białymi kresami na twarzy i ciele, co oznaczało, że byli posłańcami króla. Dążyli od domu do domu, spełniając swą powinność z wielkim hałasem. Wszędzie też, dokąd dojsz mogli niedyskretne nasze oko, zauważyliśmy przygotowania do zapowiedzianej ceremonii: tak kobiety, jak i mężczyźni wynosili z ukryć domowych najbogatsze swe materie i klejnoty, które za godzin kilka zdobić miały ich brązowe postacie, by stworzyć scenę wziętą zaiste jakby z tysiąca i jednej nocy.

Gdyśmy powrócili do pałacu, zastaliśmy nowych posłów z darami: byli to ludzie od Akasamadu, następcy tronu, przychodzący z kozami, baranami, platanami jako rewanżem

Dar

za dane mu wczoraj podarki. Posłano i tego część do kuchni, a tymczasem udaliśmy się do owej „sali tronowej”, gdzie pod dozorem Kastora Anema i inni przygotowywali stół. Była to obszerna komnata oddzielona od korytarza wchodowego ścianą zrobioną *a jour*<sup>316</sup>. W jednym jej rogu zaś stał na wywyższeniu tron Amatifu — wielki fotel o prostej wysokiej poręczy, wybity żółtym atlasem. Był to jednak „tron zgrzybiały”, prawdopodobnie jeszcze z czasów Bouet-Villaumera, a białe mrówki i inne toczące owady, jako też mole, pozostawiły na nim liczne swe ślady. Jego Królewska Mość jednakże nie raczyła się jeszcze ukazać, stanąłem więc w oknie, przypatrując się kobietom pomagającym kuchcikom naszym przy biciu sławnego *fufu*. Jest to masa ubita z gotowanych platanów. Długie ubijanie w drewnianym moździerzku czyni ją tak gęstą i wisną<sup>317</sup>, że dla oddzielenia cząstki łyżką trzeba tę ostatnią najprzód umaczać w szklance wody. Do *fufu* podaje kuchnia afrykańska sos pieprzowy ze świeżego afrykańskiego pieprzu i oleju palmowego, co skosztowawszy, nieprzyzwyczajony jeszcze cudzoziemiec czuje jakby ogień w ustach. Łatwo jednak przywyka się do tej potrawy, a podczas febr nawiedzających podróżnika często w Afryce jest ona jedynym prawie jadem, którego zupełnie przytępiony apetyt nie odrzuca.

Jedzenie

Nieszczęsna ta plaga życia afrykańskiego już się zjawiała w gronie mych towarzyszków. Od rana czterech z nich czuło się niedobrze, gorączka się wzmagala tak, że przy zapowiedzianym solennym obiedzie nie wszyscy mogli być obecni. Wreszcie zapełnił się korytarz. Przez kraciatą ścianę zauważyłem mnóstwo tłoczących się członków dworu królewskiego, a w końcu w fioletowej jedwabnej todze przesywanej złotem i w kapeluszu generała-feldmarszałka z czerwonym pióropuszem, ukazał się Amatifu wraz z żoną (faworytką tygodnia) i dwoma najmłodszymi synami, oprócz ministrów i świty. Król po ceremonialnym przywitaniu zajął swój tron, u nóg siedli dwaj jego mali synowie, z tyłu żona i ministrowie, a z boków: Kastor tłumacz z prawej, z lewej zaś główny minister z chustką, którą ścierał ślad, ile razy Jego Królewska Mość splunęła.

Król

Bogate bransoletki na rękach i nogach, pierścienie i kolczyki, a oprócz tego ciężkie pepity złota w brodzie zawieszzone musiały niemało ciężzyć starcowi. Obecna jego żona miała również we włosach znaczną ilość złotych ciężkich ozdób oprócz licznych bransoletek i naszyjników wyrobionych z tego kruszcu. Amatifu jednakże nie wyglądał dnia tego tak czerstwo jak zeszłego wieczoru. Oczy jakoś były zapadłe, wyraz twarzy nieco kwaśny, cała postać jakby sztywna i wyschła, głos znacznie ochrypli. Później dopiero dowiedziałem się od Kastora, że ja byłem mimowolną przyczyną metamorfozy. *Damżany*<sup>318</sup> z anyżówką albowiem znalazły takie upodobanie Jego Królewskiej Mości, że otrzymawszy je, dowiódł swego upodobania *en gros*<sup>319</sup> i pokrzepił całe ich zawartością swą i swych małżonek spragnione natury podczas ciszy nocnej. Był dlatego nieco roztargniony, o czym świadczył piróg z pióropuszem wsadzony tyłem do czoła, co jednakże spostrzegł minister z chustką i poprawił przy wejściu.

Alkohol

Obiad się rozpoczął. Amatifu był jedynym, który jadł z nami przy stole — jadł z początku widelcem, lecz wkrótce poprosił etykietalnie o pozwolenie swych gości jeść palcami, ponieważ to mu wygodniej. Naturalnie nie zachmurzyło to bynajmniej naszego usposobienia. Ze swego talerza dawał rękami kawałki potraw dzieciom i żonie obecnej. Tej jednakże, jak w ogóle tu kobietom, nie przystawało jeść wobec męża, wkładała więc otrzymane porcje do drewnianej miseczki, którą trzymał przy niej niewolnik. Była to twarz jasna, koloru brunatnożółtawego o regularnych rysach, które szpeciło atoli tatuowanie na skroniach i czole. Dowiedzieliśmy się, że to podobno córka króla aszantyjskiego, krewnego Amatifu.

Jedzenie, Obyczaje, Kobieta

Rozmowa, podczas której starałem się rozweselić starca, stała się wkrótce ożywiona, o ile pozwalala na to etykieta krajowa. Amatifu ma, zdaje się, słabą stronę do napojów: popijał wino czerwone, lecz wołał absynt i anyżówkę. Oświadczając wreszcie, iż wkrótce rozpocznie się uroczystość dana na cześć naszą, poprosił o pozwolenie powrócenia do swych pokojów dla odpoczynku.

<sup>316</sup>*a jour* (fr.) — ażurowy, z regularnymi otworami na wylot. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>*wisny* (daw.) — elastyczny, giętki, ciągnący się. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>*damżana* (z fr.: *dame-jeanne*) — gąsior, duże, pękate naczynie szklane z wąską szyjką, często owijane w wiklinę, służące do przechowywania płynów, szczególnie wina. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>*en gros* (fr.) — w dużych ilościach, hurtowo. [przypis edytorski]

Odprowadziwszy kilka kroków odchodzącego, poszedłem za jego przykładem i odbyłem małą sjestę, gdyż trzeba było przygotować się na kilka godzin palącego słońca i piekielnej murzyńskiej muzyki.

Okolo trzeciej też przybył posłaniec od Amatifu, oznajmiając, że król wychodzi na uroczystość i oczekuje tylko naszego przybycia, by dać znak do rozpoczęcia. Dałem więc znać o tym moim towarzyszom, a gdy się zebraли, ruszyłem prowadzony przez jednego z dworaków ku miejscu, w którym odbyć się miały uroczystości tego dnia.

Było to wewnętrzne podwórze przylegające do owej sali tronowej, w której obiadowaliśmy dwie godziny temu.

Widok, jaki się przedstawił oczom naszym, jest trudny do opisan! Na mura-nych stopniach, otaczających wewnętrzne frontony dziedzińca, a ozdobionych daszkiem wystającym, rysowała się, niby na tarasach otaczających kwadratową arenę, dziwna, fantastycznie malownicza masa czarnych postaci, ubranych w białe lub innych kolorów togi i bogato ozdobionych złotymi, srebrnymi klejnotami. Zdawało się rozgorączkowanemu umysłowi, że za pomocą lampy Aladyna przeniesieni zostaliśmy w dawne stolice numidyjskich monarchów, przyjmujących Rzymian świetne stroje i bogactwa, albo że na afrykańskiej ziemi ujrzeliśmy miraż, że to fatamorgana!

Pod głównym frontonem w cieniu siedział na europejskim fotelu, wysłanym podarowanym wczoraj przez nas dywanem, i otoczony swą świtą — sędziwy Amatifu w białej jedwabnej todze przeszywanej złotem. U nóg jego siedziało dwóch małych jego synów, za nimi kilku synów starszych i ministrowie, z prawej i lewej zaś, z wyjątkiem ośmiu siedzeń dla nas przygotowanych, a przerywających malownicze tło, poruszała się z lekka, jak południowych wód fala, barwna masa brązowych postaci — w końcu wreszcie, naprzeciwko króla ciągnął się fronton otwarty, gdyż tu stały fetysze królewskie. Przed nimi siedziała muzyka bębny, grzechotki i dzwony z żółwich skorup — nad wszystkim zaś jaśniała toń ciemnolazurowego oceanu, wśród którego złota tarcza słoneczna rozsyłała swe płomienne blaski, jak gdyby cała atmosfera zgorzeć<sup>320</sup> miała dnia tego we wszystko pochłaniającym upale.

Wpatrując się w tę żywą rycinę i podczas gdy wszystkich spojrzenia były skoncentrowane na grupę naszą, przeszliśmy kwadratową arenę i zajęli również nasze siedzenia. Przechodząc okolo starego monarchy, przywitaliśmy się powtórnie podaniem ręki, a gdyśmy siedli, Amatifu dał znak rozpoczęcia zabawy.

Niewłocznie uderzono w bębny drewniane, cymbały i grzechotki. Aczkolwiek piekielna ta muzyka odbywa się podług taktu, biją jednakże w bębny i resztę instrumentów tak szybko, że całość wystawia się jako nieopisany chaos. Nastąpiło oprowadzanie przed nami kolejno każdego z fetyszów. Procesja ta trwająca okolo dwóch godzin była nadzwyczaj oryginalna. Z przodu szedł Murzyn z toporem, którym wywijał w powietrzu, niby odpędzając siły wrogie, wstrzymujące przejście fetysza.

Za nim dwóch ludzi przybranych w skóry jaszczurek i aligatorów niosło same fetysze, których kształty były najrozmaitsze. To wypchana jaszczurka, to czaszka, to figura wystrugana z siwą brodą, to żółwia skorupa, to znów plecione grzechotki, napelnione szeleszczącymi nasionami, żaby i jaszczurki z gliny ulepione i okopcone, to znów kamienie z białymi znakami w formie T lub V. Z tyłu zaś szedł błazen, umalowany na twarzy wapnem, a noszący okrągły kapelusz. Cała ta grupa obnosiła fetysze w ciągłych dzikich skokach, to się cofając, to dzwoniąc kolanami, jakby ze strachu, a ciągle kiwając głowami na wszystkie strony. Patrząc na nich zdawało się, że to garstka wariatów drżących silnie od zimna, tak konwulsyjne były ich ruchy. Ile razy grupa ta (która rozpoczynała swój bieg od domku fetyszów) mijala dworaków i zbliżała się do króla, Amatifu przywoływał ją drewnianym instrumentem, formy bumerangu Australczyków, w który uderzał drewnianym młoteczkim. Dwaj przebrani Murzyni, którzy nieśli fetysz, kierowali swe skoki wtedy ku królowi, niby posłuszni pociągowi, jaki czuł tajemniczy przedmiot do głównego fetyszera kraju. Amatifu albowiem jest za przebiegły, by powierzyć niebezpieczną tę godność komu innemu; jest więc głową polityczną i religijną zarazem w swym państwie, mogąc strącić lada chwila niepodobające mu się jednostki z najwyższej posady w ręce

<sup>320</sup>zgorzeć — splonąć. [przypis edytorski]

swych katów. Jest jednakże pod tym względem więcej umiarkowany niż jego kuzyn, król Mensah aszantyjski, nb.<sup>321</sup> jeżeli jest w dobrym humorze.

Ile razy jednak grupa fetyszerów miała minąć nasze miejsca, wyprawiała ona najdziksze skoki, zbaczała z drogi, wracała o kilka kroków, znów podskakiwała naprzód, podczas gdy Murzyn z toporem coraz silniej wywijał w powietrzu. Niby przy obcych fetyszowi trudno było przejść i dopiero po dźwięku młoteczka starego króla grupa mijała, jak stado brykających żubrów, których coś straszy na drodze. To samo powtarzało się z każdym fetyszem, a gdy widzowie byli znużeni, pokrzepiali się winem palmowym z czar struganych z orzechów kokosowych, podczas gdy fetyszerzy i inni sprzeciwiali się błaznowi, rzucając mu na plecy różne przedmioty, a między innymi rozbijali o nie jaja kurze.

Wreszcie obniesiono wszystkie fetysze dokoła. Bębny na chwilę ustały i zaczęła się zmieniać dekoracja, a raczej aktorowie. Po niewielkiej pauzie, podczas której obnoszono w kalabasach i dzbanach wino palmowe oraz rodzaj sorbetu<sup>322</sup> z pomarańcz, wyszły dwie grupy: jedna kobiet, druga mężczyzn. Były to niby najpiękniejsze kwiaty z seraju<sup>323</sup> Amatifu, które prowadziła rano poznana królowa tygodnia, świecąca od złotych ozdób i olejków, którymi wysmarowane było ciało i włosy. Również bogaty widok przedstawiała i reszta żon naznaczonych do tańca. Rozpoczął się taniec miłości, który ściśle opisać byłoby niemożliwe. Szalonym, namiętnym ruchom wtórowała również szalona muzyka — chwilami zdawało się, że rozbijają się te bębny lub klepki rozebranej baryłki, związane w pęk lianami, w które grono niewolników, klęcząc, uderzało ze wszystkich sił pałkami. Wreszcie królowe assinijskie, padając prawie ze znużenia, skończyły swój taniec, a raczej pantominę<sup>324</sup>, przedstawiającą wszystkie odcienia namiętności gorącego syna Afryki w tak drastycznej formie i nagości, że ten, kto widział te sceny, zapewne ich nie zapomni, pragnącemu zaś bliższego opisu powiedzieć tylko można: „Idź i zobacz, a zrozumiesz, że milczę”.

Taniec

Kto nie widział sposobu tańca murzyńskiego w ogóle, ten nie może mieć wyobrażenia o oryginalności tego widoku. Jest to po prostu konwulsyjne, jakby spazmatyczne potrząsanie ciała na miejscu: łydki, kolana, biodra, plecy, ramiona, głowa — wszystko trzęsie się z coraz wzrastającą siłą, pot kroplisty występuje na całym ciele tancerza lub tancerki, dopóki znużeni nie padną prawie, a rozognieni muzykanci powiększają wrzawę swych instrumentów głośnym, nieprzerwanym śpiewem.

Gorąco było wciąż niezmiernie. Atmosfera zdawała się być rozpalona, lecz niestrudzone nasze bajadery<sup>325</sup> nie zrażały się tym bynajmniej. Gdy zmęczenie kazało im na chwilę wypocząć, widocznie niecierpliwili się i z nowym zapalem wypadały na arenę.

Od czasu do czasu Amatifu wysyłał swych małych synów, by się popisywali pomiędzy poruszającym się kolorowym kalejdoskopem tancerek i tancerzy. Wtedy malcy chwyтали długie kawały jedwabnej materii i jak strzały puszczały się wzdłuż wolnego w pośrodku placu, podczas gdy powiewały za nimi trzymane nad głową materie, aż drobni tancerze nawrócili i imitując ruchy starszych, powracali w podskokach do ojca. Wtedy stara twarz Amatifu uśmiechała się zadowolona, gdyż lubi on swych synów nadzwyczaj, dopóki są mali — potem zapomina o nich i oddala ich od siebie.

Podczas płaśów malców królewskie tancerki podchodziły kolejno do Amatifu i do nas, podając nam ręce na znak przyjaźni małżonka ich dla nas. Potem znów odbiegały i znów rozpoczynały swe dziwne płaśy.

Tymczasem wzmogła się febra mych towarzyszy do takiego stopnia, że stan ich zaczął mnie niepokoić. Były to skutki palącego w łodzi na jeziorze słońca, na które Europejczyk w Afryce w ogóle zbyt narażać się nie powinien. Udzieliłem spostrzeżenia me panu Bretignère i podziękowaliśmy Amatifu za uroczystą jego zabawę daną na cześć naszą, wiedząc, że przez to podziękowanie skończy się hałaśliwa ta scena. Wypadało jeszcze dać podarki tancerkom, o czym był już pomyślał gościnny Francuz, i za chwil kilka wnie-

<sup>321</sup>nb. — skrót od łac. zwrotu *nota bene* (dosł.: zauważ dobrze), wprowadzającego ważną wtrąconą informację, używanego w znaczeniu: „warto zaznaczyć”. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>sorbet — deser z soku owocowego, przypominający lody. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>seraj — pałac władcy muzułmańskiego, mieszczący harem, czyli mieszkanie żon i nałożnic władcy. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>pantomina — pantomima; nieme widowisko sceniczne, odgrywane przy użyciu mimiki, gestów i ruchów ciała. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>bajadera — hinduska tancerka świątynna. [przypis edytorski]

siono kilkanaście sztuk materii i skrzynki z butelkami dżynu, na pokrzepienie znużonych aktorów tego baletu w swoim rodzaju. Żony Amatifu widząc to, obieły raz jeszcze plac, pokazując wszystkie swe wdzięki, po czym podeszły znów kolejno do podziękowania — i opuściliśmy miejsca nasze, pożegnawszy się z królem, by odetchnąć po tym zgiełku i tej wrzawie.

Po odpoczynku poprosił mnie Amatifu, bym go odwiedził w jego komnacie. Zabrawszy więc Kastora, udałem się do pokoju starego króla. Była to wąska, podłogowa aula, o glinianych, na czerwono pomalowanych ścianach. W pośrodku swych domowników, siedzących na ziemi, spoczywał Amatifu w pół leżącej postawie, na krześle sorentyńskim, postawionym na wzniesieniu. Gdym wszedł, wstał i pytając się o zdrowie mych towarzyszków, oświadczył nadzieję, że nam się uroczystość dzisiejsza podobała, a na znak przyjaźni swej, rzekł, stary król Amatifu kazał swym złotnikom sporządzić pamiątkowy pierścień dla swego gościa i dla każdego z jego towarzyszków.

Podziękowałem starcowi — wymieniliśmy jeszcze kilka grzeczności i udałem się do naszych pokoi, gdzie już czekano z obiadem, a raczej kolacją. Pierścienie Amatifu były przyjemną niespodzianką, nad którą spędzeni złotnicy widocznie spieszyć się musieli; przyjęto je też z radością, raz jako okaz krajowej roboty, po wtóre jako pamiątkę od króla Amatifu.

Rozmowa przy wieczornym stole, przy którym byliśmy bez świadków, toczyła się naturalnie o popołudniowej uroczystości i królewskich tancerkach. Pacjentom naszym jednakże stawało się coraz gorzej i mimo ogólnego żalu zdrowych musiałem się zdecydować zmienić program. Na dzień jutrzejszy albowiem zamierzaliśmy udać się wyżej po rzece Krindzabo, by zwiedzić jej katarakty w Aboasso, lecz wkradające się pomiędzy mych podróżnych febry nie dozwoliły na to. Postanowiliśmy więc pożegnać się dziś i odpłynąć jutro nazad nad brzeg do Assini.

## ROZDZIAŁ XX

*Pożegnanie u Akasamadu. — Projektowana przez niego jeszcze większa uroczystość. — Wymiany grzeczności. — Dziwne żądanie. — Ostatnia wizyta u Amatifu. — Żywy obraz z Rzymu starożytnego. — Śpiew kobiet. — Młody satelita. — Powrót do Assini. — Anema. — Nowa droga do Timbaktu. — Rzetelny obyczaj. — Wypytywamy.*

Pierwsze powiewy przedwieczornego chłodu zastały nas znów w mieście, w drodze do schorzałego Akasamadu, by się z nim pożegnać. Zastaliśmy go przy wieczerzy przysłanej mu przez nas, ponieważ nie chciał być przyjętym zaproszenia na obiad. Jedna z żon była przy nim, podając mu potrawy. Gdyśmy mu objawili, że przybyliśmy się z nim pożegnać z przyczyny choroby części mych towarzyszków, Akasamadu bardzo się zmartwił. Chciał był albowiem skorzystać z obecności naszej i uroczystością wyprawioną dla nas u niego zaćmić to, co uczynił Amatifu. Toteż rzekł nam, że niektórzy z jego ludzi byli obecni na ceremoniach popołudniowych u Amatifu i widzieli, co było urządzone u króla i rywala jego, ale że on (Akasamadu) jutro chciał nas przyjąć w swym pałacu w dwójnasób świetnie i uroczysto i że dlatego nagły nasz odjazd niezwykle go zasmuca. Zauważyłem mu, że zniewala mnie do tego febra, która opanowała niektórych z nas, a która w krajach tych jest niebezpieczna dla białych, gdyż bez tej przeszkody wszyscy pragnęliby pozostać w gościnnej tej stolicy jak najdłużej. Zresztą Akasamadu jest znany ze swej wspaniałości, potęgi, siły i bogactw, dodałem, dziękując za jego gościnne zamiary, i choć nie widząc niestety ich urzeczywistnienia, jestem przekonany o przepychu uroczystości danej u niego. To uspokoiło zmartwionego. Uśmiechnął się, gdy mu Kastor powtórzył wiernie te słowa, podczas których jego towarzyszką poruszaniem głowy objawiała kilkakrotnie, iż aprubuje ich treść. Następnie oświadczył Akasamadu, że on wie dobrze, iż Amatifu dał nam pierścienie złote, mające nam przypominać w dalekich krajach białych jego przyjaźń. „Akasamadu — rzekł — rozkazał swoim złotnikom sporządzić daleko większe i piękniejsze dla białych swych przyjaciół, lecz nie wiedział, że chcą już jutro rano opuścić Krindzabo, pierścienie te więc niestety gotowe nie będą na jutro, jednakże osobny posłaniec pospieszy z nimi do Assini za wami”.

Podziękowałem mu za obiecaną pamiątkę i zapytaliśmy się, czy i on sobie czego nie życzy. Otóż, któż opisze nasze zdziwienie, gdy po tych pompatycznych grzecznościach Akasamadu zażądał... czosnku! (sic!<sup>326</sup>), dodając, iż bardzo lubi „ten owoc z krajów białych”. Wstrzymując uśmiech, cisnący się gwałtem na wszystkie twarze, przyrzeczono zadość uczynić żądaniu, jeżeli tylko kucharz będzie jeszcze posiadał żądany „owoc” w swej spiżarni podróźnej. Następnie po wymianie jeszcze raz grzeczności opuściliśmy chorego następcę tronu, udając się na pożegnalną wizytę do Amatifu.

Ostatnie widzenie się z sędziwym afrykańskim władcą na długo pozostanie mi przed oczami. Zastaliśmy go w wewnętrznym podwórzu pokojów, w pośrodku dwóch najmłodszych synów, znów na wpół leżącego na swym sorentyńskim krześle wyłożonym matami, a przy nim na ziemi siedziała, oparta o poręcz krzesła, ta sama żona, którąśmy już poznali rano. Księżyc przyświecał tej cichej, jakby z dawnych czasów wyjętej rycinie, osrebrzając białą togę starca i igrając ze złotą przepaską brązowej głowy jego małżonki. Zdawało się patrzącym na to oczom, żeśmy w atrium starego Rzymianina, że odżyły postacie dumnej Romy<sup>327</sup> lub złotej Pompei<sup>328</sup>. Gdzieżbym cię dziś szukał, urocza rycino, w bladej Europie? Chyba na scenie teatru, pod ludzącą dekoracją aktorów.

Amatifu słuchał z żalem wiadomości o naszym odjeździe — i on chciał jeszcze po jutrzejszej projektowanej uroczystości drugą u siebie urządzić, a przy tym był szczerze rad gościom z dalekich stron pośród monotonnego życia, gdyż stare członki już rzadko dozwalały mu ruszyć się poza obręb pałacu. Zapewniwszy go, że nigdy nie zapomnę jego gościnności, pożegnałem go i poszliśmy. Zapewnienie to dać mu mogłem z czystym sumieniem — nikt chyba z nas nie zapomni tego majestatycznego starca, któremu ostatnia chwila widzenia jeszcze dodała szczególnego uroku.

Gdyśmy po krótkim jeszcze wieczornym spacerze powrócili przed werandę naszych pokojów, zauważyłem przed nią wielką liczbę młodych kobiet, przeważnie dziewcząt, śpiewających i intonujących swemu śpiewowi klaskaniem w dłonie, a naokoło nich wylała się na plac niemal cała ludność stolicy, poruszając się jak ciemna fala przypyływu. Wieść o naszym odjeździe rozeszła się była lotem błyskawicy i mieszkańcy Krindzabo przyszli się pożegnać z nami i przypatrzeć się jeszcze raz ciekawie białym gościom.

Przed drzwiami stał jeden z młodych synków Amatifu — śliczna figurka, niby posążek z florenckiego brązu. Przybliżył się do mnie i zaczął nieśmiało coś mówić. Więcej z gestykulacji, jak z mowy mi niezrozumiałej, poznałem, że małe dziecko żądał, bym poszedł do Amatifu i poprosił o pozwolenie zabrania go z sobą. „A więc chcesz pójść ze mną?” — zawołałem, objaśniając zapytanie ruchami. Murzynek pokazał ręką w stronę brzegu i potakując, kiwał głową, lecz Amatifu spoczywał już na swych matach w głębokim śnie.

Poszedłem na piętro do sypialni, zanim jednak udałem się na spoczynek, stanąłem we drzwiach balkonu, wiodąc okiem po placu. Ten śpiew Murzynek czynił dziwne wrażenie na rozkołysanym umyśle. Monotonne jego dźwięki i ruchy przyklaskiwania, cała ta grupa — wydawały się jak sen południowej fantazji.

Gdy wreszcie powrócił do swego pokoju, ujrzałem, oprócz dwóch ciemnych postaci postawionych i tej nocy na straży, mego małego czarnego podróżnika z dołu. Uroił on sobie, że pojedzie ze mną i już nie chciał mnie opuścić — całą noc spędził w mym pokoju.

Śpiew kobiet i chaotyczny zgiełk z placu nie ustawał, natura jednak żądała swych praw i wkrótce sen skleił powieki, kończąc wrażenia ostatniego wieczoru pamiętnych dni u dworu króla Amatifu.

Żegnaj, wyniosły starcze! Biali cię posądzają, mówiąc o licznej krwi, płynącej w twej stolicy przy twych uroczystościach. Choć krew aszantyjskiego Mensy<sup>329</sup> płynie i w twych żyłach, oczerniają cię jednak ci, którzy twierdzą, żeś do niego podobny. Dwór twój jaśniał dla nas niewinniejszymi zabawami i jeżeli biali czytać będą te słowa, znajdziesz sprawiedliwość, Amatifu!

<sup>326</sup>sic (łac.) — tak; tak właśnie; używane w funkcji zwracania uwagi na jakiś fakt czy użyte słowo. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>Roma (łac.) — Rzym. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>Pompeja — dziś popr.: Pompeje, miasto rzymskie zasypane pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 n.e., szerzej znane dzięki wykopaliskom prowadzonym systematycznie od 1869. [przypis edytorski]

<sup>329</sup>Mensa Bonsu (ok. 1840–1896) — dziesiąty władca Królestwa Aszante, panujący od 1874, w 1883 obalony i wygnany przez swoją siostrę. [przypis edytorski]

Następnego rana ruszyła karawana nasza po znanej nam już drodze ku rzece. Przy wyjściu znów stała delegacja króla, odprowadzająca nas w jego imieniu. Mały mój czarny satelita znów przybiegł do mnie. Śliczny chłopczyna oczekiwał z rękami skrzyżowanymi na piersiach mej odpowiedzi i zwiesił ze smutkiem głowę, gdym mu wytłumaczył, że to jest niemożliwe, a gdyśmy ruszyli ku łodzi, Anema z zawiniątkiem pod pachą i chwytając jeden z mych pakunków, by go ponieść przez drogę, postępował tuż za mną. „Nie można, Anema — rzekłem mu — my nie wracamy teraz do kraju białych, droga moja prowadzi jeszcze daleko, do innych waszych plemion, głęboko w gąszcze. Najczęściej nie będziemy mieli ni domu, ni dachu i Duch Wielki tylko wie, co nas czeka”.

Ale Anema nie dał się uspokoić i już byliśmy daleko na rzece, gdy stał jeszcze nad brzegiem, patrząc łzawym okiem ze zwieszoną główką za odpływającymi.

Nie wiem dlaczego, lecz sam byłem posępny tego rana, z załem opuszczałem stolicę króla Amatifu i mimo woli zakrążyła myśl powrócić tu kiedy na dłużej. Tymczasem zaś wołały nas obowiązki dalej na południe.

25 marca byliśmy znów w Assini, w faktorii, z okien której ujrzeliśmy znów „Łucję-Małgorzatę”, kołyszącą się spokojnie na wodach. Łódź faktorii odwiozła chorych szczęśliwie na okręt, podczas gdym został jeszcze przez dzień jeden w faktorii, by zakupić nieco świeżej prowizji na drogę do Elminy, która miała być następną naszą stacją.

Drugiego rana zauważyłem bogato ubranego Murzyna. Przynosił on złoty proszek do faktorii w wartości 6200 franków, nazywał się Azemia. Gospodarz nasz zapewniał, że to nic rzadkiego i że za wzięte z faktorii za przyniesione złoto towary kupiec ten czarny wyrusza w dwumiesięczną drogę w głąb i znów powróci z nową zdobyczą. Szczęśliwiec ten podróżował aż poza tajemniczymi dla nas górami Kong. Wdałem się z nim z tego powodu w rozmowę i bogaty Azemia oświadczył gotowość swą wzięcia mnie z sobą, jeżeli tego pragnę. Jak rzadką propozycję musi człowiek czasem odrzucić! Rzekłem mu jednak, by pamiętał o swej obietnicy, że wróć kiedyś po jej spełnienie. Doszedłem albowiem do przekonania, że stąd prowadzi droga do Timbaktu<sup>330</sup>, łatwiejsza może niż droga przez Saharę z północy.

Powracając ze spaceru do faktorii, zauważyłem następnie Murzyna zajętego wiązaniem sobie nóg sznurem, tak jednakże, by mógł chodzić. Spytawszy się o przyczynę, dowiedziałem się o obyczaju rzucającym dobre światło na rzetelność Assińczyków. Jeżeli tutejszy krajowiec winien drugiemu jaką sumę, a nie jest w stanie jej oddać, wtedy umawia się z wierzycielem, iż odsłuży mu dług. Na znak zaś owego układu wiąże sobie nogi i chodzi tak przez dwa dni po swej wsi. Jest to niby kontrakt zawarty, którego wypierać się potem nie może, gdyż wszyscy widzieli go z umówionym znakiem, przez który on czasowo traci swobodę. Przy zwyczajach godny jest uwagi sposób zawierania i rozwiązania małżeństw. Konkurent płaci ojcu swej wybranej pewną sumę. Jeżeli zaś żona mu się sprzeniewierzy lub oszukała go już, wychodząc za męża, teść zwraca ową sumę i małżeństwo jest rozwiązane.

Czas nam jednakże opuścić gościnne te brzegi. Stanęliśmy więc znów gotowi do drogi. Zabrano świeże zapasy wody i prowiantu na pokład i dwudziestego ósmego z rana podniesiono kotwicę. W chwili wypłynięcia grzeczny p. Bretignère zapytywał się jeszcze sygnałem: „*Comment vont les malades?*”<sup>331</sup> o zdrowie naszych pacjentów. Bogu dzięki, było im lepiej i mogłem podnieść sygnał: „*Merci, amélioration*”<sup>332</sup> — po czym wymieniliśmy saluty flagą i ruszyli dalej w drogę.

## ROZDZIAŁ XXI

<sup>330</sup>Timbaktu — miasto w Mali, nad rzeką Niger, zał. w XI–XII w.; przez stulecia stanowiło centrum wymiany handlowej między Czarną Afryką a berberyjską i islamską Afryką Północną (a za jej pośrednictwem także z Europą); należało do najludniejszych i najbogatszych miast świata, było jednym z islamskich centrów akademickich; w 1591 zostało zdobyte przez ekspedycję marokańską, co w połączeniu z rozwojem handlu transatlantyckiego przyczyniło się do upadku jego znaczenia; w kulturze Zachodu funkcjonujące jako miejsce odległe, egzotyczne i tajemnicze. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>*Comment vont les malades?* (fr.) — Jak się mają chorzy? [przypis edytorski]

<sup>332</sup>*Merci, amélioration* (fr.) — Dziękuję, poprawa. [przypis edytorski]



*Projekty. — Różne punkty Złotego Brzegu. — Historia Elminy. — Kilka słów o kolonii, jej klimat. — Handel Złotego Brzegu i innych punktów angielskich w zatoce Gwinejskiej. — Do portu. — Charakter miasta. — Konsul Brun. — Zawiedzione nadzieje. — Rewolucja aszantyjska. — Królewska żona naszego nowego znajomego. — Po mieście. — Gość na „Łucji” do dalszej drogi. — Wyphywamy. — Cape Coast.*

Umysły nasze, zajęte jeszcze scenami dni ostatnich, wkrótce w nowym były oczekiwaniu. Zamierzałem albowiem, jeżeli będzie możliwe, udać się z Elminy łądem do Kummassi, stolicy króla aszantyjskiego, by poznać ten kraj, którego mieszkańcy łączą w sobie w dziwny sposób tyle talentów i zdolności z dobrze znanym, smutnie osławionym okrucieństwem. Listy otrzymane w Santa Cruz na Teneryfie miały mi w tym dopomóc i zapoznać mnie z p. Brun, konsulem francuskim w Elminie, człowiekiem znającym Aszanti i będącym — niejednego to zdziwi — zięciem króla aszantyjskiego. Toteż budowałem wielkie nadzieje na pobyt w Elminie.

Po południu około drugiej, dnia 28 marca, gdyśmy wpływali na wody angielskiej kolonii Złotego Brzegu, zerwała się burza, gdyż była to tutaj pora tornadów. Burze tu jednak nie trwają długo — chmurzy się niebo, staje się jakby ołowiem pokryte, za chwilę napada orkan potrząsający wszystkim, fale rwą się i szumią; lecz też i ta krótka chwila częstokroć jest dostateczna zniweczyć wszystkie nadzieje marynarza. Wkrótce znów się wypogodziło, chmury spadły potokami na wodne obszary nasze i spragnioną rysującą się w dali ziemię, znów dozwoliły słońcu rozsyłać swe promienie w pełni — i dalej posuwała się „Łucja”, choć nader wolno, gdyż po chwilowym gniewie żywiołów ułożyły się wiatry, jakby zmęczone, do snu.

Dnia 29 pod wieczór minęliśmy przylądek Trzech Punktów (Cape of Three Points), w nocy na dzień następny Fort Brandenburg, wspomnienie dawnych niefortunnych przedsięwzięć zamorskich Prusaków. Trzydziestego wreszcie po południu zauważyliśmy miasteczko Chama (czytaj: Kama), posiadające niegdyś jedną z najlepszych plantacji i osad rolnych tego brzegu, należącą do jakiegoś Holendra. Przed przystanią stał parowiec angielskiej kompanii (African Steam Ship Company) „Ambriz”, dążący z południa do Liverpoolu z produktami Zachodniego Brzegu. Załoga składała się po większej części z Murzynów Krumanów, a wrzask licznych małp i papug świadczył, że wiozą — jak zawsze tu — transporty dla dostawców zwierząt do ogrodów zoologicznych Europy. Wymieniliśmy ukłon flagą i popłynęli dalej.

Przed wieczorem zarysowały się mury i białe forty Elminy, wkrótce też stanęliśmy na kotwicy. Pogoda była piękna, dzień słoneczny, z zajęciem spoglądaliśmy na te krwawe brzegi, na których tyle toczyło się walk i na których na przemian gospodarowali po wojennych wyprawach: Normandczycy, Portugalia, Holendrzy i Anglicy, a pomiędzy nimi czasowo w niektórych punktach Prusacy i Francuzi. Na lewo stał zamek św. Jerzego, dalej fort San Jago, pod nimi brudne mieszkania krajowców Fanti, zajmujące dolne miasto. Następnie ciągnął się zielony pas lasów po brzegu, a w dali na prawo błyszcząły białe mury stolicy kolonii: Cape Coast Castle, w odległości kilku mil.

Elmina, czyli San Jorge de la Mina jest najstarszą osadą białych na Złotym Brzegu. Podług kronik marynarskich założyli ją normańscy masoni, którzy tu w r. 1383 wybudowali lożę masonską pod nazwą Mina (La Mine), z przyczyny wielkiej ilości złota tu napotykanego. W r. 1410 miejsce zostało opuszczone aż do roku 1471, w którym zajęli Elminę Portugalczycy, po raz pierwszy się zjawiający w tej epoce na Złotym Brzegu. Wybudowawszy w r. 1481 fort San Jorge (dziś rezydencja angielskiego komendanta miejsca), panowali w nim nad Elminą do roku 1637, w którym tak miejsce, jak i twierdza zdobyte zostały przez Holendrów; im też Portugalia ustąpiła swą posiadłość na mocy traktatu z r. 1641. Holendrzy wybudowali na wzgórzu oddzielonym przez rzeczkę Beyah od zamku San Jorge nową twierdzę, San Jago, którą uczynili głównym punktem tutejszych swych posiadłości. Wreszcie w r. 1870 Holandia odstąpiła Elminę Anglii, obecnie wyłącznej pani Złotego Brzegu. Kolonia ta, nosząca oficjalnie nazwę Gold Coast Colony, ciągnie się podług mapy Wylda przez 250 mil linii brzegowej: od 3° 10' W, tj. od rzeki Tando, do 0° 41' 2" E, tj. niedawno jeszcze do rzeki Wolty. Obecnie jednak przekracza wschodnią jej granicę rzekę Wolte, obejmując fort Quittah. Najbardziej południowy jej punkt, Przylądek Trzech Punktów (Cape of Three Points), leży w szerokości N 4° 15', północ-

ną zaś granicę tworzy rzeka Prah, dzieląca kolonię Złotego Brzegu od królestwa Aszanti. Ludność krajowa należy przeważnie do plemienia Fanti, spokrewnionego z aszantyjskim.

Widok wybrzeży jest o wiele wyrazistszy i bardziej ożywiony niż otaczających je na wschodzie i zachodzie kolonii: wszędzie ciągną się tu pagórki, grunt wykarczowany, gdzieniegdzie fortece i stare zamki. Charakter ten brzegu zaczyna się zaraz przy granicy assinijskiej, tu albowiem ciągną się Pagórki Apollinijskie (Apollonian Hills); dochodzą one prawie do miasta Apollonii<sup>333</sup>. Owe niskie brzegi, jakie przedstawia Liberia, Grand Bassam i Assini, są tu rzadsze i wydają się rzeźwiejsze przez liczniejsze zabudowania i wspomniane kastele<sup>334</sup>. Jedną z najmonotonniejszych jeszcze jest część wybrzeża ciągnącego się od Apollonii do rzeki Ankobrah<sup>335</sup>; tu następują znów pagórki naokoło fortu Axim, dalej zaś między Aximem a fortem Dixeove ciągną się obfite kauczukowe lasy.

Można by mniemać po pierwszym wrażeniu, że jest to ziemia faworyzująca Europejczyków. A przecież rzecz się ma wcale inaczej.

Sami Anglicy zowią tę swą kolonię „*The whiteman's grave*” (grobem białych). I nazwa ta jest bardzo odpowiednia. Dla życia Europejczyka Złoty Brzeg nie jest wcale złoty. Lista gubernatorów rządzących tu od roku 1750 wskazuje przerażającą ilość krzyżyków, tak że zwykle było twierdzenie, iż „dla Złotego Brzegu Anglia powinna zawsze mieć dwóch gubernatorów na raz: jednego tam umierającego, drugiego w drodze na zmianę, albo raczej dla zajęcia wakansu”. Wprawdzie w ostatnich czasach warunki sanitarne polepszyły się nieco, około dwóch dni drogi od rezydencji gubernatora, tj. od Accrah, urządzono nawet sanitarium<sup>336</sup>, położone w Aburi przeszło 1000 stóp ponad morzem, lecz mimo to pozostaje Złoty Brzeg zawsze „grobem białych”.

A jednak handel między Złotym Wybrzeżem a królestwem Aszanti ściąga tu zawsze Europejczyków, gdyż handel tych stron jest bardzo znaczny i będzie wzrastał z niezmierną szybkością. Artykuły wwożone przedstawiają: sól, spirytualia, tytoń, materie, proch, fuzje, wyroby fajansowe i szkła weneckie pod postacią pereł, lusterek etc. Produkty zaś wywożone stanowią: złoto, olej palmowy, kawa, orzechy palmowe, kauczuk oraz drób, w jaki niektóre punkty (jak np. miejsce Yellow Coffee) zaopatrują Europejczyków na całym zachodnim brzegu afrykańskim. W ogóle interesy, jakie robią Anglicy w swych punktach w Zatoce Gwinejskiej (w Senegambii angielskiej, w Sierra Leone, na Złotym Brzegu, w Lagosie i Bonny) przewyższają sumę 100 milionów franków rocznie. A suma ta wkrótce się podwoi, gdy otwarte będzie dla handlu złotodajne królestwo aszantyjskie, zapowiadające zyski trudne do obliczenia.

Lecz czas nam udać się na brzeg. Nie wiedząc, jaka jest barra w Elminie, posłałem, skoro tylko skończyły się formalności portowe, listy me z Santa Cruz i bilet do p. Brun, konsula francuskiego, z zapytaniem, czy może mnie przyjąć dziś i czy barra jest spokojna.

Wkrótce przybyła odpowiedź, zapraszająca nader gościnnie na wieczór do konsulatu i dodająca, że barra jest w Elminie zawsze spokojna i mało ważna. Pojechałem więc na ląd. Za fortem San Jorge, wybudowanym na półwyspie występującym w morze w kierunku SE, a utworzonym z jednej strony przez morze, z drugiej zaś przez rzeczkę Beyah, widać most, który łączy miasto, leżące na przeciwległym brzegu Beyi, z fortem. Ujście rzeki od mostu do morza jest ocembrowane kamiennymi molami, w dobrym utrzymywanych stanie. W to ujście prowadzi droga do miasta. Wpłynąłem więc w takowe, dalej pod most i wreszcie do schodów kamiennych za nimi się znajdujących, a stanowiących przystań miasta. Stała tu warta: czarny żołnierz z pułku Gold Coast Constabulary, w mundurze podobnym do tureckiego, który dano im naumyślnie, gdyż są to mahometanie z plemion Haussa z Sudanu. Anglicy rekrutują ich dla swych kolonii afrykańskich i otrzymują z nich dobrych żołnierzy.

Jeden z tych Haussów, wolny od służby, wskazał mi drogę do konsulatu francuskiego i wkrótce wstąpiłem w długą ulicę, obsadzoną dwoma rzędami cienistych drzew, ciągnących się równolegle z mурowanymi domami obu stron. Ta właśnie ulica, skracająca

<sup>333</sup>Apollonia — dawna kolonialna placówka handlowa w ob. pld.-zach. Ghanie, w 1768 rozbudowana przez Brytyjczyków w fort (Fort Apollonia), obecnie służący jako muzeum. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>kasteł — właśc. *kasztel*: zamek, warownia. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>Ankobrah — dziś popr.: Ankobra, rzeka w południowej Ghanie. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>sanitarium (ang., z łac.) — sanatorium. [przypis edytorski]

następnie na lewo, posiada główne gmachy Europejczyków, misję katolicką oo. Propagandy lyońskiej<sup>337</sup>, faktorie, hotele (czyli raczej gospody skromne) i bazary. Od czasu do czasu snuły się po niej zapyłone grupy Haussów, przybywających z głębi, tu i ówdzie siedział marabut<sup>338</sup> odmawiający swe sury<sup>339</sup> z Koranu, tam znów z długimi kijami przeciągali jacyś posłowie z Aszanti. Pomiędzy ludem na widok ostatnich zapanowała jakaś agitacja — patrzano na nich, podchodzono ku nim i wskazywano ich palcami.

Za chwil kilka przybyłem przed dom konsula Brun. Kamienne boczne schody prowadziły z ulicy na piętro przez tylną werandę, na której przyjął mnie gospodarz. Po kilku chwilach wzajemnych grzeczności, które jednakże skróciła okoliczność, że pan Brun od lat wielu jest w Afryce, gdzie etykieta staje się bardzo prosta, mowa ściślejsza i więcej węzłowata, poznałem u niego trzech Francuzów, przybyłych także do Elminy, by udać się do Kumassi. Od nich dopiero dowiedziałem się, co się święci dokoła: projekt aszantyjski był nie do wykonania w tych chwilach. Król Mensa, niedawno jeszcze potężny władca w Aszanti, tułał się obecnie po kniejach, by uratować własne swe życie. Wczoraj jeszcze okrutny despota, ścinający dla uroczystości królewskich setki ofiar ludzkich, musiał się dziś obawiać o swą własną głowę.<sup>340</sup>

Tak toczą się koła losów ludzkich!..

Krwawa rewolucja, która właśnie wybuchła w całym królestwie, zmęczonym krwawymi rządami Mensy, straciła go z tronu — wszędzie panowała rzeź jego stronników, żon i dzieci, komunikacja i handel były zerwane, krew lała się po całej ziemi aszantyjskiej, która zresztą od dawna nią przesiąkała. Przy takich okolicznościach naturalnie nie było można nawet myśleć o podróży do Kumassi i biedni trzej Francuzi byli tak samo zawiedzeni jak i my, więcej nawet, gdyż ich celem było wyłącznie Aszanti, podczas gdy ono dla nas było tylko ekskursją, po drodze projektowaną. Postanowiłem więc po zakupieniu świeżych zapasów żywności i wzięciu świeżej wody popłynąć po kilku dniach dalej do Fernando Poo, zbliżając się przez to do celu podróży — stron kameruńskich.

Przed wieczerą miałem honor poznać królewską małżonkę oryginalnego mego gospodarza. Była to wysoka, majestatyczna postać, cery żółtej, jak cała królewska familia w Aszanti. Wyraz twarzy był (jakże dziwnie igrają czasem prawa przyrody) nader łagodny, powolny i przyjemny. Mówiła płynnie po holendersku, angielsku i nieco po francusku, była to przy tym osoba wychowana po europejsku, jednakże nieco za małowówna, prawie milcząca. Dzięki to niej p. Brun<sup>341</sup> doznał w 1881 r. świetnego przyjęcia w Kumassi, na które zwołano wasalów króla Mensy z odległych nawet prowincji, by powitali jego europejskiego krewnego.

Wieczór upłynął bardzo przyjemnie na tarasie wewnętrznym domu. P. Brun opowiadał szczegóły ze swej drogi do Kumassi i pobytu u dworu króla Mensy, ja wzajemnie się streszczeniem naszego pobytu u króla Amatifu. Tak jedno zaś, jak drugie opowiadanie spowodowało pewną wymianę myśli i przypuszczeń, której wynikiem było, że jesteśmy obaj prawie pewni, iż stąd i z Assini prowadzi nowa, nieznaną dotąd droga do Timbaktu, tym bardziej zajmująca, że przerywa ona grzbiet kongski<sup>342</sup>. Na każdym kroku ład afrykański nowe odkrywa problematy i nowe pola do pracy i poszukiwań.

Gdyśmy się rozeszli, było dość późno, postanowiłem więc przenocować na brzegu, w „hotelu”, w którym stali trzej poznani Francuzi. Gospoda ta leżała w niższej, nadbrzeżnej

<sup>337</sup>misję katolicką oo. Propagandy lyońskiej — mowa o placówce założonej przez rzymskokatolickie zgromadzenie misyjne noszące nazwę Stowarzyszenie Misji Afrykańskich, założone w 1856 w Lyonie. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>marabut — muzułmański przywódca religijny i nauczyciel w Afryce Zachodniej, historycznie również w Maroku, Algierii i Tunezji. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>sura — rozdział Koranu, świętej księgi muzułmanów. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>Król Mensa, niedawno jeszcze potężny władca w Aszanti, tułał się obecnie po kniejach... — Król Mensa został zrzucony z tronu przez swych poddanych w lutym 1883 r.; główną przyczyną stała się chciwość jego. Wymyślił on sobie albowiem wygodny sposób zaludnienia swego haremu i zapelniania skarbcza na koszt wpływowych osobistości kraju, a mianowicie kazał takowe po prostu ścinać podczas wielkich uroczystości, konfiskując ich żony i skarby. Tak poświęcił on od 1881 do 1882 roku 400 ksiąząt i dostojników państwa swej fantazji. [przypis autorski]

<sup>341</sup>p. Brun — w chwili, w której zestawiam te notatki, gościnnie Brun przeszło od roku spoczywa w ziemi Złotego Brzegu. Zmarł w Elminie w maju czy kwietniu 1883 r., a więc wkrótce po naszej znajomości. [przypis autorski]

<sup>342</sup>prawie pewni, iż stąd i z Assini prowadzi nowa, nieznaną dotąd droga do Timbaktu... — Poświęciłem temu słów kilka w nr 35 „Wędrowca” z 1883 r. [przypis autorski]

części miasta, zajętej przez liche domki krajowców. Przeszliśmy wszerz ulicy z drzewami i po schodkach zeszli do dolnego miasta. Przy świetle latarki, trzymanej przez Murzyna pana Bruna, mogłem rozróżnić chaotyczne zarysy glinianych lepiarek, około których tu i ówdzie spał na ulicy jakiś zmęczony Fanti. Po kilku dalszych krokach stanęliśmy przed jednym z tych domków — był to ów „hotel”, mający służyć za nocleg. Suchy, wysoki Murzyn, podstarzały i patrzący spod oka, przywitał nas przy wejściu, a poinformowany przez p. Lanchier, jednego z Francuzów, że chcę przenocować, wskazał izdebkę, w której stało coś na kształt łóżka europejskiego. Wyraziłem mu swe zadowolenie i przy pomocy serdecznych mych nowych znajomych znad Sekwany urządziłem pokój i łóżko jako tako do spania. Jednego tylko nie mogliśmy dokonać, tj. zastąpić czym szczelnym nieoszkłone okno, przez które tu w nocy, nie mówiąc już o moskitach i jaszczurkach, jako gościach zwykłych, mogą się zdarzyć różnego rodzaju nawiedzenia.

Następnego dnia złożyłem wizytę komendantowi Elminy. Komendantura znajduje się w zamku San Jorge, którego silną budowę mogłem teraz podziwiać. Żołnierze plemienia Haussa, zajmujący warty i posterunki, byli dzielnie wymusztrowani i czynili dobre wrażenie składnością ruchów. Apartamenty komendanta i oficerów, sala recepcyjna, jak i inne części zabudowań były w dobrym stanie, chociaż fort kilka wieków panował tu nad okolicą, widząc po kolei Portugalczyków, Holendrów i Anglików jako rządzących. Kapitan Dudley, obecny komendant, osobistość nadzwyczaj sympatyczna, przyjął mnie bardzo gościnnie, oprowadzając po wałach, skąd otwierały się malownicze widoki na okolicę, port i miasto. Oczekiwał on prawdopodobnych rozkazów wyruszenia z załogą w głąb kraju nad rzekę Prah<sup>343</sup>, by zapobiec zająsciom, sięgającym dalej, niżby rząd jego mógł dozwolić.

Wreszcie po południu, po rewizycie z zamku na „Łucji-Małgorzacie”, zwiedziłem wraz z częścią towarzyszy miasto i okolicę. Wszędzie na ulicach roztawione były małe bazy, na których znajdowały się świecidełka z Europy poślednich gatunków oraz złote wyroby z Aszanti i okolic, jako to: pierścienie, naszyjniki, szpilki do włosów, bransolety, sprzączki, wreszcie złoty piasek (czasem używany przez krajowych bogaczy do posypywania głowy) i pepity, wplatane przez magnatów w brodę. Ogólne zajęcie wzbudzały pierścienie krajowej roboty ze znakami zodiaku, nader artystycznie odrobione. Główny jednakże rynek na te pierścienie nie znajduje się w Elminie, lecz w miejscowości Accrah, słynnym zarówno z krajowców Accrah (*Accrahmen* Anglików), kształconych przez tamtejszą misję na zdolnych rzemieślników, głównie bednarzy, kucharzy i cieśli.

Ciekawym zabytkiem są stare ruiny pałacu króla Elminy, widocznie wystawionego mu kiedyś w odległych czasach przez Portugalczyków, gdyż struktura murów pozostałych zdradza sposób budowania portugalski. Na wpół zwalone kolumny pokryła roślinność, która też prądem południa wdarła się do wnętrza. Gmach ten był kiedyś otoczony rozległym placem, dziś sprzedano różne części takowego i w sąsiedztwie owych ruin, wspinających nawet w swych szczytkach, powstały nędzne chatki „kolorowych dżentelmenów” dni dzisiejszych.

Niedaleko od ruin, na końcu miasta, zauważyliśmy osadę Haussów. Słońce zachodziło, a jego ostatnie promienie padały na jej brunatnych mieszkańców, którzy siedzieli tu i ówdzie na małych dywanikach, odmawiając wieczorne modlitwy. Lecz wieczór szybko zapadający zmusił nas do powrotu do miasta i znów spędziliśmy wieczór u konsula Brun. Jedno jeszcze zanotować muszę spostrzeżenie, a mianowicie, że cywilizowana czarna ludność Elminy, która uważa się za Holendrów, nie jest zadowolona z rządów Anglików, choć prawdopodobnie jedynie dlatego, że Holandia, będąc przez 200 przeszło lat władczynią Elminy, przyzwyczała ich do swych rządów, sposobów życia i języka. Większa też część ludności mówi po holendersku i dlatego czuje po holendersku; swoją drogą jednakże nie ma prawie nikogo tu, kto by (oprócz części Fantów) nie posiadał również języka angielskiego.

Wielką niedogodnością Elminy dla okrętów żaglowych jest brak wody. Trzeba ją kupować u pewnej „kolorowej lady”, która założyła wielkie murowane cysterny i robi na nich bardzo dobre interesy; cysterny te jednakże są dość daleko od przystani, trzeba więc

<sup>343</sup> *Prah* — dziś popr.: Pra, rzeka w Ghanie, wpadająca do Zat. Gwinejskiej na wsch. od Sekondi-Takoradi; w XIX w. stanowiła granicę pomiędzy Konfederacją Aszanti a Złotym Wybrzeżem. [przypis edytorski]

beczki transportować do nich, a następnie napełnione przetaczać znów nazad przez całe miasto.

Zajął to dwa dni prawie naszej załodze.

Czas w Elminie upłynąłby mimo to nader przyjemnie, gdyby nie febra, spowodowana w Krindzabo, która jeszcze panowała na pokładzie „Łucji”. Tymczasem widząc zawód, jakiego doznali trzej Francuzi w swych planach, zaproponowałem jednemu z nich, dzielnemu p. Lanchier, czyby nie chciał skorzystać z okazji i zwiedzić choć inne strony, do których płyniemy, tj. Fernando Poo i strony kameruńskie, i że w takim razie z przyjemnością powitam go na pokładzie. P. Lanchier przyjął też zaproszenie. Niestety, wycieczka ta nie mogła przedstawić mu wiele chwil przyjemnych, gdyż jak wkrótce zobaczymy, ściągnęły się czarne chmury nad biedną „Łucją-Małgorzatą” w pierwszych zaraz czasach po przybyciu do Kamerunu.

Dn. 6 kwietnia mieliśmy świeże zapasy mniej więcej skompletowane. Woda była też nabrana, odbyłem więc pożegnalne wizyty w zamku u konsula Brun oraz u pozostających towarzyszków p. Lanchiera i sprawdziwszy bieg chronometrów, opuściliśmy brzegi Elminy 7 kwietnia po południu, dążąc do Santy Isabeli<sup>344</sup> na Fernando Poo, przy silniejszym i pomyślniejszym dla nas wietrze.

Szybko pruć „Łucja” fale i gdy zachodzące słońce ozłacało swymi ostatnimi promieniami brzegi i ich osady, mijaliśmy stolicę kolonii, miasto Cape Coast Castle, tak blisko, że było widać pojedyncze budynki i zamki, od których miasto nosi nazwę. Miejsce imponuje swymi silnymi murami i przedstawia centrum rządu kolonii. Stąd też wojska angielskie wyruszyły w r. 1874 do Kumassi, stworzywszy od czasu owej kampanii szeroką drogę prostą, łączącą stolicę kolonii z rezydencją dworu aszantyjskiego. Niestety, mieliśmy ją ominąć jak na teraz i mury zamków Złotego Brzegu zbladły na oddalającym się tle, na którym noc wkrótce rozesała swe cienie.

## ROZDZIAŁ XXII

*Kilka słów o Nigrze. — Dawne o nim pojęcia. — Zbadanie Nigru. — Mungo Park, René Caillé, Lander, Ekspedycja Nigru. — Ostatnie dni żeglugi naszej. — Tornada.*

Droga nasza, która od przylądka Cape Mount w Liberii wiodła wzdłuż brzegu, by o ile możności poznać charakter jego w całości, musiała odtąd odmienić kierunek, gdyż tu zatoka Benin, wrzynająca się w ląd pomiędzy Złotym Brzegiem a ujściami Nigru, posuwa linię lądową na ENE, podczas gdy kurs na Fernando Poo wypada na ESE. Kierunek ten powinien nam być odkryć na chwil kilka na horyzoncie ujścia Nigru, lecz minęliśmy przylądek Formosa w nocy tak, iż nie widzieliśmy sławnej rzeki, której odkrycie trwało przeszło wiek cały i życia ludzkiego niemało kosztowało. Po olbrzymiej rzece Kongo jest to największa arteria handlowa drogą wodną w głąb tego lądu, po której europejskie parowce i kanonierki różnych państw (kursujące dość często dla często zdarzających się potrzeb interwencyjnych) płyną teraz już ponad ujście rzeki Binue<sup>345</sup>.

To zwycięstwo cywilizacji, z którym łączy się szereg podróży i imion, nigdy niezapomnianych ani na falach majestatycznych Rzeki Świętej, ani wśród geografów północy, nie może nam pozwolić, byśmy choć w tym pamiętniku nie poświęcili kilku chwil rzece Niger, chociaż około ujść jej przepłynąć tylko kazała potrzeba białym żaglom naszej „Łucji” bez zatrzymania się. Z rzeką tą albowiem związane są podania i historia całego prawie Sudanu, którego czarni mieszkańcy zachowali dla niej pewną głęboką cześć religijną, a wśród niej snują na tle jej wód mnóstwo przesądów i bajek. Ten, kto by się odważył czerpać wody Nigru z jego źródła, utrzymują, ujrzałby naczynie swe wyrwane z rąk przez niewidzialne siły, przez które straciłby świętokradzkie swe ramię — i długo olbrzymia rzeka drzemiała w cieniu afrykańskiej nocy.

<sup>344</sup>*Santa Isabel* — ob. Malabo, miasto portowe na wyspie Bioko (daw. Fernando Poo) w Zat. Gwinejskiej, stolica Gwinei Równikowej. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*Binue* — dziś popr.: Benue lub Bénoué, rzeka w zach. Afryce, w Kamerunie i Nigerii; główny dopływ Nigru. [przypis edytorski]

Już Herodot<sup>346</sup> daje nam pierwsze wieści o Nigrze, wielkiej rzece Sudanu, twierdząc, iż rzeka ta płynie ze wschodu na zachód i wpada w ocean pomiędzy 10 a 20 stopniem szerokości północnej<sup>347</sup>. Następnie przez długie lata brano Senegal za ujście Nigru i jako identyczny z Nigrem Herodota. Mniemanie to utrzymywało się przez długie lata i było bronione przez wielu geografów. Przeciw niemu jeden z wybitniejszych występował Edrisi, twierdzący, że Senegal i Niger są dwie rzeki odrębne, że każda bierze początek w jednym z dwóch sąsiednich jezior, lecz że jedna płynie na zachód, druga zaś na wschód.

Na mapach ukazało się to twierdzenie jednakże dopiero w roku 1714, a mianowicie na *Mapie świata Delisla*, wydanej owego roku. Mimo to długo jeszcze utrzymywano, że istnieje komunikacja pomiędzy górnym Senegalem a Nigrem — i dopiero sławnej pamięci Mungo Park<sup>348</sup> dowiódł, iż mniemanie to jest mylne. Wysłany w r. 1795 przez Afrykańskie Towarzystwo angielskie dla rozwiązania tego zadania<sup>349</sup>, popłynął podróżnik ten w górę po Gambii i przybył wkrótce do miasta Medina. Opuszczając tam rzekę tę i przechodząc przez Talehme — ramię Senegalu, a następnie przez sam Senegal, dotarł do miejsca Jarzah (czytaj Dzarza), gdzie napotkał na ostatnie ślady nieszczęśliwego majora Houghton, który zamierzając to samo, zginął tu w r. 1791.

Stąd obrał kierunek na południo-wschód i po ciężkich przejściach dotarł do celu, nad Niger, przy miejscowości Sego, stolicy kraju Bambarra. Tu wreszcie ujrzał, czego pragnął: wody Nigru. „Patrząc przed siebie — pisze Mungo Park w swym pamiętniku — ujrzałem wielki cel mej misji, majestatyczny Niger, którego szukałem od tak dawna. Szeroki jak Tamiza przy Westminster, błyszczał on ogniem słońca i płynął powoli na wschód. Pobiegłem do jego brzegu i napiwszy się z jego wód, podniosłem ręce do nieba, składając dzięki Rządzącemu wszechświatem, że uwieńczył me zabiegi zupełnym zwycięstwem”.

Ta podróż Mungo Parka oznajmiła światu, że z tych samych gór, w których biorą początki Senegal, Gambia, Rio Grande i inne płynące do Atlantyku — wypływa Niger jako olbrzymi potok, dający wstępną daleko na wschód w głąb lądu.

By dalej odkryć tę drogę wodną, rozpoczął się cały szereg podróży. Pierwszym był sam Mungo Park, który w r. 1805 na nowo puścił się w drogę, mniej więcej tą samą linią, jaką był obrał w swej pierwszej podróży. 2 października 1805 r. popłynął on z Sego na dół po rzece, niestety więcej z niej nie wrócił. Później dopiero dowiedziano się od krajowców, że spoza Timbaktu przybyli w owym czasie biali z prądem rzeki, lecz zginęli zdradziecko na wodach Dżoliby<sup>350</sup>.

Śmierć Mungo Parka nie wstrzymała innych. Wkrótce potem major Laing<sup>351</sup> dotarł do Timbaktu, do owej tajemnicą okrytej metropolii wewnętrznej Afryki, o której mówi już Leon Afrykanin<sup>352</sup>. Dążył on właśnie z Timbaktu do Europy z bogatymi odkrycia-

<sup>346</sup>Herodot z Halikarnasu (ok. 484-ok. 426 p.n.e.) — historyk grecki, nazywany „ojcem historii”, autor pierwszego zachowanego greckiego dzieła prozą pt. *Dzieje*, opisującego w 9 księgach wojny grecko-perskie oraz zawierającego cenne informacje o geografii, historii, wierzeniach i obyczajach Hellady oraz różnych krajów wchodzących wówczas w skład imperium perskiego, a także ludów ościennych. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>Herodot daje nam pierwsze wieści o Nigrze (...) twierdząc, iż rzeka ta płynie ze wschodu na zachód i wpada w ocean pomiędzy 10 a 20 stopniem szerokości północnej — Herodot przekazuje wiadomość o mieście za pustynią, na zachód od Syrty, zamieszkałym przez ludzi o czarnej skórze, położonym nad „wielką rzeką”, płynącą z zachodu na wschód (!), czyli tak jak płynie Niger, w której widać było krokodyle; niczego nie wie o jej ujściu, przypuszcza natomiast, że rzeka ta stanowi górny odcinek Nilu, którego źródła nie znano (*Dzieje* II 32–33); system współrzędnych geograficznych wynalazł dopiero Eratostenes (276–194 p.n.e.), żyjący 200 lat później. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>Park, Mungo (1771–1806) — szkocki podróżnik, badacz kontynentu afrykańskiego. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>Wysłany w r. 1795 przez Afrykańskie Towarzystwo angielskie dla rozwiązania tego zadania — *Travels in the interior of Africa performed under the direction and patronage of the African Association in the years 1795, 1796 and 1797*. London 1799 in 4-o (3-o edition). [przypis autorski]

<sup>350</sup>na wodach Dżoliby — Jak wiadomo, Niger, znany różnym krajowcom pod różnymi nazwami, jak Tebiem (przy źródłach), Baba, czyli Dżolibab (tj. wielka rzeka), a niżej Timbaktu nosi nazwę Kworra. [przypis autorski]

<sup>351</sup>Laing, Alexander Gordon (1793–1826) — oficer armii brytyjskiej, podróżnik i badacz Afryki Zachodniej; w sierpniu 1826 jako pierwszy Europejczyk dotarł do Timbaktu; został zabity wkrótce po wyruszeniu w drogę powrotną. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>Leo Africanus, właśc. al-Hassan ibn Mubammed al-Wazzan al-Zaiyati (ok. 1494-ok. 1554) — podróżnik i dyplomata arabski podróżujący po Afryce, Europie i Azji; w latach 1512–1514 odbył kilka wypraw do Timbaktu nad rzeką Niger. [przypis edytorski]

mi, gdy wstępując w obszary Sahary, został zabity. Wreszcie René Caillié<sup>353</sup> dotarł do Timbaktu nad Niger w tym miejscu i pierwszy powrócił szczęśliwie z owocami swymi do Europy (1824–1828). Podług niego Niger około Džeime (blisko Timbaktu) ma szerokość Sekwany przy Pont-Neuf w Paryżu (a więc nie tak szeroki jak nasza Wisła między Warszawą a Pragą).

Środkowej części Nigru do dziś dnia w całości nie znamy. Najdalej sięga tu marszruta Bartha<sup>354</sup>, która przecina bieg Nigru przy miejscowości Say. Część jednak pomiędzy Yaurie i Komba nawet na najnowszych mapach Afryki oznaczona jest tylko punktami.

Co do dolnego biegu olbrzymiej rzeki, położyli tu największe zasługi bracia Ryszard i Jan Lander<sup>355</sup>, którzy w roku 1830 zbadali główne ujście, co przy sieci krików, jakie tworzą delty Nigru, nie było łatwym zadaniem, tym bardziej że krajowcy tych delt należą do najbliższych na całym tym brzegu, a ich kula czy strzała spowodowała śmierć Ryszarda Landera, który leży pochowany w Fernando Poo, dokąd płyniemy.

Ważnym rokiem dla eksploracji Nigru jest też 1859, rok działań smutnej pamięci Ekspedycji Nigru (Niger Expedition)<sup>356</sup>, która tyle kosztowała życia ludzkiego. Niestety, przedsięwzięcie to miało za wiele w sobie, jak słusznie zauważył Burton<sup>357</sup>, wpływów i ideałów z Exeter Hall i to było jej zgubą. Niejeden z czytelników będzie się dziwił tym mym opiniom, wypowiedzianym już raz obszerniej; niestety, mogę tylko powiedzieć: „Idź i przekonaj się”.

Oto w krótkości historia odkrycia i zbadania biegu Nigru. Sto lat już się ciągnie ono, a jeszcze nie jest skończone! Afryka niełatwo odkrywa swe tajemnice, tylko po wielkich ofiarach otworzy ona swe drogi, a do chwili, w której odsłoni się zupełnie, wieleż jeszcze zgonów oświeci słońce południa!

Lecz powróćmy na pokład naszego okrętu, gdzie każdego wieczora tej ostatniej dłuższej żeglugi „Łucji-Małgorzaty” zbierało się całe grono jej mieszkańców do wspólnej gawędy. Czym bliżej byliśmy kresu żeglugi, tym niecierpliwiej wyglądano lądu — nie wiedzieliśmy, niestety, wiele złego miało nas spotkać na nim zaraz na wstępie! Dzięki ci, Opatrzności przeczarna, która zakrywasz przyszłość przed oczami śmiertelnych!

Pogoda była zmienna, jak zwykle w czasie tornadów. Często panowała cisza na morzu zupełna. Żagle obwisły, linami nawet nie poruszała fala kołysząca, morze, okręt i załoga zdawały się uśpione. Tak 8 kwietnia nie odbyliśmy więcej nad mil kilkanaście. W dniach następnych, dziewiątego i dziesiątego, letarg natury stał się jeszcze bardziej martwy, nastąpił zupełny *calm plat*, podczas gdy gorąco stało się nadzwyczajne. „Łucja” stała na miejscu. Wreszcie jedenastego zawiął lekki, stały wietrzyk, lecz jakże stały! Jak wszystko na południu (a czasem i na północy) na 24 godziny. Dwunastego nad ranem zawarczało w linach, „Łucja” zaczęła pędzić jak szalona, morze zaszumiło złowrogo, a gdy wyszedł na pokład, zastałem horyzont czarny, groźny, straszny. „Tornado” — rzekłem do przechodzącego po pokładzie wicekapitana Boutes i za chwil kilka zawył huragan z taką siłą, że wszystko drżało w przyrodzie. Zapanowała prawie zupełna ciemność dokoła — maszty zdawały się nie wytrzymywać dłużej szamotania i parcia wichru, podczas gdy bałwany, jak pijana zgraja średniowiecznych najemników zdobywających mury nieprzyjawnego miasta, wdrapywały się na pokład i wpadały do kajut. Wkrótce żywiły doszły

<sup>353</sup> Caillié, René (1799–1838) — francuski podróżnik i odkrywca, badacz Afryki Zachodniej; w 1828 jako pierwszy Europejczyk dotarł do Timbaktu i powrócił do Europy z opisem. [przypis edytorski]

<sup>354</sup> Barth, Heinrich (1821–1865) — niemiecki podróżnik, badacz Afryki i uczonej; podczas pięcioletniej podróży (1850–1855) badał wnętrza Afryki, dokumentując miejscowe kultury. [przypis edytorski]

<sup>355</sup> Lander, Richard (1804–1834) oraz jego brat John Lander (1806–1839) — brytyjscy badacze Afryki Zachodniej, pierwsi Europejczycy, którzy podążyli biegiem rzeki Niger i odkryli, że prowadzi ona do Atlantyku. [przypis edytorski]

<sup>356</sup> 1859, rok działań smutnej pamięci Ekspedycji Nigru (Niger Expedition) — być może chodzi jednak o znaną brytyjską wyprawę do Nigru z lat 1841–1842, noszącą oficjalną nazwę Afrykańska Ekspedycja Kolonizacyjna. Została zapoczątkowana 1 czerwca 1840 na wielkim zebraniu Stowarzyszenia na rzecz Likwidacji Handlu Niewolnikami i Ucywilizowania Afryki w Exeter Hall, pod przewodnictwem księcia Alberta. Miała na celu zawarcie traktatów z miejscowymi ludami, wprowadzenie chrześcijaństwa i promowanie zwiększenia handlu. W sponsorowanej przez rząd wyprawie na trzech parowcach wzięło udział 150 osób, z czego 130 zachorowało na febrę, 42 zmarły, co spowodowało, że dowódcy statków przerwali ekspedycję. [przypis edytorski]

<sup>357</sup> Burton, Richard Francis (1821–1890) — brytyjski oficer, dyplomata i podróżnik; w 1861 jako pierwszy zdobył główny szczyt masywu Kamerun. [przypis edytorski]

do apogeji<sup>358</sup> w swej walce; pioruny uderzały po piorunach, grzmoty i błyskawice ściągały się nawzajem. Wreszcie zaszumiała gwałtowna tropikalna ulewa. Lecz w niej też powoli słabły grzmotów tony i przechodząc powoli w *diminuendo*<sup>359</sup>, ustały około południa, ukazując znów niebo z wypogodzonym obliczem.

Jeszcze trzy dni żeglugi, a byliśmy u celu.

## ROZDZIAŁ XXIII

*Wycieczki po wyspie. — Obfitość owoców i inne cechy kraju. — Dżyg. — Różne klasy ludności na Fernando Poo: Bubisi, kolorowe obywatelstwo, Kubańscy i biali. — Plantacje kakao.*

Pierwszych zaraz dni pobytu na pięknej wyspie użyliśmy na zwiedzenie jej północnych brzegów, poprzerynanych licznymi malowniczymi zatoczkami, pomiędzy którymi pierwsze miejsca zajmują: Gravina, uroczą Baya de Venus, Baya San Nicolao i Zatoka Horacjusza.

Codziennie ze wschodem słońca odbijała jedna z naszych szalup od burtu okrętu i po porannej morskiej kąpeli odbywaliśmy owe ekskursje, lądując w licznych punktach, a zawsze żywo ujęci czarami tej przyrody wspaniałej, której siła bez granic w zdumienie wprowadza przybysza.

Tu i ówdzie tylko rysowały się jaśniejsze odcienie drobnych plantacji kakao, należących do czarnych właścicieli; resztę brzegów pokazywał jeden ciemny bukiet lasów. Podczas gdyśmy zwiedzali cieniste ich obszary, posyłałem majtków do skał po ostrygi, których pewne miejsca, głównie zaś wysepki Enrique dostarczają wielką ilość, lub zarzucano sieci, a gęszcze zatoczki niejednokrotnie wyposażały stół okrętowy różnorodnymi owocami, w które obfituje w ogóle Fernando Poo.

Znajdujemy tu wszystkie prawie gatunki Zatoki Gwinejskiej: ananasy, banany, plantany, pomarańcze, mandaryny, cytryny, gujawy<sup>360</sup>, anony<sup>361</sup>, owoc chlebowy, masło roślinne, papaje. Brak tylko wyspie kokosów, co jest tym więcej zastanawiające, że sąsiednie wyspy, Principe i São Tomé, obfitują w takowe. Tylko na plantacjach znajdują się tu te palmy błogosławione, których drogocenne własności poznałem później dopiero, jak pokaże druga część opisu podróży.

Fauna jest tu mniej rozmaita. Zwierząt drapieżnych nie posiada wyspa wcale, na skłonach jej gór możemy najwyżej upolować, oprócz ptactwa, małpę lub antylopę, krajowcy łapią niekiedy jeszcze wiewiórki lub węże mniejsze. Płazów i owadów tu zresztą wszędzie pełno; pomiędzy tamtymi napotykałyśmy głównie przeróżnych odcieni jaszczurki i kameleony, wśród tych zaś mrówki czarne i białe, w końcu moskity — konieczne i znane zło stron gorących.

Tu musimy się też zapoznać z plagą rozpowszechnioną od kilkunastu lat w całej Zatoce Gwinejskiej, a sięgającą już w dalekie głębie lądu. Każdy Europejczyk, który przez dłuższy czas przebywał w tych stronach, zapoznać się z nią musiał. Jest to pasożyt, zwany przez Anglików „jigger”, „chique”, przez Francuzów „chigoe”, przez Portugalczyków, czyli podług naukowej nazwy: *Sarcophylla penetrans*<sup>362</sup>. Drobnutki „dżyg”, jak nazywaliśmy go zwykle po polsku, wgrzyza się niepostrzeżenie w nogę, najczęściej w palce u nóg, gdzie sprawia z początku lekkie swędzenie. Zauważa się wtedy drobny, ciemny punkcik, który wkrótce się powiększa i tworzy się wypukłość, dochodząca do ziarenka grochu, a sprawiająca stopniowo ból coraz większy. Pasożyt albowiem otoczył się wtedy już, wgrzyzając się coraz głębiej pęcherzem, zawierającym liczne jaja, które przedstawiają się jako śliska, lepiała się materia, jątrząca niezmiernie ciało w zagrożonym miejscu, tj. naokoło jamki robaka. Zaniedbanie takiego dżyga, tj. dopuszczenie złożonych jaj do rozwinięcia się w oddzielne dżygi, może spowodować amputację dotkniętego członka.

Choroba

<sup>358</sup>apogea — dziś popr.: apogeu (ndm), szczytowy punkt, osiągnięcie wartości maksymalnej jakiegoś procesu. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>diminuendo (wl., muz.) — stopniowe zmniejszanie siły dźwięku, ściszenie. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>gujawa — grusza, roślina tropikalna o okrągłych lub gruszkowatych owocach, mających silny, charakterystyczny zapach. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>anony — owoce tropikalnego flaszowca (łac. *Annona*). [przypis edytorski]

<sup>362</sup>*Sarcophylla penetrans* (biol.) — pchła piaskowa, gatunek pchły spotykany w tropikalnych i subtropikalnych rejonach Ameryki i Afryki. [przypis edytorski]



Wyjęcie go zaś zaraz w początku nie przedstawia żadnych dolegliwości i dokonywa się drewnikiem lub szpilką. Idzie tylko o to, by doznawszy owego swędzenia, wiedzieć, co ono znaczy, i zaraz wykorzenieć zło w zaczątku, czego najczęściej dokonywa czarny służący. Europejczyk niechący narażać się na cierpienia spowodowane przez dżygi powinien w ogóle z jednym z czarnych swych służących odbywać co wieczór przegląd nóg, gdyż takowy nie przepuści nigdy dobrze znanego mu ciemnego punkcika, tj. pojawiającego się dżyga<sup>363</sup>.

Plaga ta nie jest początkowo afrykańska, sprowadził ją okręt przybywający kilkanaście lat temu z Brazylii, wyrzucając swój balast — piasek, który zawierał niemiłych przybyszów, w bliskości miejsca Fernao Vaz. Odtąd dżyg rozpowszechnił się z zastraszającą szybkością po całym brzegu Zatoki Gwinejskiej.

Co do klimatu, wyrobiono wyspie Fernando Poo w Europie tak niesłuszną reputację, że w chwili przybycia sądziliśmy, iż to jeden z najniezdrowszych punktów tych stron. Jakże jednak zmieniła się moja opinia pod tym względem następnie, po licznych i częstokroć długich tu pobytach. Tak Góry Kameruńskie, jak i Fernando Poo powinny już od dawna być sanitarnymi strefami dla całego zachodniego brzegu Afryki. O stosunkach klimatycznych tutejszych pomówimy zresztą później w swoim czasie, gdy dobrze poznamy wyspę; pozostawię to więc również do drugiej części tego opisu.

Przypatrzmy się tymczasem teraźniejszemu życiu tej kolonii, drobnej jeszcze i nieznacznej co prawda, lecz mającej bezwarunkowo wielką przyszłość przed sobą.

W chwili naszego przybycia do Fernando Poo ludność tej wyspy składała się z czterech głównie żywiołów:

Pierwszy, najliczniejszy, stanowili i stanowią dzicy krajowcy — Bubisi<sup>364</sup>, w liczbie mniej więcej 30 000. Rozproszeni po lasach i skłonach gór, przychodzą oni do Santy Isabeli tylko w nielicznych gromadkach, przynosząc kalabasy z olejem palmowym, orzechy palmowe oraz drób (kury przeważnie) i zamieniając te produkty na towary europejskie w miejscowych faktoriach. W życiu zaś społecznym wyspy stanowią oni odrębną, nieprzystępną dla innych całość, niepragnącą mieć żadnej styczności ze światem cywilizowanym (do którego Bubisi czują po prostu wstręt), prócz owych niezbędnych stosunków handlowych przy zamianie produktów.

Zadną miarą nie można Bubisów zmusić do pracy, choćby za wysokie wynagrodzenie. Wyrabiają oni w gąszczu swój olej, polują i hodują swój jams, lecz do innego zajęcia, do jakiegokolwiek pracy w służbie innych, do zgodzenia się np. na plantacje nikt ich skłonić nie zdoła.

Po dwóch latach dopiero, po częstych odwiedzinach wyspy i jej lasów, mogłem bliżej nieco poznać tryb życia i obyczaje tajemniczego tego plemienia, obyczaje tak dziwne i odrębne od innych szczepów sąsiedniego lądu, że w drugiej części podróży dłużej zatrzymam się przy Bubisach.

Drugą pod względem ilości klasę mieszkańców stanowi czarne obywatelstwo „cywilizowane” (najczęściej tylko w porównaniu z krajowcami), reprezentujące drobny handel, mniejsze plantacje oraz, choć w słabym jeszcze stopniu, rzemiosła.

Ludność ta, która się wytworzyła z potomków oswobodzonych dawniej i osiedlonych tu, jak wspominałem wyżej, niewolników, przedstawia mieszczaństwo Santy Isabeli i nie jest liczniejsza nad 1500–1800 dusz. Ponieważ rodzice ich przesiedleni zostali przez Anglików i przez długi czas pozostawali pod wpływem i rządami angielskich misjonarzy, więc też dzisiejsi przedstawiciele tej klasy mówią po angielsku, najczęściej żargonem kolonialnym. Uważają język ten za swój ojczysty i zachowują zwyczaje przeważnie angielskie, częstokroć sparodiowane, a zawsze prawie nacechowane brakiem zamiłowania do czystości i ścisłości. Kolorowi ci obywatele są przeważnie protestantami, należąc zwykle do jakiegokolwiek z wegetujących wszędzie w koloniach przeróżnych sekt angielskich.

<sup>363</sup>Europejczyk niechący narażać się na cierpienia spowodowane przez dżygi powinien (...) odbywać co wieczór przegląd nóg... — Jeżeli dżyg już się otoczył pęcherzykiem zawierającym jaja, wtedy po wyjęciu pasożyta należy starannie wycisnąć jamkę pozostałą, a najlepiej wysmarować ją naftą i zasypać popiołem od cygara, przedmiotami nietrudnymi zwykle do osiągnięcia. [przypis autorski]

<sup>364</sup>Bubisi — Bubi, grupa etniczna ze Środkowej Afryki, zamieszkująca wyspę Bioko (daw. Fernando Poo). [przypis edytorski]

W ostatnich jednakże czasach rząd hiszpański zaczął pilniej śledzić za owymi mijsjami, pragnąc mieć w swych koloniach ludność uważającą się za hiszpańską, nie zaś angielską. Zaczyna się takowa też już przekształcać i w niedalekiej przyszłości będziemy prawdopodobnie widzieli na miejscu pp. Johnsonów, Davisów etc. jakiego Don Diega X., Don Pedra Y. lub Don Pabla Z., co się zresztą kolorowym bardzo podoba. Szumne nazwisko albowiem oddziaływa niezmiernie na wyobraźnię kolorowego dżentelmena: niejednokrotnie napotyka podróżnik pomiędzy nimi: pp. Walterów Scottów Miltonów, Szekspirów, Beaconsfieldów lub Diazów da Cunha, markizów de Cintra itp.

Trudniej będzie z kobietami, które są pod tym względem zwykle najważniejszym czynnikiem — i jeżeli rząd hiszpański chce jak najprędzej dopiąć swego celu, niechaj posłucha tej rady: niech sprowadzi do Fernando Poo kilkadziesiąt kolorowych przedstawicielek płci pięknej, mówiących wyłącznie po hiszpańsku lub choć po portugalsku, co bynajmniej nie byłoby trudne, i śledzi za postępami. „*L'effet sera merveilleux*”<sup>365</sup> — odparł mi na to pewien Francuz, znający dobrze tamtejsze stosunki, i na pewno miał rację.

Zajęciem tej klasy ludności jest przeważnie skupywanie oleju od Bubisów i sprzedawanie takowego bądź do faktorii, bądź wprost do Europy. W tym celu niejednokrotnie cała rodzina wyrusza z różnymi towarami do gąszczu, do osad Bubisów, przebywa tam przez kilka lub kilkanaście dni i powraca z nabytym olejem do Santy Isabeli. Celują w tym skupywaniu przede wszystkim kobiety.

Kawalkada tego rodzaju wygląda niejednokrotnie bardzo oryginalnie. Do starej, obszernej i zwykle nieporządnie utrzymywanej łodzi wciska się pomiędzy niezliczone mnóstwo pudeł, skrzyń i pak cała kolekcja członków wybierającej się w drogę rodziny i domowników: sama „coloured lady”, najczęściej bardzo słusznej tuszy, kilka innych „dam” w powiewnych długich spódnicach, sporządzonych na wyrost, gdyż „damy” te mają te same inklinacje zaokrąglania swej śmiertelnej powłoki, kilku chłopców w wytartych ubraniach i kapeluszach, wreszcie pół tuzina piszczących Murzyniątek. Wszystko mieści się, gdzie może, na pakach lub pomiędzy nimi, i żywo gestykulując, odpływa całe towarzystwo do tego lub owego punktu wyspy, skąd prowadzi najbliższa droga do osady Bubisów obranej jako miejsce zamiany.

Niektórzy z tych czarnych dżentelmenów posiadają własne drobne faktorie, właściwie sklepiki tylko; inni znów farmy, małe plantacje, na których hodują przeważnie: kakao, kawę, oprócz jamsu *coco* i batatów.

Nie wszyscy jednakże z nich zajmują podrzędne stanowiska. Jest tu kilku czarnych plantatorów o bardzo znacznych obrotach handlowych. W zatoce San Carlos np., na zachodnim brzegu wyspy, leżą plantacje niejakiego Vivoura, czarnego właściciela, który zaczął swe interesy kilkanaście lat temu z kilkoma dolarami w kieszeni, dziś zaś jest on nababem wyspy, posiadając milionowy majątek — rozległe pola kakao, kawy, tytoniu, trzciny cukrowej i kilka własnych faktorii.

Pod względem rzemiosł przedstawia owa klasa ludności jeszcze niewiele ruchu. Santa Isabel posiada pomiędzy nimi kilku cieśli, stolarzy, ślusarzy, kilku krawców, szewka jednego. Oprócz tego nic lub niewiele więcej.

Trzecią kategorię ludności stanowią wspomniani deportowani powstańcy z wyspy Kuby, czarni i Mulaci, w liczbie 150–180. Są oni tu wolni zupełnie, wzbroniono im jedynie opuszczać wyspę do chwili oczekiwanej przez nich ustawicznie amnestii. Rząd wydaje im nawet tygodniowe porcje żywności, przez co zresztą pobudzał bezwiednie część Kubańczyków do lenistwa.

Mimo to jednakże rozpoczął się z ich przybyciem, jak nadmieniałem w ostatnim rozdziale, właściwy ruch plantatorski na wyspie i powstały pierwsze plantacje tytoniu. Odpowiadało to poniekąd nadziejom, jakie rząd hiszpański pokładał w przesiedleniu pewnej liczby Kubańczyków do tej kolonii. Był to w ogóle dawny plan władzy, a powstania na Kubie dostarczyły materiału i wytworzyły oficjalny powód do przymusowego przesiedlenia. Pobyt wygnańców na Fernando Poo dodał wyspie również więcej żywiołu i cech hiszpańskich, tak upragnionych przez rząd.

Pod względem inteligencji należeli ci Kubańczycy do najróżniejszych warstw swego społeczeństwa. Jedni mieli własne plantacje lub posady, bądź rządowe, bądź prywatne —

<sup>365</sup>*L'effet sera merveilleux* (fr.) — Rezultat będzie wspaniały. [przypis edytorski]

ci zajmowali lepsze domki Santy Isabeli. Inni znów pracowali jako robotnicy na polach lub wyrabiali cygara, mieszkając w nędznych chatkach, czyli raczej szałasach, zbudowanych z gałęzi bambusów i liści palmowych.

Niejednokrotnie, gdy upał całodzienny ustąpił miejsca wieczornemu chładowi, powiodła mnie droga za miasto, ku tym chatom, w których często i chętnie przebywałem. Ostre, szare ich dachy spostrzec można było z daleka wśród bananów, kasawy<sup>366</sup> i grządek tytoniu, a zwykle „*Buenas tardes, señor*”<sup>367</sup> zapraszało wejść do ich wnętrza i pogawędzić z mieszkańcami. Główną część tego wnętrza zajmował zwykle przygotowany zapas schnącego tytoniu, wiszący dokoła na ścianach i zapełniający cały kąt wysokiego dachu, na wilgotnej ziemi zaś stał stary, brudny tapczan, skrzynia, zawierająca nieliczne ruchomości gospodarza, a służąca równocześnie za stół, na niej stara blaszanka od sardynek napelniona olejem palmowym i przedstawiająca przy pomocy skręconego z czegośkolwiek knota — lampę; kilka kur dreptających dokoła i wygasłe ognisko z kociołkiem — oto prawie i cała chudoba wygnańca!

Dziwny czułem czasem pociąg do tych ludzi, a sympatia nasza była zdaje się wzajemna. Często wynurzali mi oni tu swe smutki i żale, a wśród tych postaci nieokrzesanych, zdziczałych niejednokrotnie i namiętnych taka nurtowała w głębiach dusz miłość i tęsknota do kraju zamkniętego dla nich i oddalonego tysiącami mil, że niejednokrotnie czułem się głęboko poruszony i następowały chwile, w których słowa są głuche. Milczałem też wtedy, przysłuchując się dalszemu ich opowiadaniu. Kubańscy zaś czuli, że to milczenie więcej im znaczyło niż zwykle: „*Esperanza, amigos, esperanza!*”<sup>368</sup> podawane im często przez innych. W tych gawędach wieczornych poznałem niejednego rys z ich życia i bytu — mogę powiedzieć niejako historię Murzynów w Ameryce — a gdy zapadała noc i czas mi było wracać do domu, żegnali mnie tak serdecznym „*Gracia, señor!*”<sup>369</sup>, jak gdyby to trochę uczucia było dla nich już wilią powrotu do ojczyzny.

Była to jednakże, mimo to, garść ludzi gwałtownych i burzliwych najczęściej.

Po tych wieczorach smutku i tęsknoty następowały inne, zupełnie odmienne i nietrudne do pojęcia. Wtedy czara uczuć wrzących w sercu zaszumiła i jak z wulkanu wybuchwały dzikie namiętności. Przy tańcach i szklance nietrudno im było porwać się do noża i zamiast cichej, skarg pełnej gawędy w chacie za miastem zaharcowały w *tiendzie*<sup>370</sup> niedzielnej inne instynkty — rozbijało do szału, instynkty pragnące rumu, krwi, nieładu i wrzawy. Komisarz policji bywał wtedy bezsilny.

Inną ujemną stroną osiedlenia Kubańczyków na wyspie Fernando Poo była ta okoliczność, że przybyli oni sami, tj. bez żon i rodzin. Brakowi temu zaradzali jak mogli, naturalnie na niekorzyść małżonków i ojców kolorowych dam Santy Isabeli, co sprawiło, że zapatrywania się matrymonialne tych ostatnich stawały się coraz bardziej elastyczne, a wreszcie wyswobodziły się zupełnie spod jarzma wszelkiego niedogodnego porządku rzeczy, dopasowując się do upodobań chwili. Za pierwszymi przykładami pospieszyła też niebawem cała młoda kolorowa generacja.

Przy opisie częstszych i późniejszych odwiedzin wyspy Fernando Poo, poznamy oryginalne zaiste sceny z życia domowego i rodzinnego, obserwowane wśród kolorowego obywatelstwa.

Arystokrację wreszcie miejscową stanowią biali, w chwili naszego przybycia bardzo jeszcze nieliczni. Oprócz gubernatora, kilku oficerów i urzędników oraz załogi z pontonu „Trinidad”, było wtedy w Fernando Poo ogółem ośmiu białych, a mianowicie: trzech agentów angielskiej faktorii, należącej do firmy John Halt et Comp. z Liverpoolu, dobry nasz przyjaciel Jeronimo Lopez, którego wkrótce poznamy na pięknej jego plantacji, agent domu A. Gazulla z Walencji, proboszcz miejscowy, oraz angielski misjonarz z żoną, jedyną białą kobietą na wyspie. Europejczyków tych jednakże podróżnik rzadko spotyka na ulicach, jak zresztą wszędzie w koloniach podzwrotnikowych. Upał całodzienny zatrzymuje ich w domach, dopiero wieczorem, około szóstej, odbywa białe towarzystwo

<sup>366</sup> *kasawa* (hiszp. *casava*) — maniok (*Manihot esculenta*), tropikalna roślina uprawna, której bulwy można przerobić na mączkę. [przypis edytorski]

<sup>367</sup> *Buenas tardes, señor* (hiszp.) — Dobry wieczór panu. [przypis edytorski]

<sup>368</sup> *Esperanza, amigos, esperanza!* (hiszp.) — Nadziei, przyjaciele, nadziei! [przypis edytorski]

<sup>369</sup> *Gracia, señor* (hiszp.) — Dziękuję panu. [przypis edytorski]

<sup>370</sup> *tienda* (hiszp.) — sklep; namiot. [przypis edytorski]

swe spaceru, a z nim wybitniejsi i ambitniejsi reprezentanci kolorowego obywatelstwa, starającego się zwykle kopiować mniej lub więcej skrupulatnie ruchy i zwyczaje Europejczyków.

Spaceru te odbywają się najczęściej za miasto, ku mostowi nad Rio del Consul, lub po pięknych cienistych alejach, ciągnących się przez kilka kilometrów i należących do najpiękniejszej plantacji, aczkolwiek wtedy bardzo zaniedbanej, plantacji pp. Gazulla et Comp.

Mówiąc o plantacjach, nie mogę nie nadmienić, że stanowią one (głównie zaś plantacje kakao) coraz większą ponętę tak dla białych, jak również dla cywilizowanych czarnych. Jest to albowiem przedsięwzięcie zupełnie pewne, a dające niezmierne zyski, wynoszące przeciętnie 50–100%.

Wyspy Fernando Poo, São Tomé i Príncipe są głównymi i jedynymi prawie dotychczas punktami eksportującymi kakao w Zatoce Gwinejskiej. Dziwna ta roślina, której owoce w kształcie niewielkich melonów nie wyrastają z gałęzi, lecz z pnia, częstokroć obwieszonych nimi, znalazła sobie tu grunt odpowiedni i prosperuje w zupełności.

Urządzenie plantacji kakao jest zupełnie analogiczne z urządzeniem plantacji kawy. Podczas gdy kawa jednakże wymaga wiele pracy ręcznej przy oczyszczaniu ziarn, zbieranie kakao, przeciwnie, odbywa się bez wszelkich prawie zachodów. Robotnicy odrywają od pnia dojrzałe melony, łamią je, wyrzucają ziarna na maty do osuszenia, a następnie, gdy takowe nastąpiło, zbierają je w workach, zawierających 100 funtów każdy, a cenionych na rynku w Liverpoolu po 60–70 szylingów (30–35 rs.).

Kwadratowy kilometr zasadzony drzewami kakaowymi (dającymi pierwsze plony po trzech latach), zawiera zwykle 250 000 roślin. Przypuśćmy więc, biorąc wyjątkowo złe warunki, że jedno drzewko daje tylko 1 franka dochodu w przeciągu roku: otrzymamy z tego wcale pokazałą sumę 250 000 fr., w której koszta wynoszą zaledwie 1/5 część, stąd 200 000 fr. czystego dochodu.

„W takim razie — odpowie sceptyk — wszyscy plantowaliby kakao”.

„Zapewne — muszę zauważyć — lecz okoliczność, że klimat zabierze 50% z tych wszystkich, rzuca najczęściej strumień zimnej wody na plantatorskie zapały Europejczyków w tych stronach”.

## ROZDZIAŁ XXIV

*Wycieczka do Basiléh. — Okolice w świetle porannego słońca. — Nad kaskadą. — Dumania. — Polskie pieśni u stóp Clarence Piku. — Dalsza droga. — Plantacja. — Albinos. — Owoce pracy p. Lopeza. — Powrót do miasta. — Zaproszenie na wieczór. — Bohater zgiełków. — Przygotowania do niezwykłej wyprawy.*

Północne strony górzyściej tej wyspy, które zajmują Bubisi miast: Robola, Bassupu, Banapa i Basiléh, niby oddzielne kraiki, mające każde swego naczelnika, czyli *kokoroko*, zaczynają niedaleko za miastem łagodnie się podnosić i w wysokości mniej więcej 1200 stóp, o jakie trzy godziny drogi od Santy Isabeli, leży plantacja założona przez p. Montes de Occa, byłego gubernatora wyspy, i p. Jeronima Lopeza oraz niewielka willa rządowa, służąca jako stacja sanitarna. Miejsce to nazwali Basiléh (nie Basilea, podług imienia Bazyli, jak przypuszcza wielu mylnie). Nazywa się ono tak dlatego, że należało ono i leży w terenie Bubisów z Basiléh. Tam zaproponował nam nasz przyjaciel z Fernando Poo, Antonio Borges, odbyć wycieczkę, gdyż p. Jeronimo Lopez był dobrym jego znajomym i wiedział o naszym przybyciu.

Zabrawszy więc z sobą Luisa, Krumana, wyruszyliśmy bez przewodnika, gdyż droga prowadzi prostą linią do miejsca, by poznać nieco góry tutejsze i zwiedzić plantacje pana Lopeza.

Słońce stało jeszcze nisko, a nad okolicą leżała parna, mglista powłoka, gdyśmy, mijając plantacje Kubańczyków i witani przez ich liczne: „*Buenos dias!*”<sup>371</sup>, przeszli przez Rio del Consul, zapuścili się w zielone gąszcze. Droga była, jak wszędzie w Afryce, wąską, wydeptaną przez chodzących po niej Bubisów ścieżynką. Jakże zresztą można było liczyć

<sup>371</sup> *Buenos dias* (hiszp.) — Dzień dobry. [przypis edytorski]

na lepszą wtedy na Fernando Poo, gdy nawet w mieście ulice były chwastem porośnięte, przez które w pośrodku prowadziła wąska ścieżka, podczas pory deszczowej tak wydeptana, że w powstałych dołkach ciągnęły się długotrwałe kałuże i błota. Jednakże piękność krajobrazów i przyrody tutejszej kazała nam zapomnieć, gdyśmy byli poza obrębem miasta, o niedbalstwie ludzi i pełnymi piersiami oddychaliśmy na swobodzie, dążąc naprzód szybkim krokiem. Zwykle wolna przyroda, powietrze i obszary dziewiczych lasów, ujmują naturę człowieczą, splaszają troskę z czoła, uspakajają umysł i nawet rany duszy chroniczne już i zastarzałe mniej bolą na chwilę. Poczucie piękna jest silnym, potężnym tchnieniem w duszy ludzkiej. Prawda, że ci, którzy najsilniej je w sobie czują i najpełniej mu się poddają, najczęściej częstokroć za to cierpią lub też w nim jedynie znajdują ulgę wśród ciosów życia — przecucia nieśmiertelnego wśród rysów śmiertelnych.

Zaden głos ludzki nie mącił tego spokoju, tylko szmery odwiecznych olbrzymów leśnych, wrzask papug i świergot ptactwa mniejszego dodawał życia pełnej piękna scenarii. Od czasu do czasu wabił nas szum kaskady, a gdyśmy, opuszczając drogę na chwilę, podążyli za zapraszającym jej głosem, ujrzelśmy się wśród bazaltowych głazów i grot, pomiędzy którymi srebrny, kryształowy potok, igrając z promieniami porannego słońca, wił się w zgrabnych flory ramionach, jakby w uścisku uroczej bogini.

Pozostawiając towarzyszków odpoczywających na jednym z głazów przy strumyku, puściłem się po nim pod górę, przeskakując ze skały na skałę, dopóki odstęp wysoki, z którego nowa spadała kaskada, dalszej nie zagroził mi drogi. Roślinność pokryła tu szemrzące wody, ściśnięte w wąskiej otchłani skał zielonym sklepieniem, a przyjemny, orzeźwiający chłód razem z półmrokiem panującym dokoła wstrzymał me kroki. Oparty o *sabhę* Bubisów, stanąłem, by nasycić oko! Taka być musiała ojczyzna rusalek, gdy się kąpały w czystych źródłach wymarzonego raj. Szczęśliwa kraino! Jakżeś urocza w dziewiczym twym połysku, z nieskażonym piętnem boskości na czole. Dnie twe płyną spokojnie jak jasne, przezroczyste twe wody — i jeszcze potężna i wielka, panujesz nad stworzeń koroną. Panuj, panuj, wspaniała Maharani<sup>372</sup>. Nie ufaj owej koronie stworzeń i spoglądając dumnym twym okiem na nieudolne ich dzieła, u stóp twych leżące, odwróć się z pogardą, gdzie on, człowiek, panuje — tam sny twe przerwane, tam wieje brudami i chłodem.

Czas jednakże w dalszą drogę! Zadumany powróciłem na dół do towarzyszków, którzy już na mnie czekali, i dalej ruszyliśmy pod górę, na której skłonach wkrótce rozległy się nasze pieśni. Po raz pierwszy może słyszało Fernando Poo dźwięki mistrzów i ludu znad Wisły, z dalekiej sarmackiej ziemi, i dumki<sup>373</sup> ukraińskie, a może po raz pierwszy też polska stopa stąpała po tym kraju. Zresztą kto wie! Z nieszczęśliwej naszej ojczyzny tyłu wyszło pielgrzymów w tym wieku, że wszędzie napotkać ich można, na lądzie i morzu. Słońce tymczasem postąpiło także naprzód w dziennym swym biegu i coraz gorętszymi promieniami zaczęło nam towarzyszyć, lecz strumyków znajdowała się po drodze taka ilość, że co chwila przedstawiał się odpoczynek i kryształowej wody czara, zaimprovizowana z liścia leśnego.

Droga jednakże w drugiej połowie stała się więcej stroma, gdyż odtąd właściwie byliśmy dopiero na skłonie gór, przeszedłszy dolny pas, który niby zielona platforma okala wewnętrzną górzystą masę wyspy. Ścieżki, dążące w różnych kierunkach, świadczyły o bliskości osad Bubisów i sprawiły, że w jednym miejscu zaczęliśmy jednak żałować, żeśmy nie wzięli przewodnika, gdyż się tu rozchodziły i nie wiadomo było, czy puścić się prawą, czy lewą. Poszedłem więc w kierunku, w którym zdawały się leżeć wioski, by spotkać jakiego krajowca i dowiedzieć się, która z drózek prowadzi do plantacji. Wkrótce też napotkałem przy strumyku kobietę Bubisów nabierającą wodę w duże gliniane naczynie. Na widok cudzoziemca Afrykanka trwożliwie rzuciła garnek i oparła się o drzewo. „Szczególne mam szczęście przestraszać pleć piękną tutejszych krajowców” — pomyślałem i starałem się jej wytłumaczyć, że idzie mi wyłącznie o drogę do Basileh. Porozumiałem się, głównie mimiką i powtarzaniem nazwy miejsca, do któregośmy dążyli, uspokoiłem wreszcie zatrwożoną piękność, niezbyt zresztą pociągającej powierzchowno-

<sup>372</sup>*maharani* (sanskryt) — królowa lub żona maharadży (króla w Indiach). [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*dumka* — ludowa pieśń ukraińska w formie ballady. [przypis edytorski]

ści, gdyż była pomazana czerwonawą pomadą roślinną, *tolą*, i w końcu wskazała ręką na lewo, oddalając się szybko w przeciwną stronę.

Po godzinie dalszej drogi stanęliśmy wreszcie, odgarniając zarośla to z jednej, to z drugiej strony, przed otwartym terenem, zaplantowanym regularnie drzewkami. Kilkunastu Krumanów pracowało nad oczyszczeniem dalszego gruntu, a pomiędzy nimi stał jegomość barczysty w kapeluszu o szerokich polach. Był to gospodarz plantacji, Don Jeronimo. Znajomość była wkrótce zawarta i prowadzeni przez niego zeszliśmy do głębokiego wąwozu, a podniósłszy się znów z drugiej jego strony do pewnej wysokości, stanęliśmy przed białym domkiem, który przy dobrej i jasnej pogodzie zauważa się z morza. Było to sanitarium wyspy, a obecnie mieszkanie gospodarza.

Odpocząwszy nieco i odświeżywszy się, wyszliśmy na werandę. Śliczny widok rozściierał się przed nami: olbrzymi taras lasu, utworzony przez przyrodę, spadał stąd do morza. Santa Isabel, niby mała biała plamka, rysowała się u jego stóp wraz z malowniczą zatoką, a w niej, niby srebrzyste wstęgi, można było zauważyć prądy morskie, ciągnące się to w tym, to w owym kierunku. Temperatura przy tym była świeża, lekki wietrzyk wiejący z gór, czynił ją jeszcze przyjemniejszą, a niebo czyste i błękitne, jak rzadko w górach, dopełniało całości panoramy rzeczywiście wspaniałej.

Za chwil kilka przybył młody albinos o rudych włosach i oczach przymrużonych, jak gdyby raziło go światło, i prosił na śniadanie, które minęło nam nader wesoło. Plantacja, jak opowiadał nam energiczny jej gospodarz, dzięki umiarkowanej swej temperaturze, której średnia ma wynosić nie więcej nad 20° Celsjusza, uwieńczyła jego starania i oczekiwania w zupełności i rzeczywiście wkrótce przekonaliśmy się o tym, oglądając ją pod jego przewodnictwem. Kakao, kawa i tytoń stanowiły główną jej część, lecz oprócz tych roślin prosperowało tu mnóstwo innych w dość znacznej ilości. I tak zauważyłem: wanilię, cynamon, indygo, herbatę nawet, a co na główną zasługuje uwagę: chinę<sup>374</sup>, która jeżeli tu się zaaklimatyzuje, będzie nieoszacowanym dobrem dla krajów tych, gdzie Europejczyk i czarny wiele jej zużywa corocznie. Oprócz tych artykułów p. Lopez hoduje jarzyny europejskie, które z małymi wyjątkami udają się bardzo dobrze tu w górach, jak również też w Górach Kameruńskich. Tak np. pomidory, ogórki, sałata, rzodkiewki, także kapusta i kalarepa, pietruszka i marchew udają się wysmienicie. Kartofle, niestety, dotychczas nie dawały dobrych rezultatów — rośliny pędzą w górę, rozwijają wiele liści, lecz mało samych ziemniaków, choć może przy dalszych próbach i szczególnym obchodzeniu się z nią i ta ważna jarzyna się tu przyjmie. Zastępuje ją zresztą poniekąd w tych stronach jama i *coco* (*Colocasia esculenta*<sup>375</sup>).

A jednak twierdzą niektórzy, że ląd ten nigdy nie będzie mógł żywić kolonistów. Ośmielam się stanowczo zaprzeczyć temu, co do niektórych jego punktów. Gdy lasy ustąpią, warunki się zmienią i niejeden kraj Afryki stanie się prosperującą kolonią rolniczą; o jednym tylko pamiętać będzie trzeba, że z początku zawodów i ofiar będzie wiele.

Powracając ku wąwozowi, zauważyłem chatę, a w niej hawańczyków zajętych robieniem cygar. Praca szła im niezmiernie szybko, widać było wielką wprawę, a Don Jeronimo stał przy tym, spoglądając z widocznym zadowoleniem na owoce długoletniej pracy ciężkiej i uczciwej. Z całego serca ci życzymy tych dobrze zasłużonych owoców, zacny gospodarzu — oby jak najwięcej znalazły naśladowców.

Kilka godzin tak zeszło na zwiedzaniu plantacji, aż wreszcie pożegnaliśmy się z wyjątkowo energicznym Hiszpanem, który nas jeszcze odprowadził spory kawał drogi, i szybkim krokiem poczęliśmy schodzić z gór. Teraz milczało towarzystwo zmęczone trochę, a przy tym spieszące się na dół do miasta przed zachodem słońca. Prędzej też jak w tamtą stronę odbyła się droga na powrót i około szóstej wieczorem stanęliśmy w porę w Santa Isabeli.

Jeden z plantatorów zaprosił nas był na ten wieczór do siebie, po krótkim więc odpoczynku udaliśmy się do niego. Jak zwykle pomiędzy kolorowymi — a taki był zapraszający — panowała wystawa<sup>376</sup> w przyjęciu nad stan. Sprawia to naturalnie w końcu

<sup>374</sup> *china* — dziś popr.: chinowiec, tropikalne drzewo, z którego kory otrzymuje się chininę, lek przeciwmalaryczny. [przypis edytorski]

<sup>375</sup> *Colocasia esculenta* (biol.) — kolokazja jadalna, taro: roślina uprawiana w obszarach międzyzwrotnikowych, dostarczająca wielkich jadalnych bulw, zawierających dużo skrobi. [przypis edytorski]

<sup>376</sup> *wystawa* (daw.) — wystawność, przepych. [przypis edytorski]

ubóstwo, a nie jest zresztą wcale oczekiwane przez gościa przybywającego w te strony, przygotowanego na skromniejsze ramy życia domowego tu, poza obrębem Europy.

Siedząc przy wieczerzy, usłyszeliśmy nagle wielki zgiewk na placu, a wyszedłszy na werandę domu, dostrzegłem na rogu jednej z ulic grupę czarnych otaczającą w wielkiej agitacji olbrzymią jakąś postać, broniącą się wobec całej zgrai. Wkrótce też usłyszałem wyzywające francuskie wykrzykniki z niecenzurowanego słownika marynarskiego. Był to nasz przywódca majtków, Guedan — zawadiaka pierwszej klasy. „Ciekawym, co on znów zbroił?” — zawołał K. Tomczek, ale już za chwilę zjawily się dwie figury z laskami i galonami<sup>377</sup> na rękawach — czarni policjanci miejscowi, gestykulując i rozprawiając w żargonie jakimś anglo-murzyńsko-hiszpańskim. Mogłem tylko zrozumieć: „majtek! — pijany! — potłuk! zbil!”

— Dlaczego żeście go nie zaaresztowali? — zapytałem się.

— Nie daje się, senior! — zawołali, patrząc zadyszani na mnie.

Roześmieliśmy się wszyscy na te słowa biednych stróżów publicznego porządku miasta Santa Isabel, dodając, by posłali po rezerwę. Zmieszani, wrócili na nowo na miejsce zgiewku, z widocznym postanowieniem wziąć się odważnie do swego zadania. Widząc jednakże, że takowy tylko się wzmaga, a olbrzymi majtek gotów rzeczywiście posunąć się za daleko, poszedłem sam za nimi. Ujrzałem kilkunastu Krumanów, widocznie tylko co powstałych od palącego się na ulicy ogniska, naokoło którego byli ucztowali przy hałaśliwych swych bębnach i śpiewach, a w pośrodku nich stał herkulesowy nasz botsman, będący już pod dobrą datą<sup>378</sup>. Wybił on dwie szyby w domu Krumanów — oto powód ogólnego wzburzenia umysłów. Policjanci starali się go schwycić, lecz powitani nieładnym uściskiem dłoni broniącego się, odskoczyli na powrót, podczas gdy Guedan rozwoźił donośnym głosem: „*Nom de nom, par exemple!... ah ça! vous me prendre!... moi?... ha, ha, ha! nom d'un!*”<sup>379</sup>. Tu posypały się wykrzykniki przyjaźni, nieco za otwartej dla uszu słuchających. Aby nadać słowom swym więcej siły przekonawczej, schwycił jednego z gapiących się Murzynów i rzucił go o ziemię. Powstała nowa wrzawa, lecz tu nadszedłem sam, a rozgniony majtek, spostrzegłszy to, poskromił swe popędy: „*Allons, allons, Guedan... qu'est-ce que vous faites la... allez a bord!*”<sup>380</sup>. Uspokoilem go. „*Y'a pas d'danger M'sieur, sommes un peu amusés*”<sup>381</sup> — i potaczając się ruszył ku przystani, przerywając swój odwrót od czasu do czasu monologiem lub przelotnymi wykrzyknikami, stosującymi się do pozostałej czarnej gromady, która otrzymawszy zapłatę za zbite szyby i butelkę dżynu, rozeszła się uspokojona.

Następnego dnia szykowano jedną z naszych szalup, „Warszawiankę”, do podróży niezwykłej jak na małą szalupę. Postanowiłem albowiem wyruszyć na rekognoskowanie<sup>382</sup> przeciwnielego lądu Gór Kameruńskich, by obrać miejsce na zbudowanie stacji i potem z okrętem wyruszyć do obranego już miejsca. K. Tomczek należał naturalnie do tego. Mieliśmy 24 mile do przebycia na otwartym morzu w czterowiosłowej szalupie i rozpoczęto przygotowania niezwłocznie, by wyruszyć następnego dnia o świcie.

Dziś, po dwóch blisko latach, kreśląc te słowa, mimo woli zadumać się muszę nad tym. Było to szaleństwem, do którego rwała się żądza jak najprędszego dotarcia do celu; lecz ileż takich szaleństw popełnia człowiek w życiu, unoszony niepohamowaną siłą, goniąc za urzeczywistnieniem wymarzonej swej myśli! Nad nimi, zdaje się, osobna czuwa Opatrzność.

## ROZDZIAŁ XXV

*Wyruszamy na rekonesans. — Do przylądka Horatio. — „Warszawianka” na otwartym oceanie. — Zbliżamy się do brzegu. — Zatoka Ambas. — Osada Victoria. — Kąpiel. —*

<sup>377</sup> galon — naszywka na mundurze wykonana ze srebrnej lub złotej taśmy. [przypis edytorski]

<sup>378</sup> pod dobrą datą (daw., pot.) — nietrzeźwy, pijany. [przypis edytorski]

<sup>379</sup> *Nom de nom, par exemple!... ah ça! vous me prendre!... moi?... ha, ha, ha! nom d'un!* (fr.) — Boziu droga, a to ci dopiero!... ach, więc to tak! chcecie mnie wziąć!... mnie? ha, ha, ha! Do diaska! [przypis edytorski]

<sup>380</sup> *Allons, allons, Guedan...* — Chodź, chodź, Guedan, co tu robisz, idź na pokład. [przypis edytorski]

<sup>381</sup> *Y'a pas d'danger M'sieur, sommes un peu amusés* (pot. fr.) — Nic groźnego, proszę pana, trochę się bawimy. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> rekognoskować (daw., z łac.) — rozpoznawać, badać, zwłaszcza okolice. [przypis edytorski]

*W porcie. — Ranne poszukiwania. — Osada w świetle rzeczywistości. — Misjonarz Thomson. — Wyspa Mondoleh. — Układ z Akemą. — Miejsce dla stacji znalezione.*

Następnego dnia, 22 kwietnia, wcześniej rano, zanim słońce podniosło swe złote oblische ponad zatokę Santa Isabel, zaczęto ładować potrzebne przybory i prowiant na „Warszawiankę”, przygotowując ją do projektowanej żeglugi. Załoga jej: dwóch białych majtków i czterech Krumanów, zajęła swe miejsca i razem z K. Tomczekiem odbiliśmy od burtu „Łucji-Małgorzaty”, udając się na pierwszy rekonesans przyszłych działań.

Silny tornado zerwał się był w nocy ponad górami Fernando Poo i ślady ulewnego deszczu, który mu towarzyszył, błyszczały jeszcze na zielonych brzegach, gdy Phoebus<sup>383</sup> Apollo zbudził je wreszcie z nocnego snu i oświecił jasnymi promieniami nowego poranku. Lekki, świeży wiatr morski dozwolił rozpiąć żagiel szybkiej łodzi i rozwiewał chmury otaczające sine szczyty gór, odsłaniając kształtną ich koronę — Clarence Pik<sup>384</sup>. Żwawo dążyliśmy wzdłuż brzegu wyspy do przylądka Horatio<sup>385</sup>, by stamtąd przeciąć kanał morski dzielący Fernando Poo od lądu o ile możliwości w najkrótszej linii. Około owego przylądka leży niewielka, lecz piękna wysepka, porośła świeżą, jasną zielenią, a że jak twierdzą Rzymianie, *in corpore sano mens sana*<sup>386</sup>, więc przed puszczeniem się z drobną „Warszawianką” na otwarty ocean zatrzymaliśmy się na chwilę w tym miejscu dla śniadania i zgotowania ryżu dla Krumanów, nie zapominając o majtkach. Wysepka przepelniona jest ptactwem; głównie białe rybitwy i miejscowe popielate i czerwone papugi obrały sobie na niej ulubioną siedzibę, zwabiając od czasu do czasu ku niej hiszpańskich oficerów z Fernando Poo. Lecz droga była długa i nie można było zapuszczać się w las, pozostawiając Krumanów wrodzonemu ich instynktowi lenistwa. Dawszy więc kilka strzałów na brzegu wysepki, które strąciły z drzew kilku leśnych mieszkańców, i zauważywszy, że dzienna porcja ryżu Krumanów ugotowana, rozpięto żagiel na nowo i bystro posunęła się „Warszawianka” naprzód, pozostawiając wyspę i wysepkę za sobą w coraz to większej odległości i bledszym świetle.

Słońce tymczasem się podniosło, wiatr morski ustał i nieruchomo roztoczyły się około uspione wody oceanu. Załoga chwyciła za wiosła, spuściliśmy maszt i otworzywszy kompas, wziąłem kurs ku zatoce Ambas, której zarysy jeszcze nie ukazywały się na horyzoncie. Gorąco było niezmierne, słońce stało blisko południka i paliło nasze twarze, jak gdyby nie dzieliły je od samotnych żeglarzy całe światy i przestrzenie. Wkrótce straciliśmy wszelkie brzegi z oka, gdyż w południe ciężka, gęsta atmosfera otacza prawie zawsze wyższe ich punkty gęstymi chmurami; płynęliśmy więc podług kompasu, zmieniając się wzajemnie co dwie godziny. Każdy z nas był głęboko zamyślony. Dnia tego mieliśmy ujrzeć miejsce, o którym przedumaliśmy wiele chwil w Europie, o którym niejako przywykliśmy razem myśleć jako o miejscu przyszłej długoletniej pracy, dalekich planów i późnych nadziei, a owa zasłona, którą Opatrzność przezornie i dobroczynnie zawiesiła przed oczami śmiertelnika, nie pozwalając mu zajrzeć w przyszłość, odbijała tylko jasne promienie pogodnego poranku.

Rzadko kto z mych ziomków tak się kołysał na wolnej łodzi poza obrębem brzegów, wśród południowej fali i pod pogodnym niebem. Dziwna to rozkosz! Nie czujemy żalów i trosk ani bezdennej głębi pod sobą; przebijamy jedynie wzrokiem firmament i rozsyłamy myśli w dalekie strony — poza horyzont, nad chmury, w otchłań wodną i ku owej chwili odległej, w której pierwszy żagiel zbudził oceany ze snu. Minęło południe. Z wolna, niby jasne sine chmury, zarysowały się na wschodzie wysokie górne skłony. Bystre oko Tomczeka pierwsze je spostrzegło: „Patrz! Góry Kameruńskie się odsłaniają” — zawołał nagle i podnosząc się na siedzeniach, powitaliśmy wspaniałą krainę Mongo-ma-Loby, „Boskiej góry” krajowców.

Znów zawiął lekki wiatr morski i zmęczeni wioślarze mogli spocząć nareszcie, powierając na nowo losy „Warszawianki” żaglowi. Prąd jednakże, dążący w tym miejscu

<sup>383</sup> Phoebus (łac.; mit. gr., mit. rzym.) — zlatynizowana forma słowa *Fojbos* (gr.: promienny), przydomka Apolla, boga światła i słońca, opiekuna sztuk, patrona poetów i pieśniarzy. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> Clarence Pik — popr.: Clarence Peak, dziś: Pico Basile, największy i najwyższy (3008 m n.p.m.) z trzech połączonych wulkanów tarczowych tworzących wyspę Bioko. [przypis edytorski]

<sup>385</sup> przylądek Horatio — w płn.-wsch. części wyspy Bioko; w pobliżu znajduje się wysepka zwana wyspą Horatio. [przypis edytorski]

<sup>386</sup> *in corpore sano mens sana* (łac.) — w zdrowym ciele zdrowy duch. [przypis edytorski]



bystro ku południowi, przedłużał naszą drogę i słońce już zachodziło, gdyśmy się zbliżali do zatoki Ambas, pomiędzy wyspami Mondoleh i Ndamah. Pamiętny wieczorze! Dokąd uleciały twe godziny? Pasma gór wznosiło się wspaniale przed nami, ukazując zieloną scenerię dziwnej piękności. Nie był to krajobraz afrykański — to jakby część Szwajcarii, przeniesiona na równikowe brzegi Atlantyku.

Zatoka Ambas, która rozciąga się u stóp południowego skłonu Gór Kameruńskich, przedstawia mniej więcej kąt prosty, którego strony dążą w kierunkach południka i równoleżnika. Długi wąski łańcuch pagórków, dzielący ją od innej zatoki i od kraju Bimbia, tworzy wschodni jej brzeg i zasłania ją przed tornadami, podczas gdy podnóże Mongo-ma-Loby i jego tarasy południowe przedstawia północne jej tło. Zatoka byłaby zbyt otwarta ku stronie południa i ku zachodowi, gdyby nie wystający na zachodzie przylądek Limboh i wyspy Mondoleh i Ndamah (czyli Ambas), które tworzą niejako zasłony w kierunku oceanu.

Słońce tymczasem zaszło i — jak zwykle w stronach równikowych — noc nastąpiła niezwłocznie; coraz ciemniej rysowało się wszystko dokoła, a jednak silny odpływowy prąd dozwalał nam tylko nader powoli posuwać się naprzód. „Oryginalne przybycie!” — zauważył Tomczek i miał rację. Nigdy nie byliśmy tu przedtem, a przybywaliśmy do nieznanego miejsca w nocy i bez przewodnika, choć łatwo można się było spodziewać lekkiej barry, która też wkrótce miała sprawić nam kąpiel. Lecz ufaliśmy w swą znajomość mapy i sterowali podług niej. Mimo ciemności zauważyliśmy też wreszcie zarysy domków. Płynęliśmy więc dobrze, wpływaliśmy do wewnętrznego kąta zatoki, gdzie od dwudziestu kilku lat angielscy misjonarze utworzyli osadę pod ich zarządem prywatnym, osadę zwaną Victoria. Wkrótce też (było około dziewiątej wieczorem) „Warszawianka” stanęła w brzegowym piasku. Lecz zanim zdaliśmy wyskoczyć, nadszedł grzebień burunów, wkrótce drugi i trzeci i razem z rzeczami zostaliśmy skąpani w wodzie. Trzeba więc było łowić nasze rekwiizyty podrózne i wyciągnąć szalupę na ląd, co zajęło niespełna godzinę, a podczas tego czasu zostaliśmy otoczeni liczną gawiedzią czarnego koloru. Nie byli to jednakże nadzy krajowcy, lecz utworzone przez misjonarzy „czarne obywatelstwo” Victorii, przystrojone w surduty czarne i krawaty, z przyczyny niedzieli.

Okoliczność, żeśmy przy niedzieli odbyli tę podróż, wydawała im się — stosownie do mdłej pobożności angielskiej niedzieli — niezmiernie *shocking*. W ten dzień albowiem nie wolno podług pojęć angielskich misjonarzy, ani wyjeżdżać, ani urządzać zabawy, po wodę posyłać, lub gotować nawet — gdyby ci szanowni misjonarze nie posiadali sami żołądków, nie byłoby tu zapewne nawet wolno jeść i pić podczas niedzieli. Nieopodal miejsca, gdzieśmy wyciągnęli szalupę, zauważyliśmy większy budynek, pokryty cynkiem i wybielony. Domyślałem się, że to hamburska faktoria, która, jak wiedzieliśmy w Europie, tu się znajduje — i przemoczeni do szczętu, podążyliśmy ku niej, pytając, czy nie mogą mi wynająć pokoju na 24 godziny.

Stary czarny jegomość, wyglądający bardzo sympatycznie i poważnie z długą siwą swą brodą, p. Brew (w następnych latach dobry nasz przyjaciel), poprosił bardzo grzecznie, byśmy sprowadzili nasz bagaż, oświadczając, że jest zarządzającym faktorią, a oprócz tego sędzią osady Victoria. Dodał przy tym, że konsul angielski p. Hewett, który niedawno tu był, zapowiedział im nasze przybycie, oświadczając, by nam okazywano wszelką możliwą pomoc, że więc „wszystko znajduje się do naszej dyspozycji”. Poprosiłem jednakże tylko o naporzenie mi herbaty i podczas gdy przygotowywano rozgrzewający napój, przebraliśmy się pospiesznie z Tomczekiem. Gawieź oblegała faktorię tłumnie, przypatrując się ciekawie dalekim przybyszom, gdyż od miesięcy mówiono tu już o przybyciu ekspedycji, tak że po wydzieleniu ludziom naszym wieczornej porcji i podwójnej czarki rumu, pozostaliśmy sami w naszym właśnie otrzymanym pokoju i siadłszy zmęczeni na łózkach, zajęliśmy się w krótkich słowach notatkami dziwnej naszej żeglugi. Czuliśmy razem, żeśmy w porcie długoletnich oczekiwań i przejęci myślami o dniu jutrzejszym, zasnęliśmy wreszcie twardym snem.

Gdym następnego dnia wcześniej rano się obudził, zauważyłem, że Tomczek już wyszedł; ubrałem się więc także pospiesznie i wyjrzałem na świat. Piękny słoneczny dzień, jak wczorajszy, panował również i dziś. Od brzegu zatoki wznosił się wspaniały taras gór, podczas gdy na wodach przeciągały tu i ówdzie pirogi krajowych rybaków, a w pośrodku czarującej zatoki wznosiła się wyspa Mondoleh, niby wieniec kwiecisty rzucony na ja-

sne jej fale. Udałem się na prawo od faktorii, by zwiedzić osadę. Niestety, sama Victoria nie wzbudzała bynajmniej uczucia przyciągającego. Położenie jej w najdusznym kącie zatoki zamiast miejsca na skłonach — jest najniefortunniej obrane. Leży ona nisko, w niezdrowym sąsiedztwie dwóch drobnych krików, które z lewej jej strony wpadają, wśród kępki mangrowiowej i bagnistej, do morza. Kępka ta jest jedynym miejscem w całej zatoce Ambas, które posiada bagniste te rośliny, i wybudowanie osady w tej właśnie stronie było oryginalnym, lecz smutnym w swych skutkach pomysłem. Przybywającemu zdaje się, jak gdyby naumyślnie wybrano w tej wspaniałej zatoce najgorszy punkt, by w nim założyć osadę.

Rzędy nieszczęśliwych domków, wśród których chwast do kolan oraz śmiecie pokrywają tzw. ulice, kilka miejsc błotnistych, wreszcie *meeting-house* murowany (kościół baptystów) i także dom mieszkalny misjonarzy — oto cała osada Victoria. Jedyny w niej punkt uwagi godny to rzeczka, która poza nią spływa bystro z gór ku zatoce. Nazywają ją Victoria Brook.

Założenie Victorii miało miejsce 9 sierpnia 1858 r. W owym roku misjonarze baptysty zostali wypędzeni z Fernando Poo. Pod dowództwem więc jednego z nich, Alfreda Sakera, kupili teren w zatoce Ambas od bimbijskiego króla Williama i założyli w nim osadę pod nazwą Victoria. Teren ten ciągnie się od zatoki Man-of-War do połowy odległości, mniej więcej między ujściem rzeczki Victoria Brook a skałami Bobja, których fantastyczne kontury, niby szkielet olbrzymiego starego statku, rysują się na zachodzie od Victorii. Podczas życia Sakera w osadzie panował pewien ruch. Saker był swego rodzaju niezwykle człowiekiem: sam kształcił tu cieśli, ceglarzy i innych robotników, a nawet drukarzy, przy pomocy których, sprowadziwszy prasę drukarską, zaczął tłumaczyć Pismo Święte dla krajowców na język bakwiri. Lecz obecnie Victoria przedstawia smutny i duszny widok, czyniący przygnębiające wrażenie na widzu; tu pokryła również ręka ludzka świetne dary przyrody jedynie brudami śmietnika.

Następcy Sakera, misjonarze przysłani po nim z Anglii od towarzystwa baptystów, przybywali obojętni, mało zajmowali się osadą mimo wszelkich „listów z Afryki” i „raportów”, które umieszcza „Mission Herald” (sprawozdanie baptystów) w Londynie, a podług którego rzeczywiście mieszkańiec Europy sądzić by mógł, iż tu Bóg wie co uczyniono. Jest to ogólna wada i wina misjonarzy angielskich na tych brzegach. W rzeczy samej nie przynoszą oni żadnego pożytku, przeciwnie, są często plagą tych brzegów, jak już widzieliśmy wyżej. Tu w Victorii rzadko który krajowiec, choć tytułuje się „*a Victoria gentleman*”, umie rzeczywiście płynnie czytać i pisać, język zaś panujący jest też tylko owym budującym nigro-angielskim żargonem. Głównej rzeczy: pracy, rzemiosła, które dałoby chleb osadzie, nie uczy przysłany misjonarz wcale, bo jej sam nie zna i nie lubi (oprócz założyciela Sakera, który był chwalebny wyjątkiem); toteż w skleconych domkach i na wysoko chwastem zarośniętych uliczkach Victorii nie zauważa się wiele ruchu; wszędzie panują zastój i brudy — jest to obraz martwy, nie tylko, że nie przyciągający, lecz odpychający każdego. Natomiast udana pobożność, czyli, rzekłbym, nałogowa ckliwość, silnie zaprawiona hipokryzją, rozrosła się tu bujnie i zamiast piły lub topora słychać tu wiecznie tylko piski z monotonnego *hymn booku*<sup>387</sup>, który zresztą łatwiej uprawiać.

Patrząc na to, żalowałem, że ta cała Victoria w ogóle istnieje, psując harmonię świeżego krajobrazu i zdrowia reszty wspaniałej zatoki oraz działając niekorzystnie, przygnębiająco, na umysł i energię przybysza. Jest ona tu po prostu anachronizmem. Tu mogłaby i powinna istnieć piękna kolonia, ale dla tego trzeba by zburzyć, co istnieje, i zacząć z początku.

Nad rzeczką spotkałem Tomczeka, opartego o swój kij i spoglądającego zadumany okiem na jej czyste wody. Wyczytałem z jego twarzy, że jednakowe zajmują nas myśli.

— Cóż ty na to? — zapytałem.

— A ty? — odparł niespokojnie.

— Brr! — otrząsałem się mimo woli. — Co za gniazdo w naszej wymarzonej zatoce! Miejsca dla naszej stacji poszukać musimy jak najdalej od tej Victorii.

Przyjaciół mój odetchnął, jak gdyby mu spadł ciężar z piersi.

— Bogu dzięki — zawołał — a to przecie na sam widok jej duszno człowiekowi.

<sup>387</sup>*hymn book* (ang.) — śpiewnik religijny. [przypis edytorski]

I postąpiliśmy ku faktorii, by po szklance herbaty zwiedzić okolicę i upatrzeć spokojne jakie nienadpsute jeszcze miejsce dla przyszłej stacji, która stosownie do planu miała stanąć w zatoce Ambas.

Przed tą wycieczką jednakże postanowiliśmy złożyć wizytę głowie misyjnej tej osady, panu Q. Thomsonowi. Posłałem mu więc swój bilet z zapytaniem, czy przyjmuje tak rano. Wkrótce nadeszła bardzo uprzejma odpowiedź zapraszająca nas na „lunch” i przy nim zawarliśmy znajomość z misjonarzem. Mieszkał, jak na Afrykę, wykwintnie, wraz z żoną i dwoma pannami, misjonarkami: panną Comber, siostrą znanego podróżnika<sup>388</sup>, i inną, młodszą. Gdy usłyszał, że zamierzamy szukać miejsca dla budowy stałej stacji w zatoce, ofiarował się za przewodnika. Ruszyliśmy więc z nim na okoliczne pagórki, leżące za rzeką. Lecz choć widoczne było, że p. Thomson pragnął, byśmy wybrali miejsce w pobliżu jego misji, nie czulem do tego jednakże, jak już wiemy, najmniejszej chęci po rannym poznaniu Victorii. Na okręcie już zresztą, sądząc podług mapy, myśleliśmy z Tomczakiem o jednej z wysp leżących w zatoce, a mianowicie o większej z nich, Mondori, czyli Mondoleh. Zgodziliśmy się też równocześnie na to, że będzie ona najdogodniejszym punktem dla utworzenia naszej stacji, mającej być bazą operacyjną, czyli główną kwaterą podczas przyszłych eksploracji przyległych nieznanych krain.

Już dawniejsi podróżnicy, Burton i inni, podnosili jej korzystne warunki sanitarne, jej żywność i piękność. Odległość jej od lądu wynosiła zaledwie pół mili morskiej, a północne jej wybrzeża, leżące naprzeciw wspaniałego tarasu gór, przedstawiały spokojną przystań, podczas gdy izolowane jej położenie nadawało jej charakter spokojnego miejsca do pracy. Tu mogliśmy być wolni i swobodni. Przedstawiłem p. Thomsonowi te zapatrywania i pożegnaliśmy się z grzecznym gospodarzem, powracając do faktorii, skąd wkrótce, zabrawszy z niej tłumacza, popłynęliśmy na „Warszawiance” ku wyspie Mondoleh.

Jest to górzysta formacja, o którą ze wszech stron biją morskie buruny, oprócz dwóch punktów: na południo-wschodniej i północnej jej stronie. Wysokość jej dochodzi do przeszło 200 stóp, a na niej leży płaska, rozległa wyżyna z osadą krajowców, liczącą mniej więcej 60 dusz. Północny skłon wyspy, posiadający najlepszą przystań (przyszłą przystań stacji), spada dość stromo ku morzu, ukazując taras bujnej gęstej roślinności, tu i ówdzie malowniczo udekorowanej pierzastymi koronami palm. Ku południowym zaś brzegom pochyła się teren łagodniej i dlatego krajowcy tędy obrali swą drogę na wyżynę do osady, lecz przystań tu skalista i mniej bezpieczna od północnej. Poszliśmy na górę do osady, przeszedłszy wyspę wzdłuż. Wszędzie pokrywający ją las (oprócz górnej wyżyny) utrzymywał skalistą drogę, wiodącą wśród urwisk w półmroku, dopóki nie doszliśmy do wioski. Zapytałem się o kacyka<sup>389</sup> — niestety nie było go na wyspie; pojechał na połów ryb, lecz miał wkrótce powrócić. Zaczekaliśmy więc. Żona kacyka przyniosła nam kokosów, których orzeźwiający mleko jest zawsze pożądanym napojem dla podróżnika. Minęła jedna godzina, wkrótce druga, Akemy jednakże (takie było imię kacyka) nie było. Wróciliśmy więc do łodzi i już mieliśmy odbijać od wyspy, gdy wskazano powracającego Akemę. Pod rozłożystym więc drzewem południowej przystani przywitaliśmy się z nim. Następnie rzekłem, że pragniemy osiedlić się na jego wyspie. Oczy Murzyna zabłysnęły radośnie:

— O! — zawołał — tego pragnę od dawna, by biali ludzie uczynili mą wyspę krajem białych.

Wkrótce umówiliśmy się o dary, jakie miały Akemę wynagrodzić za oddany teren. Składały je: 10 sztuk materii, 6 fuzji (skałkówek), trzy skrzynki dżynu, 4 kufarki, 1 tużurek czarny, 1 cylinder, 3 kapelusze, tuzin czapek czerwonych, 4 tuziny słoików pomady, tuzin bransoletek i 4 chustki jedwabne. Następnie pożegnaliśmy się. Miejsce na budowę stacji było znalezione i nasze, było już dokąd z „Łucją” zawinąć. Tego więc wieczora odpłynęliśmy znów do Fernando Poo, do okrętu.

## ROZDZIAŁ XXVI

<sup>388</sup>panną Comber, siostrą znanego podróżnika — Thomasa Jamesa Combera (1852–1887), misjonarza-baptysty, aktywnego w Kamerunie i w Kongu. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>kacyk — przywódca plemienny w Afryce, Ameryce Południowej lub Środkowej. [przypis edytorski]

*Powrót do okrętu. — Wypłynięcie z Fernando Poo. — Ostateczne przybycie do zatoki Ambas. — Tomczek i Janikowski rozbijają namiot na wyspie Mondoleh. — Rzeka Kameruńska. — Pierwsza febra. — Oddanie okrętu. — Śmierć dra Retzera.*

Powrót z zatoki Ambas do okrętu, tj. do Fernando Poo, nie był tak fortunny jak podróż do zatoki.

Wypłynąwszy przed północą, by korzystać z wiejącego podczas nocy zwykle wiatru od łądu, spotkaliśmy się nad ranem 24 kwietnia z tornadem. Na szczęście p. Thomson, który był zdziwiony odbytą przeprawą na drobnej „Warszawiance”, nalegał w Victorii, byśmy nie próbowali podobnej przeprawy po raz drugi, ofiarując nam dla powrotu do Fernando Poo wielki swój surfbot<sup>390</sup>, któryśmy też przyjęli. To oraz okoliczność, że tornado zaskoczyło nas już blisko brzegów Fernando Poo, gdzieśmy się mogli schronić do jednej z zatoczek wyspy, ocaliło nas na ten raz i stanęliśmy szczęśliwie u burtu „Łucji-Małgorzaty”.

Postanowiłem nie bawić teraz dłużej w porcie Santy Isabeli, niż wymagała konieczność. Zakupiwszy więc materiał budowlany: belki, deski, płyty cynkowe, którymi w tych stronach pokrywają zwykle zewnętrzne ściany i dachy domów, oraz nieco narzędzi i świeżego prowiantu, podnieśliśmy kotwicę i wypłynęli ostatecznie do zatoki Ambas, by rozpocząć budowę stacji na wyspie Mondoleh.

Stanęliśmy w zatoce 28 kwietnia po południu. Lawirowaliśmy jeszcze na morzu, gdy przybiła do okrętu łódź należąca do jednej z faktorii kameruńskich. Agent takowej przybył niebawem na pokład i przedstawiwszy się jako reprezentant domu handlowego C. Woerman z Hamburga na Rzece Kameruńskiej<sup>391</sup>, zaofiarował nam wszelką swą pomoc, zapraszając, byśmy zawinęli do Kamerunu, tj. na rzekę, i zaznaczając, że w razie gdyby „Łucja” już mi dłużej potrzebna nie była, pragnąłby ją wynająć dla swej faktorii. Przyrzekłem wziąć propozycję jego pod uwagę i dać mu dnia następnego stanowczą odpowiedź, rozpatrzywszy ściślej różne punkty takowej. Tymczasem zaś stanęliśmy na kotwicy w kanale dzielącym wyspę Mondoleh od wschodniego przylądka zatoki i udali się następnie do Victorii, gdzie właśnie poznany kupiec już nas oczekiwał z obiadem, jak na te strony bardzo wystawnym.

Następnego dnia, 29 kwietnia, Akema, kacyk wyspy Mondoleh, wraz z braćmi swymi: Eboko i Ekaka, przybyli z powitaniem na pokład „Łucji-Małgorzaty”, przynosząc w podarku kozłę, dwie kury i trzy pęki bananów. Posadziłem ich przy głównym maszcie, ofiarowując im również kilka przedmiotów europejskich i wymieniwszy wzajemne zapytania o stanie zdrowia, przystąpiłem do umowy z nimi co do wycięcia lasu przy północnej przystani wyspy Mondoleh, tak by można niezwłocznie rozpocząć budowę stacji. By przyspieszyć pracę krajowców, obiecano im, że podarki umówione z Akemą dn. 24, głównie zaś znajdujący się pomiędzy nimi dżyn, otrzymają wtedy, gdy wymagana praca wycięcia i oczyszczenia gruntu pod dom będzie dokonana.

Ukończywszy ten „palawer”<sup>392</sup>, kacykowie pożegnali się, wypiliwszy kilka szklanek niezbędnego w takich razach rumu i obiecując, że wraz z ludźmi swymi wezmą się niezwłocznie do dzieła.

Zastanowiwszy się tymczasem nad propozycją hamburskiego agenta, postanowiłem ją przyjąć, tym bardziej że ofiarowywał równocześnie magazyny swej faktorii na pomieszczenie naszego ładunku: rekwizytów i pak, dopóki dom na wyspie Mondoleh nie będzie wykończony. Zacząłem więc zaraz wyładowanie materiałów budowlanych i potrzebnych innych przedmiotów na przystani stacji, gdzie K. Tomczek i L. Janikowski rozbili namiot, by prowadzić roboty. Z „Łucją” zaś i resztą załogi wyruszyłem tego samego dnia na Rzekę Kameruńską.

<sup>390</sup>surfbot, popr.: surfboat (ang.) — łódź wiosłowa przystosowana do pływania na dużej, silnej fali. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>Rzeka Kameruńska — ob. Wouri, druga co do długości rzeka w Kamerunie, uchodząca do Zat. Gwinejskiej w Duali. Portugalczycy, którzy w 1472 dotarli do jej ujścia, z powodu wielkiej ilości krewetek żyjących w tym miejscu nazwali ją *Rio dos Camarões*, tj. rzeką krewetek; od nazwy tej pochodzi nazwa Kamerunu. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>palawer (ang. palaver, z port. *palavra*: słowo) — w Afryce Zachodniej: zgromadzenie mieszkańców wioski w celu naradzenia się lub rozstrzygnięcia sporów; długie rozmowy pomiędzy osobami różnych kultur, np. pertraktacje między europejskimi kupcami, odkrywcami, urzędnikami kolonialnymi itp., a miejscową ludnością; także: jałowa dyskusja. [przypis edytorski]

Obym nigdy nie był przyjmował nieszczęsnej tej propozycji chytrego i zwodniczego berlińczyka!

Rzeka Kameruńska, na której faktoria hamburska powitała nas wystrzałem armatnim, nie przedstawia tego pięknego widoku, jakim witają podróżnika zatoka Ambas i Góry Kameruńskie. Niskie jej brzegi tworzą przy niezmiernie szerokim ujściu bagna mangrowiowe, ciągnące się po prawej stronie rzeki, nawet w zwężonym już wyższym korycie, prawie do samego miasta Hikory. Przeciwległy zaś brzeg przedstawia tu wysokie, stromo ku rzece spadające wzgórze, na którym leżą główne miasta: miasto króla Bella, czyli Belltown, miasto króla Akwy, czyli Akwatown, Didotown oraz kilka mniejszych. Wszystkie te miasta tworzą długi rząd osad, nazywających się razem Kamerunem (*Cameroons* Anglików). Przed tymi miastami ciągnie się na rzece rząd czarnych pływających faktorii, *hulków*. Są to stare okręty, z których zdjęto takielaż<sup>393</sup> i które postawiono na głuchych kotwicach, pokrywszy je palmowymi dachami. Brzegi uważano dotąd za niezdrowe; znajdowała się na nich wtedy tylko jedna faktoria, a mianowicie ta, z którą mieliśmy do czynienia — hamburska; inne zaś firmy miały na lądzie tylko swe magazyny.

Przez cały dzień snują się po rzece pirogi, zwożące olej i ziarna palmowe do faktorii i hulków. Krajowcy sprawiają przy tym hałas czysto piekielny, Murzyn albowiem przy wszystkim, co czyni, lubi hałas i wrzawę, a Kameruńczycy, czyli plemię Dualla, są zartymi handlarzami. Wieczorem dopiero handel ustaje. Nie zawsze jednakże następuje wtedy cisza i spokój, wtedy albowiem tak czarni w swych chatach, jak i biali w swych faktoriach, głównie zaś reprezentanci „wielkiego *Vaterlandu*<sup>394</sup>” pokrzepiają się po trudach i skwarze dnia elaboratami<sup>395</sup> liverpoolskich i hamburskich destylarni.

Kraje kameruńskie, również jak ich wnętrza, będą stanowiły główną treść drugiej części podróży. Teraz, zaledwie przybywszy, nie mieliśmy czasu dokładnie się rozpatrzeć w kraju pomiędzy jego mieszkańcami i zwyczajami.

Po kilku dniach „Łucja” była wyładowana, co pod palącymi promieniami słońca nie było zbyt łatwą pracą. Zmuszony odbywać ciągle kursy łodziami między okrętem a magazynami faktorii, dokąd zwoziłem paki, dostałem febry, pozbawiającej mnie kilkakrotnie przytomności, a męczącej przez całe dni. Jest to dług, jaki każdy Europejczyk oddać musi po przybyciu nieznanemu lądowi, z przyczyny zmienionego zupełnie trybu życia i warunków klimatycznych, w jakich się znajduje. W żegludze, zmieniając ciągle miejsce pobytu i powietrze, podróżnik bywa daleko mniej narażony na febry afrykańskie, którym podlega przede wszystkim, przebywając stale na jednym miejscu.

Przy tym Rzeka Kameruńska nie jest zdrowa — dowodem tego są faktorie, które, jak wspominałem, odbywały dotychczas swe interesy na owych hulkach, czyli w mieszkaniach i magazynach pływających.

Wyczekiwałem też z niecierpliwością chwili ukończenia interesów na Rzece Kameruńskiej i powrotu do zatoki Ambas, do budujących nasz dom na wyspie Mondoleh: Tomczeka i Janikowskiego.

Wreszcie dn. 7 maja spisałem kontrakt z agentem faktorii, załogę zwieziono z okrętu dla odesłania jej do Europy, a żwawa „Łucja”, dowiółszy nas do celu podróży, otrzymała załogę nową, krumańską, wyznaczoną już przez faktorię; syrena Warszawy przestała powiewać nad jej masztami.

Trudno rozstać się marynarzowi z okrętem, który wiozł go wiernie przez dalekie morza, pokazawszy mu niejedyn kraj nowy i nauczywszy niejednego. Wiele burz moralnych i fizycznych przeszedłem na niej od czasu, gdy po raz pierwszy stanąłem na jej pokładzie w Hawrze — wiele, bardzo wiele! A jednak gdy mieliśmy się rozstać z pocziwymi tymi deskami, żal mnie ogarnął! Lecz konieczność wymagała tego, a ona jest surowym panem — musieliśmy się pożegnać i pożegnaliśmy się, a to pożegnanie miało za dni kilkanaście zaledwie stać się jej pieśnią łabędzią.

Wkrótce potem udałem się nazad do zatoki Ambas, pozostawiając paki ekspedycji w faktorii do chwili ukończenia robót na wyspie Mondoleh.

<sup>393</sup>takielaż — takielunek, osprzęt statku żaglowego: omasztowanie, olinowanie i ożaglowanie. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>Vaterland (niem.) — ojczyzna. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>elaborat (z łac. *elaboratus*: wypracowany) — tu: produkt. [przypis edytorski]

Drogę z Rzeki Kameruńskiej do Victorii odbywa się zwykle łodzią przez *creeki* dzielące jej ujście od przylądka Bimbii i rzeki Mungo; tylko niewielką część podróży odbywa łódź na otwartym morzu, a mianowicie od Bimbii do zatoki Ambasy.

Ponieważ poznałem w Kamerunie dwóch podróżników badających również te strony: dra Passavant, Szwajcara, i jego towarzysza, doktora Retzera, którzy wybierali się właśnie do zatoki Ambasy, by stamtąd udać się w Góry Kameruńskie, popłynąłem więc z nimi w ich krajowym czółnie, zabrawszy tylko kilka skrzynek, zawierających instrumenty i część umówionych darów dla kacyka Akemy. Mieliśmy w projekcie odbywanie równoczesnych obserwacji meteorologicznych na dole w zatoce, podczas ich pobytu i obserwacji w górach.

Droga przez *creeki* jest długa i jednostajna i choć wielka piroga dra Passavant posuwała się szybko, a wypłynęliśmy z Kamerunu wcześniej rano, chyliło się jednakże słońce już dobrze ku zachodowi, gdyśmy wypływali z mangrowiowych gąszczów i stanęli przed faktorią w Bimbii.

Następnego dnia, 17 maja, przygotowaliśmy się rano do dalszej drogi i już miałem siadać do pirogi, gdy ujrzałem nagle żagiel zbliżający się od strony zatoki Ambasy. Był to Tomczek, przybywający z wyspy Mondoleh do faktorii znajdującej się w Bimbii po jakiś sprawunek, którego nie mógł załatwić w Victorii. Zostałem więc jeszcze z nim w Bimbii, by wrócić do zatoki razem, w jego łodzi. Dr Passavant zaś wraz z towarzyszami i wspólnym bagażem puścili się na swym czółnie dalej w drogę.

Tomczek zaczął mi opowiadać, jak postąpiły roboty na wyspie; agent faktorii zatrzymał nas na śniadanie. Tak minęły niespełna dwie godziny i odbywaliśmy właśnie małą sjęstę na łózkach polowych faktorii, gdy ujrzałem nagle wbiegających Krumanów, należących do załogi dra Passavant, a o których mniemałem, że już są w Victorii. Byli oberwani, zziębnięci i wystraszeni.

— Co się stało? Gdzie biali? — zawołałem, przypominając sobie równocześnie, że wkrótce po odpłynięciu czółna Passavanta zerwała się niepogoda.

— O, Massa<sup>396</sup>! — wrzasnęli Krumani w swym żargonie. — Wielkie nieszczęście! Jeden z białych już nie żyje.

Zerwaliśmy się na równe nogi jak piorunem rażeni.

— Jak to! Co takiego, mów! — posypało się ze wszech stron.

— O, Massa! — jęknął najstarszy z czarnych. — Woda była silna, canoe<sup>397</sup> załała. Potem ono tonęło, biali ludzie długo pływali, a silna woda ich odpychała od brzegu; potem jeden znikł, utonął, a reszta dostała się do brzegu. Są tam jeszcze i posłali nas tu, byśmy o tym powiedzieli, bo nie wiedzą, jak wrócić.

— Kto utonął? — zapytał się Tomczek.

— Ten biały, co to był chory na febrę, z brodą — odparli.

Domyśliliśmy się, że to dr Retzer, który rzeczywiście był bardzo osłabiony przez liczne febrę.

Nie czekając, siedliśmy do naszej szalupy, biorąc z sobą dwóch Krumanów, by wskazali nam miejsce, gdzie schronili się rozbitki — i mimo ulewnego deszczu, który niebawem spadł, popłynęliśmy.

Między przylądkiem Bimbii a zatoką Ambasy wciną się w ląd wąska, długa zatoka, zwana zwykle przez Anglików: Man-of-War Bay (zatoka wojennego okrętu). W połowie drogi do owej Man-of-War Bay, u stóp stromej skalistej ściany, wśród rozciosanych skał, dostrzeżliśmy wreszcie ocalonych.

Skierowałem łódź ku nim, lecz buruny były tu tak silnie, że dwa razy rzuciły nas w przeciwną stronę, grożąc i nam rozbitkiem, podczas trzeciej próby zaś nadchodzące grzebienie bary zalewać zaczęły „Warszawiankę”. Zawołałem więc, że popłynę szybko do Victorii po wielki surfbot p. Thomsona. Szum bałwanów jednakże i szelest ulewy zagłuszały głosy nasze, musiałem więc zmusić Krumana, by wskoczył do morza i popłynął do rozbitków z wiadomością, co się też szczęśliwie udało. Ruszyliśmy zaraz dalej do zatoki Ambasy, gdzieśmy wkrótce przybyli.

<sup>396</sup> *massa* — korupcja angielskiego wyrazu *master* (panie), zwykle używane przez Krumanów i w ogóle czarnych służących w koloniach. [przypis autorski]

<sup>397</sup> *canoe* — tradycyjna łódź wiosłowa Indian północnoamerykańskich. [przypis edytorski]

W Victorii dano nam niezwłocznie łódź ratunkową, zaopatrzoną w latarnię i buj<sup>398</sup>, gdyż dzień chylił się już ku końcowi. Łódź poszła pod dowództwem pilota, lecz długie godziny minęły w niepewnym oczekiwaniu, nim powróciła. Nareszcie około jedenastej w nocy usłyszeliśmy głosy powracających. Dra Retzera jednakże nie było już między nimi — spoczywał w tej chwili na koralowych rafach tropikalnego oceanu.

## ROZDZIAŁ XXVII

### Rozbicie się „Łucji-Małgorzaty”

Po ciężkim dniu nastąpiła bezsenna noc. Ulewa i zajścia wczorajszego dnia nową wywołały febrę, która też od północy mnie nawiedziła. Czulem się przez cały następny dzień chory, a że Tomczeka i Janikowskiego zdrowie nie było również w najlepszym stanie przez dwutygodniowy pobyt na wyspie Mondoleh pod namiotem, wśród bujnego jeszcze, niewyciętego wtedy gąszczy, postanowiłem więc nająć jeden z domów Victorii do chwili wykończenia naszej stacji na wyspie.

Na brzegu zatoki, nieopodal faktorii, posiadała misja baptystów niewielki biały domek, w którym mieszkał niegdyś misjonarz i podróżnik Comber, a następnie siostra jego. Nazywano go tu powszechnie Miss Comber's Cottage. Był to domek schludny, czysty, o trzech pokojach i niewielkim magazynie. Przy nim stała kuchnia z pokojkiem dla służby, a całość była otoczona małym ogródkiem, wprawdzie bardzo zapuszczonym, lecz mającym zawsze pewną wartość przy każdym domostwie. Wynająłem więc to miejsce od p. Thomsona i wprowadziliśmy się zaraz tego samego dnia do tymczasowego mieszkania.

Okno mego pokoju wychodziło na morze, z daleka rysowały się zielone wyspy Ndameh i Mondoleh, a na tej ostatniej wznosiły się już ściany naszego domu. Jeszcze dalej, niby kształtną siną chmurę, wynurzającą się z morza na horyzoncie, spostrzec mogłem niekiedy piękną sylwetkę gór Fernando Poo.

Po południu przybyła „Łucja-Małgorzata” do zatoki, płynąc z Rzeki Kameruńskiej i Bimbii, a choć już w obcej była służbie, ucieszył jej widok szczerze mych podróżników. Stała na kotwicy tuż przed mym oknem — niestety po raz ostatni.

Febra moja trwała ciągle i przez cały dzień następny, tj. 19 maja, utrzymywała mnie na połowym mym łóżku. Pogoda była zmienna, deszcze i wichry na przemian z jasnym niebem panowały ustawicznie, gdyż z marcem pora sucha się skończyła, ustępując miejsca porze tornadów.

Nadszedł wieczór. Gawędziłem długo z siedzącym przy mnie Tomczekiem, rozpatrując z nim przyszłe plany. Następnie i on się położył, febra moja się wzmogła i nastąpiła noc na dwudziestego maja, noc straszna, która niezatartymi głoskami w duszy się wyryła.

Leżałem w lekkiej gorączce, wsłuchując się w szum fal morskich, bijących nieopodal domku naszego o brzegowe skały. Od czasu do czasu oświetlała błyskawica w ciemności pogrążony pokój i morze — wtedy ujrzałem przed sobą na chwilę kołyszącą się w pewnej odległości sylwetkę „Łucji”.

Naraz błyskawice częściej świecić poczęły — morze głośniejszemu zasumiało, zerwał się wicher, krążąc w wirowym swym biegu naokoło dachu domu, zagłuszył wszystko inne. Ustał wreszcie na chwilę. Wtem zerwałem się z posłania. Co to było! Czym słyszał dobrze? Przed gankiem, nad brzegiem zebrał się jakiś tłum ludzi. Słyszałem wołania i głosy: „*She is lost! She is lost! The anchor left!*”<sup>399</sup>

Pot kroplisty wystąpił na rozpalone me czoło. Kto zgubiony? Tu jest tylko jedna „*she*”<sup>400</sup> — „Łucja”! I szarpany strasznym przeczuciem, które czasem w mgnieniu oka się rodzi, wybiegłem na brzeg morski. Stało tu kilkadziesiąt wiktoryjczyków — spojrzeli wszyscy naraz na mnie. Wtem nowa błyskawica oświetliła horyzont i ujrzałem „Łucję”, pochyloną na jeden bort, wśród skał.

Dziki, szalony ból opanował mną na ten widok! Sądziłem, że to mara, sen gorączkowy lub zem obłąkany, lecz nowe błyskawice przeszły horyzont. Tak, „Łucja” konała, a ja-

<sup>398</sup>buj (z hol.; żegl.) — boja, pława. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*She is lost! She is lost! The anchor left!* — Zgubiona! Zgubiona! Kotwica uciekła! [przypis edytorski]

<sup>400</sup>*she* (ang.) — ona; w języku angielskim statki i łodzie są rodzaju żeńskiego. [przypis edytorski]

skrawe pioruny, rozdzierające firmament, szarpały mą duszę w bezdennych otchłaniach rozpacz i bólu. Podobny do dzikiego zwierzęcia, złorzeczyłem niebu i piekłu.

Wtem ujrzałem dwie łodzie przy brzegu, a niedaleko od nich starego pana Brew, przełożonego osady i zawiadowcę faktorii.

— Ludzi na łodzie! — wrzasnąłem i kilku Murzynów z linami siadło na takowe.

— Do burtu „Łucji”, odciągać od skał! — zawołałem, lecz osłabiony febrą, musiałem się oprzeć o głaz, a wicher uniósł niedosłyszane słowa.

Posłałem powtórzyć je — łodzie ruszyły ku okrętowi, fale jednak nie dały im dopłynąć i po kilku chwilach jedna z nich rzucona została o przeciwległe brzegi wewnętrznej zatoczki. Tymczasem nieszczęśliwy okręt, któremu wicher wyrwał był kotwicę, osiadł nieruchomy wśród skał.

„Bezsilniśmy!” — zawrzało we mnie, gdyż widzieć przed sobą straszny ten dramat, a nie móc nic, nic, nic, wśród dzikiej tej walki, czekać świtu, czekać przez długie godziny — było to męczarnią!

W przystani szamotał się Tomczek z falami — mimo febry i przemoczony do szczętu, próbował on z garścią Krumanów zepchnąć czólną krajowe, by na nim popłynąć za drugą łodzią, wysłaną razem z rozbitą.

— Dość ofiar, Klemensie! — zawołałem stanowczo.

Lecz już czólną jego było na wodzie. Przemocą musieli posłani ludzie odwieść dzielnego towarzysza od poświęcenia pełnego kroku, który już wtedy byłby mi go zabrał na zawsze.

Po godzinie, która zdawała się wiekiem, silny bałwan szarpnął na nowo okrętem, fala przypływowa rzuciła nim jeszcze straszniej o skały, a za chwilę ujrzałem przy nowym błysnięciu burzy nadpływające grupy załogi „Łucji”.

Ostatnie szarpnięcie strzaskało bort pochylony. Woda zalała wnętrze i nieszczęśliwa załoga rzuciła się w rozhukane fale, szukając przystani. Na długo usiłowania rozbitków były próżne — dzikie bałwany odrzucały czarne ich ramiona od brzegów, miotając nimi wśród bloków i głazów zatoki, a żadnej z brzegu pomocy lub łodzi! Znów ludzka nasza bezsilność palącym przeszła mnie bólem! Wreszcie dopłynęli — wśród nich biali — był to półmartwy z wycieńczenia kapitan Boutes — jedyny ze starej naszej załogi, który został z okrętem w służbie faktorii jako kapitan. Bez ubrania, nagiego, wyrzuciły go wreszcie fale na piasek przystani.

Skończyło się! Raz jeszcze ujrzałem pochylony okręt — potem burza ustała i ciemność zalała wszystko dokoła; ale te maszty zwieszające się nad czarną masą skał w jarym<sup>401</sup> świetle pioruna — zawsze je widzę przed sobą — czy to na lądzie czy morzu.

Nie pamiętam, jak zaszedłem do naszego domku, wiem tylko, że był z Tomczkiem. Wchodząc do bramy, oprzytomniałem. Wierny druh trzymał mnie za rękę — kochaliśmy razem te deski okrętowe, które rozbiły rozhukane fale w tej chwili, i razem ciężko, rozpaczliwie niejedną raz o nie walczyliśmy! Rzekliśmy to sobie teraz — choć milczeniem — w takich chwilach ono wymowniejsze.

\*

Gdy 20 maja weszło słońce ponad skłonami Gór Kameruńskich, „Łucja-Małgorzata” była wykreślona z rejestrów okrętowych.

Spokojny obraz, jaki przedstawiała zatoka, nie dozwoliłby nawet domyśleć się przybyszowi, jak straszne były godziny ostatniej nocy, a gładka powierzchnia morza odbijała tylko jasne lazury nieba. Tak lśni się zwodniczo patrzącym z brzegów toń ideałów człowieka — dopóki w obszarach ich oceanów nie ujrzy zapadłych swych szczytów!

Wyszliśmy — znów razem — ku skałom. Żegnaj, „Łucjo-Małgorzato”! Twe skrzydła powiewne już nas nieść nie będą, lecz duch, który pod nimi panował na tym lądzie, pokieruje nam kroki!

<sup>401</sup> *jary* (daw.) — jaskrawy; jasny. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rogozinski-zegluga-wzdruz-brzegow-zachodniej-afryki-na-lugrze-lucya-malgorzata/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Szolc-Rogoziński, *Żegluga wzdłuż brzegów zachodniej Afryki na luguze „Lucya-Małgorzata” 1882–1883*, Warszawa 1886

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6248-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.